

Komisarz Grosz, kobiety i psychopatyczny morderca

ANDRZEJ SWAT

powieść kryminalna

**CZWARTA
ŚMIERĆ
ŚWIĘTEJ
DOROTY**

VIDEOGRAF

ANDRZEJ SWAT

**CZWARTA
ŚMIERĆ
ŚWIĘTEJ
DOROTY**

V I D E O G R A F

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2015
tekst © Andrzej Swat

Redakcja
Anna Seweryn-Sakiewicz

Projekt okładki
Pracownia WV

Fotografia na okładce
© Oleg Babkin / Shutterstock.com

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Damian Walasek

Opracowanie wersji elektronicznej
lesiojot

Korekta
Sandra Trela

Wydanie I, Chorzów 2015

Wydawca:
Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c

ISBN 978-83-7835-448-2

PROLOG

Volenti jest czymś więcej niż przydrożną restauracją tuż przy skrzyżowaniu autostrad A1 i A2. W biurowcu upadłych zakładów naprawczych kolei państwowych nowy właściciel początkowo zorganizował knajpę z dyskoteką. Jej atrakcją były rozgrywane się o północy walki nagich dziewczyn. Gusta kierowców ciężarówek i robotników z okolicznych przetwórní warzyw wymogły na właścicielu rozszerzenie repertuaru rozrywek o walki mężczyzn w klatce. Dzięki turniejom mistrzowskim o Volenti mówiło się w całym kraju. Obok powstała restauracja, bar śniadaniowy, motel, kręgielnia i parking dla ciężarówek. Volenti stało się miejscem na mapie, instytucją znaną nie tylko kierowcom, miłośnikom usankcjonowanej przemocy i bywalcom klubów go-go. W roku 2008 na temat Volenti przetoczyła się w ogólnopolskich mediach równie zażarta, co jałowa dyskusja. Otóż w klatkach dla mężczyzn zaczęły walczyć dzieci, co pokazano w lokalnej telewizji. Pocięchy, łamiąc sobie ręce i nosy, masakrując nerki i wątroby, dostarczały niezapomnianych emocji swoim rodzicom i inspirowanej piwem widowni. Brutalność i przemoc to w głębokim przekonaniu rodziców walczących dzieci podstawowe umiejętności potrzebne do przetrwania w kraju, który wydał papieża, obalił komunizm i zmusił do emigracji swoją młodzież. Nieśmiałe próby zakazania dziecięcych walk, podejmowane przez obrońców praw dziecka, dowodzących wyższość dialogu i perswazji nad mocą blachy w czoło i kopa w nerkę, zakończyły się bolesną porażką sądową tych pierwszych. Adwokat korporacji barbarzyńców dowiódł, że znacznie więcej kontuzji prowadzących do kalectwa zdarza się wśród dzieci uprawiających łyżwiarstwo i skoki narciarskie.

Volenti non fit iniuria – oznajmił na zakończenie swojego wystąpienia złotousty kauzyperda – chcącemu nie dzieje się krzywda. Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że na samym początku działalności knajpa nazywała się Malinka. Jej uskrzydłony korzystnym wyrokiem sądu właściciel postanowił przechrzcić ją właśnie wtedy na Volenti, aby oddać hołd łacińskiej maksymie, której w całości nie był w stanie zapamiętać. Volenti jest więc również pomnikiem kultu siły i pięknego ciała. Naturalnej symbiozy postmodernizmu z prymitywnym instynktem. Stali bywalcy tego miejsca organizują tu chrzciny, wesela, a nawet konsolacje dla najbliższych. Chętnie przychodzą tu również wtedy, kiedy nie towarzyszy temu żadna nadzwyczajna okazja. Większość ma karty klubowe, honorowane w restauracji i funkcjonującej dyskretnie w sąsiednim budynku kliniki tajskiego masażu i zabiegów odchudzających. Program kompleksu Volenti afirmuje zdrowy tryb życia, zdrową kuchnię i wszelkie formy aktywności ruchowej.

Znakomitym pomysłem marketingowym okazało się zainstalowanie między stolikami restauracji dwóch estrad, na których, już po dwudziestej, zgrabne, nagie dziewczyny demonstrują autorskie programy tańca na rurze. Reprezentują w tej konkurencji bardzo wysoki poziom. Samanta Białecka, występująca na rurze usytuowanej bliżej baru, ma już na swoim koncie tytuł mistrzowski, zdobyty w Karlovych Warach. Samanta specjalizuje się w akrobacjach, do których podkładem muzycznym są najczęściej aranżacje przebojów filmowych. Na rurze wykonuje figury, które wprawiają gapiących się na nią mężczyzn w stan wymagający natychmiastowej porady w sąsiedniej klinice masażu. Kończący występ numer Samanta wykonuje do muzyki z filmu „Titanic” Jamesa Camerona. Z szeroko rozłożonymi rękoma osuwa się po rurze na podłogę, a potem wspina się na nią, oplatając kształtnymi nogami. Towarzyszą temu zawsze gwizdy podziwu i okrzyki aplauzu. Faceci z objawami wiosennej rui podbiegają do podium i wciskają za gumkę – zastępującą Samancie majtki – banknoty o dużych nominałach. To zasługa nie tylko jej talentu i zjawiskowo zgrabnego

ciała. Samanta ma ambicje aktorskie i dba o tak zwany przekaz. Kierowcy tirów i miejscowi zbieracze cebuli zgodnie twierdzą, że gdyby tylko chciała, mogłaby zrobić karierę w filmie lub telewizji. Kiedy Samanta zastyga w połowie rury w bezruchu, jej głowa opada, a długie czarne włosy zasłaniają pomnikowe piersi. Ta zrozumiała nawet dla zbieraczy cebuli alegoria ukrzyżowania kobiety walczącej o wolność obyczajów co wieczór wywołuje owację. Widzowie często zmuszają Samantę do bisowania, ale dzisiaj odwrócili się już w stronę drugiej estrady. Sprawily to akustycznie wzmacnione dźwięki biczowania nagiego ciała. Ukrainka Ludmiła przywiozła z ojczyzny nowy numer, o mocno patriotycznej wymowie. Kiedy zrzuciła tunikę, okazało się, że na lewej połowie kształtnego tyłka ma wymalowany sierp skrzyżowany z młotem, na prawej zaś portret znienawidzonego prezydenta. Kierowcy ukraińskich tirów zawyli w aplauzie. Ich nieliczni rosyjscy koledzy niżej się pochyłili nad swoimi kuflami. W Volenti większość bywalców nie lubi łysiejącego prymusa KGB i nikt nie ma odwagi tego zmienić.

Samanta Białecka zjadła firmowy obiad i drzwiami dla personelu wyszła prosto na parking. Jej dziesięcioletnie bmw mimo przymrozku zapaliło od razu. Zatrzymała się przed wjazdem na szosę, aby przepuścić pędzące w stronę Łodzi samochody. Przednie koło jej samochodu wjechało w kałużę roztopionego śniegu, wydobywające się na powierzchnię wody bąble powietrza wskazywały na przebicie opony. Musiało się to wydarzyć bardzo niedawno, bo opona zachowała jeszcze swój kształt. Samanta miała do przejechania niecałe trzydzieści kilometrów. Wynajmowała mieszkanie w Łodzi. Jechała zbyt szybko, jak na drogę pokrytą śniegiem. Kiedy się zorientowała, że przestaje panować nad samochodem, próbowała hamować, samochód zsunął się na prawe pobocze i uderzył lusterkiem w słupek znaku drogowego. Tylne koło wpadło do rowu, samochód zarył w śniegu i się zatrzymał. Przez chwilę siedziała nieruchomo, próbując zrozumieć, co się stało. Z tyłu błysnęły światła samochodu; zjechał na pobocze i zatrzymał się

tuż za nią. Uchyliła szybę. Musiała wysiąść, bo przy samochodzie znaleziono ślady jej obcasów. Zrobiła krok lub dwa. Nocny przymrozek utrwalił ślady w śniegu, ale część z nich zdeptano. Wyglądało to tak, jakby ktoś wziął ją na ręce i unióśł. Ten ktoś nosił buty numer czterdzieści cztery.

Godzinę później pracujący w Volenti akustyk, który wracał tą drogą do domu, zauważył w rowie samochód Samanty. Przez uchyloną szybę zajrzał do środka. Na przednim siedzeniu leżała torebka, w stacyjce tkwiły kluczyki. Samanta Białecka zniknęła. W Volenti zebrano pieniądze na nagrodę za informację o jej losie. Sprawę prowadziła prokuratura w Gorzowie Wielkopolskim, skąd dotarła do Volenti wiadomość, że Samanta została zamordowana przez zbrojeńca. Jej dwuletnim dzieckiem zaopiekowało się małżeństwo pracujące w dziale zaopatrzenia kompleksu. Właściciel Volenti próbował w Gorzowie dowiedzieć się czegoś więcej o jej śmierci. Poinformowano go, że jej ciało wyłowiono z rzeki dwa miesiące po tym, jak zniknęła. Akta sprawy z niezrozumiałych powodów zostały objęte tajemnicą.

Rozdział I

W określeniu „ciężkie płatki mokrego śniegu” analityczny umysł licencjata teologii pastoralnej, wikarego Eryka Tomczyka, wyczuwał fałsz i próbę literackiego opisanie fizykalnych właściwości kryształów lodu, które tworzą strukturę śniegu. Wikary Tomczyk, będąc jeszcze w seminarium, zadał sobie trud określenia wagi śniegu, którym wypełnił łyżeczkę do herbaty. Przy wszystkich zastrzeżeniach, jakie można wysunąć wobec dokładności pomiaru, dokonanego wagą pożyczoną z apteki braci bonifratrów, różnica ciężarów właściwych śniegu określanego jako mokry w stosunku do tego, jaki powszechnie uważa się za śnieg suchy, była z naukowego punktu widzenia nieistotna. Brak precyzji wywodu i konformizm pojęciowy były – zdaniem licencjata Tomczyka – główną i podstawową przyczyną chaosu moralnego i kryzysu wiary we współczesnym świecie. Epidemia relatywizmu, która niszczyła zachodnią cywilizację, czerpała swoją pożywkę właśnie z braku jasności i odwagi w formułowaniu jednoznacznych ocen. Uniemożliwiła tym samym obiektywny osąd zła, które zatruwało nasze dusze.

Śnieżyca rozpięta się nagle, wbrew radiowej prognozie pogody. Wikary Tomczyk lubił jazdę samochodem, także przy takiej pogodzie jak teraz. Jego suzuki miało stały napęd na cztery koła, który dawał poczucie bezpieczeństwa nawet w ekstremalnych warunkach. Dzisiejszej nocy w klimatyzowanym wnętrzu samochodu wikarego Tomczyka ktoś o wrażliwym węchu mógłby jednak wyczuć delikatny odór strachu. Może nie strachu w pełnym tego słowa znaczeniu, bardziej czegoś, co kolokwialnie określamy jako „cykoria”. A więc strach domniemany lub spodziewany. Obawę, że może stać się coś, czego nie chcielibyśmy doświadczyć. Śniegu przybywało z każdą minutą. W światłach

reflektorów nie było już widać rowów melioracyjnych po obu stronach drogi. Co kilkaset metrów wystawały tylko zakończone odblaskową czerwienią słupki. Strach, który zatruwał duszę wikarego, po części brał się stąd, że kilka dni wcześniej widział w telewizji relację z Japonii, gdzie śnieżycy na autostradzie odebrała życie kilku kierowcom. Światły umysł wikarego odrzucał jakiegokolwiek skojarzenia z tym wydarzeniem, ale nie był całkowicie wolny od obaw związanych z tym, że jechał japońskim samochodem, a ta wąska droga nijak się nie miała do autostrad w Kraju Kwitnącej Wiśni. Obserwacja płatków śniegu, które przywierały do szyby i wirowały w mrocznej przestrzeni wokół samochodu, potwierdzała rezultat jego eksperymentu sprzed lat. Płatki śniegu miały teraz wielkość monety pięciozłotowej i mogłyby zostać uznane przez laika za śnieg mokry. Zgoda! Ale tylko wtedy, kiedy opadną już na powierzchnię i zaczną tworzyć skorupę. Tylko wtedy! Śnieg, który opada z chmur na ziemię, jest niczym innym jak bajecznym tworem kryształów lodu. Bóg nam go zsyła, abyśmy mogli dostrzec świat w białej szacie niewinności. Abyśmy odzyskali wiarę, że przemiana jest możliwa. Że można pozbyć się Brudu i Zła. Tę prawdę trzeba przypominać, nam grzesznym, co dzień. W kazaniach, modlitwach i czynach. Dawać świadectwo oczyszczającej Potęgi Wiary. My, Polacy, doświadczyliśmy cudu przemiany. Karol Wojtyła – święty Jan Paweł II, przywołał Ducha Świętego, aby zmienił oblicze naszej ziemi, i moskiewskie imperium zła runęło jak domek z kart. Zbyt szybko i zbyt często o tym zapominamy, błędząc w cuchnących zaułkach relatywizmu, chciwości i konsumpcji. Fizyczne właściwości śniegu z właściwą Szwajcarom precyzją opisał przed laty Instytut Śniegu i Lawin w Davos. Śnieg spada na ziemię ze średnią prędkością około pięciu kilometrów na godzinę, a każdy płatek ma sześć wierzchołków. Wszystko się zmienia, kiedy zrywa się wiatr. Trajektorie lotu płatków, tak jak teraz, zaczynają przybierać najbardziej fantastyczne kształty. Stycziowy wiatr, zimny jak oddech śmierci, miota płatkami śniegu jak kaczym puchem wylatującym z adamaszkowych poduszek.

Wikary Tomczyk mocniej chwycił kierownicę, bo wydało mu się, że

jego samochód zbaczał z pokrytej śniegiem powierzchni, którą uznał za drogę. Tomczyk jeździł tą drogą wiele razy. Jak zeznał później, znał ją na pamięć, potrafił intuicyjnie ocenić odległość od drzew i rzadko tu występujących znaków drogowych. Tylne koła zsunęły się na pobocze, niewidzialna siła ciągnęła samochód w stronę pola. Ugrzązł tak głęboko, że wikary nie mógł nawet otworzyć drzwi. Udało mu się zablokować mechanizm różnicowy, ostrożnie dodał gazu i samochód, mieląc kołami śnieg, powoli wypelzł na drogę. Po kilku minutach po lewej stronie drogi zauważył oświetlone rtęciowym światłem blaszane silosy cukrowni w Brodach. Do przejechania zostało mu zaledwie sześć kilometrów, ale strach poczynał sobie coraz śmieiej. Rozsądnie byłoby przeczekać śnieżycę w cieplej wartowni cukrowni, jednak wikary postanowił jechać dalej. „Zbyt długo jestem już poza parafią. Nienawidzę tych dwuznacznych pytań i aluzji. Wolę strach niż świdrujące oczka proboszcza” – pomyślał.

Kaczy puch nie jest żadną metaforą wirujących za szybą płatków śniegu. Absolutnie nie! To bardzo konkretne wspomnienie. Jedno z tych, które pamięta się do końca życia. Zupełnie niewinna, prawie dziecięca bójka na poduszki, o której nigdy nie wspomniał swojemu spowiednikowi. Puch wysypujący się z lnianego adamaszku, jej śmiech i fala gorąca, która odrywa ich od ziemi. Lecą nad łąkami jak para bielików. Ona grzbietem do ziemi, on wczepiony w nią szponami unosi ich ku niebu. Miłosne uniesienie, nieprawdopodobna lekkość bytu i absolutna bliskość Stwórcy. Potężna jak nigdy wcześniej wiara w powołanie i radość służby Panu. Upiór Grzechu pojawił się dopiero nad ranem, jeszcze we śnie. Pochylił się nad ich splecionymi ciałami, aby dobrze się im przyjrzeć. Wikary wyczuł zapach siarki, ale nie otworzył oczu – wolał udawać, że to tylko zły sen. Później szatan nie wstydził się nawet zaglądać do konfesjonału, kiedy wikary spowiadał swoje owieczki. Szatan wie, co robi. Słuchając cudzych grzechów, zapomina się o swoich. Od dwóch lat Tomczyk nosił w sobie trującą słodycz grzechu, która dodawała mu sił w służbie Bogu. Ale grzech jest jednocześnie trucizną. Nie da się służyć całym sercem więcej niż

jednemu panu. Teolog pastoralny wiedział o tym lepiej niż wszyscy Doktorzy Kościoła. Oszukiwał sam siebie, przywołując prawosławie: tam przecież można mieć żonę i służyć Panu. Wikary często budził się z krzykiem w środku nocy, bo wydawało mu się, że ktoś wciskał mu za kołnierz piżamy kulę śniegu. Zimny dotyk śmierci. „Kiedy godzimy się na życie w grzechu, sami wołamy do miłosiernego Boga o karę. Na zbawienie zasługuje tylko ten, kto wyzna grzech i obieca poprawę”. Wikary Eryk Tomczyk nie zamierzał nikomu wyznawać swojego grzechu, co więcej, postanowił się w nim pogрузić.

Strach rozsiadł się swoją ciężką dupą na jego karku, jego ciężar zaczął paraliżować zaciśnięte na kierownicy dłonie. Ta śnieżycą nie była dziełem przypadku. Nie było jej na mapach pogody. Przysłał ją ktoś, kto ignorował prognozy, bo sam decydował o naszym losie. Wielcy grzesznicy żyją czasami długie lata i kara dosięga ich dopiero w piekielnej smole. Słudzy Kościoła grzeszą w dwójnasób, łamiąc śluby i siejąc zgorzienie. Dlatego muszą być karani za życia. To wielka łaska znieść tortury strachu i móc odkupić swoje grzechy gwałtowną śmiercią. Wikary Tomczyk oceniał swoją sytuację bardzo racjonalnie. Nie było w tym nic z mistycznego obłądzenia czy hysterii skazańca. To zaledwie poczucie pewnego dyskomfortu. Wyobrażał sobie swój koniec trochę inaczej i spodziewał się, że nadejdzie znacznie później, przyznając jednocześnie, że nie miał ku temu żadnych przesłanek. Liczył na odrobinę miłosierdzia, o które prosimy, śpiewając pierwszą część suplikacji: *Święty Boże... My, grzeszni, Ciebie, Boga, prosimy. Wysłuchaj nas, Panie. Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie...* Jednak jego los był już przesądzony.

Z przeciwnej strony z szaleńczą prędkością nadjeżdżał dziesięciokołowy tir, ciągnąc za sobą biały całun zagłady. Tomczyk od razu zrozumiał, że oto zbliżało się przeznaczenie. Czytał w gazetach o wielkich ciężarówkach pędzących ku wschodniej granicy. Rozjeżdżają na swojej drodze wszystko i wszystkich. Ich kierowcy są bezkarni, za granicą znikają w bezkresie upudrowanego pieriestrojką imperium zła. W śnieżycy kierowca takiej ciężarówki nie może jechać wolno, bo

ugrzeźnię w śniegu. Ale z prędkością taką jak ten może jechać tylko szatan. Tir wyjechał na prostą i oślepił wikarego Tomczyka baterią reflektorów.

– Widzę Twoje światło... Przebacz mi, Boże – szepnął wikary.

Ciężarówka pędziła wprost na niego. Tomczyk zdjął nogę z gazu i złożył dłonie do modlitwy.

Uczestniczył w tylu pogrzebach, widział tyle łez i nieszczęść, że świadomość własnego końca nie była dla niego czymś nadzwyczajnym, godził się z tym, co musiało nadejść, co nieuchronne. W końcu tylko po to na tę krótką chwilę przychodzimy na świat. Przyjmujemy pod postacią chleba ciało Zbawiciela, dajemy świadectwa wiary i opatrzeni sakramentami trafiamy do upragnionego nieba. Dusze grzeszne spotyka kara, zabiera je szatan. „Widzę go, tuż przed sobą... Zarośnięta azjatycka gęba kierowcy, szalone oczy diabła i wymalowany na szoferce bawoli łeb z rogami. Teologia pastoralna nie wspomina o takim wcieleniu szatana, ale jakie to ma w tej chwili znaczenie? Nie boję się śmierci, zasłużyłem na nią. Boję się bólu i upokorzenia. Trzasku łamanych kości, przebijających skórę odłamków szkła, wpadających do gardła i oczodołów, lepkiej krwi wypełniającej tchawicę, przez którą nie przedostanie się już niezbędne płucom powietrze, rozerwanych jelit, z których wydobędzie się fekaliczny odór”.

Ciała księży, którzy umierali w jego parafii, wystawiane były w otwartych trumnach, aby wierni mogli się pożegnać ze swoimi pasterzami. Proboszcz raczej nie zgodzi się na wystawienie ciała, po którym przejechał dziesięciokołowy tir szatana. Zamknięta trumna zawsze daje asumpt do domysłów. Z całą pewnością dowiedzą się, gdzie był i co robił. Zamknięta trumna będzie ostatecznym dowodem na to, że zdradził Boga i umarł w grzechu. Kiedy myślał o swojej śmierci, to zawsze chciał odejść bez pożegnania. Umrzeć we śnie, bez bólu. Bóg go nie wysłuchał. Dlaczego niby miałby słuchać grzeszników? Kierowca tira pokazał mu uniesiony w górę środkowy palec. Tir minął go, obsypując tumanem śniegu. Podmuch zakołysał samochodem wikarego, ale nic więcej się nie stało. To było tylko ostatnie ostrzeżenie, zapowiedź

cierpienia, jakie go czekało, zanim Bóg pozwoli mu umrzeć. Zapowiedź życia w ciągłym strachu, zanim przyjdą po niego szatani! Uchylił szybę, aby odetchnąć mroźnym powietrzem.

„Uległem strachowi, bo nie wyobrażam sobie życia bez miłości. A może tylko pożądania? Może wmawiam sobie, że to miłość. Czy pragnę jej dobra? Byłem ślepy, ale zobaczyłem światło! Bóg mi wybaczy, a ja będę Jego najwierniejszym sługą!”.

Strach powoli ustępował, czuł przyspieszone bicie serca. Mógł oddychać, poruszać rękami i nogami. Żył. Skierował samochód na widoczny jeszcze ślad kolein tira i delikatnie dodał gazu. Z ulgą stwierdził, że jego samochód trzyma się drogi i przy odrobinie szczęścia może udać mu się dojechać do celu i zapomnieć o upokarzającym strachu i myślach niegodnych umysłu licencjata teologii pastoralnej. „Kochając kobietę, nie występuję przeciw żadnemu z wielkich dogmatów Kościoła. Nie obrażam Boga, a jedynie pewien obyczaj”.

Nacisnął mocniej pedał gazu, samochód tym razem nie przyspieszył, pchał przed sobą, jak pług, zwały śniegu i koła zaczęły tracić przyczepność. Tuż przed wjazdem do miasteczka, na nieosłoniętym od wiatru odcinku, często tworzyły się zaspasy. Kiedyś na polach rozstawiano drewniane płoty, które zatrzymywały śnieg. Od czasu, kiedy przyjęto, że klimat się ociepla, uznano to za anachronizm. Samochód wbrew wysiłkom wikarego zsunął się z drogi i zatrzymał. Po prawej stronie wystawał ze śniegu daszek przydrożnej kapliczki, kilkanaście metrów dalej pokrywa śniegu wydawała się już znacznie cieńsza. Zawirowania wiatru porywały śnieg dalej, w stronę pola. Tomczyk, starając się utrzymać koła w koleinach, spróbował cofnąć samochód. Koła buksowały, coraz głębiej grzęznąc w śniegu. Usłyszał tarcie śniegu o podwozie, koła straciły przyczepność. Wyskoczył z samochodu. Dwa miesiące temu w górach miał podobną przygodę, od tego czasu woził w bagażniku łańcuchy i łopatę. Odgarnął śnieg i założył łańcuchy, samochód cofnął kilka metrów i wikary znowu musiał kopać. Wtedy, w górach, byli razem, jej obecność dodawała sił, teraz zabrakło mu oddechu i musiał chwilę odpocząć. Za kilkanaście minut będzie

w domu, odmówi kompletę i zaśnie w wykrochmalonej pościeli. Jego modlitwa będzie jednocześnie dziękczynna i błagalna. Tomczyk zrozumiał, że bezpośrednią przyczyną strachu, który zawładnął jego duszą, była niechęć powrotu. Przestraszył się, że utracił wiarę i powołanie. Ale to wszystko zostało już za nim. Przed nim było ciepło, aromat kąpieli i głębokie modlitewne uniesienie w czasie komplety, bezpośredniej rozmowy z Bogiem.

Wsiadł do samochodu, wrzucił wsteczny, samochód cofał, wyjąc na wysokich obrotach, ale nagle stanął. Koła znowu buksowały. Wysiadł, tylne koło natrafiło na przeszkodę. Łopatą odrzucił śnieg, poczuł nagłą słabość w nogach, a po chwili w całym ciele. Nie była to zjawia ani przywidzenie. Ze śniegu wystawało alabastrowo-białe biodro młodej kobiety, dziewczyny. Odgarnął śnieg. Zastłaniała dłonią piersi. Delikatne, słabo umięśnione przedramię młodej kobiety było sztywne i zimne. Karminowo czerwony lakier, który pokrywał jej paznokcie, był w kilku miejscach zerwany, niekiedy razem z podłożem. Tomczyk usunął śnieg z jej twarzy, była posiniaczona, wokół szyi biegła brunatna pręga. Wsunął dłoń pod jej plecy i spróbował ją unieść. Ciało było już sztywne, przygniecione śniegiem stawiało opór. Dziewczyna była zupełnie naga, szron zamarzył na jej wpółotwartych ustach, brwiach i długich rzęsach. Usta miała wypełnione krwią, w szczęce brakowało kilku zębów.

Eryk Tomczyk znał tę twarz. Jeszcze niedawno była mu bliższa od tej, którą kochał. Modlił się do niej, powierzał jej swoje myśli, grzechy i pragnienia. Kiedy rzymscy legionieści prowadzili ją na śmierć, padał śnieg, tak jak teraz. Święta męczenniczka za wiarę ma prawo objawić się wszędzie, nawet w Kamocku. Ale skąd się wziął lakier na jej paznokciach? Święta, według „Martyrologium Hieronima”, oddała życie w końcu trzeciego wieku w tureckiej Kapadocji. Zwyczaj zdobienia paznokci znany był już w starożytnym Egipcie, a nawet w Chinach, ale stosowane ówczesnie barwniki nie wytrzymałyby tak długo kontaktu ze śniegiem. Wikary Tomczyk nie był pewien, czy w tamtych czasach znano już nitrocelulozę i toluen. Lakier na palcach świętej był

zdecydowanie zbyt współczesny, podobnie jak jej nagość i wygolone krocze. Nagość na portretach świętych pojawiła się dopiero w renesansie, kilkaset lat po jej śmierci. Wybite zęby i siniak pod okiem mogły być następstwem tortur, jakim poddali ją oprawcy rządu Fabryjusza, ale ten lakier wyglądał na profanację.

Wikary Tomczyk wyjął z kieszeni telefon i wystukał numer alarmowy sto dwanaście. Przerwał połączenie, niepewny redakcji komunikatu, który miał zamiar przekazać. Schował telefon do kieszeni i pochylił się nad ciałem dziewczyny. Wszystkie źródła mówią, że powierniczkę jego myśli ścięto mieczem. Brunatna pręga wokół szyi dziewczyny mogła być śladem po stryczku, ale w żadnej mierze blizną po zabiegu przyszcycia głowy. Koszmary, które dręczyły go prawie każdej nocy, zaczynały nachodzić go na jawie. „Dosyć! *Apage, Satanas!* Wystarczy na dziś mistyki i transcendencji. Ta dziewczyna nie żyje, wiele wskazuje na to, że rozstała się z życiem wbrew własnej woli”. Ponownie sięgnął po telefon, miał dwa aparaty, a o istnieniu tego drugiego nie wiedział nawet proboszcz. Po kilku sygnałach odezwał się dyżurny.

– Przed wjazdem do Kamocka, od strony Nasielska, leżą przy drodze zwłoki młodej kobiety.

– Nazwisko pana?

– Dioklecjan.

– Imię?

– Fabrycy.

– Da się tam teraz dojechać?

– Terenówka musi być.

– Może pan tam zaczekać?

– Mogę.

– Proszę podać numer swojego telefonu.

Tomczyk przerwał połączenie i wrócił do samochodu. Wytarł rękawiczką trzonek łopaty i wbił ją w śnieg, obok ciała. Pobłogosławił zwłoki, wsiadł do samochodu i odjechał. Dwadzieścia minut później zamknął drzwi garażu. Wszedł na piętro i otworzył drzwi swojego mieszkania. Przez chwilę obserwował, jak wanna napęlnia się gorącą

wodą, aromatyczna sól zamienia w białą puszystą pianę, a jego odbicie w lustrze znika za welonem pary. Był wreszcie nieobecny dla świata.

Miał za sobą najbardziej dramatyczny dzień w swoim życiu. Umierał i wracał do żywych, gardził sobą i wielbił Pana. Wreszcie był wolny. Od strachu i pożądania. Coś jeszcze musiało się stać. Musiało się dopełnić jego przeznaczenie. Nie zapalając światła, wyjrzał przez okno. Śnieg nie przestawał padać. W mieszkaniu proboszcza Bonikowskiego paliło się światło, na podjeździe stał samochód z włączonym silnikiem. Tomczyk znał ten samochód i jego właścicielkę. Położył na szafce obok łóżka zegarek. Z telefonu, z którego dzwonił na policję, wysłał krótką wiadomość. Zauważył, że na podjeździe pojawił się proboszcz w towarzystwie dwóch kobiet w futrach. Samochód odjechał. Proboszcz spojrział w górę, w stronę okien mieszkania wikarego, i skierował się w stronę domu. Kiedy zniknął za drzwiami, Tomczyk zgasił światło i zapalił świece stojące po obu stronach krucyfiksu. Od ich płomieni zapalił jeszcze dwie i przeszedł z nimi do łazienki.

Chwilę później leżał już w swojej wannie wypełnionej gorącą wodą. Jego nagość skrywała piana pachnąca wanilią i kwiatem wiśni, biała jak świeży śnieg. Obrazy dzisiejszego dnia wolno przesuwają się przed jego oczami. Galerię otwierał portret kruczowłosej dziewczyny o śniadej cerze, która otwiera mu drzwi. W jej oczach widzi łyżę wzruszenia. Kobieta obejmuje go i zawisa mu na szyi. Płacze, śmiejąc się, i czule całuje jego dłoń. Żar ciał w świetle świecy. Potem sekwencja obrazów drogi ginącej pod tumanami śniegu. Rogaty bawół na masce szarżującego w zamieci tira i ta druga dziewczyna. Święta, martwa, naga i bezbronna. Jej obraz zatrzymał się przed oczyma wikarego na dłużej. Kiedy Tomczyk próbuje unieść jej głowę, dziewczyna otwiera oczy i uśmiecha się do niego splamionymi krwią ustami. Sięga ręką za siebie i podaje Tomczykowi różę, tak czerwoną jak krew na jej ustach i lakier na paznokciach. Tomczyk sięga po kwiat, ale nie może go uchwycić. Kwiat jest niematerialny, jest w zasięgu jego ręki, ale w innym wymiarze. W innym kosmosie. Wszystko pokrywa szron. Kwiat więdnie z zimna i przełamuje się w połowie łądygi. Uśmiech znika z twarzy

dziewczyny, szron pojawia się na jej brwiach i rzęsach, gaśnie światło w jej oczach. Spod opuszczonych powiek wikarego Tomczyka wypływają dwie łzy, dają początek kolejnym, płyną jedna za drugą. Jego ciałem wstrząsa szloch. Po krótkiej euforii jego dusza pogrąża się w smutku. To trwa już zbyt długo. Niekończąca się huśtawka nastrojów, chwile uniesienia, długie tygodnie depresji i zwątpienia. Lekarstwa, które przepisał mu psychiatra, tylko go otępiają i wywołują sennność. Nie był już nawet pewien, czy to wszystko, co dzisiaj przeżył i jeszcze raz w zwolnionym tempie widział przed chwilą, to prawda, czy tylko urojenie. Kolejny koszmarne sen. Jeden z tych, które wyrwywają ze snu w środku nocy i nie pozwalają zasnąć już do rana. Marihuana przynosiła mu ulgę tylko przez chwilę. Po kilku tygodniach koszmary wróciły ze zdwojoną siłą, a koleś, który mu ją dostarczał, próbował go szantażować. Zbłąkany pasterz zbłąkanej trzody. „Kłamstwo, Grzech i Wstyd. Jakie to podłe i żałosne, odpuszczając grzechy, samemu będąc grzesznikiem!”.

Za szybą, ignorując grawitację, zawisł pojedynczy, ogromny płatek śniegu, zawirował i zastygł w bezruchu, przywierając do szyby. Teraz wszystko stało się jasne. Sześć wierzchołków płątka śniegu to przecież heksagram! Tarcza Dawida, pieczęć Salomona! Heksagram symbolizuje połączenie dwóch pierwotnych sił. W kabale połączenie sześciu wierzchołków jest sakramentem. W wierze, którą głosił wikary, tylko małżeństwo usprawiedliwiało połączenie ciał. Związek, w którym trwał, skazywał go na ekskomunikę i potępienie. Ten płatek śniegu krzyczy!

„Lakier na paznokciach świętej Doroty to symbol fałszu i obłudy. Kłamstwa, pod którym ukrywam przeżartą grzechem duszę. Okłamuję Boga, okłamuję siebie, okłamuję ją, bo przecież nigdy się z nią nie ożenię! Pełnymi garściami zrywałem zakazane owoce Drzewa Poznania Dobra i Zła. Zanudzałem dzieci na lekcjach religii żałosną historią Adama i Ewy, a sam, jak wieprz, żarłem owoc zakazany. Głupiutkiej Ewie podsunął go szatan w skórze węża. Mnie, licencjata teologii, nikt nie musiał namawiać. Przegrałem ze zwierzęcym pożądaniem samicy! Hańba sługi bożego i filozofa!”.

Uniósł się na łokciach, aby zobaczyć w lustrze swoje odbicie. W świetle świec ujrzał zapłakaną, żalostną gębę zasrańca. Krótkie chwile kradzionego szczęścia, nocne koszmary, tygodnie czekania i wycie do księżycy. Nowe kłamstwa, szaleńcza jazda, aby poczuć jej zapach i słodycz grzechu. Tortura powrotu, i tak bez końca. Odbicie twarzy w lustrze znowu przesłoniła para, widział tylko płamę konturu głowy. A może tak wyglądała jego dusza, która wyzwoliła się z grzesznego ciała? Poczuł ulgę jak ktoś, kto długo błądził w labiryncie i nagle zobaczył światło. Lustro wisiało na drzwiach szafki, w której trzymał przybory toaletowe, lekarstwa i jedyną pamiątkę po ojcu. Dziadek kupił ją w Paryżu, w czasie wystawy światowej w 1900 roku. Srebrzyste ostrze z kutej stali oprawione perłową macicą. Tej brzytwy używał jego ojciec. Dla wikarego była wyłącznie pamiątką, przechowywał ją w skórzanym futerale z podwójnym dnem, gdzie ukrywał narkotyki. Przed wyjazdem naostrzył ją na skórzanym pasku przywiązany do klamki.

„Student Rodion Raskolnikow użył do swojego eksperymentu siekiery. Zabił starą lichwiarkę i obserwował, jak zareaguje na to jego dusza. Uważał, że ma prawo zabić babę, która pomnażała nieszczęście i cierpienie ludzi. Miał prawo do grzechu, skoro czynił dobro. Raskolnikow miał szczęście, skazano go na katorgę. Tylko pokuta jest w stanie uleczyć chorą duszę. Na zesłaniu się nawrócił, zdobył miłość kobiety i odzyskał wiarę w Boga. Nie ma innej drogi. Dusza jest nieśmiertelna i nic mi nie grozi. Rodzinna pamiątka nie zada mi bólu. Uwolni tylko moją udręczoną duszę z więzienia grzesznego ciała...”

Aromatyczna piana, która delikatnie pieściła jego ciało, ze śnieżnobiałej zaczęła się przebarwiać na różowo. Woda powoli stygła, ale wikary czuł, że ogarniało go ciepło. Błogość, poczucie ulgi, spokój i sen. Rozległy się dźwięki trąb anielskich i świat, który przesuwiał się teraz przed jego oczami, był już wolny od śniegu. Korony drzew wypełniały świeże zielone liście, łąka, po której stąpał bosymi stopami, wyglądała jak dywan utkany z kwiatów. Tomczyk zobaczył siebie w długiej pokutnej koszuli ze zgrzebnego płótna i z sękatym kosturem pątnika w dłoni. Szedł w stronę wiszącej tuż nad horyzontem czerwonej

kuli słońca. Czuł jej ciepło. Nagrzewające się powietrze drżało, a sylwetka wikarego na tle słońca zaczęła tracić kontury, rozmywać się, a po chwili zupełnie znikła. Dusza wikarego uniosła się wysoko nad ziemią. Wolna od wszelkiej materii była niewidzialna, ale nie straciła kontaktu z istotami zamieszkującymi tę planetę. Zachowała swoją wrażliwość na krzywdę i ból, dzięki której mogła usłyszeć wydobywający się z ubogiej chaty krzyk noworodka, któremu nie udzieli już chrztu. Usłyszał odbite od marmurowej posadzki ostatnie tchnienie bogacza, któremu nie udzieli już *extrema unctio*, ostatniego namaszczenia odchodzących z tego świata. Poczuł chłód. Dusza wikarego Tomczyka zbliżała się do granicy stratosfery. W ubiegłym roku austriacki szaleniec wyskoczył na tej wysokości z balonu i udało mu się wrócić na Ziemię. Dusza Tomczyka pragnęła być jeszcze dalej. Lecąc, zadawał sobie pytanie, czy piekło jest na Marsie, czy w innej galaktyce. To bez znaczenia, stamtąd się już nie wraca. Jeżeli od razu wrzucą go do gotującej się smoły, to będzie diabłom wdzięczny. Zimno, które przeszywało jego ciało, stało się nie do zniesienia.

Musimy w tej chwili wrócić do protokołu przesłuchania wikarego Tomczyka, który uznał tę sytuację ze sprzeczną ze stanowiskiem nauki. Nieugięty bojownik o precyzję wywodu i czystość pojęciową wymógł na przesłuchującym, aby w tym miejscu dodać następującą kwestię: „Zimno, które przeszywało moje ciało, było oczywiście odczuciem fantomowym. Bólem nogi, którą amputowano, której cierpiący już nie ma, a mimo to odczuwa fizyczny ból utraconej kończyny. Podobnie było w tej sytuacji: moja dusza odczuwała chłód ciała, które już opuściła. Natomiast rozdzielenie mojego ciała i duszy w kontekście teologicznej nieodwracalności tego procesu należy uznać za kwestię wykraczającą poza kompetencje władz świeckich. Wyjaśnienie tej sprawy powierzyć można jedynie Kongregacji Nauki i Wiary Stolicy Apostolskiej”. W tym miejscu zakończono przesłuchanie. Eryk Tomczyk, wikary parafii rzymsko-katolickiej w Kamocku, hospitalizowany w szpitalu powiatowym w Słodowie po nieudanej próbie samobójczej, odmówił składania dalszych wyjaśnień.

Rozdział II

W Warszawie słoneczne dni z dodatnią temperaturą zdarzają się w styczniu wyjątkowo rzadko. Młodzi ludzie pozbywają się wtedy czapek i szalików, aby wyrazić w ten sposób afirmację dla tego stanu przyrody w środku wschodnioeuropejskiej zimy. Dwie dziewczyny, które się zatrzymały przed wejściem do przedwojennej kamienicy przy ulicy Lwowskiej, były ubrane wręcz wiosennie. Ich twarze zasłaniały słoneczne okulary, spod których wystawały dymiące w jaskrawo uszminkowanych ustach papierosy. Niższa z nich nacisnęła przycisk wideofonu.

– Kto? – zachrypiął głos w pudełku.

– Gosia – odpowiedziała dziewczyna, zdejmując okulary. Pokazała kamerze swój prawy i lewy profil z gracją fotomodelki.

– A ta druga? – spytał podejrzliwie.

Gosia odsunęła się o krok, żeby zrobić miejsce dla drugiej, wyższej dziewczyny.

– Zdejmij okulary – zażądał głos.

Pokryta grubą warstwą makijażu twarz aspirant Marty Czapskiej nie wyrażała żadnych uczuć. Zdjęła okulary i oblizała językiem usta. Dźwięk brzęczyka oznajmił, że mogą wejść. Wsiadły z windy na drugim piętrze. Drzwi do mieszkania były uchylone, weszły do środka. Alert czekał tuż za progiem. Wysoki facet po sześćdziesiątce, czerwona, nalana twarz, łysina otoczona wianuszkami siwych włosów. Miał na sobie pikowany jedwabny szlafrok w chińskie wzory. Stopy w futrzanych kapciach, spod szlafroka wystawały białe, zdeformowane żyłakami łydki satyra.

– Rozbierajcie się. – Nie czekając na ich reakcję, przeszedł do salonu.

Dziewczyny powiesiły na wieszaku swoje kurtki i poszły za nim. Alert

usadowił się pośrodku skórzanej kanapy przed stolikiem, który służył mu za barek.

– Nalejcie sobie, czego tam chcecie. – Taksował wzrokiem piersi Marty, która pochyliła się nad butelkami.

Gosia nalała sobie kieliszek fioletowego likieru i usiadła obok Alerta.

– Ile ty masz lat? – rzucił w stronę Marty.

Marta postawiła na stoliku swoją torebkę i podniosła jedną z butelek.

– Tyle, na ile wyglądam.

– Wyglądasz na starą dupę...

– Proszę, proszę, a ja myślałam, że twój rocznik to już w całości robaki żżarły... – odpowiedziała Marta.

Gospodarz ryknął śmiechem i klepnął ją po udzie.

– Lubię pyskate, nikt lepiej nie obciaga jak pyskate! Siadaj tu...

– Wskazał Marcie miejsce obok siebie.

Z małej szkatułki wysypał na blat szczyptę białego proszku. Podał rurkę Gosi, która wprawnie wciągnęła proszek do nosa. Przygotował drugą porcję i podał rurkę Marcie. Wzięła ją od niego i położyła na stoliku.

– Już nie fruвам.

– Nie musisz... mała lubi... – Odwrócił się do Gosi i podniósł palcem jej bluzkę.

Dziewczyna знаła jego upodobania, zdjęła bluzkę przez głowę i zdążyła jeszcze łyknąć likieru. Alert chwycił ją za włosy i wepchnął jej głowę między swoje uda. Nie protestowała, zaczęła rytmicznie poruszać głową. Gospodarz odwrócił się do Marty. Dotknął jej brody i zmusił, żeby spojrzała w jego stronę.

– Ona zaczyna... ty kończysz... – Ręka mężczyzny osunęła się na pierś Marty i zaczęła ją miętosić.

Kamera umieszczona w torebce Marty transmitowała ten obraz do zaparkowanego przed domem Alerta samochodu. W czarno-białej wersji widać go było na laptopie aspiranta Marcina Burhardta. Marcin był pod wrażeniem talentu aktorskiego Marty. Polecenie Grosza ocuciło go z zamyślenia.

- Wchodzimy! – powtórzył komisarz Michał Grosz. – To wystarczy...
- Co robimy, jeżeli zablokował drzwi? – spytał Władek Jawor.
- Marcin ma dorobione klucze – uspokoił go Grosz.
- Mogę je zobaczyć? – nalegał Władek.

Marcin zaczął grzebać w kieszeniach. Z głośników laptopa dobiegł głos Marty:

- Za połyk dopłacasz tysiąc...
- Odbiło ci? Ta szmata ma u mnie dług... – wysapał Alert. – Zdejmuj to – Szarpnął bluzkę Marty i natychmiast dostał od niej w twarz. Uśmiechnął się, przemoc kręciła go w każdą stronę.

- Wchodzimy! – powtórzył Grosz i wysiadł z samochodu.

Marcin biegł za nim, ciągle grzebiąc w kieszeniach. Władek przeładował pistolet, wepchnął go za pasek i podreptał za nimi.

Sytuacja na kanapie rozwijała się. Alert kazał Gosi poczekać w sypialni. Nalał sobie trochę koniaku i rozbawiony obserwował Martę.

- Lubisz dostać z liścia po ryju? Czy smyczą po dupie? Powiedz, co lubisz...?

- Myślę, że pora już kończyć to przedstawienie – powiedziała Marta, patrząc w stronę torebki.

- Dopiero zaczynamy, laseczka...

Alert odstawił kieliszek i wygrzebał spod poduszek kanapy mały rewolwer. Wymierzył go w głowę Marty. Drugą ręką rozerwał jej bluzkę. Z biustonoszem nie dał sobie rady. Przełożył rewolwer do lewej ręki i prawą chwycił ją za włosy. Cios Marty trafił go w krtań. Otworzył usta jak święteczny karp, ale nie mógł złapać oddechu. Marta uderzyła jego nadgarstkiem o kant stołu, rewolwer upadł na podłogę. Facet nie był w stanie pojąć, co się z nim działo. Spróbował wstać. Miłosierny cios łokciem w przepoń pomógł mu usiąść. Dziewczyna ostrożnie podniosła rewolwer i poszła z nim do korytarza. Karta telefoniczna, którą zablokowała rygiel zamka, tkwiła tam nadal. Otworzyła drzwi wejściowe. Tak głupiego wyrazu twarzy swoich kolegów nie widziała nigdy wcześniej. Grosz miał niedomknięte usta, Marcin grzebał w kieszeniach, a Władek mierzył do niej z pistoletu.

– Nie spieszyliście się... Spodobało się wam przedstawienie?

– Ten dureń zgubił klucze – bąknął Włodek.

Weszli do mieszkania. Alert odzyskał już oddech i próbował wepchnąć pod kanapę szkatułkę z proszkiem.

– Pan prezes Alert? – spytał Grosz.

– Co panowie tu robią? To najście, proszę natychmiast... – Głos uwiązał mu w kontuzjowanej krtani.

– Proszę włożyć czyste gacie i jakiś gustowny krawat, na dole może już być telewizja.

– Odpowie pan za to! – warknął Alert. Przestraszył się i bezradnie rozglądał się dookoła.

– Jeżeli chciałby pan zadzwonić do żony, to proszę się nie krępować...

Alert rozwalił się na kanapie i sięgnął po telefon.

– Jest u mnie policja, chcą mnie aresztować, zrób coś z tym...

– Odłożył telefon i położył dłoń na sercu. – Proszę wezwać pogotowie, będę miał zawał.

Grosz sięgnął po jego telefon. Przejrzał rejestr rozmów.

– Nie dzwonił pan do żony, będzie się martwiła... Opiekę lekarską dostanie pan w areszcie. Ubierze się pan, czy chce pan wyjść na ulicę w tym szlafroku, jak bułgarski alfons? Nie boję się pana ani pańskich kolegów, dzisiaj śpi pan na twardych dechach.

– Nie wolno panu mnie obrażać, jestem urzędnikiem państwowym.

– Jest pan świnia... nie można pana obrazić...

Alert skrzywił się z niesmakiem. Grosz mówił coraz głośniejszym głosem, nakręcał się swoim gniewem i zbliżał się do niego z wyciągniętym wskazującym palcem. Chwytał go za poły szlafroka i gdyby nie Włodek, który ich rozdzielił, uderzyłby grubasa w twarz.

– Nawet małpy nie robią takich rzeczy... Sam pan wybierze sobie krawacik czy mam panu pomóc, prezesie? – spytał Włodek, popychając go w stronę sypialni.

Grosz wrócił do korytarza, aby ochłonać. Marta zdążyła już się przebrać, ale na twarzy miała jeszcze ostry makijaż i sztuczne rzęsy.

– Wracaj do domu, to wszystko na dzisiaj – rozkazał Grosz.

– Umówiłam się na to sprawdzenie, chcę mieć to z głowy – odpowiedziała.

– To nic pilnego.

Grosz rozcierał swoją dłoń, jakby nie był pewien, czy uderzył Alerta i zdążył już o tym zapomnieć, czy dopiero miał zamiar to zrobić. Marta wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Grosz bywał nieobliczalny, lubiła go za to. Czasami nawet wydawało się jej, że mogłaby się w nim zakochać.

Rozdział III

Kościół pod wezwaniem świętej Doroty zbudowano w XIV wieku, jako wotum dziękczynne rycerza Junoszy. O rycerzu zamknięta w przeszklonej gablotce, zdeformowana czasem i wilgocią, zapisana ręcznym pismem kartka papieru nie wspominała ani słowem. Nie było tam też słowa o patronce, tylko wypisane godziny, w których odprawiane były msze. Budynek składał się z jednej prostokątnej nawy i domurowanej do niej półkolistej absydy ozdobionej witrażami, przedstawiającymi stacje drogi krzyżowej.

Marta zapukała do drzwi plebanii, ale nikt jej nie otworzył. Postanowiła schronić się w kościele, gdzie wcale nie było cieplej niż na zewnątrz. Promienie zimowego słońca, które przebijały się przez kolorowe szkiełka witraży, nie dawały ciepła, ich światło odkrywało przed nią alegoryczne obrazy zdobiące ściany i sklepienie kościoła. Skąpo ubrane lub nagie postacie za pomocą ekspresyjnych gestów opowiadały sceny Nowego Testamentu. Marta nie pamiętała już nic z lekcji religii, poza wyznaniem wiary i wieczorną modlitwą. Treść malowideł na ścianach i sklepieniu była dla niej zupełną abstrakcją. Intrygował ją wyraz twarzy występujących na freskach postaci. Wszystkie były niezwykle uduchowione i ekspresyjne, zarówno te wznoszące miecz czy włócznię, jak i te błagające o łaskę. Widok tyłu nagich postaci na polichromiach sprawił, że Marcie przez chwilę wydawało się, że ona też nie ma na sobie ubrania i za chwilę zastygnie z zimna jak postacie na obrazach.

Postanowiła wrócić do samochodu i jeszcze raz zadzwonić do proboszcza. Odgłos jej obcasów odbił się od sklepienia i zwielokrotniony dotarł do wszystkich zakamarków kościoła, również do konfesjonału, gdzie poruszyła się zawinięta w czarne palto postać.

Ksiądz poprawił biret, który w trakcie drzemki zsunął mu się na oczy. Odsunął kratkę, która zasłaniała go przed wzrokiem wiernych, i zakaszłał, bardziej przeraźliwie niż znacząco. Marta aż podskoczyła ze strachu. Odruchowo sięgnęła po broń, ale cofnęła rękę, widząc postać wychylającą się z konfesjonau.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

– Przepraszam, nie wiedziałam, że ktoś tu jest... Byłam umówiona z księdzem proboszczem.

Ksiądz podszedł do niej i podał jej rękę.

– Bonikowski, jestem tu proboszczem, czekałem na panią.

– Trochę poblądziłam po drodze.

– Zapraszam na herbatę.

Ruszyli w stronę absydy. Tuż za bocznym ołtarzem, we wnęcie, stała bogato złożona rzeźba z wapienia bawarskiego. Przedstawiała mężczyznę z władczym wyrazem twarzy, w niepełnym rynsztunku rzymskiego legionisty i krótkim, bogato zdobionym, upiętym do ramion płaszczu. Lewa dłoń mężczyzny wczepiona była we włosy kobiety z małą złotą koroną na głowie. Ręce kobiety, ubranej w długą suknię, złożone były do modlitwy, jej twarz nie wyrażała przerażenia ani bólu. Jej sylwetka ugięła się pod ciężarem ręki mężczyzny, tak jakby za chwilę miała paść przed nim na kolana.

– To nasza patronka, święta Dorota – szepnął ksiądz Bonikowski.

– A ten facet? – Dla Doroty alegoryczna wymowa tej rzeźby nie była wystarczająco jasna.

– Cesarz rzymski Maksymian Drugi; wiedział, że Dorota mimo wielkiej urody złożyła śluby dziewictwa... – Ksiądz spojrział na Martę przenikliwie, jakby chciał sprawdzić, czy dla niej waga takiego ślubu cokolwiek znaczy. – Cesarz zapalał do niej żądzą, chciał ją posiadać i zniewolić. Dorocie udało się zbiec i ukryć na pustyni, gdzie żyła przez wiele lat, dając dowody cnoty i pobożności.

– I za to została świętą?

Bonikowski potwierdził skinieniem głowy. Świat ostro poszedł do przodu. Wszyscy, którzy próbowali to kwestionować, nie mieli racji.

Prezes Alert próbował zmusić Martę do czynów nierządnych równie brutalnie, jak cesarz Maksymin. Święta Dorota zmarnowała życie na pustyni, żując daktyle i klepiąc różaniec. Tymczasem komisarz Grosz wspaniałomyślnie ofiarował Marcie pół dnia wolnego i nigdy nie okazał zainteresowania kwestią jej dziewictwa. „Fanatyzm odbiera feministkom trzeźwą ocenę skali postępu, jaki niewątpliwie dokonał się w kwestii gender”.

Ksiądz Bonikowski zaparzył herbatę w dużym porcelanowym imbryku, który stał teraz przed nimi, przykryty wydzierganą szydełkiem serwetką, aby herbata nie ostygła zbyt szybko.

– Pragnę podziękować policji za wyjątkowy takt i dyskrecję, z jaką potraktowaliście naszą sprawę... i przyznam, w głębi duszy myślałem, że mamy to już za sobą.

– Próba odebrania sobie życia podlega takiej samej procedurze jak zabójstwo.

– W końcu wszystko, z boską pomocą, zakończyło się szczęśliwie, wszyscy żyją – upierał się Bonikowski.

– Zostało jeszcze kilka kwestii do wyjaśnienia, chciałabym porozmawiać o tym osobiście z księdzem Tomczykiem.

Brwi proboszcza Bonikowskiego uniosły się prawie do wysokości połowy jego czoła. Uprzejmy, tylko trochę protekcyjny uśmiech zastąpił grymas niezadowolenia.

– Ciągłe jeszcze jest bardzo słaby, zwolniłem go ze wszystkich obowiązków, lekarze również zalecili mu spokój i unikanie emocji.

– Prowadzę postępowanie wyjaśniające, mogę wezwać księdza Tomczyka na przesłuchanie do nas. Uznałam, że w jego sytuacji będzie lepiej, jak przyjadę tu sama. Ksiądz Tomczyk może oczywiście odmówić rozmowy ze mną, ale w końcu nie da się tego uniknąć. – Marta stanowczym gestem odstawiła filiżankę, aby podkreślić, że zakończyła już negocjacje.

Proboszcz Bonikowski podszedł do okna i wskazał jej drzwi po drugiej stronie podwórza.

– Wejdzie pani na pierwsze piętro, tam go pani znajdzie.

Bonikowski obserwował, jak Marta przechodzi przez podwórko i znika za drzwiami budynku, którego parter zajmowały garaże. Na piętrze, w mansardowym pokoju, mieszkał wikary Tomczyk.

„Trzeba być zupełnie bez serca, żeby posyłać tam kobietę pachnącą perfumami, od których mężczyźni zaczyna się kręcić w głowie, ubraną w obcisłą bluzkę, która odbiera spokój i modlitewne skupienie”. Przywoływał natrętne myśli sługi bożego, który raz już upadł i był w szponach szatana. I teraz, kiedy odzyskał łaskę wiary, znowu zjawił się wąż pokuszenia. Z dwoma jabłkami grzechu pod bluzką i duszącą aurą diabelskiego pachnidła. Już na progu otaksował ją wzrokiem. Była za wysoka, zbyt chuda i patrzyła na niego zimnym jak sople lodu wzrokiem.

– Bardzo tu u księdza ciepło, mogę zdjąć kurtkę?

– Proszę, na drzwiach jest wieszak.

Sama obecność kobiety w pokoju nie robiła na nim wrażenia, ostatecznie kwestie płci podnoszone były wyłącznie po to, aby zniszczyć Kościół. Ta kobieta niczym nie różniła się od nagich postaci na kościelnych polichromiach, które oglądał co dzień. „Ikonokłasci mieli rację, twierdząc, że w kościołach nie powinno być żadnych obrazów. Transcendencja wyklucza obcowanie i podziw dla czegoś, co można zobaczyć”. Kobieta nie budziła w nim już żadnych emocji! Tak zdecydował, raz na zawsze, ale diabeł chyba znowu wygrał. Kropla potu, która spłynęła mu po plecach, była tego jednoznacznym potwierdzeniem. Modlił się, spał na podłodze, pościł. Robił wszystko, aby być wolnym od pokus, oczyszczonym z grzechów i pogodzone z Bogiem. Kiedy stracił w wannie przytomność, proboszcz Bonikowski udzielił mu *extrema unctio* – ostatniego namaszczenia. Ten ostatni w życiu człowieka sakrament przynosi umierającemu, zgodnie z jego wolą, przebaczenie i odpuszczenie grzechów, a także ulgę w cierpieniu, a bywa, że nawet uzdrowienie. Właśnie tak miało się stać w jego przypadku. Czuł się wolny od grzechu i uzdrowiony. Reakcja na obecność tej policjantki oznaczała, że szatan o nim nie zapomniał. Ale rozmyślanie i modlitwy bardzo wzmocniły Tomczyka. Był gotów na

wszystko i wiedział, że wygra. Krople potu spływające po plecach to tylko dowód na to, że panował nad swoim strachem.

– W zasadzie moglibyśmy już księdzu zwrócić tę brzytwę, to w końcu księdza własność.

Tak poradził jej zacząć rozmowę Władek Jawor: wspomnieć o brzytwie i obserwować oczy. Marta nie dostrzegła jednak w oczach wikarego nic, co pomogłoby jej ocenić stan jego umysłu.

– Tamtej nocy ktoś powiadomił policję o znalezieniu zwłok – dodała.

– Co to ma wspólnego z moją brzytwą i ze mną, jeśli mogę spytać?

– Wikary uśmiechnął się, a na jego twarzy pojawiły się blade rumieńce.

– W tej dziurze od siedemdziesięciu lat nie było żadnego zabójstwa. Jest uzasadnione podejrzenie, że w odległości kilkuset metrów od siebie popełniono tu dwie zbrodnie. Był ksiądz obecny w obu tych miejscach...

– Próba samobójcza to chyba coś zupełnie innego niż morderstwo?

– Zabójstwo, „morderstwo” jest terminem literackim, nie prawniczym – skarciła go, żeby zniechęcić go do kręactwa.

– Niezależnie od terminologii nie możecie mnie bez końca prześladować: samobójstwo jest grzechem, ale nie jest karane – odparł wikary.

– Karze podlega osoba, która namawia lub nakłania do samobójstwa.

– Nikt mnie nie namawiał, to była wyłącznie moja decyzja, wydawało mi się, że utraciłem wiarę i powołanie, takie życie nie miało dla mnie żadnego sensu...

– Rozumiem, że jadąc tu wtedy, nie zauważył ksiądz żadnych zwłok przy drodze i nie zawiadomił o tym policji.

– Nic takiego nie miało miejsca, to są wyłącznie pani insynuacje.

– Ja, proszę księdza, nie jestem wierząca, ale wydaje mi się, że pakuje się ksiądz w nowe kłopoty. – Na ścianie za jego głową zauważyła oprawione w ramki fotografie ptaków. Wśród nich parę żurawi. Robiły wrażenie zdziwionych tym, co powiedziała.

Wikary Tomczyk świdrował ją wzrokiem, nie tylko dostrzegł w niej kobietę, ale również śmiertelnego wroga, który perfekcyjnie wybrał

moment, żeby go zaatakować. „Te złudne chwile fałszywego spokoju, kiedy wydaje się nam, że wszystko, co najgorsze, mamy już za sobą! Właśnie wtedy zjawia się przeznaczenie. Okrutne i bezwzględne. Boimy się i pragniemy go jednocześnie”.

– Proszę stąd wyjść, złożę na panią skargę o nękanie, powiedziałem wam wszystko i nie chcę do tego wracać. Nie ma pani prawa mnie prześladować! To już mi zostanie do końca życia...! – Jak stygmatyk podniósł rękaw wełnianego swetra, odsłaniając buraczano-czerwoną bliznę na wewnętrznej części przedramienia. – Nie trzeba mi o tym przypominać! Proszę wyjść!

– Jak ksiądz sobie życzy, wielbny... ale wrócę tu...

Marta sięgnęła po swoją kurtkę. Jej bluzka się uniosła, odsłaniając kawałek biodra. Tomczyk wbił w nie wzrok. Zauważyła to, a on się zorientował, że go na tym przyłapała.

Szatan nie wypuścił go ze swoich szponów. To wielka szkoda, że ta policjantka nie przywiozła mu jego brzytwy. Jej zimne ostrze rozwiązywało wszystkie problemy. Należy tylko zamykać drzwi na zamek i nie włączać na noc alarmu w samochodzie. Kiedy tamtej nocy wprowadzał ośnieżony samochód do garażu, nie zauważył kota, który lubił wygrzewać się na silniku. Zwierzak zakradł się pod maskę samochodu i uruchomił alarm. Wikary Tomczyk opacznie odczytał jego dźwięk jako trąby anielskie. Proboszcz przybiegł, żeby zobaczyć, co się stało, no i zobaczył. Wrzeszczał głośniejszy niż syreny alarmu. Gdyby Tomczyk potrafił to przewidzieć, ta policjantka nie byłaby taka bezczelna, zdążyłby się wykrwawić na śmierć. Fatum nie jest dziełem szatana. To pokuta tu, na ziemi, za życia. Bóg mu wybaczył, ale nie zwolnił go z odkupienia winy. Zwrócił mu życie, ale nie zwolnił z cierpienia.

Wikary Tomczyk naciągnął kołdrę na głowę i się rozpłakał. Po chwili zaczęło mu brakować powietrza i musiał się odkryć. Przypomniał sobie historię pewnego pisarza skandalisty, który zasłynął powieścią opisującą jego dzieciństwo w okupowanej przez Niemców Polsce. Oskarżył swoich wybawców dla sławy i korzyści. Skandalista tak wytrwale gonił

własny ogon, że też w końcu wszedł do wanny, nałożył sobie na głowę plastikowy worek i uwolnił się od swoich demonów. „Brzytwa wcale nie jest niezastąpiona. O sukcesie decyduje determinacja. Jeżeli bardzo chcemy, nawet kot, którego niesłusznie posądza się o sprzyjanie szatanowi, nie jest w stanie przeszkodzić nam w ostatniej podróży. Wystarczy pamiętać o alarmie i dobrze zamknąć drzwi... No i woda w wannie powinna być gorąca, nie ciepła, gorąca”.

Rozdział IV

Nalewka z pigwy, którą co roku fabrykowała żona inspektora Modesta Strumiłły, swój wyjątkowy smak zawdzięczała korzeniowi arcydzięgielu i startej skórce pomarańczy. Głęboki bursztynowy kolor i egzotyczny aromat – domieszce ciemnego rumu i lipowego miodu. Trunek ten leczył jej zdaniem wszystkie dolegliwości ludzkiego ciała i umysłu. Mimo że inspektor Modest Strumiłło wypił już dwa kieliszki tego balsamu, nie mógł rozstać się z pokusą zastrzelenia Michała Grosza. Był tak wzburzony, że postanowił zapomnieć o wszystkich zasługach komisarza i o wszystkim, co ich dotąd łączyło. Modest Strumiłło nienawidził braku odpowiedzialności. Gardził ludźmi, którzy ignorowali reguły gry i podnosili swój brak rozważności do rangi kabotyńskiej cnoty. Świeżo podjęte postanowienie zabójstwa Strumiłło skutecznie ukrywał pod rozmarzonym uśmiechem konesera nalewek. Grosz znał tę maskę i już po pierwszym kieliszku odkrył zamiary szefa. Nie obawiał się go. Strzelał lepiej i szybciej. Zanim Strumiłło sięgnie do szuflady, zdąży wychylić kieliszek, przeładować broń i wpakować cały magazynek w truchło tego żalostnego hipochondryka, który nawet na emeryturze gotów był tańczyć na linie, aby zdobyć względy swoich zwierzchników. „Gdyby to się udało – Grosz przysiągł to sobie w myślach – wtedy co roku, bez względu na pogodę, będę chodził na cmentarz, aby z wdzięczności nasikać na grób Strumiłły”. Patrzył mu prosto w oczy i był pewien, że treść jego przysięgi dotarła do obłudnie uśmiechniętej gęby szefa.

- Nie żądam chyba zbyt wiele, kiedy pytam, po której jesteś stronie?
- Głos Grosza zabrzmiał równie słodko, jak miód dodany do nalewki, którą pili.
- Kiedy ktoś, kto siedzi wyżej niż gałąź, na której ja siedzę, prosi mnie

o informację, to moim obowiązkiem jest odpowiedzieć! Tylko idiota może myśleć, że uda mu się zbyć mnie jakimiś pierdołami! Specjalnie nie odbierałeś moich telefonów!

– Nie znam faceta, to miasto jest pełne zbrojenców i karierowiczów, miał prochy, broń i obcował seksualnie z nieletnią. Jest nagranie i świadek. Kiedy tam weszliśmy, gość trząsał się tak, że prawie spadły mu gacie. Nie robił wrażeń męża stanu... Władek zabrał go do lekarza, nie stała mu się krzywda... O co jest ten cały cyrk?

– Gdzie on teraz jest? – sapnął Strumiłło.

Grosz wzruszył ramionami. Strumiłło wysunął szufladę swojego biurka, kiedyś trzymał w niej pistolet, teraz zalegały tam lekarstwa na choroby już zdiagnozowane i te, na które Strumiłło miał dopiero zamiar zachorować. Pomysł z połknięciem jednej tabletki diazepamu wydawał się kuszący. Połączenie z alkoholem albo go uspokoi, albo wywoła furję. W każdym wypadku będzie to lepsze od udawania, że toleruje brak dyscypliny. Grosz patrzył na niego wyjątkowo butnie, ze smakiem przełknął resztę nalewki i wierzchem dłoni otarł usta. „Bezczelne, aroganckie bydlę, bez ambicji i poczucia służby państwu. Za chwilę coś musi się tu wydarzyć, ten gnojek nie może mieć złudzeń, kto tu rządzi”. Dzwonek telefonu na biurku zabrzmiał jak wybawienie.

– Dawaj go tu! – warknął Strumiłło do słuchawki.

Władek Jawor wszedł cicho jak konspirator Al-Kaidy i usiadł na krześle obok Grosza.

– Gdzie on jest? – nie ustępował Strumiłło.

– Zawiozłem go na ostry dyżur, lekarz powiedział, że nic mu nie jest... wtedy facet dostał szafu. Wezwałem radiowóz, zabrali go na Ochotę. Będzie miał sprawę za stawianie czynnego oporu...

– Nie ma go na Ochocie – przerwał mu Strumiłło.

– To znaczy... – Władek próbował wyczytać coś z twarzy Grosza. – ... to znaczy, że odstawili go na dołek.

– Zostaw nas! – warknął Strumiłło.

Władek potulnie zniknął za drzwiami.

– Dlaczego zadałeś sobie tyle fatygi, żeby wsadzić tego gościa za kraty?

– Gdybym wiedział, że tak cię to zaboli...

– Tu chodzi o twoją dupę, nikt nie będzie się z tobą cackał tak jak ja...

– Za chwilę zacznę myśleć, że facet jest kandydatem na twojego zięcia.

Strumiłło tylko przez chwilę żałował, że nazwał go idiotą. „Ten bydlak przekroczył wszelkie granice, jak przyjdzie wniosek, żeby przenieść go na ulicę, nie kiwnę palcem. A teraz nie pozwolę mu zauważyć, jak bardzo zranił mnie pytaniem o zięcia”.

– Zamknąłem świętą krowę? – dopytywał się Grosz.

– Był kiedyś kandydatem na ministra. – W głosie Strumiłły nie było cienia emocji.

– Jak mogłem tego nie zauważyć? – Grosz nie ukrywał szyderstwa.

– Była kiedyś moda na palenie akt. Alert, zanim cokolwiek spalił, zrobił sobie kopie i ma je do dzisiaj.

– Chyba mu zazdrościsz? – zadrwił Grosz.

– Zanim zgłupiał, potrafił zmieniać zarządy spółek skarbu państwa, wszyscy musieli się z nim liczyć...

– Ktoś już się martwi o jego zdrowie?

– Nie bądź idiotą, zaraz zgłoszą się po niego te gnojki z Agencji, oddaj im go bez pytań i awantur... W końcu nie musiał wiedzieć, że Marta jest policjantką.

– Rozumiem, że gdyby zrobił to twojej córce, to byłoby w porządku?

– Obawiam się, że masz do tego zbyt osobisty stosunek, to nieprofesjonalne...

– Na korytarzu czeka adwokat twojego ministra.

– Spław go, nie zajmujemy się tu polityką.

Dał Groszowi znak ręką, żeby się wynosił. Diazepam zaczynał działać. Wracał spokój i pewność siebie. Jego lekarz zignorował ostatnie wyniki badania poziomu hormonów tarczycy. „Stary dureń, z takim poziomem tyroksyny można wylądować w wariatkowie. Grosz, ten niewdzięczny gnojek, może mieć rację. Zachowałem się jak kretyń. Podsekretarz stanu z ministerstwa, który dzwonił w sprawie Alerta, mówił szeptem i rozłączył się natychmiast, jak usłyszał o nieletniej. Później nie dzwonił już nikt. Ludzie, na których Alert może mieć jeszcze haka, to żywe trupy

żyjące na kroplówkach. Straszą już tylko wyglądem”.

Strumiłło polecił sekretarce, aby nie łączyła żadnych rozmów. Odchylił fotel do tyłu i zamknął oczy. Wieczorem wybierał się z żoną na kolację do córki, która chce im przedstawić nowego narzeczonego. Jak ten dureń Grosz się o tym dowiedział? Może tylko blefował? Teoretycznie nie powinien nawet wiedzieć o rozwodzie córki, trzymali to w tajemnicy. Córka zaraz po ślubie przeniosła się z mężem do Gdyni. „Dziwny gość z tego Grosza. Znakomity policjant, najlepszy, jakiego znam, a taki dureń. Do końca życia za dziadowską pensję będzie się szarpał ze złodziejami, zbrojeńcami i mordercami, których produkuje liberalna demokracja. Dzięki takim idiotom adwokaci, sędziowie i prokuratorzy mają długą kolejkę klientów, o jakiej tylko mogą marzyć fryzjerzy i kasznodzieje. Kilka tysięcy zadowolonych z życia biurokratów poszłoby na bruk, gdyby nie tacy jak Grosz. Zaczadzeni przez romantycznych poetów idioci wierzący w prawdę i sprawiedliwość! Prawda nie istnieje, jest fikcją literacką. Facet, który oczekuje szacunku, musi rozumieć, że łapanie przestępców nie rozwiązuje żadnego z wielkich problemów państwa. Ważne jest jedynie utrzymanie równowagi i odpowiedzialność za to spoczywa na takich jak ja, żyjących w cieniu i zawsze niedocenianych rycerzy kompromisu. Dobro i sprawiedliwość nie są w stanie istnieć bez zła i krzywdy. Niewielu potrafi zrozumieć, że to właśnie grzech i niegodziwość niosą postęp. Walka ze złem nie ma sensu, w zupełności wystarczy, kiedy zło przestrzega granic, które mu wyznaczamy. Ludzie nigdy nie będą równi wobec prawa, bo zawsze będą ci, którzy je stanowią, ci, którzy mu podlegają, i ci, którzy z niego żyją”.

W średniowieczu, jeżeli córka kata nie mogła znaleźć męża, to książę zobowiązany był dać jej swego syna. Tak działa państwo. Kiedyś mu się wydawało, że Grosz mógłby być dobrym zięciem. Dobrym policjantem, cierpliwie wspinającym się po drabinie kariery. „Tymczasem ten dureń chce zmieniać świat. Telewizyjni gęgacze podsuwają nam błyskotliwe odpowiedzi na każde pytanie. Zawdzięczamy im dobry humor i poczucie wyższości nad tymi na Wschodzie. Już nie pamiętam, kiedy

ostatni raz zaprosili mnie do telewizji. Mądrość nie jest teraz w cenie, psuje oglądalność. Ten, kto przynosi złe wiadomości, przegrywa wybory. Nie uzalam się i nie mam pretensji, sam wybrałem swoją samotność. Gorszy od samotności jest tylko radosny szczebiot kobiet po zmroku”.

Strumiłło zupełnie stracił ochotę na poznawanie nowego zięcia. Pragnął szczęścia swojej córki, ale po sprzeczce z Groszem najbardziej pragnął spokoju. Swoje małżeństwo uważał za udane i szczęśliwe. Większość dnia spędzał w pracy, cierpliwie czekając na kataklizm, który pozwoli mu wypłynąć na szersze wody. Udręczona głowa Strumiłły opadła na zagłówek, jego analityczny umysł został stworzony do rozstrzygania rzeczy naprawdę ważnych. Żywił głęboką pogardę do wszystkich przestępców, szczególnie tych, którzy dali się złapać.

W przyciemnionych szklach okularów mecenasa Knychalskiego odbijały się obrazy z ekranu komputera komisarza Grosza. Mecenas próbował nadać swojej twarzy wyraz wyniosłej obojętności. Kiedy nagranie z ukrytej kamery dotarło do sytuacji, w której Alert groził Marcie pistoletem, mecenas skrzywił się z niesmakiem.

– Kim jest ta dziewczyna? – spytał z odrazą.

– W tym filmie występują dwie dziewczyny, żeby nie urazić pana wrażliwości pokazuję panu tylko fragmenty... druga dziewczyna jest nieletnia i czeka na pańskiego klienta w jego sypialni. Zatrzymanie nie dotyczy tego wątku. Problem pana prezesa Alerta to broń i narkotyki.

– Prezes Alert ma certyfikat dostępu do poufnych informacji, ważnych dla bezpieczeństwa państwa. Nie może przebywać w jednej celi z kryminalistami, to chyba nawet dla pana jest oczywiste... Kim jest ta dziewczyna?

– To policjantka.

– Nawet nie próbuje pan ukrywać, że to prowokacja? – Knychalski zdjął okulary i przetarł szkła. Miał zmęczone, przekrwione oczy alkoholika, który coraz częściej zapomina o zakąsce.

– Jeżeli próbuje pan czytać w moich myślach, to nie robi pan postępów... Pański klient odbywa stosunki seksualne z nieletnią. Płacił jej za to, ale później wpadł na pomysł, że taniej będzie dawać jej narkotyki. Dziewczyna szybko się uzależniła, ale nie na tyle, żeby dać się oszukiwać, zaczął ją wtedy szantażować, żądał więcej i więcej, w końcu kazał jej przyprowadzić koleżankę...

– Rozmawiałem z pana przełożonym...

– ...dziewczyna poczuła się poniżona, wyobraża pan to sobie? Ćpunka zachowała poczucie godności... mógłby pan jej zazdrościć.

– Nie interesują mnie moralne rozterki młodej kurewki... Zgódźmy się, komisarzu, że trochę przeceniliście ten incydent... Wyżej...

– Wskazał okularami sufit. – ...zdecydowano, że pan prezes jeszcze dzisiaj powinien wrócić do domu. Jestem upoważniony pokryć wszystkie koszty, jakie się z tym wiążą.

– Sugeruje pan, że mógłbym coś na tym zarobić...

– Jeżeli się nie dogadamy, sporo pan straci...

– Blef jest sztuką, panie mecenasie, a pan nie ma talentu. Blefując, nie można zmieniać strategii... nie może pan jednocześnie obiecywać łapówki i mnie straszyć, blef zakłada konsekwencję. Albo straszymy, albo kusimy, pan jest tandeciarzem, mecenasie. Dziwię się, że pan prezes wynajął takiego palanta...

– Nie pozwalaj sobie, chłopcze...

Grosz wstał zza biurka i otworzył okno. Spłoszone ptaki zerwały się z parapetu.

– Wypierdalaj, papugo. – Grosz powiedział to tak miękko i łagodnie, że adwokat nie bardzo wiedział, jak zareagować.

Grosz wskazał mu palcem drzwi, ale Knychalski nie ruszył się ze swojego krzesła.

– Podsumujmy sytuację... Mój klient popełnił kilka błędów, ale nie możemy równoważyć interesów państwa z rozterkami jakiejś cichodajki, to chyba oczywiste, że za tym jest polityka... Ktoś chce pana prezesa skompromitować.

– Ma pan na myśli kłopoty ze wzvodem? – dociekliwie spytał Grosz.

– Dziwię się, że tak doświadczony oficer daje się w to wkręcać...

Grosz ponownie wskazał mu drzwi, nabrał trochę ziaren pszenicy z szuflady i rozsypał je na parapecie. Odwrócił się do Knychalskiego, zdziwiony jego widokiem.

– Co tu jeszcze robisz? Chyba widzisz, że próbuję po tobie wywietrzyć. Knychalski uśmiechnął się wyrozumiale.

– Potrafisz się targować... – Adwokat z uznaniem skinął głową.

Grosz obszedł swoje biurko i ruszył w stronę drzwi. Zahaczył stopą o nogę krzesła mecenasa i ten, bardziej zdumiony niż przestraszony, wylądował na podłodze.

– Przepraszam pana, na starość robię się trochę niezdarny.

Knychalski otrzepał spodnie. Poprawił krawat i z coraz gorzej udawanym gniewem spojrzał na Grosza. Komisarz zakołysał barkami, jak bokser przed zadaniem nokautującego ciosu. Adwokat skwitował to miną pełną pogardy dla troglodyty i wyszedł, czujnie zerkając przez ramię, czy nie zarobi jeszcze pożęgalnego kopa. Grosz ostrożnie zamknął drzwi, żeby nie spłoszyć ptaków, które pojawiły się na parapecie. Żarłocznie dziobały ziarno, zupełnie nie dbając o swoje bezpieczeństwo. Zdarzały się już słoneczne dni, ale w nocy podstępny mróz potrafił jeszcze zabić. Ptaki jadły jak postmodernistyczni intelektualiści na korporacyjnym bankiecie w czterogwiazdkowym hotelu. Nie dbając o savoir-vivre i sąsiadów, dziobiąc i rozpychając się, starały się połknąć jak najwięcej.

Grosz przed wyjściem zajrzał jeszcze do Strumiłły. Sekretarka poprosiła, żeby przyszedł za kwadrans. Zignorował ją i pchnął obite sztuczną skórą drzwi. Strumiłło leżał odchyłony w fotelu, nogi zarzucił na blat biurka, aby dać ulgę dręczącym go żyłkom. Na twarzy miał maskę zasłaniającą oczy przed światłem, jak te używane w samolotach. Grosz chciał się wycofać.

– Pogoniłeś tę mendę? – Strumiłło nawet nie drgnął.

Manifestował, że kontroluje sytuację nawet wtedy, kiedy innym się wydaje, że śpi. Na Groszu nie zrobiło to wrażenia. Nikt inny nie odważyłby się tu wejść wbrew zakazowi sekretarki. Tylko on sobie na to

pozwalał.

– Sam uciekł, nawet nie zdążyłem kopnąć go w dupę.

Strumiłło zdjął maskę.

– Dwadzieścia lat temu zjadłby cię na śniadanie. – Twarz Strumiłły wykrzywiła się w grymasie. – Był prokuratorem. Żeby kogoś zamknąć, nie potrzebował żadnego sądu, patrzył na człowieka i od razu wiedział, kto jest swój, a kto wróg ludu pracującego miast i wsi. Miliony obywateli tęsknią za tamtymi czasami, Grosz. Byli bici pałami, mieli kartki na wodę, papierosy i kości ze strzępami mięsa, ale ciągle za tym tęsknią... bo była praca i był porządek. Ludzie pragną porządku, jak owce w stadzie. Jeden baran prowadzi, a oni, szczęśliwi, podążają za nim... To się nazywa potrzeba autorytetu, Grosz. Nie możemy tolerować człowieka, który nie zauważył, że coś się skończyło. Prezes Alert stracił dzisiaj swój immunitet... dobrze zrobiłeś, zamykając go na noc, gdyby został sam ze swoim nieszczęściem, mógłby sobie coś zrobić...

– Podziwiam cię, Strumiłło...

– Jeżeli chcesz przetrwać, musisz się tego nauczyć... zmieniać zdanie szybciej, niż pozwala ci na to rozum i przyzwoitość, tylko tak można przeżyć w tym domu wariatów. Zapraszam cię jutro na kolację, możemy pójść do tego Greka, który nie potrafił zabić własnej żony, dawno tam nie byłem. – Strumiłło zasłonił oczy maską, co oznaczało ostateczny koniec audyencji.

Marta od dwóch miesięcy mieszkała ze świnką morską, którą podrzuciła jej sąsiadka z piętra. Nie lubiły się i nigdy ze sobą nie rozmawiały, ale sąsiadka poprosiła ją o opiekę nad gryzoniem przez kilka dni... Pojechała na Śląsk odwiedzić ciężko chorą siostrę. Nigdy już nie wróciła do swojego mieszkania. Zginęła w katastrofie kolejowej pod Szczekocinami. Facet, który kupił jej mieszkanie i był teraz sąsiadem Marty, twierdził, że sąsiadkę i jej siostrę pochowano w jednym grobie z rodzicami, którzy zatruli się czadem. Świnka morska szybko uporała

się z żalobą. Witając Martę radosnym kwileniem i wspinała się na szczyt swojej klatki, aby pozwolić podrapać się po głowie i sięgnąć po liść cykorii bądź pietruszki, którą Marta nauczyła się uprawiać specjalnie dla niej. Z zachwytem obserwowała, jak gryzoń zjadał liść, który trzymał w łapkach. „To w końcu bez znaczenia, kto na nas czeka. Ważne jest żeby był, żebyśmy czuła się potrzebna”.

– To był kurewsko paskudny dzień – złorzeczyła, płacząc pod prysznicem.

Sama zaproponowała, że pójdzie do Alerta razem z tą nastolatką. Uwierzyła w jej historię i postanowiła ukarać sprośną świnię, ale dopiero teraz dotarła do niej cała obrzydliwość tego faceta, trupi zapach jego ciała i upokorzenie nastolatki, którą dręczył. Próbowwała, ale nie udało jej się zwymiotować, gorąca woda cierpliwie zmywała z niej brud tego dnia i łzy, które wyzwoliło wdzięczne spojrzenie morskiej świnki. Postanowiła, że nie zadzwoni dzisiaj do Grosza. Zje tylko kawałek pizzy i pójdzie z książką do łóżka. Dzwoniła do niego tuż po wyjściu od wikarego Tomczyka. Grosz udawał, że słucha, ale szybko się zorientowała, że mało go to obchodziło. „Dlaczego ja mam się tym przejmować? Przez tę pracę zaniedbałam swoje książki”.

Po latach wróciła do „Stu lat samotności” Gabriela Marqueza; pierwszą lekturę tej książki pamiętała jak hipnotyczny sen na jawie, najgłębsze duchowe doznanie w całym osiemnastoletnim życiu. Postanowiła przeżyć to jeszcze raz, jak obrzęd inicjacyjny w nowym życiu, które właśnie postanowiła zacząć. Przez pierwsze dwie noce nie chciała się z tym pogodzić, ale drugie czytanie było rozczarowaniem. Nie angażowało jej wyobraźni, myliła wątki i miała wrażenie, że uczestniczy w telenoweli, która nigdy się nie skończy. Postanowiła dobrać do końca z nadzieją, że jednak coś odnajdzie, coś, co nada się na kamień węgielny nowego życia. Niestety, wysiłek, jaki musiała włożyć w zmuszanie się do czytania, zaczął konkurować z pomysłem przełożenia początku nowego życia na dogodniejszy termin. Odłożyła książkę i włączyła komputer. Pierwsze krople deszczu uderzyły w parapet, aby po chwili przejść w jednostajny szum, jakby to już była wiosna, na którą

wszyscy czekali.

Proboszcz z Kamocka coś popieprzył, a może wszyscy księża mają kłopot z mówieniem prawdy? Od kilku dni telewizja i gazety zajmowały się sporem pewnego księdza z biskupem. Strony wzajemnie się oskarżały o głoszenie nieprawdy. Większość widzów i czytelników była oczywiście po stronie księdza, który jako słabszy musiał tę bitwę przegrać. W Kościele zawsze prawda przegrywa z hierarchią. Paradoks polegał na tym, że wierni bardziej kochali księdza niż biskupa, a imperatyw prawdy był w tym sporze zupełnie drugorzędny. Ksiądz bronił swojej wolności, którą porzucił, zakładając sutannę. Biskup nie mógł znieść jego charyzmy i – targany zazdrością – nadużywał swojej władzy. Czy można współczuć komuś, kto kocha wolność i jednocześnie zostaje księdzem? Nie można tego pogodzić. Ale współczuć trzeba wszystkim...

Nie był to też powód, aby twierdzić, że święta Dorota pochodziła z Aleksandrii. Żywoty świętych nie pozostawiają tu cienia wątpliwości. Były dwie święte Doroty. Pierwsza pochodziła, owszem, z Aleksandrii, ale druga – z Kapadocji. Była córką senatora z Cezarei, rzymskiej prowincji na terytorium dzisiejszej Turcji, gdzie dzisiaj docierają polscy handlarze skór i przemytnicy afgańskich narkotyków. Dorota z Kapadocji była oczywiście piękną dziewczyną, ale miała znacznie mniej szczęścia niż tamta z Aleksandrii. Cesarz, tym razem Dioklecjan, nawet nie próbował się do niej przystawiać. Kazał jej tylko przestać wierzyć w Boga, na co ona nie mogła się zgodzić. Skazano ją na tortury i ścięcie mieczem, dość popularną wtedy metodę rozstrzygania kwestii gender. Kiedy prowadzono ją na szafot, nie opierała się, wręcz pozdrawiała uśmiechem swoich oprawców. Jeden z nich, niejaki Teofil, który był poetą, zapytał ją o przyczynę tak dobrego humoru w paskudnej w sumie sytuacji. „Idę bowiem prosto do ogrodów niebieskich mego Pana” – miała odpowiedzieć Dorota. „Gdybyś mi z tych ogrodów przysłała kwiaty lub owoce, uwierzyłbym, że Pan twój istnieje” – szydził z niej Teofil, gdy ścinano jej głowę. Kiedy wieczorem, przy winie, Teofil opowiedział wszystko kolegom, zjawilo się nagle dziecko z koszem dorodnych jabłek i pękiem świeżych czerwonych róż, niedostępnych

w Cezarei w tamtej porze roku. Teofil uwierzył w istnienie Boga i został ukrzyżowany kilka dni później. Umierał z uśmiechem na ustach, przekonany, że już wkrótce znowu zobaczy piękną Dorotę, której miłość była silniejsza od śmierci.

Ta historia zrobiła na Marcie znacznie silniejsze wrażenie niż tasiemcowa saga rodziny Buendia z Macondo. Ostatni z Buendiów umarł bezpotomnie zjedzony przez mrówki. Święta Dorota wybrała życie w wolnym od globalnej nikczemności rajskim ogrodzie. Będzie szczęśliwa tak długo, jak długo nie sięgnie po zakazany owoc z drzewa mądrości.

Za oknem szarzał już świt, kiedy Marta przebrnęła przez ostatni z tekstów źródłowych poświęconych symbolice drzewa poznania dobra i zła. Żeby znowu zostać śmiertelną, święta Dorota musiałaby ulec wężowi, popełnić grzech i doznać rozkoszy. „To wszystko mam już za sobą” – pomyślała Marta, przemywając wodą zaczerwienione od czytania przy słabym świetle oczy. Obiecała sobie, że wieczorem wróci do tej lektury. Pijąc kawę, doszła do wniosku, że skoro grzech pierworodny jest przez jednych interpretowany jako „początek niewoli zepsucia”, a przez drugich jako „właściwe narodziny świata”, na którym pojawiły się dzieci Adama i Ewy, to ona, Marta Czapska, aspirant policji, musi mieć w tej kwestii swoje własne zdanie. Było jej trochę wstyd, że zajęła się tym tak późno. Nie lubiła księży i była pewna, że wikary z Kamocka próbował coś przed nią zataić. Dostrzegła w jego oczach błysk szaleństwa. Ktoś taki mógł zabić. Wydrze mu tę tajemnicę, mimo że młody wikary miał nad nią sporą przewagę. Był wykształcony, znał łacinę i wszystkie księgi Nowego i Starego Testamentu. Ona dopiero przed chwilą się dowiedziała, że w łacinie *malum* oznacza zarówno jabłko, jak i zło.

Grosz wyszedł z domu wcześniej niż zwykle. Wieczorem wyłączył telefon, wypił dwa piwa, obejrzał kilka serwisów informacyjnych i wyciągnął się na kanapie. Nie miał ochoty na nic. Nawet na senne

rozstrzygnięcie, czy oportunizm jest gorszy od hipokryzji. Dlaczego ludzie, którzy pokonali komunizm, ciągle obawiali się swoich prześladowców, jakby sami mieli coś na sumieniu? Piwo działało na niego jak barbituran. Jego mózg nie zdążył nawet rozwinąć tego wątku, zasnął. Wstał tuż po szóstej, chciał być przed ósmą w pracy. Chłopcy z Agencji nie lubią czekać. Przekaze im sprawę Alerta i jeszcze przed południem wyjedzie z miasta.

Marzył o tym od kilku tygodni. Na zawsze zostanie chłopakiem z prowincji. Dotkliwie brakowało mu widoku pól, drogi przez las i piania koguta. Nienawidził wielkich miast. W Warszawie podziwiał jedynie jej historię, kilka zabytków i starych mieszkańców pamiętających wojnę. „Współczesna Warszawa to śmierdzące powietrze, fatalna woda, anonimowość i pośpiech, odwrócenie się plecami do rzeki, twarzą w stronę pałacu Stalina. Nigdy nie będzie tu atmosfery Pragi, Krakowa czy Florencji. To miasto ma złą krew. Zatrutą prowincjonalną polityką i wszechobecną korupcją”.

Czarę goryczy przelewały korki. Ten, w którym znalazł się zaledwie kilka minut po skręcie na autostradę, sięgał aż po zaciągnięty chmurami horyzont. Na wysokości Kępy Potockiej autostrada biegnie przez zagłębienie terenu, w którym od lat zbiera się po deszczu woda. Dzisiaj było jej wyjątkowo dużo. Wyjął ze skrytki lornetkę. Przed nim, pod wiaduktem, poziom wody sięgał już dachów samochodów. Widział kierowców próbujących w panice wydostać się ze swoich potężnych, nafaszerowanych niepotrzebną elektroniką SUV-ów. Zalany wodą silnik to brak prądu. Bez prądu nie można otworzyć okna ani drzwi. Przemoczeni szczęśliwcy, właściciele starych gruchotów, którym udało się uciec, zebrali się na skarpie i z małpią satysfakcją obserwowali próby wydostania się z wody tych bogatych, starszych i mniej sprawnych. Co się działo z tymi, którzy zasłabli lub zabrakło im sił? Z bariery wiaduktu zwiślał na linie operator telewizji śniadaniowej. Długo oczekiwany temat dnia... Nic tak nie poprawia oglądalności jak ludzkie nieszczęście. „Nie ma na to rady – mówią fabrykanci telewizyjnych wiadomości. – Ludzie tego chcą”. „Kto ma ich przekonać, że ludzie

oczekują czegoś zupełnie innego? Kto ma przypomnieć, że rzymscy cesarze zabronili w końcu krwawych imprez w Koloseum? Głupawa wyrozumiałość wobec wygolonych kiboli demolujących miasta nie prowadzi nas w stronę jasności. Tolerujemy ich wybryki wyłącznie dlatego, że ktoś na tym zarabia”.

Na skarpie pojawiło się kilku strażaków z pontonem. Ocaleńcy nagrodzili ich brawami. Takie sceny rozgrywały się w tym miejscu co kilka lat. Władze miejskie twierdziły, że za tę drogę odpowiadał zarząd dróg, a nie partyjny prezydent. Zarząd dróg twierdził, że droga była dobra, szwankowała kanalizacja, która podlegała miastu i prezydentowi. Wszyscy wiedzieli, że źle wykonano kanał burzowy i naprawią go dopiero wtedy, jak ktoś utonie. „Kiedyś, żeby poruszyć sumienia, trzeba było napisać dramat w trzech aktach lub spalić kartę powołania do wojska. Dzisiaj, aby przejść do historii, wystarczy utopić się we własnym samochodzie w środku miasta. Będę tu siedział cały dzień” – pomyślał Grosz.

Deszcz przestał padać, a wody nie ubywało. Wręcz przeciwnie, ze studzienek kanalizacyjnych tryskały gejzery, jak w Islandii. Za nim zebrało się już kilkaset samochodów. Kierowcy podjeżdżali jak najbliżej, żeby nasycić oczy niezwykle widowiskiem. Tsunami na Nizinie Mazowieckiej! Naród, który wydał Mikołaja Kopernika i Dodę Rabczewską, raz jeszcze zadziwił świat. Kierowcy z otaczających go samochodów z ogniem w oczach wykrzykiwali do swoich komórek, informując, w jak niezwykle uczestniczą wydarzeniu. „Powinno się powiedzieć *evencie*” – pomyślał Grosz i usłyszał dzwonek własnej komórki. Strumiłło chciał wiedzieć, dlaczego nie było go jeszcze w pracy. Grosz szybko opisał mu sytuację.

– Już raz tak było w ubiegłym roku, nie wierzę, że nic z tym nie zrobili. Lepiej powiedz, ile wczoraj wypijeś? – szydził z niego Strumiłło.

– Od pół godziny jestem w drodze, nie musisz mi wierzyć, włącz sobie telewizor...

Nad wiaduktem pojawił się helikopter kolejnej śniadaniowej telewizji. „Na nich zawsze można polegać, byli tu, zanim przyjechali strażacy.

Trwająca w sejmie debata budżetowa bardzo szkodzi notowaniom rządu. Transmisja na żywo potopu na autostradzie skutecznie odwróci od niej uwagę”. Dyrektorzy gabinetów politycznych zaciskali kciuki, aby deszcz padał jak najdłużej. Z tyłu, od rzeki, pojawiły się światła motocykli drogówki, samochody zaczęto kierować w stronę Wisłostrady. Kierowcy niechętnie rozstawali się z widokiem potopu i jego ofiar. „Rządzą nami durnie i złodzieje” – można było wyczytać z oczu gapiów. „Nigdy w tym kraju nie będzie dobrze” – zdawały się mówić wykrzywione złością twarze. Grosz włączył radio. Woda z nocnego deszczu wdarła się do stacji metra i zalała kilka piwnic na Powiślu, ale tematem dominującym był oczywiście potop na Kępie Potockiej. Oburzeni ludzie żądali głowy prezydenta. Rzecznik ratusza odpalił im, że są ubezpieczeni i nie dzieje się im krzywda. Ani razu nie padło słowo „przepraszam” i wskazówki, jak przemoczeni ludzie z różnych stron Polski mają teraz wrócić do domu. Trudno jest kochać to miasto.

Grosz wjechał na Wisłostradę i musiał się kierować na południe. Ulice w stronę centrum zamknięto, aby nie potęgować burdelu, jaki wywołał potop na Kępie. Po półgodzinie dotarł do tunelu, który pół roku wcześniej zatopili budowniczy metra. Skojarzenie, że płynąca tuż obok wielka rzeka może wlać się do wielkiej dziury w ziemi, którą wykopali, przeszło wyobraźnię inżynierów. Tak przynajmniej twierdzili przeciwnicy prezydenta. Ze stropu tunelu można podziwiać zapierający dech w piersiach widok biało-czerwonego muchomora, wewnątrz którego mieści się Stadion Narodowy. Zazdrości nam go cała Europa. Ten stadion miał być naszym Koloseum, miejscem, gdzie tworzy się historia. Wydaliliśmy trzy miliardy nie po to, aby gapić się na naszych beznadziejnych piłkarzy. Stąd ma płynąć głos, który zmieni oblicze Ziemi. Inauguracyjny występ Madonny Ciccone dotarł do najodleglejszych zakątków udręczonej krainy. Nikomu wcześniej nie udało się dołożyć do koncertu najbardziej kasowej piosenkarki muzyki pop. Nam, wbrew wszystkim zawistnym kurduplom, się udało. Dołożyliśmy pięć baniek. Oczywiście odezwali się nacjonałisci,

twierdząc, że pani Ciccone obraża Królową Polski Zawsze Dziewicę i Polska nie powinna do tego dopłacać. Armia wysoko opłacanych urzędników od roku pracowała nad rozstrzygnięciem tego sporu. Najwyższa Izba Kontroli twierdziła, że nie, Ministerstwo Sportu, że tak. Dlaczego Ministerstwo Sportu zajmowało się panią Ciccone? Trudno jest zrozumieć, a jeszcze trudniej kochać to miasto.

Krople deszczu uderzyły w szybę samochodu. Na jezdni znowu zaczęły się tworzyć kałuże. O tej porze roku deszcz nigdy nie padał z taką siłą. Rynsztokami płynęła spieniona woda, która po chwili rozlała się na całą szerokość jezdni. „Czy tak się zaczyna potop? Kiedyś to się musi zdarzyć. Wody jest coraz więcej, a ziemia nie jest w stanie jej wchłonać. Potop to nie jest gra komputerowa. To wyraz gniewu Boga. Tu nie ma sporu. Tak napisane jest w żydowskiej Torze. Tak twierdzą święci Kościoła rzymskiego i wyznawcy islamu. Kiedy Bóg dowolnego wyznania dochodzi do wniosku, że draństwo, korupcja i chciwość na Ziemi przekroczyły wszelkie granice, zsyła potop. Woda pochłania bogaczy, sprzedajnych polityków, małych i dużych kanciarzy, strażników miejskich i komorników. Uczciwy facet może sobie zbudować arkę, zabrać na nią najbliższych i kilka zwierząt”. Samochody znowu stanęły, wartko płynąca woda zaczęła wdzierać się pod maski silników.

„Kogo ja bym zabrał na swoją arkę? – zastanowił się Grosz. – Z całą pewnością Martę. Władek i Strumiłło muszą zostać, nie ma powodu, żeby reprodukcja te gatunki. Zabrałbym też ptaki, które odwiedzają mój parapet w komisariacie. Gołąb, którego zabrał do swojej arki Noe, wskazał mu drogę do suchego lądu i uratował życie jego bliskim. Czy Marta zgodzi się wsiąść do jego arki? Nigdy nie zostawi tu swojego dziecka... Drugi raz już tego nie robi, stary durniu! Nawet przez chwilę nie pomyślałeś o swoim ojcu i jego grubej żonie. Nie nadajesz się na zbawcę gatunku i nie jesteś sprawiedliwym wśród łajdaków. Musisz tu zostać i polubić to miasto, jeżeli nie jesteś w stanie go pokochać. Spójrz prawdzie w oczy, nie ma innego miejsca na tej planecie, gdzie potrafiłbyś żyć. Nie jesteś lepszy od innych. Tropienie cudzych grzechów to wcale nie jest takie wzniosłe zajęcie. Ciotka chciała, żebym

został księdzem. Bałem się sutanny, oznaczała dla mnie wieczną żalobę”.

Dzwonek telefonu wezwał go do terażniejszości. To Marta... spóźni się, ulice na jej osiedlu były zablokowane samochodami szukającymi objazdu do centrum. Grosz poprosił, żeby powtórzyła mu treść wczorajszego telefonu. Wysłuchał jej relacji i kazał jechać prosto do Suraza, spotkają się po południu i podsumują to, co uda się im zebrać. „Nigdy nie rozumiałem, po co są księża. Ten, który uczył mnie religii, bił mnie linijką, kiedy nie umiałem powiedzieć, czym jest Trójca Święta. Deszcz mnie nie powstrzyma. Dzisiaj ja będę zadawał pytania księdzu”.

Rozdział V

W fotelu przed biurkiem Strumiłły jak zwykle uwodzicielsko rozsiała się intensywnie pachnąca prokurator Rawska. Starła się ukryć przed wzrokiem Grosza swoje przemoczone pantofle, wpychając zgrabne nogi pod fotel.

– Chcielibyśmy usłyszeć twoje sugestie w sprawie Alerta. – Ton głosu Strumiłły oznaczał, że nigdy nie różnili się w ocenie tego zdarzenia.

– Sprawą Alerta zajmuje się komisarz Jawor. – Grosz nie zamierzał zaczynać dnia od kompromisów.

– Wiemy, kto się zajmuje tą sprawą, prosimy pana wyłącznie o opinię – z wdziękiem modliszki upomniała go Rawska.

– Chodząc w mokrych pantofelkach może pani sobie coś przeziębici. – Grosz chciał konfrontacji, nikt dzisiaj nie mógł liczyć na jego wyrozumiałość.

Pani prokurator znacząco spojrzała na Strumiłłę, ten odwrócił wzrok. Miał za sobą nieprzespaną noc. Narzeczony córki okazał się zwykłym chamem. Przy kawie zapytał Strumiłłę, czy mógłby mu pomóc w odrolnieniu kawałka ziemi na Mazurach za nieprzyzwoicie wysoką prowizję. Skorumpowany cham zrobił dobre wrażenie na żonie Strumiłły: „przystojny i przedsiębiorczy”, powiedziała, co miało znaczyć tylko tyle, że on, Strumiłło, był hipochondrycznym, niezaradnym ramolem. „Dlaczego zgodziłem się na to spotkanie? Rawska i Grosz nienawidzą się od czasu, jak odrzucił jej zaloty. Wyrachowana dziwka wyszła za mąż za prokuratora z okręgu, który miał być jej trampoliną. Facet szedł ostro w górę, ale zdarzyło mu się postrzelić barmana w burdelu, gdzie miał gratis. Sprawy nie dało się przykryć. Rozwiodła się z nim. Na Alercie można się pożywić, ale można też oberwać. Przyszła tu, żeby powęszyc. Dlaczego tej kretynce wydaje się, że jest

sprytniejsza od nas? Błąd, wcale jej to nie zajmuje. Przyszła, bo nie może przegapić takiej okazji. Jej awans nie zależy od tego, co potrafi, ale od tego, ile razy pokażą ją w telewizji. W tym kwartale była już dwa razy. Sprawa, która ją wyniesie, musi być pewna, a Alert jest śliski. Tylko dlatego tu jesteś, pudernico!”

Pani prokurator udało się chyba odczytać przynajmniej część jego myśli. Jej oburzony biust zaczął falować, uniosła brodę i dotknęła końcami palców polakierowanych włosów.

– Rozumiem, że nie mają jeszcze panowie oceny tego zdarzenia?

– Sprawca był pod wpływem alkoholu, nie można go było przesłuchać – próbował ją uspokoić Strumillo.

– Zmuszanie nieletniej do czynności seksualnych, groźby karalne przy użyciu broni palnej, posiadanie narkotyków w znacznej ilości. Władek może przesłuchać go w pani obecności, jak tylko znajdzie pani jakieś suche buty, chyba że wcześniej zabiorą go chłopcy z Agencji – wyrecytował Grosz.

Zabrzmiało to jak wyzwanie. Rawska wstała z fotela. Na jej pantoflach pojawił się paskudny biały nalot. Coś takiego potrafi zrujnować budowany latami wizerunek kobiety sukcesu.

– Proszę, żeby komisarz Jawor skontaktował się ze mną natychmiast po... – Nie dokończyła, podała rękę Strumille i, stukając obcasami, skierowała się w stronę drzwi.

Grosz wstał i odprowadził ją wzrokiem. Kiedy kładła wypiełgnowaną dłoń na klamce, ich spojrzenia spotkały się tak gwałtownie, jak ostrze strzały myśliwego dotyka piersi drapieżnika. Ból trwa tylko chwilę, potem jest ulga i spokój. Drzwi się zamknęły.

– Skąd wiedziałeś, że narzeczony mojej córki jest palantem?

– Ktoś, kto godzi się na teścia policjanta, nie może być normalny...

Kilkanaście sekund zabrała Strumille analiza semantyczna kwestii Grosza. W końcu potrząsnął głową, sugerując, że zgadza się z tą diagnozą.

– Myślała, suka, że jej powiem, kto dzwonił w sprawie Alerta, tak żeby przypadkiem nie wdepnęła w jakieś gówno. Genialną miałeś odzywkę

z tymi bucikami. Chcesz kielicha?

– Nie, dziękuję... Kogo zabrałbyś do łodzi, gdyby woda zalała nasze piękne miasto?

Strumiłło zwietrzył podstęp, znał humory Grosza i wiedział, że dzisiaj nie przepuści nikomu.

– No kogo? Moją starą, córkę...

– Córka z tobą nie mieszka, można zabrać tylko domowników...

– Kto tak powiedział?

– Bóg!

Strumiłło lekceważąco machnął ręką, chciał to nawet uzasadnić, ale nie zdążył przed kolejnym pytaniem.

– A jakie zwierzęta byś zabrał?

– Na cholerę mi na łódce zwierzęta?

– Jeżeli chcesz być ocalony, będziesz musiał złożyć ofiarę na ołtarzu...

– Popiłeś sobie wczoraj?

– Z wysp wokół Australii ewakuowano już ludzi, zalewa je woda, topnieją lodowce, nikt nie potrafi tego zatrzymać...

– Nie dożyję już tego. – Strumiłło otworzył szufladę i wyjął fiolkę witamin.

– To po co bierzesz to świństwo?

Strumiłło w odpowiedzi wyciągnął fiolkę w jego stronę, żeby się poczęstował. Zignorował gest odmowy Grosza, który nie uznawał syntetycznych witamin.

– Miałem telefon z kurii. O co chodzi z tym księdzem?

– Jadę dzisiaj do niego.

– Pytam, o co tam chodzi. Biskup skarży się, że Marta utrudnia pracę księżom w jego diecezji. Wiesz, mam nadzieję, że oni mają większy elektorat niż partia rządząca.

– Ktoś wezwał patrol, bo wydawało mu się, że znalazł trupa. Ustaliliśmy, że dzwonił ten wikary, ale on się wypiera.

– Co tydzień mają jakiegoś trupa, żyją z tego, rodzina mogła nie mieć na pogrzeb, to wyrzucili trupa do rowu, co w tym dziwnego?

– To była młoda naga kobieta...

– Mów dalej...

– Była zamieć, radiowóz przyjechał na miejsce gdzieś po godzinie, niczego nie znaleźli. Zaczęli sprawdzać, kto ich wezwał, bo gość się nie przedstawił. Jak śnieg stopniał, policjant z patrolu wrócił w tamto miejsce... Znalazł ząb młodej dziewczyny. Porobiliśmy sprawdzenia i wyszło na to, że to jednak ten wikary dzwonił.

– Po co tam jedziesz? Niech miejscowi to zrobią.

– Obowiązkiem każdego, kto uratuje się z potopu, jest stworzenie lepszego człowieka, wolnego od wad naszego pokolenia... Dałbyś jeszcze radę?

– Ja tak, moja stara już nie.

– No to nie masz prawa wsiąść do łodzi, zostajesz...

Strumiłło dopiero teraz się zorientował, że Grosz z niego kpił. Spodobało mu się to, zarechotał jak grzechotnik cierpiący na astmę oskrzelową.

– Dobrze, dobrze, żałuję, że nie spytałeś Rawskiej, kogo ona zabrałaby do swojej łódeczki. – Uśmiechnął się szeroko i nagle spowaźniał. – Ząb to trochę mało, spróbuj znaleźć resztę. My, marksiści, musimy dbać o dobre imię Kościoła, inaczej wybory wygra prawica, nie zapominaj o tym.

– Marta była już u wikarego. Do niczego się nie przyznał. Nawet do tego, że godzinę po tym, jak znalazł trupa, próbował walnąć samobójca...

Strumiłło ułożył usta w dziubek, właściwie ryjek, kreta lub mrówkojada, stworzeń Boskich, które widzą w ciemności. Nie muszą nawet widzieć, żeby wiedzieć o czymś, czego zwykli ludzie nawet się nie domyślają.

– Zajmij się tym, Grosz... tego knura Alerta biorę na siebie.

Rozdział VI

Suraż jest jednym z najmniejszych miast w Europie. Mieszka tu zaledwie tysiąc obywateli, tyle, co w jednym mrówkowcu z wielkiej płyty w pobliskim Białymstoku. Kiedyś bywali tu mistrzowie zakonu krzyżackiego i polscy królowie. Linia kolejowa z Warszawy do Petersburga, którą zbudowano w XIX wieku, ominęła miasto, skazując je na zapomnienie. Świat przypominał sobie o Surażu, kiedy w ostatnich latach XX wieku utworzono Narwiański Park Narodowy. Zaczęły tu ciągnąć pielgrzymki miłośników i badaczy ostatniego już w Europie ekosystemu rzeki wielokorytowej, jaki tworzy Narew. Z samolotu wygląda to jak system naczyń nerwowych. Widok z poziomu wody upodabnia rzekę do labiryntu strumieni i kanałów dających schronienie kilkuset gatunkom zwierząt.

Natalia Sobolewska od sześciu lat prowadziła tu pensjonat dla miłośników ptasiej turystyki. Wcześniej uczyła w szkole, którą zamknęto w ramach programu „Oświata bliżej wsi”. Próbowwała też hodować ślimaki, na czym przy odrobinie szczęścia można zbić majątek. Jej się nie udało. Facet, z którym prowadziła hodowlę, nie pasował ani do niej, ani do ślimaków. Którejś nocy nie upilnował stada i prawie milion winniczek uciekło na łąki nad rzeką. Ptaki żarły je, sławiąc jego imię. Na Podlasiu od wieków rządzi bieda, nie ma tam miejsca dla frajerów, którzy karmią ptaki przysmakami francuskich burżujów. Facet Natalii zniknął kilka dni później. Od tego czasu mieszkała sama, a jej pensjonat widniał we wszystkich europejskich katalogach dla turystów obserwujących ptaki lęgowe.

Aspirant Kowalczyk z komisariatu w Surażu wskazał Marcie drogę do pensjonatu Sobolewskiej. W takiej dziurze chęć dowiedzenia się, co sprowadzało policjantkę z Warszawy, była trudna do ukrycia. Aspirant

Kowalczyk przed powrotem do stolicy zaprosił Martę na hamburgera z mlecznym shakiem. Udzieliła mu wymijającej odpowiedzi. Był w typie żigolo, bystry i przystojny, z prowincjonalnym wdziękiem eksponował swoje zamiłowanie do plotek i niezobowiązującego seksu.

W recepcji pensjonatu Żuraw, na kontuarze wylegiwał się rudy kot. Kontestował martwy sezon w ptasiej turystyce. Przez drzwi prowadzące na zaplecze dobiegał wysoki, wibrujący dźwięk szlifierki. Marta pchnęła drzwi za kontuarem i wyszła na wewnętrzne podwórze. Jedno z pomieszczeń w bocznym skrzydle zabudowań służyło za hangar dla łodzi. Zielony kadłub spoczywał na czterokołowej lawecie. Kobieta w roboczym kombinezonie i ochronnych okularach na twarzy polerowała szlifierką świeżo zaszpachlowany ubytek kadłuba. Nie usłyszała Marty, która zatrzymała się tuż za nią. Kobieta przesunęła palce wzdłuż szlifowanego fragmentu kadłuba i doszła do wniosku, że był już wystarczająco gładki. Odłożyła szlifierkę na bok i dopiero wtedy zauważyła Martę.

– Dzień dobry, szukam pani Sobolewskiej.

– To ja...

Marta pokazała jej odznakę.

– Pani nie jest stąd...

– Prowadzę sprawę z Kamocka.

Natalia Sobolewska była wyższa od Marty o głowę. Mocno zbudowana, ale z widoczną talią, czarnymi włosami związanymi w krótki warkocz, śniadą skórą i parą brązowych, przenikliwie patrzących oczu, podobna trochę do zawziętej Indianki z hollywoodzkich westernów.

– Co to jest to Kamocko?

– Miasteczko na Mazowszu...

Oczy Natalii wyrażały teraz rozbawienie.

– W czym mogę pani pomóc?

– Chciałabym wiedzieć, jak długo zna pani wikarego Tomczyka.

– Nie znam żadnego wikarego, również z Kamocka. – Natalia uśmiechnęła się wyrozumiale. – Chodźmy do biura, zrobimy herbatę.

Biuro wyłożone było modrzewiową boazerią, na której ktoś powiesił kilka wypchanych ptaków i wypreparowane głowy saren i jeleni. W ogromnym akwarium pływały różnokolorowe ryby, których fizjonomie mogłyby być ozdobą każdego horroru. Natalia podała herbatę w szklankach ze złożonym brzegiem, rozsiadła się w wiklinowym fotelu i zapaliła papierosa.

– Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło w tym Kamocku?

Marta patrzyła na nią, szukając podobieństwa do Mary McDonnell, aktorki, która partnerowała Kevinowi Costnerowi w „Tańczącym z wilkami”. Natalia w swoim fotelu czuła się bardzo pewnie i nie ukrywała tego. Indianka z filmu była analfaberką. Natalia Sobolewska skończyła Akademię Rolniczą z tytułem magistra. Marta bawiła się swoim telefonem i ruchem, którego Natalia nie mogła zauważyć, wywołała połączenie. Dzwonek odezwał się w kieszeni spodni Natalii. Wyjęła telefon i odebrała.

– Halo, halo?

Marta położyła przed nią swój telefon z pulsującym na ekranie numerem Natalii.

– Co to ma niby znaczyć?

– Tylko tyle, że wikary z Kamocka zna pani numer i często z niego korzysta.

– Powtarzam... to jakieś nieporozumienie.

– Billing rozmów telefonicznych to nie jest nieporozumienie, sąd traktuje to jako dowód rzeczowy.

– A sąd to z jakiego niby powodu?

– Sprawy, które prowadzę, zwykle kończą się w sądzie...

– Przestaje mnie to bawić... To jest przesłuchanie czy co?

– Proszę odnaleźć numer Eryka w swoim telefonie.

„Indiańska” twarz Sobolewskiej wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia.

– Eryk nie jest księdzem i nie mieszka w żadnym Kamocku, coś się pani pokićkało... Eryk Tomczyk mieszka w Siedlcach i jest geodetą. Znamy się, ale nie widzę powodu, dla którego mogłoby to panią

interesować.

– Księżmi interesuję się tylko służbowo.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, jak zazdrośnice gotowe wydrapać sobie oczy.

– Eryk używał tego telefonu wyłącznie do rozmów z panią. W billingu nie ma żadnych innych połączeń. Bardzo się starał, żeby nikt się nie dowiedział, że panią zna. Wikary ma też drugi telefon i drugie życie, w którym pani, oczywiście, nie ma.

– Jest w trakcie rozwodu – wyjaśniła Natalia.

– Nigdy nie był żonaty...

Natalia Sobolewska była zbyt inteligentna, żeby nabrać się na tak prymitywną sztuczkę. Milczała, wciągając głęboko w płuca dym papierosa. W kulturze Indian zdrada była czymś gorszym niż zbrodnia. „Ta bezczelna policjantka blefuje, bardzo ciekawe po co”. Marta wybrała numer i włączyła tryb głośnomówiący. Eryk Tomczyk odezwał się po trzecim sygnale.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja zawsze dziewica.

– Niech będzie pochwalony – odpowiedziała Marta.

Dym zatrzymał się w płucach Natalii. Dziewczyna rozpoznała głos Tomczyka. Pionowa bruzda przecięła jej czoło.

– Chciałabym ochrzcić dziecko – ciągnęła Marta.

– W sprawach sakramentów świętych proszę się zgłosić osobiście, z dokumentami, do kancelarii...

– Dzwonię z polecenia pani Natalii Sobolewskiej... – Istnieje wiele literackich określeń ciszy, ale ta, która właśnie zapadła, była z całą pewnością ciszą nieznośną.

Dym opuścił płuca Natalii i jej „indiański” biust zaczął falować szybciej. Strumień sygnałów w systemie GSM przyniósł ciężkie westchnienie wikarego i równie nieznośną ciszę.

– Halo? – Marta chciała sprawdzić, czy ich nie rozłączono.

– Proszę pozdrowić Natalię i zgłosić się z metryką dziecka do kancelarii, Szczęść Boże – odezwał się wikary i przerwał połączenie.

Dłoń Natalii zakończona papierosem nie trafiła do popielniczki.

Zduśiła żar na blacie biurka. Przecząco potrząsnęła głową, chcąc odrzucić to, co usłyszała, jako koszmar wywołany przez wredną policjantkę. Marta wybrała kolejny numer.

– Dzwoniłam do niego przed chwilą, chcę żebyś o tym wiedział... tak na wszelki wypadek, gdyby chciał dać w długą. Odezwę się... Nara.
– Marta zakończyła rozmowę z Groszem i obdarzyła Natalię spojrzeniem pełnym służbowej empatii.

Sobolewska zapaliła kolejnego papierosa i, pocierając palcami skroń, próbowała uporządkować wirujące w jej głowie myśli.

– Dlaczego muszę w życiu trafiać na samych palantów? – spytała cicho.

– Nie bądź zarozumiała... to zdarza się nie tylko tobie... Jak się poznaliście?

– Jak idiotka z kretynem... był tu kiedyś, przyjechał fotografować ptaki. Mejlowaliśmy przez pół roku, oswajał mnie. Od razu się w nim zabujalam, przeczytał chyba wszystko, co ludzie napisali o życiu i śmierci. Do głowy mi nie przyszło, że to może być ksiądz... chociaż chwilami gadał jak klecha, ale to było takie mądre, mam słabość do inteligentnych facetów...

– Gdzie to robiliście...?

– A co to jest, kurwa, za pytanie?

– Chcę wiedzieć, co robił, kiedy znikał ze swojej parafii. Kiedy był tutaj, miałś go cały czas na oku czy mógł sobie gdzieś jeździć, dzwonić, poznawać inne panienki...? Robić coś, o czym mogłaś nie wiedzieć?

Sobolewska milczała, zagryzając wargi. To wszystko brzmiało nieprawdopodobnie, nie była przecież aż taką kretynką. Ta policjantka próbowała ją w coś wkręcać.

– Nie przyjechałam tu po to, żeby ciągnąć cię za język, jak to jest w łóżku z księdzem, mogę to sobie wyobrazić.

– Nie spałam z nim...

– Rozumiem... – Marta powiedziała to tak, aby wyglądało, że jej wierzy.

– Drugiego grudnia wyjechał stąd, w połowie drogi dopadła go śnieżycy... pół Polski wtedy zasypało, pewnie widziałaś to w telewizji...

– Dzwoniłam do niego kilka razy, ale nie odbierał... jak dojechał do domu, wysłał mi SMS-a...

Marta zajrzała do swojego notesu.

– Dwudziesta druga czterdzieści osiem...

– Napisał, że z nami koniec, nie ma już siły tego ciągnąć...

– Piętnaście minut później podciął sobie żyły w wannie...

Natalia w bolesnym grymasie otworzyła usta i zasłoniła je dłonią.

– Jak to?

– Nie wiedziałaś o tym?

Zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy.

– Jego żona groziła, że coś sobie zrobi, jak Eryk od niej odejdzie...

– Obudź się, kobieto! On nie miał żony, jest księdzem... Tamtej nocy tuż przed Kamockiem znalazł w zaspie nagie ciało młodej dziewczyny, zadzwonił na policję, ale nie przedstawił się. Radiowóz dotarł tam dopiero godzinę później, nic nie znaleźli, śnieg ciągle padał...

– No i co z tego?

– Szukamy faceta, który zabija młode kobiety, nie dociera to do ciebie?

– Eryk nie jest zbokiem ani mordercą...

– Obawiał się pytań, jakie zwykle zadaje policja... Czy zna denatkę, czy widział ją wcześniej, skąd jechał i dlaczego o tej porze. Twój Eryk nie chciał się tym chwalić.

– On tego nie zrobił.

– Dlaczego tak sądzisz?

– On jest całkiem normalny...

– Ile razy go widziałaś?

– Byliśmy ze sobą...

– To chyba trochę mało, żeby poznać faceta?

– Wychodziliśmy z łóżka tylko po to, żeby coś zjeść. On gotował, sprzątał, nawet prał... Jest zupełnie normalny...

– Nie mówi prawdy, widział zwłoki, ale nie potrafi wyjaśnić, jak zniknęły. Dlatego tu jestem...

– Po raz pierwszy czułam, że mogę komuś ufać, że ktoś mnie naprawdę kocha, że mnie nie zostawi... Coś się wam pomylilo...

– Przywoził ci jakieś prezenty, biżuterię?
– Perfumy... drogie, sama bym sobie takich nie kupiła... komplet bielizny na Gwiazdkę, ekspres do kawy, książki... Nie czułam, że mnie wykorzystuje, jeżeli o to ci chodzi.

– Miał jakieś szczególne upodobania w łóżku?
– Dobry był...
– Pytam, czy prosił, żebyś go biła, chciał cię wiązać, ubierać w jakieś kurewskie szmatki, tego typu rzeczy?

Natalia robiła wrażenie nieobecnej, ale były to tylko pozory. Łzę, która wypłynęła spod powieki, otarła szybkim ruchem dłoni. Zaczynało do niej docierać, że jej życie legło w gruzach, że on kłamał, oszukiwał ją.

– Zwłoki ofiary były okaleczone, mam ci tłumaczyć, że mogłaś już nie żyć...? Facet, którego szukamy, prawdopodobnie nie zabija swoich ofiar od razu, oswaja je, uzależnia, zdobywa nad nimi władzę, a kiedy przestają go interesować, zabija... To, co naprawdę go kręci, to strach w oczach ofiary, to, że czyjeś życie zależy wyłącznie od niego.

Natalia przełknęła ślinę, robiła wszystko, żeby opanować drżenie dolnej wargi, ale paraliżował ją przenikliwy wzrok policjantki.

– Po co on to robi?
– Taki jest...
– Chcę zostać sama – wyszeptła Natalia.
– Albo powiesz mi wszystko, albo jedziemy na przesłuchanie... to nie będzie romantyczna podróż.
– Nie możesz mnie aresztować tylko dlatego, że go znałam. Tu też jest policja, znają mnie. – Natalia sięgnęła po słuchawkę telefonu.
– Spytaj tego napalonego przystojniaka, co grozi za ukrywanie seryjnego zabójcy?

Natalia potrzebowała jeszcze jednego papierosa, żeby zrozumieć to, co usłyszała. Odłożyła słuchawkę.

– Nikt się o tym nie dowie?
– Tylko wtedy, jeżeli powiesz mi prawdę.
– Nie umiem kłamać.
– Robisz dobrą herbatę, mogę poprosić o jeszcze jedną?

Natalia wstała z fotela i zniknęła za drzwiami. „Komu dziękować, że nie jestem już idiotką, która za wszelką cenę musi mieć faceta? – pomyślała Marta. – Coś wiem i coś potrafię. Mnie ten pogięty ksiądz nie zawróciłby w głowie, wyczuwam takich na kilometr”.

Natalia pojawiła się w obcisłych sztruksowych spodniach i luźnym wełnianym swetrze. Na tacy, oprócz herbaty, przyniosła kilka kawałków domowego ciasta.

– Proszę się częstować – powiedziała, zapalając papierosa. – Sama piekłam.

Z jej twarzy zniknęło już napięcie. Ktoś, kto zna obyczaje ptaków wie, że porzucenie przez samca nie jest niczym nadzwyczajnym. Na jej twarzy błąkał się dyskretny uśmiech zażenowania lub ulgi i było jej z tym bardzo do indiańskiej twarzy.

– Od czego mam zacząć?

Marta zignorowała jej pytanie, włożyła do ust kawałek ciasta. Jedząc, próbowała wyobrazić ich sobie w łóżku. Blady, anemiczny mądrała w koloratce i ona z wojennym makijażem na twarzy. On głosi prawdy objawione, które rozpalają ją do czerwoności. Odwrotnie niż w „Nagim instynkcie”, tutaj facet pożerał swoje kochanki, kiedy zaczynały go nudzić.

– Był inny... długo się zastanawiałam, na czym to polega, że tak na mnie działa, on tylko tak z wierzchu był mocny, pewny siebie... ale tak bardzo potrzebował czułości i... Nie wiem, jak to powiedzieć... Chciał do kogoś należeć, mieć kogoś tylko dla siebie, nie miał powodów, ale zauważyłam, że jest o mnie zazdrosny... Od razu powiedział mi o żonie, zdradzała go i nie chciała dać mu rozwodu... W końcu obiecał, że wszystko jej zostawi, żeby być ze mną... Tak zachowują się seryjni mordercy?

– Nigdy nie widziałam seryjnego mordercy, wiem tylko, że są bardzo samotni.

– On nie był samotny, miał mnie...

– Da mi pani przepis na to ciasto?

– Smakuje pani?

Marta skinęła głową. Natalia uśmiechnęła się, ale uśmiech ten zgasł w żalnym grymasie. Zaczęła płakać. Marta objęła ją i próbowała uspokoić, ale tak wielki żal wymagał wielu łez. Marta poczuła je na swojej szyi. Chciała jej dodać otuchy, przyniosło to jednak zupełnie odwrotny skutek. Szloch i łzy Natalii wzbierały jak górski potok po burzy. Usiłowała wyrwać się z objęć Marty, ale ta trzymała ją mocno. Pod jej powiekami też zebrały się łzy. „Nie mogę ulegać emocjom każdej idiotki, której za szybko spadły majtki. Do cholery z tym wszystkim!”. Cofnęła gwałtownie ręce, a po chwili Natalia przestała płakać. Otarła twarz dłonią i sięgnęła po herbatę.

– Przepraszam... Od czego mam zacząć?

– Od końca... chcę wiedzieć, kiedy tu był ostatnio.

Natalia wyciągnęła z szuflady gruby zeszyt.

– Zawsze wpisywałam go do książki.

– Po co?

– Piękny Kowalewski, jak się pokłóci z żoną, to przyjeżdża tu sprawdzić, ile jest samochodów na parkingu i czy wszyscy goście są wpisani do książki meldunkowej... – Twarz Marty wykrzywiła się w pogardliwym grymasie.

– Policjanci nie różnią się specjalnie od reszty facetów.

– Może dlatego wybrałam księdza. – Żart Natalii miał na celu rozładowanie napięcia, ale zawiódł oczekiwania autorki. W jej oczach znowu pojawiły się łzy. Podała zeszyt Marcie. Kartkowanie zapisanych drobnym pismem stron nie miało sensu.

– Kiedy był tu ostatni raz?

– Wtedy...

Nie była w stanie mówić. Mogłaby wyć, krzyczeć, ale układanie zdań było ponad jej siły. Spazmy szlochu wstrząsały nią jak malaria. W dodatku łza, która spłynęła po policzku Marty, wydała się Natalii czymś bardzo niestosownym.

– Nie nadajesz się do tej roboty.

– Wiem – odpowiedziała Marta, ścierając z policzka łzę gestem, jakim ludzie zwykle odganiają natrętą muchę.

Rozdział VII

Wikary Tomczyk pożegnał znakiem krzyża staruszkę, która z trudem podniosła się ze stopnia konfesjonału i, podpierając laską, podreptała w stronę ławek w bocznej nawie. Poza nią nie było w kościele nikogo. Tomczyk wyszedł z konfesjonału i skierował się w stronę kruchty. Grosz siedział w ławce za wykutą z kamienia chrzcielnicą i wpatrywał się w portret świętej Doroty, patronki kościoła. Tomczyk minął go i nie zauważył.

– Czy kobiety w tym wieku jeszcze grzeszą? – Grosz wstał i pokazał wikaremu swoją odznakę.

– Wszystko, co wiąże się z sakramentem spowiedzi, objęte jest tajemnicą.

– Nazywam się Grosz, przyjechałem w związku ze skargą, jaką ksiądz złożył na działanie policji.

– Byłem wtedy w bardzo złym nastroju, nie mam już żadnych pretensji, jestem gotów wycofać tę skargę.

– Rozumiem... Czy mógłby ksiądz opisać wygląd tej dziewczyny?

– Jakiej dziewczyny?

– Tej w śniegu...

– Nie widziałem żadnej dziewczyny, kiedy wreszcie dacie mi spokój?

– Ominął Grosza i ruszył w stronę prezbiterium.

– Jeżeli dobrze pamiętam, ósme przykazanie dotyczy kłamstwa...

Wikary zatrzymał się, odwrócił w stronę komisarza. Chwycił go za rękaw płaszcza i zmusił Grosza, żeby podszedł do pozłacanej rzeźby z kamienia.

– To nasza patronka, święta Dorota... Jeżeli kogokolwiek wtedy widziałem, to był podobny do niej.

– Kim jest ten facet? – Grosz wskazał mężczyznę w stroju rzymskiego

legionisty, który trzymał świętą Dorotę za włosy.

– Cesarz rzymski, Maksymin.

– Czego on od niej chce?

– Seksu. – Tomczyk przeszył Grosza spojrzeniem, które mogło sugerować, że to policja była odpowiedzialna za seksoholizm cesarza Maksymina.

Wikary przyklęknął przy balustradzie prezbiterium, modlił się przez chwilę, bezdźwięcznie poruszając wargami. Potem wstał i ręką dał znak Groszowi, żeby poszedł za nim.

– Przywiozłem kilka fotografii, chciałbym, żeby ksiądz rzucił na nie okiem, jeżeli to możliwe.

– Jest pan w stanie zrozumieć, że nie chcę ich oglądać w kościele?

– Ponownie zgromił Grosza ciężkim spojrzeniem inkwizytora.

– Domyślam się, co przedstawiają.

Przeszli przez zakrynię na dziedziniec i wspięli się schodami do mieszkania wikarego. Grosz rozłożył na stole kilka fotografii w dużym formacie.

– Chciałbym wiedzieć, czy ksiądz widział kiedykolwiek którąś z tych osób?

Tomczyk pochylił się nad fotografiami. Zza okna dobiegł odgłos wjeżdżającego na dziedziniec samochodu. Grosz uchylił firankę, z samochodu wysiadł ksiądz z bujną czupryną białych jak len włosów. Podbiegła do niego siostra zakonna, którą Grosz spotkał wcześniej w kancelarii, szepnęła mu coś do ucha, po czym siwowłosy ksiądz spojrział w stronę okna wikarego. Grosz pomachał dłonią, ale nie był pewien, czy ksiądz to zauważył.

– Nigdy nie widziałem żadnej z nich – nienaturalnie stanowczo oświadczył Tomczyk.

Fotografie przedstawiały ciała zamordowanych nagich kobiet; niektóre na skutek długiego przebywania w wodzie były obrzęknięte i przebarwione na brunatno. Oderwał wzrok od fotografii, nie zrobiły na nim widocznego wrażenia.

– Jak się ksiądz czuje po tym wszystkim?

– Dostałem zapewnienie, że nie będę już nachodzony i niepokojony w tej sprawie.

– W jakiej sprawie? – zaczepnie spytał Grosz.

Tomczyk milczał, groźnie marszcząc brwi, nie chciał powiedzieć czegoś, czego mógłby żałować.

– Kto to księdzu obiecał?

– Biskup.

– Ksiądz biskup też jest miłośnikiem ptaków?

Tomczyk zasłonił usta dłonią i przysiadł na nakrytym złocistą kapą łóżku. Bluznierstwo pod adresem biskupa skierowane było do niego i zbudowane na prawdzie, którą próbował ukryć. „Nie potrafię walczyć z prawdą, jestem jej służą” – pomyślał.

Ktoś cicho zapukał i skrzypnęły zawiasy drzwi. Na progu stała siostra zakonna.

– Ksiądz proboszcz prosi pana komisarza do siebie. – Dygnęła i odwróciła się w stronę schodów.

– Rozmawiamy chyba jeszcze, tak...?! – ryknął za nią wikary. Zerwał się z łóżka i podbiegł do otwartych drzwi. – Niech powtórzy, że jak skończymy, to przyjdzie, tak? – Próbował nad sobą panować, ale mówił podniesionym głosem.

– Mam inną propozycję: ksiądz się trochę uspokoi, a ja porozmawiam w tym czasie z proboszczem.

– Ja jestem zupełnie spokojny.

– Zgoda, ale chwila przerwy dobrze nam zrobi... Jeżeli nie było wtedy w śniegu żadnej dziewczyny, to nie ma sprawy, a jeżeli była, to ktoś ją zabił, zgoda? To proste, nie widzę powodu, żeby się tak denerwować.

– Ja się nie denerwuję – bez przekonania zaprzeczył Tomczyk.

– Jasne, proszę jeszcze raz się przyjrzeć tym fotografiom – odpowiedział Grosz i wyszedł.

Marcin Burhardt siedział w samochodzie zaparkowanym na ulicy. Przez ogrodzenie widział Grosza przechodzącego przez dziedziniec.

Komisarz podniósł do ucha telefon, a Marcin usłyszał w swoim aparacie jego głos:

- Wpadnę na chwilę do proboszcza i będziemy się zbierać.
- Chciałbym zdążyć na mecz.
- Zdązysz... - Grosz zniknął za drzwiami plebanii.

Proboszcz Bonikowski poczęstował go herbatą i przeprosił za spóźnienie.

- Nigdzie nie mogę zdążyć, a może po prostu jestem już za stary...
- Coraz więcej czasu tracimy na rzeczy, które na to nie zasługują.
- Święte słowa, nie odmówi pan komisarz kieliszeczka nalewki?
- Nie odmówię, pacierza też nie odmawiam...
- Niedobrze. - Proboszcz uśmiechnął się wyrozumiale i postawił przed Groszem kryształowy kieliszek wypełniony wiśniówką. - Gdyby chciał się pan nawrócić, zapraszam... - Roześmiane oczy proboszcza wyrażały chęć nadania temu spotkaniu bardzo nieformalnego charakteru.

- Zastanowię się... mamy bardzo bogatą ofertę na rynku wyznań.
- Rynek wyznań, dobre sobie... Pan jest agnostykiem, a może liberałem?

- Zostałem ochrzczony i czuję się katolikiem, nie akceptuję jedynie hierarchii, hipokryzji, domagania się przywilejów i przywiązania do przepychu.

- Sądzi pan, że w innych Kościołach tego nie ma?
- Nie wiem, jestem odludkiem, nie potrafię nigdzie należeć, najlepiej się czuję sam na swojej kanapie.
- Tutaj ludzie spędzają czas na oglądaniu seriali w telewizji, bardziej wykształceni siedzą w Internecie. Do kościoła przychodzą w niedzielę, żeby sprawdzić, kto jeszcze żyje i w co się ubrał.
- Słyszałem, że Pan Bóg jest bardzo rozczarowany tym, co dzieje się tu, na Ziemi, i przestał się już nami interesować.

Bonikowski uśmiechnął się wyrozumiale.

- Podobno... dlatego musimy pracować, aby odzyskać jego łaskę. Wikarego wyślę na urlop, lekarze podejrzewają u niego początki schizofrenii.

– Rozmawialiśmy przez chwilę, nie zauważyłem w jego zachowaniu nic...

– Chrystus w Kazaniu na Górze mówi, że często nie dostrzegamy swoich wad, a przypisujemy je innym... Pan widzi w nim winowajcę, ja chcę poznać źródło zła, które wyrządził...

– Mam podstawy, żeby twierdzić, że nie mówi prawdy.

– Pan, komisarzu, zawsze mówi prawdę?

– Staram się...

– Wypijmy zatem za pańskie zdrowie. – Wypili i odstawili kieliszki na srebrną tacę, zagryźli krakersami i przez chwilę obserwowali się uważnie, ale zyczliwie.

– O tym, że jest chory, dowiedziałem się od biskupa i było mi trochę wstyd, że sam tego nie zauważyłem. Biskup nie był dla mnie łaskawy, jak wychodziłem, powiedział mi, że szatan chce zabrać mi moją trzodę, nie wiem jak to rozumieć... Pewnie po Wielkanocy wyślą mnie na emeryturę... – Uzupełnił kieliszki i wypili drugi, tym razem milczący toast.

– Jeżeli Tomczyk zawinił, to musi ponieść karę... Myślę, że on po prostu pobłądził, wszyscy błądzimy, czasami życia nie starczy, żeby to naprawić, proszę być dla niego wyrozumiałym, jest słaby, ale to dobry człowiek.

– Jak rozpoznać dobrego księdza?

– Jesteśmy sługami Bożymi, naszym powołaniem jest głosić ewangelię i uczyć miłości.

– Wikary Tomczyk trochę z tym przesadził...

Proboszcz nie wyglądał na zaskoczonego.

– Kim ona jest?

– My też mamy coś w rodzaju tajemnicy spowiedzi...

– Podejrzywałem, że nie mówił mi prawdy, kiedy wyjeżdżał... Zrobił jej dziecko?

– Tego nie wiem, mogę jedynie potwierdzić, że próbował.

Proboszcz przymknął powieki i pokręcił głową. Nawet jeżeli podejrzewał wikarego, to teraz nie potrafił się z tym pogodzić.

– Nie musiał mi pan tego mówić, dlatego doceniam to, jestem panu wdzięczny, wręcz zobowiązany... To dobrze dla Kościoła, że to się wreszcie wyjaśniło...

Wikary Tomczyk wrzucił do torby tylko niezbędne rzeczy, zdjął ze ściany oprawioną w pozłacaną ramę fotografię pary żurawi stojących na jednej nodze, odwrócił ją i położył na stole. Papier, którym podklejona była fotografia, był nacięty wzdłuż dłuższej krawędzi. Wikary wyjął z torby scyzoryk, podważył papier i wyciągnął spod niego fotografię w formacie A4. Dwukrotnie większą od tych leżących na stole, które zostawił Grosz. Szybkim ruchem ostrza odciął głowę Natalii Sobolewskiej od reszty jej portretu. Fragment z twarzą pociął na cztery kwadraty i wsunął je pod wizerunki zamordowanych kobiet. Fotografię żurawi odwiesił na ścianę. Przebiegł wzrokiem po swoim pokoju, był zadowolony ze swojego dzieła. Zostawiał za sobą przeszłość i tych wszystkich żalonych durniów, którzy chcieli odebrać mu spokój i wolność. Wyjrzał na korytarz i, ostrożnie stawiając stopy na skrzypiących schodach, zszedł na parter. Drzwi do garażu otworzył wcześniej, zaraz po tym telefonie w sprawie chrztu. To było ostrzeżenie, ciągle czuwał nad nim jego patron, święty Eryk, bohaterski król Szwecji i obrońca wiary. Nie zostawił go nawet teraz, kiedy szatan w przebraniu policjanta zakradł się do jego mieszkania.

Marcin Burhardt wygodnie ułożył się w rozłożonym fotelu i konferował przez telefon z kolegą w sprawie organizacji dzisiejszego wieczoru. Kolega próbował przeforsować pomysł zaproszenia na transmisję meczu dwóch koleżanek, aby w wypadku niepowodzenia piłkarzy ratować wieczór opcją integracyjną. Marcin występował z pozycji dogmatycznych: futbol wyklucza kobiety. Na wypadek porażki można kupić więcej piwa, ale z całą pewnością nie należy łamać reguł męskich rozrywek. Samochód, który pojawił się przed kościołem,

również naruszał zasady. Jego kierowca powinien siedzieć na dupie i czekać na powrót Grosza. Tymczasem skręcił w lewo i jechał w jego stronę. Marcin włączył silnik, ustawił na dachu migający kogut i skierował samochód w poprzek drogi. Wikary nawet nie próbował hamować. Wzmocniony dwucalowymi rurami zderzak suzuki uderzył w samochód Marcina. Ekspłodowały poduszki powietrzne i Marcin zniknął z pola widzenia. Wikary Tomczyk podszedł do samochodu z drugiej strony, tej, która nie ucierpiała w zderzeniu. Kierowca, jęcząc, niezdarnie próbował się wyplątać z pasów i poduszek. Z wnętrza wydobywał się gryzący zapach spalonego prochu. Nieomylny znak obecności szatana. Tomczyk przeżegnał go znakiem krzyża. Łeb diabła, bez rogów, ale z twarzą Marcina Burhardta wynurzył się spośród poduszek.

– Jesteś zatrzymany, złamasie... – stęknął Marcin.

Tomczyk nakreślił w powietrzu znak krzyża, na co diabeł odpowiedział półotwartą ze zdziwienia gębą. „Wśród diabłów też się mogą zdarzyć debile” – pomyślał Tomczyk. Wrócił do samochodu i odjechał. Marcin znalazł na podłodze swój telefon i zadzwonił do Grosza.

– Zwiął nam... rozwalił mi samochód, chyba nie mogę chodzić...

Łąka za zabudowaniami gospodarczymi pensjonatu Natalii Sobolewskiej opadała łagodnie w stronę rzeki. Do ściany budynku przytwierdzona była woliera – schronienie dla kur i kaczek, które hodowała Natalia. W wydzielonej części dostojnie przechadzał się żuraw ze zwisającym skrzydłem. Natalia przyniosła mu kilka ślimaków, które ocalały z jej stada.

– Kiedy go znalazłam, miał wbitą w bok strzałę, prawdopodobnie z kuszy. Nie był już w stanie latać...

– Ludzie jedzą żurawie?

– Lubią je sobie wypchać sianem i postawić w salonie, podobno podwyższa to samoocenę kolekcjonera...

– Żartujesz...?

– Jak masz dom z basenem, na który cię nie stać, grubą żonę i kradzionego mercedesa w garażu, to zaczynasz odczuwać potrzeby wyższego rzędu, moja droga...

W kieszeni Marty zadzwonił telefon.

– Gdzie jesteś? – spytał Grosz.

– W Surażu...

– Nasz wikary może być u was najwcześniej za trzy godziny, miejscowa policja da tej Sobolewskiej ochronę, uciekł nam...

– Skąd wiesz, że jedzie w tę stronę?

– Przejechał się po Marcinie, złamał mu nogę i rozwalił samochód, całkiem możliwe, że będzie chciał zakończyć dzień jakimś mocniejszym akcentem.

– Zostanę tu...

– Na zawsze?

Marta milczała, Grosz jak zwykle miał rację.

– Co ta Sobolewska wie o nim?

– Że był żonatym geodetą.

– To psychol, jutro rano chcę mieć jej zeznanie.

– Rozkaz, będziesz miał... cześć! – Schowała telefon do kieszeni i wróciła do karmiącej ptaki Natalii.

– Coś się stało? – spytała policjantkę dziewczyna.

– Eryk tu jedzie...

– Jak to?

– Tak przynajmniej uważa mój szef. Erykowi odbiło, rozjechał mojego kolegę i poczuł się jak Terminator...

– Nie zostawisz mnie tu samej? – W tym pytaniu nie było strachu, tylko ciekawość.

– Jak się nazywa ten żigolo z komisariatu?

– Kowalewski.

– Powiat dostanie rozkaz zapewnienia ci ochrony, Kowalewski nawet nie mógł o tym marzyć.

– Dostaje po gębie od własnej żony, kogo on może obronić?

– Najlepiej by było, gdybyś mogła stąd wyjechać.

– Nie mogę zostawić zwierząt i tego wszystkiego. Dlaczego mogłbyś chcieć mnie zabić?

– Seryjni mordercy zabijają bez wyraźnego motywu, zaspokajają wyłącznie swoje potrzeby, chcą się czuć ważni i wzbudzać strach. Nawet zdrowi faceci to mają...

– Nie wiesz jeszcze jednego... – Zaczęła sypać kurom ziarno, z trudem rozstawiała się ze swoją tajemnicą. Kilka razy spojrzała w stronę Marty, niepewna, czy może jej zaufać.

– Gadaj, do cholery!

– To ja wlałam mu do łóżka...

– Myślisz, że jak powiesz to w sądzie, to zamiast dożywocia dostanie rok w zawiasach? Obudź się, kobieto, nie próbuj go usprawiedliwiać! Wyobraź sobie, że może ci ściągnąć skórę z pleców i odciąć brzytwą cycki. Jadę na komisariat, dadzą ci ochronę, sprawdzą zamki i oświetlenie na zewnątrz domu. Masz psa?

Natalia przecząco pokręciła głową.

– Był, ale uciekł kilka dni temu.

– Może wróci?

– Może...

Myśli Natalii pobiegły już w przyszłość. Pies i instrukcje Marty przestały ją interesować. Nauczyła się radzić sobie sama, w każdej sytuacji. Nie słyszała słów, które wypowiadała do niej policjantka, zdobyła się tylko na to, żeby pomachać jej na pożegnanie. Kiedy samochód Marty zniknął za bramą, starannie zamknęła drzwi i wbiegła schodami na poddasze. Facet, który wkręcił ją w hodowlę ślimaków, był popaprańcem. Świetnie tańczył i grał na gitarze. Bardzo ekspresyjnie śpiewał rosyjskie romanse, co mu gwarantowało niesłabnące powodzenie wśród studentek Akademii Rolniczej w Olsztynie. Po dyplomie Natalii stracili się z oczu na kilka lat. „Ślimak” odnalazł jej pensjonat i zjawił się któregoś lata z gitarą i pomysłem na szybkie i duże pieniądze. Na łące urządzili pastwisko, w stajni – wylęgarnię i komorę do hibernowania reproduktorów. „Ślimak” skończył technologię drewna, ale zapewniał, że zna się na hodowli brzuchonogich mięczaków.

Wzięli kredyt pod zastaw pensjonatu i cierpliwie czekali na pierwsze zbiory. Wieczorami „Ślimak” śpiewał ballady Bułata Okudźawy tak sugestywnie, że Natalia zaczęła wyobrażać go sobie jako ojca swoich dzieci. Udostępniła mu lewą stronę swojego łóżka i kluczyki do samochodu. Facet tak bardzo przeżył porażkę ze ślimakami, że uciekł w nocy, na dodatek jej samochodem. Nie był draniem, był tylko złamasem i popaprańcem, samochód zostawił na dworcu w Łapach, a swój dobytek na strychu. Stary wojskowy plecak, pokrytą pleśnią gitarę, promocyjny megapack prezerwatyw, dwa podręczniki o hodowli ślimaków i bluzę z chińskiego polaru. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego jeszcze nie wyrzuciła tego do śmieci. Podniosła plecak i sięgnęła po leżący pod nim, zawinięty w przesączone smarem płótno, przedmiot. Kolba dubeltówki oddzielona była od lufy, obok leżał wycior i pas z nabojami typu breneka. „Ślimak” ukrywał przed nią tę broń, kupił ją pewnie od Ruskich albo miejscowych kłusowników. Facet, który myślał, że można coś ukryć przed Indianką w jej własnym domu, z całą pewnością był popaprańcem.

Proboszcz Bonikowski przyglądał się parze żurawi uwiecznionych na fotografii wiszącej na ścianie pokoju wikarego, on również był miłośnikiem ptaków. Grosz odnalazł pod swoimi fotografiami pocięte fragmenty portretu Natalii Sobolewskiej i ułożył je, przywracając fotografii oryginalną formę.

– Jako młody chłopak chodziłem na torfowiska oglądać tańce żurawi, nie ma chyba nic piękniejszego na tym świecie, widział pan to kiedyś? – spytał proboszcz.

– Nigdy, domyślam się, że zdobywają w ten sposób swoje żony i kochanki.

– Nieprawda, tańczą przy każdej okazji, najwspanialsze są ukłony... Wyobraża pan sobie: nogi długie jak u bociana i kłania się czapką do ziemi, jak w polonezie? Nie potrzebują muzyki, mają ją w sercu. W średniowieczu wierzono, że dusze, które idą do nieba, trafiają tam na

skrzydłach żurawi.

– Mogę się księdzu zrewanżować jedynie domniemanym portretem wybranki księdza wikarego.

Bonikowski nie od razu zrozumiał propozycję Grosza. Niezbędny okazał się gest wskazujący. Ksiądz przetaił okulary, żeby dobrze przyjrzeć się fotografii Sobolewskiej.

– Ją też zabił?

– Czy miłość może zabić? – droczył się z nim Grosz.

– Miłość nie, ale zakochany człowiek – tak, wie pan o tym lepiej niż ja, komisarzu... Proszę sobie nie kpić ze starego klechy, wolałbym wiedzieć, czy potrafi go pan powstrzymać? Proszę mi wierzyć, zawsze będę to powtarzał, to nie jest zły człowiek...

– Mało brakowało, a rozjechałby mi policjanta.

– To nie on, to diabeł, który w nim siedzi.

Grosz wpatrywał się w twarz proboszcza, próbując odgadnąć, co chciał mu przekazać, przywołując diabła.

– Jak parafianie odnosili się do księdza Tomczyka?

– Uwielbiali go, szczególnie młodzież; prowadził tu kółko teatralne i drużynę piłkarską. Zupełnie nie wiem, jak im wytłumaczę, że już go nie będzie... Chyba tylko pani Kalińska się ucieszy.

– Kto to jest?

– Siedemdziesiąt lat temu wszystko należało tu do Kalińskich, oni ufundowali ten kościół. Komuniści im to zabrali, a teraz trzeba oddawać. Nie było mnie wtedy w parafii. Pani Kalińska przyjechała i chciała, żeby jej zwrócić tę figurę, o którą pan pytał, i jeszcze dwa obrazy. Nie mamy tu depozytów, wszystko jest własnością parafii. Zaczęła wrzeszczeć i wikary ją wygonił... ale to jej zawdzięcza, że przeżył.

– Nic o tym nie wiem...

– Była u mnie drugiego grudnia wieczorem, kiedy on wrócił. Odprowadziłem ją do samochodu i zobaczyłem, że pali się u niego światło. Pogoda była okropna. Pomyślałem: „zajrzę, zapytam, co u ciotki”... Mnie mówił, że do ciotki jeździ. Alarm się włączył,

wbiegłem po schodach... na śmierć by się wykrwawił...

– Będę potrzebował adres tej jego ciotki...

– Nie jestem pewien, czy ona istnieje...

– Ważna jest każda informacja. Proszę, to jest moja wizytówka, gdyby ksiądz coś sobie przypomniał.

– Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi.

– Biskup może chyba zwolnić księdza z tej tajemnicy?

– Nie, nie może.

– A papież?

Na co dzień oczy proboszcza Bonikowskiego wyrażały dobroć i zrozumienie dla grzeszników i profanów. Teraz nagle pojawiła się w nich surowość.

– On nie ucieka przed policją, on ucieka przed sobą, jeżeli potrafi pan to zrozumieć.

Powiedział to tak, aby Grosz nie miał wątpliwości, że nie toleruje żartów na temat sług Kościoła. Właśnie tak powstają nieporozumienia. Grosz zadawał swoje pytania ze śmiertelną powagą i został źle zrozumiany. Takich nieporozumień nie da się łatwo wyjaśnić. Najlepiej robi to czas.

Natalia Sobolewska posługiwała się szlifierką kątową z taką łatwością, jakby była to lokówka do włosów. Tarczę szlifującą zamieniła na tnącą i przecięła kolbę dubeltówki kilkanaście centymetrów za spustem. Nie była zadowolona ze swojego dzieła. Zacisnęła dłoń na kikucie kolby – ciągle jeszcze wystawał kawałek, ale bez trudu mogła sięgnąć wskazującym palcem do spustu. Podobnie potraktowała lufy: obcięła je w połowie długości. Przeciągnęła sznurek przez kabłąk spustu i przewiesiła go sobie przez szyję. Obrzyn bez trudu mieścił się pod jej roboczym kombinezonem. Chwyając za sznurek, mogła go szybko wyciągnąć i skierować w stronę przeciwnika. Wprowadziła naboje do obu luf i przez chwilę szukała celu. Dwustulitrowa metalowa beczka, w której zbierała suchy chleb dla ptactwa, wydała się odpowiednim

celem. Wystrzeliła z obu luf. Ołowiane kule przebiły beczkę na wylot, uniosły ją nad klepisko i rzuciły z łoskotem o ścianę. Kawałki suchego chleba wysypały się przez dwie ogromne dziury. Człowiek trafiony z tej broni nie miał nawet cienia szansy na przeżycie. Mimo panującego w stodole mroku na twarzy Natalii Sobolewskiej można było dostrzec grymas satysfakcji. Właśnie ten grymas upodabniał ją do gniewnych Indianek z powieści Karola Maya, kobiet potrafiących z lekkością motyla przejść od stanu szaleńczej miłości do krwiożerczej nienawiści. Eryk Tomczyk ją oszukał. Każdy człekokształtny samiec kłamie. Gdyby karać ich tylko za to, trzeba by wybić całe stado. Miałyby prawo go zabić, gdyby ją zdradził. On ją zostawił, a to jednak nie jest to samo, co zdrada. Szczególnie teraz, kiedy wiedziała już o nim wszystko. On nie wiedział wszystkiego. Pomysł, żeby wygarnąć mu z obu luf obrzyna, jak się tu zjawi, nie wyglądał już tak atrakcyjnie, jak przed chwilą. „Nie miałam jeszcze pewności, mogłam wyjść na idiotkę. Czy powinnam powiedzieć o tym tej policjantce? Powiedziałam jej tyle, ile trzeba. Po co miałyby tu przyjeżdżać? Musi uciekać, a to znaczy omijać wszystkie miejsca, gdzie go znają. Chyba że jest czubem i teraz musi zabić właśnie mnie. Jak ona się wyraziła? *Może ci ściągnąć skórę z pleców i odciąć brzytwą cyci.* Nie zdąży! Mój obrzyn jest szybszy. Ołowiana kula leci wprawdzie trzy razy wolniej niż zwykły pocisk, ale zboczony klecha nie zdąży nawet otworzyć gęby. Obrona konieczna... To, co z niego zostanie, rozdziobią ptaki. Aspekty prawne i techniczne tego pomysłu nie budzą wątpliwości, ale jak sprawdzić, czy będę w stanie strzelić do ojca dziecka, które noszę w brzuchu? Beczka z suchym chlebem to jednak coś innego niż mężczyzna, którego się kochało. I jeszcze jedno, chyba najgorsze: to jednak ksiądz! No trudno...”.

Gdyby jej powiedział od razu, do niczego by nie doszło, ale doszło i była szczęśliwa jak nigdy wcześniej. Najgorsze było jednak to, że wcale nie miała zamiaru uwierzyć w to, co powiedziała jej ta przemądrzała policjantka. Nienawidziła, kiedy mówiono jej o indiańskich rysach i sile charakteru. Wcale taka nie była. Mogła polegać tylko na sobie i musiała sobie radzić, to wszystko. Nie lubiła swoich indiańskich rysów, ale na to

też nie było rady. Mogła mieszkać w mieście i znaleźć pracę w ciepłym biurze. Wybrała tę dziurę, bo zawsze najważniejszy był dla niej spokój. „Czy to, co się tu dzisiaj dzieje, to jest, kurwa, spokój? Jeżeli uda mi się dożyć zmięrczu, to będę musiała odpowiedzieć na tysiąc obleśnych pytań śmierdzącego tanim dezodorantem aspiranta Kowalewskiego...”.

Podświadomie jej palec zacisnął się na spuście obrzyna. Gdyby broń była załadowana, odstrzeliłaby sobie stopę. „Boże! Co się ze mną dzieje? Poproszę starą Markowską, żeby tu nocowała przez kilka dni. Muszę stąd wyjechać, bo zwariuję. Nie dam sobie z tym rady. Pojadę do matki, pokłócimy się już przy obiedzie, ale lepsze to od tej budy!”. Cichy odgłos pocieranego o beton aluminium błyskawicznie zmroził nabrzmiałe emocje. Odgłos dochodził od strony wrót. Nie pamiętała, czy wchodząc tu, zamknęła je na skobel. Starając się nie zmieniać pozycji, wcisnęła naboje do obu luf. Dylemat moralny, z którym się przed chwilą zmagala, przestał istnieć. Każę mu się odwrócić i podnieść ręce do góry. Jeżeli odmówi, zacznie prosić, gadać, zastrzeli go jak wściekłego lisa. Snop światła, który padał na klepisko przez szparę między skrzydłami wrót, poszerzył się. Ktoś był za drzwiami i próbował, nie robiąc hałasu, je otworzyć.

„A więc to wszystko prawda. On nie liczy się z niebezpieczeństwem, to, co go popycha do zabijania, jest silniejsze od niego”. Dowiedział się, że wystawiła go policji i przyszedł po jej krew. Przesunęła się bliżej ściany. Jeżeli otworzy szeroko wrota, światło może ją na chwilę oślepić. Strzelając trochę z boku, trafi go, jeżeli nie pierwszą, to drugą kulą.

Zatrzeszczała obluźowana deska wrót. „Spryciarz wie, że tu jestem, słyszał strzał. Chce mnie sprowokować... jak tylko stanie na progu, odstrzelę mu łeb”. Tuż nad ziemią pojawił się cień. Czarny łeb z parą błyszczących oczu.

– Łatek! – krzyknęła.

Duży czarny pies z białą łatą na grzbiecie przecisnął się przez szparę we wrotach i podbiegł do niej. Miał zwyczaj całowania się na powitanie. Oparł łapy na jej ramionach i polizał policzki. Przycisnęła go z całych sił do piersi.

– Łatek, stary draniu, nie możesz mnie teraz zostawiać...

Pies zlizywał płynące po jej policzkach łzy, żałował, że wcześniej nie odkrył ich smaku. Krople ludzkiego żalu miały wspaniały smak i pobudzały apetyt. Jego pani nigdy wcześniej nie przytulała go tak mocno i tak długo. Coś się musiało stać! W powietrzu wisiał zapach, który poznał w lesie, gdy obwąchiwał ciepłe ciało sarny, leżącej bez ruchu w kałuży własnej krwi... Z jej oczu też płynęły łzy. Wtedy też słyszał taki huk – ludzie są zupełnie nieodpowiedzialni. Zabijają nawet wtedy, kiedy nie są głodni. Łzy i ten lepki zapach kończącego się życia. Wyrwał łeb z objęć Natalii i rozejrzał się dookoła. Beczka, z której podkradał czasem chleb, leżała rozpruta pod ścianą. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jego dobra pani strzelała do suchego chleba.

Eryk Tomczyk, którego trudno już tytułować wikarym po tym wszystkim, co się wydarzyło, wpatrywał się w przesuwający się za szybą autobusu horyzont. Zostawił samochód w Kamocku, przed cmentarną kaplicą, zadzwonił po taksówkę i kazał się zawieźć do szpitala w Dąbrowie. Tam przesiadł się do autobusu. Nie obawiał się pościgu policji. Podejrzał, że skupią się na poszukiwaniu samochodu, a potem zaczną śledzić logowania jego telefonu. Natychmiast po tym, jak wyjął baterie z obu aparatów, poczuł ulgę. Jakby Miłosierny Bóg wyjątkowo dla niego zmniejszył siłę grawitacji. Nie czuł wstrząsów zdezelowanego autobusu, płynął wraz z nim nad ziemią na spotkanie nowego. Jego Stare Życie już się dokonało. Nie wróci do Kościoła, nie przeszedł próby, był za słaby, zbyt grzeszny, aby służyć Bogu. Podróży tym autobusem zawdzięczał jeszcze jedno odkrycie, które wprowadziło go w stan tej niezwyklej lekkości. Biblijna kosmogonia uznaje sięgnięcie po owoc poznania dobra i zła za grzech pierworodny, a tym samym naznacza nasze życie cierpieniem. Tak – według Księgi Rodzaju – Adam i Ewa stracili nieśmiertelność. Księga milczy jednak o tym, co zyskali. On też długo nic o tym nie wiedział. Ale teraz zrozumiał i doświadczył, co daje siłę i wiarę w sens przebywania na tej planecie. Musiał tylko

uporządkować swoje życie, uleczyć duszę i ciało. Nie zatruwać umysłu rozważaniami o transcendencji. Bezwzględnie się rozprawić ze wszystkimi, którzy staną mu na drodze, tak jak ten głupi policjant. „Muszę uratować miłość, którą zatruło kłamstwo. Tylko to może mnie zbawić. Dlaczego ten autokar jedzie tak wolno? Muszę kupić nowy telefon i usłyszeć jej głos. Nie, to błąd. Mogę dzwonić tylko z automatu, najlepiej na dworcu, za każdym razem innym. Będą mnie ścigali jak dzikie zwierzę, pamiętam chytre oczka tej policjantki i wścibski nochal tego drugiego. Za rozbity samochód dostaną odszkodowanie. Nic na mnie nie mają, niczego nie będą mi w stanie udowodnić. Za rok nikt nie będzie o mnie pamiętał. Nie mogę dać się złapać, nie dam rady żyć w niewoli. Więzienie to prawdziwe piekło, coś znacznie gorszego niż celibat, słuchanie spowiedzi i żałobne nabożeństwa”.

Poczucie lekkości, które mu towarzyszyło od chwili, gdy wsiadł do tego autobusu, trochę osłabło. „Aby być szczęśliwym, wystarczy nie kłamać, tylko tyle. Nie zadzwonię do niej, nie mogę popełnić najmniejszego błędu. Muszę pozwolić ludziom o mnie zapomnieć. Ja też muszę zapomnieć. Nie mogę utracić wiary, że mi się uda. On tu jest...”. Dyskretnie rozejrzał się dookoła: sami mężczyźni. A jednak on tam był, pragnął jego duszy – za jedną z tych pospolitych twarzy z pewnością ukrywał się szatan.

Rozdział VIII

Grosz wyszedł z wanny i zawzięcie wycierał się szorstkim ręcznikiem. Myślni był już przy porcji makaronu z sosem z omułek, który przyrządził o świcie, jeszcze przed wyjściem z domu. Chwilę zmagął się z korkiem butelki białego orwieto i wreszcie zasiadł przed telewizorem, który obiecał mu dwie godziny godziwej rozrywki. Wyprawę do Kamocka Grosz uznał za całkowitą stratę czasu, a tamtejszego wikarego za egzaltowanego psychopatę niezdarnie próbującego zgłębić istotę grzechu pierworodnego. Niemieckojęzyczny kanał telewizji Arte proponował dzisiejszego wieczoru „Medeę” Luigiego Cherubiniego, z Marią Callas w roli tytułowej. Do transmisji z Monachium zostało jeszcze kilkanaście minut. Grosz przełączył na kanał informacyjny i prawie natychmiast stracił apetyt. Kilku polityków zawzięcie przerzucało na siebie odpowiedzialność za to, że za kilka dni wyjdzie z więzienia psychopatyczny morderca i pedofil. Niepozorny nauczyciel gimnastyki, który zapowiedział, że po odzyskaniu wolności natychmiast powróci do mordowania uczniów. Politycy partii rządzącej wrzeszczeli, że występują w obronie wolności obywatelskich, ci z opozycji grzmieli, domagając się przywrócenia kary śmierci. Obłudnie zmartwiony redaktor nie potrafił ukryć satysfakcji, że taka awantura bardzo podnosi oglądalność jego programu. Niepozornemu pedofilowi poświęcono specjalną ustawę parlamentu. W Komendzie Głównej Policji powołano grupę oficerów, która ma uchronić drania przed linczem. Przygotowano też kilka mieszkań, gdzie morderca zgodziłby się łaskawie zamieszkać. Rudowłosa redaktorka nie zdążyła zapytać, czy obywatele są skłonni sfinansować tak wzniosły cel. Nie udało się również wysłuchać rodziców zamordowanych dzieci. Grosz postanowił zmienić kanał, sięgnął po pilota i wtedy zadzwonił telefon.

- Widzisz i słyszysz to, co ja? – pienieł się po drugiej stronie Jawor.
- Mówią, że jesteśmy do dupy i nie potrafimy powstrzymać tego gnoja.
- I co ty na to? – wychrypiał Władek.
- Ogólnie się zgadzam, jeżeli rząd nie daje sobie rady z jednym mordercą, to znaczy, że wszyscy nadajemy się na karmę dla kotów...
- Co ty pieprzysz?! To politycy głosowali za tym, żeby zamiast stryczka dać mu dwadzieścia pięć lat... Dlaczego ta ruda ich o to nie spyta?
- Może mieć kredyt we frankach i nie chce stracić pracy.
- Facet zapowiedział, że zabije, jak tylko wyjdzie z mamra!
- Jesteś pravicowym szowinistą miotanym żądzą odwetu, naucz się wybaczć.
- Jeżeli ten skurwiel pedofil dostał cztery razy karę śmierci, to jak mogli mu to zamienić na dwadzieścia pięć lat?
- To polityka, Władziu, najgorsi są politycy, za nimi są strażnicy miejscy i policjanci, a dopiero potem przestępcy.
- Do jutra, nie pij za dużo.
- Idę już spać, do jutra, Władziu.

Przełączył telewizor na Arte. Transmisja opery już się zaczęła. „Wróżka Medea jest niezłą laską, ma dwójkę dzieci z bohaterskim Jazonem i trochę trudny charakter, jak to bywa u wróżek. Jazon zaczyna kombinować z Glauce, córką króla. Z córką króla nie da się kombinować długo, nawet będąc przystojniakiem. Trzeba się żenić, bo król Kreon nie zna się na żartach. Arie obu walczących o Jazona kobiet są porażająco piękne”. Grosz wytrwał do sceny ślubu Glauce z Jazonem i zmienił kanał. Znał libretto na pamięć, nie chciał widzieć, jak Medea zabija swoje dzieci i żonę Jazona. „Dosyć na dzisiaj przemocy, zdradzonych kobiet i wiarołomnych kochanków. Zagipsowany po szyję Marcin został w szpitalu w Słodowie, gdzie kilka tygodni wcześniej uratowano transfuzjami życie jego oprawcy. Złamany obojczyk, przedramię, oba piszczele i zmiażdżona pięta – masakra. Klecha zwiął jak nietoperz. Do diabła z tym wszystkim!”.

Było już zbyt późno, żeby zadzwonić do Marty. Zbyt późno na

cokolwiek. Przełączył telewizor na kanał prezentujący ambitną twórczość filmową. Ładnie sfotografowany współczesny polski film opowiadał o zbieraczu porzuconych nagrobków z żydowskich cmentarzy. Pasja zbieracza była solą w oku grupy wiecznie pijanych, brudnych i nieogolonych facetów oraz ich grubych i bezzębnych kobiet. Umiejętnie podsycane napięcie rosło. Grupa pijaków próbowała pełnić w okolicy społeczne funkcje Ku-Klux-Klanu, ale ze względu na stosunek do higieny porównanie to było absolutnie nieuprawnione. Co więcej, działaniami zbrodniczej grupy brudasów kierował fanatyczny ksiądz o skłonnościach socjopatycznych. W kulminacyjnej scenie ziejący alkoholem chłopci i plujące jadem chłopki ukrzyżowali poczciwego zbieracza na drzwiach stodoły. Grosza bardzo wciągnęła ta historia, dolał sobie wina i przełknął omułkę. Nie znał takiej Polski i nie słyszał o powrocie mody na krzyżowanie chrześcijan. Zmęczona tłuszczą śmierdzących zbrodniarzy zastygła na ekranie. Bezzębne baby wypluły cały swój jad, a ksiądz zachrypnął od wrzasku. Nic się nie działo, a ukrzyżowany zbieracz wisiał na drzwiach stodoły bez pomysłu na pointę. Film dotarł do momentu, który Raymond Chandler określał jako odwieczny problem kiepskich dramaturgów. Brak trzeciego aktu i zakończenia. Jeszcze jaśniej wykładał to Arystoteles, mówiąc o destrukcyjnym dla opowiadania braku katharsis. Przerażony obrotem sprawy reżyser niezręcznie ratuje swoją marsjańską opowieść o nadwiślańskich morlokach napisem KONIEC. „Na tym właśnie polega przewaga opery nad filmem – pomyślał Grosz. – W operze tak wielkie poświęcenie zawsze zostaje nagrodzone. Ofiara zawsze czemuś służy, w najgorszym wypadku polityce. Ale nie może zostać zapomniana, nigdy! Oczywistym zakończeniem filmu – z punktu widzenia materializmu dialektycznego, któremu podporządkowana jest fabuła – byłaby scena, w której ukrzyżowany zbieracz wraz z wrotami lub całą stodołą odrywa się od ziemi i szybuje ku niebu. Tak napisałby to Arystoteles. Wniebowstąpienie. Spełnienie odwiecznego marzenia lewicującej ludzkości. Ostatni sprawiedliwy szybujący na drzwiach stodoły. Tak też by było w operze. Dlatego film nigdy nie będzie sztuką.

Nawet najgłupsza historia musi mieć zakończenie”.

Grosz oddychał równo jak szpitalny respirator. Film wyprowadził go z równowagi. Trzy szybko wypite, jeden po drugim, kieliszki brandy sprowadziły sen. Obudzi się dopiero, jak poczuje chłód. Wtedy wstanie i powlecze się do sypialni. Żałosny koniec dnia. Zupełnie niepodobny do życia policjantów w telewizyjnych serialach. Ludzie wolili tych z seriali. Byli młodzi, przystojni i niezwykłeni, mimo że w życiu nie widzieli mordercy. Do Grosza zgłaszali się tylko ci, którym coś zginęło lub nagle przestali żyć. Pewnie dlatego pił wieczorem trochę więcej niż powinien i zasypiał na kanapie.

Rozdział IX

Strumiłło czekał na taką sprawę od lat. Boleśnie przeżył porażkę Karola Marksa w walce stulecia z Ewangelią Nowego Testamentu. W zasadzie nigdy jej nie uznał. Nie szukał w tej konfrontacji rewanzu, raczej sprawiedliwości i pewnej równowagi. Pozycja Kościoła słabła, podkopywana skandalami finansowymi i pedofilią. Ambicją Strumiłły było pokazanie światu, że religia nie tworzy wcale lepszego bytu niż marksistowska wizja człowieka. W oczach słuchających jego wywodu: Grosza, Marty i Jawora, nie odnajdywał aprobaty dla tej koncepcji, jak zwykle był sam, ale to go tylko mobilizowało. „Aby uniknąć zamętu pojęciowego, wikarego z Kamocka należy uznać za dar niebios. Jeżeli uda się połączyć sprawę wikarego z porzuconymi w okolicach Skalborka zwłokami nauczycielki, to...”. Strumiłło, wolał nawet o tym nie myśleć. Czuł ucisk wzruszenia w krtani. Oznaczałoby to powrót do pierwszej ligi. Ekstraklasy! Modest Strumiłło prowadzi sprawę seryjnego mordercy w sutannie! Bez cienia antyklerykalizmu, rzecz jasna, fachowo i konkretnie, przed kamerami, w świetle fleszy i zawistnych spojrzeń tych dupków z ministerstwa.

Władek i Grosz wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Strumiłło bezbłędnie wyczuł medialny potencjał sprawy z Kamocka, ale reszta to były już tylko emocje frustrata. Nauczycielka ze Skalborka wdała się w romans z żonatym mężczyzną. Jej nagie zwłoki znaleziono w lesie, kilka kilometrów od szkoły, w której pracowała. Została ogłuszona tępym narzędziem, a następnie uduszona poprzez naciągnięcie na głowę plastikowej torby. O dokonanie tego zabójstwa podejrzewano córkę mężczyzny, z którym romansowała, niczego nie udało się jednak udowodnić. Strumiłłę zaintrygowały w tej sprawie opinie policyjnych profilerów. Sporządzono dwie, wzajemnie się wykluczające. Strumiłło

zadzwoił do jednego z nich i zapytał, czy sprawcą mógł być ksiądz. Dostał odpowiedź kategorycznie odmowną. W profilowaniu portretów psychologicznych Strumiłło, który pogardzał profilerami, kierował się zasadą, że należy postępować dokładnie odwrotnie wobec ich wskazań. Marta z coraz większym trudem tłumiała ziewanie. Strumiłło nakręcał się swoim odkryciem i nie zamierzał skończyć.

– Kościół nie będzie neutralny w najbliższych wyborach... jest ryzyko prowokacji i musimy być wyjątkowo ostrożni... – Strumiłło sięgnął po swoje śmierdzące ziółka i, sącząc je, obserwował reakcję swoich słuchaczy.

– Proponuję zamknąć sprawę z Kamocka, a później możemy wziąć się za stosunki państwo—Kościół? – szyderczo podsumował Grosz.

Strumiłło wypluł fusy ziół, które utkwily mu między zębami.

– Wyobraź sobie, że pomyślałem o tym. Biskup w Drohiczynie czeka na ciebie z kawą, nie chce przyjąć do wiadomości, że ksiądz z jego diecezji rozjechał policjanta i nie udzielił mu pomocy.

Strumiłło uznał, że tą kwestią potwierdził swój mandat przywódcy stada. Marcie polecił analizę protokołu oględzin i sekcji zwłok. To był kulminacyjny punkt zebrania. Marta skinęła głową i zanotowała polecenie szefa, nie miała zamiaru komentować absurdalności tego zadania. Gdyby to zrobiła, siedzieliby tu godzinę dłużej. Oszołomiony potęgą swojego geniuszu Strumiłło zapomniał, że w Kamocku nie odnaleziono zwłok rzekomej ofiary. Ucieczkę wikarego uznał za przyznanie się do tego zabójstwa, a jego wcześniejszą próbę samobójczą za przejaw konfliktu sumienia. Władek z uznaniem pokręcił głową, nie doceniał Marty: to, co zrobiła, było mistrzostwem świata w hipokryzji i sztuce przetrwania. Strumiłło głądził o możliwych interpretacjach tajemnicy spowiedzi, ale nikt go już nie słuchał. Wszyscy wiedzieli, co mają robić. Rozeszli się bez słowa.

Grosz wsiadł do samochodu i dopiero po godzinie zorientował się, że nie jechał do Drohiczyna, ale do Kamocka. „Robią mi się dziury w pamięci – pomyślał. – Tak się zaczyna Alzheimer, w moim zawodzie to koniec... Nie jest tak źle, już wiem! Chcę porozmawiać z Kalińską.

Z mapy wynika, że tamtej nocy musiała przejeżdżać obok miejsca, gdzie wikary znalazł zwłoki. Nie mogła w taką zamieć wiele widzieć, ale muszę to od niej usłyszeć. Mam jeszcze godzinę, powinno wystarczyć na rozwiązanie zagadki Medei. Dlaczego zabiła swoje dzieci, Mermerosa i Feresa, skoro za pomocą czarów potrafiła uspić smoka? Skoro знаła zioła, które przywracają młodość, to dlaczego nie potrafiła uporać się z niewiernym mężem?”. Dopiero teraz znalazł odpowiedź: Medea zrozumiała, że jest bezradna wobec kaprysów miłości. Zabiła synów, aby żaden z nich nie poszedł w ślady ojca. Pozostało już tylko zrozumieć, dlaczego mimo tylu zbrodni bogowie pozwolili jej po śmierci zamieszkać na Polach Elizejskich i poślubić Achillesa.

To było jakieś wyzwanie, zajęcie dla umysłu w czasie monotonnej podróży. Sprawa wikarego Tomczyka przestała go interesować. Seryjni mordercy to jedynie zwyrodniali psychopaci o rozdwojonej osobowości. Społeczeństwo oczekiwało od Grosza tylko tego, aby odkrył jego kryjówkę i zakuł go w kajdany. Nie musiał go osądzać. Wikary Tomczyk kojarzył się Groszowi ze sprawą sprzed kilkunastu lat. Policja z Pomorza zatrzymała faceta, którego prasa ochrzciła później mianem „Wampira”. Prokurator oskarżył lekko opóźnionego w rozwoju faceta o dokonanie ponad dziewięćdziesięciu zabójstw na tle seksualnym. „Wampir” się przyznał i szczegółowo opisał ich okoliczności. Trafił dzięki temu do podręczników kryminalistyki na całym świecie. W akcie oskarżenia łaskawie zarzucono mu tylko siedemnaście gwałtów i zabójstw, aby nie przeciągać banalnie prostego procesu. Obrońca „Wampira” dowiódł w trakcie rozprawy, że część tych zabójstw miała miejsce w czasie, kiedy oskarżony przebywał na badaniach w zamkniętych placówkach psychiatrycznych i nie mógł być obecny na miejscu zbrodni. Wybuchł skandal. Cały akt oskarżenia zawisł na włosku. Mechanizm takich procesów jest niezwykle prosty. Przy głośnej sprawie próbuje się ogrzać kilku spryciarzy i karierowiczów. Jest to jednocześnie niepowtarzalna okazja, aby dopisać psycholowi kilkanaście niewykrytych zabójstw i poprawić sobie statystykę wykrywalności. To, co nie udało się prokuraturze, wkrótce może udać się mediom.

„Wampir” za rok wyjdzie na wolność. Natychmiast stanie się celebrytą. Wystąpi w każdej telewizji, a może nawet w „Tańcu z Gwiazdami”. Gdyby zgodził się zatańczyć pasodoble z Magdą Gessler, opustoszałyby ulice miast, a ceny czasu reklamowego przebiłyby sufit gabinetu prezesa każdej telewizji.

Grosz przejechał pod wiaduktem kolejowym, po prawej stronie szosy stał policyjny radiowóz. Komendant miejscowego posterunku, w towarzystwie grubego policjanta za kierownicą, już na niego czekali. Mocno uściśniły sobie dłonie.

- Smolar...
- Grosz...
- Lipka...

Komendant wskazał łąkę, która zdążyła się już zazielenić wiosenną trawą.

- To gdzieś tu było...

- Nie oznaczyliście miejsca?

- Łopata leżała tam. - Policjant Lipka wskazał odległe o kilka metrów od krawędzi szosy miejsce. - Ząb znaleźliśmy tu, nie było sensu pobierać próbek ziemi, śnieg leżał tu ze trzy tygodnie.

- Jasne - zgodził się z nim Grosz. - Jak stąd trafić do pani Kalińskiej?

Komendant Smolar przyjrzał mu się uważnie, zbyt uważnie jak na tak błahe pytanie.

- Do pałacu, znaczy się?

Grosz skinął głową. Komendant kazał mu zawrócić i wypatrywać tablicy informacyjnej po prawej stronie drogi.

„Pałac” w przypadku tej budowli był określeniem trochę na wyrost. Kiedyś był to neorenesansowy dwór. Dwupiętrowy budynek, przedzielony środkowym ryzalitem, z elewacją wymagającą pilnej naprawy. Otoczony parkiem, w którym zachowały się jeszcze alejki i kompozycje ogrodowe. Przed wiekami dostępu do dworu bronił mur, teraz miejscami pokonany przez czas i wandalii. Ubytki wypełniono

drucianą siatką. Zachowała się łukowa konstrukcja bramy wjazdowej, w której zainstalowano videodomofon. Grosz przedstawił się osobie, która zaskrzeczała po drugiej stronie drutu. Stalowe wrota się otworzyły i komisarz podjechał wyłożoną polnymi kamieniami alejką przed prawe skrzydło domu, gdzie stał zaparkowany czarny range rover i pokryty błotem sedan, którego marki nie mógł rozpoznać. W drzwiach ukazała się wysoka kobieta. Długie białe włosy upodabniały jej sylwetkę do postaci z gatunku fantasy. Podeszła do Grosza i podała mu rękę.

– Maria Morsztyn, czym mogę panu służyć, komisarzu? – Miała miłą, trochę żółtawą twarz, z parą intensywnie niebieskich oczu, które szybko oszacowały jego samochód i sylwetkę.

– Chciałbym rozmawiać z panią Kalińską.

– Nie był pan umówiony, obawiam się... jest bardzo zajęta.

– Proszę ją zapytać, czy mam jej wypisać wezwanie...

– Pani Margaret Kalińska jest obywatelką Szwajcarii, nie musi z panem rozmawiać...

– Myli się pani...

Maria Morsztyn uśmiechnęła się z wyrozumiałą rezygnacją, jaką damy okazują brutalom, i szerzej otworzyła drzwi. Weszli do dużego, wyłożonego czarnym dębem holu. Maria wskazała Groszowi kanapę, na której usiedli. Mebel skrzypnął ostrzegawczo. Wszystko było tu stare lub prowizorycznie naprawione. Prowadzące na piętro, po obu stronach holu, schody miały stopnie zdeptane, jakby przeszły po nich wszystkie nieszczęścia, jakie dotknęły to miejsce. Wojna, konfiskata, sierociniec i zakład dla umysłowo chorych.

– Napije się pan herbaty?

– Dziękuję, nie.

– Mogę wiedzieć, co pana sprowadza?

– Drugiego grudnia ubiegłego roku odwiedziły panie proboszcza w Kamocku...

– Drugiego grudnia...? To wtedy była ta okropna śnieżycą? Pamiętam, myślałam, że zginiemy w tym śniegu... Dlaczego właśnie ten dzień pana interesuje?

– Chciałbym zapytać, czy nie zauważyły panie czegoś szczególnego w drodze powrotnej...

To było prawdziwe wyzwanie dla Morsztynowej. Uniosła brwi, lekko rozchyliła usta, jej pamięć przebiegła wstecz do tamtej nocy, niebieskie oczy trochę ściemniały.

– Pamiętam tylko ten śnieg, skręciłyśmy z szosy w naszą drogę, samochód spisywał się wspaniale, ale musieliśmy zostawić go przed bramą, nie dało się jej otworzyć.

– Ktoś jeszcze tu mieszka?

– Nikt, do kuchni, sprzątanania i cięższych prac przychodzą ludzie ze wsi...

– Proboszcz Bonikowski mówił mi, że był trochę zaskoczony wizytą pań... – skłamał Grosz.

– Zupełnie nie rozumiem dlaczego, byliśmy umówione... – Panowała nad sobą, ale z już widocznym wysiłkiem.

Skrzypnęły drzwi po lewej stronie, za jego plecami. W ich stronę szła kobieta ubrana w elastyczne spodnie i cardigan z norweskim wzorem. Usztywniona lakierem wieczorowa fryzura nie pasowała do tego stroju ani do tego domu. Podobnie jak duże brylanty, które zdobiły zawieszzone w jej uszach kolczyki.

– Pozwól, że przedstawię, to jest pan komisarz Grosz.

– Kalińska. Co pana do nas sprowadza? Podaj nam kawę do biblioteki, proszę zostawić tu płaszcz... – Nikt nie mógł mieć wątpliwości, kto rządzi w tym domu i dlaczego. Margaret Kalińska urodziła się co najmniej pięćdziesiąt kilka lat temu wyłącznie po to, aby rządzić. Zachowała ślady dawnej urody i sylwetkę, której mogłaby jej pozazdrościć dwudziestolatka.

– Pani Morsztyn udzieliła mi już wyczerpujących informacji, dziękuję za kawę...

– Komisarz Smolar uprzedził mnie, że się pan do nas wybiera...

– Odwróciła się do Morsztynowej. – Na co czekasz? Idź po tę kawę. Zapraszam, komisarzu. – Władczy gest przedramieniem nie przewidywał sprzeciwu.

Kalińska, nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę schodów. Kiedy położyła rękę na poręczy, zauważyła, że Grosz nie ruszył się z miejsca.

– Przyjechał pan tylko po to, żeby zapytać, ile śniegu spadło tej zimy?

Wyglądała na wściekłą, właśnie się wygadała, że podsłuchiwała pod drzwiami, a ten niepozorny policjant wyprowadził ją z równowagi. Grosz się uklonił i wyszedł. Siedząc w samochodzie, spostrzegł, że ktoś go obserwuje zza firanki okna na parterze. Zadzwoił do biskupa i uprzedził, że się spóźni. Zauważył, że postać za firanką posługiwała się lornetką: pewnie próbowała zapisać numery rejestracyjne jego samochodu. „Stare wiedźmy próbują sprawdzić, czy nie jestem przebierańcem. Od tego przecież mają Smolara, ale jemu też chyba przestały ufać”.

Rozdział X

Uczucie zakłopotania, ogarniające nas, kiedy nie potrafimy określić funkcji wnętrza, w którym się znaleźliśmy, przeniknęło wrażliwy na piękno umysł komisarza Grosza. Błady jak kreda sekretarz biskupa wprowadził go do pomieszczenia wysokiego na co najmniej cztery metry, o powierzchni około siedemdziesięciu. Na ścianach wisiało kilka olejnych malowideł w złotych ramach, rozpaczliwie domagających się konserwacji. Przedstawiały zapewne poprzedników biskupa. Większość mebli w stylu Ludwika XVI obitych była jasnym, wzorzystym materiałem. Roślinny motyw powtórzono na tapecie pokrywającej ściany, wszystko w tonacji fiołkowej. Biurko i obity skórą obrotowy fotel były awangardowo współczesne. Na ścianie, między skrzynkowymi oknami, wisiał plazmowy telewizor wielkości fresku przedstawiającego „Ostatnią Wieczerzę”.

Mężczyzna w amarantowej sutannie, który wpatrywał się w ekran, mógł być w wieku Grosza, a nawet młodszy. Kiedy tu weszli, prawie nie zwrócił na nich uwagi. Sekretarz zniknął niepostrzeżenie, a osamotniony Grosz zaczął się zastanawiać, czy znalazł się w gabinecie, prywatnym apartamencie, a może kolejnym sekretariacie. Przed nim i w ścianie po lewej stronie znajdowały się drzwi prowadzące do sąsiednich pomieszczeń. Uwaga biskupa w całości skoncentrowana była na programie informacyjnym, który oglądał na ekranie swojego telewizora. Program był poświęcony prezentacji kandydatów na posłów do europarlamentu. Ultralewicowa partia, założona przez wydawcę katolickiego tygodnika, zgłosiła kandydaturę pani ubranej w żółte, przewiewne stringi, zawieszzone na głowie. Kolorystyką i designem nawiązujące do stroju Borata. Kolejna kandydatka miała w swoim CV występy w klubie go-go, reprezentowała jednocześnie kancelarię prawną,

specjalizującą się w przekazywaniu pod stołem nienależnych honorariów. Obie panie w płomiennych wystąpieniach przekonywały, że chcą służyć swoimi talentami ojczyźnie.

– Na którą oddałby pan swój głos, komisarzu? – przemówił biskup, odwrócił się wraz z fotelem w stronę Grosza i wskazał mu krzesło.
– Proszę usiąść.

– Podstawową umiejętnością polityka powinna być zdolność kłamania, patrząc rozmówcy prosto w oczy. Obie panie już to potrafią, ekscelencjo, mimo młodego wieku.

– A reputacja?

– To problem panien na wydaniu...

– Jest pan inteligentnym człowiekiem, proszę mi wytłumaczyć, dlaczego tak się pan wziął na mojego księdza, komisarzu?

– Wikary Tomczyk utrudnia postępowanie... Stan jego zdrowia w żaden sposób tego nie usprawiedliwia...

– Nie czuje się pan w żaden sposób odpowiedzialny za to, co się stało?

– Nie... wikary Tomczyk zostanie oskarżony o spowodowanie zagrożenia w ruchu lądowym, nieudzielenie pomocy ofierze wypadku i ucieczkę z miejsca zdarzenia...

Biskup uniósł ze zdziwienia brwi.

– Nawet jeżeli to prawda, nie pozwolę go skrzywdzić...

– Prokurator rozważa postawienie zarzutu o czynny atak na policjanta z zamiarem pozbawienia życia.

– To by się mogło nawet dobrze sprzedać... „Ksiądz zabił policjanta”...

Grosz milczał, zorientował się, że jest poddawany badaniu, czy jest odpowiednim partnerem do gry o duszę wikarego Tomczyka.

– Kuria gotowa jest pokryć wszystkie koszty, a nawet wypłacić zadośćuczynienie temu funkcjonariuszowi... – zawistował biskup.

– Doceniam to, ale postępowanie prowadzone jest z urzędu przeciwko konkretnej osobie, pieniądze już nie pomogą – przebił Grosz.

Biskup sięgnął do kryształowej szkatułki i poczęstował Grosza cukierkiem. Komisarz położył cukierek przed sobą. Zaakceptował

przynęte, ale nie zamierzał jej jeszcze połykać.

– Chciałbym zwrócić pańską uwagę na możliwość prowokacji wobec księdza Tomczyka... Są ludzie w parafii, dla których wikary mógł być przeszkodą...

Grosz sięgnął po cukierek i przyjrzał mu się uważnie, zbliżył do nosa i powąchał.

– To nie jest insynuacja ani pomówienie, opieram swoje stanowisko na faktach...

Grosz odwinął złocisty papierek i włożył cukierek do ust.

– Kościół w Kamocku został ufundowany przez rodzinę, która straciła majątek w wielkim eksperymencie społecznym, jakim był komunizm... Kilka lat temu nasze państwo oddało im to, co ukradło...

– Jego ekscelencja mówi o pani Kalińskiej?

Biskup potwierdził ruchem głowy.

– Pałac, sześćset hektarów gruntu, budynki folwarczne i młyn nie zaspokoily jej apetytu. Pani Kalińska uważa, że należy się jej również część wyposażenia kościoła w Kamocku. Upoważniłem wikarego Tomczyka do negocjacji z nią w tej sprawie. Zna się na sztuce, uważałem, że zrobi to lepiej niż proboszcz Bonikowski...

– Boję się stracić wątek prowokacji – wtrącił Grosz.

Biskup się uśmiechnął, przytykając oczy. Lubił spryciarzy, ale żadnemu nie pozwalał się ponaglać. Sięgnął po kolejnego cukierka i włożył go sobie do ust.

– Kalińska okazała dokumenty, które mogły sugerować, że rzeźba świętej Doroty i dwa olejne portrety znajdujące się w kościele są czasowymi depozytami, które parafia powinna zwrócić na każde żądanie donatora. Tomczyk bez trudu wykazał, że to falsyfikaty.

– Obrazy czy dokumenty? – dopytał Grosz.

– Dokumenty... portrety to dziewiętnastowieczne bohomy, w dodatku kopie. Kalińska się wściekła, ale zaproponowała, że odkupi te dzieła. Dwadzieścia tysięcy euro za wszystko.

– To dobra cena?

– Samą tylko figurę rzeczoznawca wycenił na dwieście siedemdziesiąt

tysięcy euro...

– Wróćmy na chwilę do prowokacji, jeżeli ekscelencja pozwoli...

– Tomczyk pozbył się Kalińskiej, być może zrobił to zbyt obcesowo, ale na pewno w interesie Kościoła. Sporządził notatkę, która ją kompromituje, mam ją tutaj. I właśnie wtedy zaczęły się pojawiać szkalujące go anonimy: że nie przestrzega celibatu, że ma skłonności do pedofilii, że podbiera pieniądze z tacy... typowy zestaw pomówień gorliwych parafian, setki tego dostajemy...

– Mogę potwierdzić jedynie nieprzestrzeganie celibatu.

– To poważne oskarżenie.

– Polskie prawo tego nie ściga. Kobieta, z którą się spotykał, nie wiedziała, że jest księdzem.

– Mam nadzieję, że on wiedział, że ona jest kobietą.

– Chyba czegoś nie rozumiem...?

– Zakładam, że wszystko, o czym teraz mówimy, zostanie w tych czterech ścianach.

Grosz skinął głową.

– Zataił, że leczył się psychiatrycznie, gdybym o tym wiedział, nie obciążałbym go taką pracą. Powinien się leczyć lub przenieść do zakonu.

– Na tym etapie nie mogę zbyt wiele powiedzieć ekscelencji o podejrzeniu, jakie wysuwamy wobec wikarego Tomczyka.

Biskup uśmiechnął się szeroko, pokazując zęby.

– Nie chcę już słyszeć ani słowa o jego grzechach. Natomiast zastanawiam się, dlaczego Warszawa interesuje się prowincjonalnym wikarym, przecież tu też mamy policję...

– Robię, co mi każą...

– Skromność powinna być nagrodzona, proszę mi zrobić tę przyjemność i zostać na obiedzie.

– Obawiam się, że muszę już wracać.

– Musi też pan coś zjeść przed drogą, komisarzu. Nie mamy tu nic nadzwyczajnego, ale zawsze lepsze to od McDonalda. – Nacisnął przycisk pod blatem biurka i natychmiast zjawił się błądy sekretarz.

– Pan komisarz zostaje na obiedzie.

Grosz ponownie mógł podziwiać umiejętność znikania sekretarza.

- Nie ma pan nic przeciwko gęsi z jabłkami, mam nadzieję...
- Obawiam się jedynie, że nie jestem odpowiednio ubrany.

Oczy biskupa zaśmiały się tak, jakby obiad z kimś inteligentnym nie zdarzał mu się zbyt często.

- Na Dalekim Wschodzie pieczone gęsie łapy podawane są jako przysmak - ciągnął swoje popisy Grosz.

- Nie słyszałem o tym.
- Uważają to za niezwykle silny afrodyzjak.
- Lubi pan ciepłe kraje, komisarzy?
- Bardzo!
- To dobrze, nie będzie pan cierpiał, jak trafi pan do piekła.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Dwie siostry zakonne, które wniosły talerze, były mocno speszone ich wesołością.

- Gdzie są teraz łapy tej gęsi, siostró Gracjano?
- Kotu daję, księżę biskupie.
- Dzisiaj proszę je dać temu panu, jak będzie wychodził...

Zachód słońca nad równiną podlaskich łąk był widokiem niezapomnianym. Wisząca nisko nad linią lasu czerwona kula słońca, podnoszące się miejscami mgły i trzy spłoszone sarny mknące w stronę lasu wypełniały w całości formę landszaftu w jego najdoskonalszej postaci. Grosz zjechał na pobocze i wszedł za krzak dzikiego bzu, aby opróżnić pęcherz. Był zły na siebie, że nie zdobył się na odwagę, aby zapytać biskupa, czy może skorzystać z toalety. Gęś, którą jedli, przez ostatnie trzy tygodnie życia karmiona była wyłącznie owsem, aby jej mięso nabrało wyjątkowego smaku i aromatu. Po takim posiłku pytanie o kibel w pałacu wydało się Groszowi czymś bardzo niestosownym. Biskup dotrzymał obietnicy. Błady sekretarz, który odprowadził go do samochodu, wręczył mu papierową torbę, stanowczo zbyt dużą jak na parę gęsich łapek. Na samą myśl, że miałby je zjeść, ogarnęło go obrzydzenie. „Muszę się ich pozbyć, natychmiast” - pomyślał. Sięgnął

po torbę, zajrzał do niej i zrozumiał, dlaczego była tak duża. Oprócz zawiniętych w folię łapek gęsi była tam jeszcze przewiązana gumką tekturowa teczka, zawierająca kilkanaście zadrukowanych stron. Przebiegł je wzrokiem. Gęś, którą trawił, uniosła się wraz z treścią żołądka w stronę przełyku. To, co przeczytał, było zaskakująco niesamowite, ale kopie dokumentów i wycinki prasowe nie pozwalały wątpić w autentyczność relacji. Ułożył starannie kartki i włożył je do teczki. Na ekranie urządzenia nawigacji odnalazł Kamocko. Uruchomił silnik i zawrócił samochód, wyrzucając spod kół grudy błota. Na dachu umieścił migający kogut. Syrena i błyski niebieskiej lampy zrujnowały sielską harmonię podlaskiego landszaftu. Słońce schowało się za lasem, ognisty rumieniec wstępu pokrył niebo.

W tych stronach ludzie sami wymierzali sprawiedliwość, od stuleci pędzili bimber i ignorowali państwo, które zapewniało im wyłącznie biedę i nigdy niespełniane obietnice. Zapadał mrok, w oknach chałup zapalały się światła. Przejeżdżając przez wieś, Grosz zobaczył w szybie odbicie swojego migającego koguta. „Po co ja tam jadę? Przecież to wszystko, nawet jeżeli jest prawdą, nie powinno mnie obchodzić. Wikary Tomczyk jest trzepnięty, ale z moją głową też nie jest najlepiej, nie powinienem jeść tej gęsi i nie powinienem tu przyjeżdżać. Jestem intruzem, którym zabawiają się tutejsi mandaryni”.

Technikum Rolnicze w Turczynku zamknięto z powodu braku w okolicy chętnych do zdobywania wiedzy o nowoczesnym rolnictwie. Za bardziej prestiżowe i pozwalające przeżyć zajęcie okoliczna młodzież uważała zmywanie talerzy w Londynie, Glasgow bądź Liverpoolu. Zrujnowany neoklasycystyczny pałacyk służył obecnie tym, którzy postanowili zostać w kraju i jednocześnie nie uczestniczyć w burzliwych przemianach ustrojowych – młodym ćpunom i trochę starszym narkomanom po kilku nieudanych odwykach. Ośrodek terapii uzależnień prowadził pallotyn, ksiądz Joachim Szron, seminaryjny kolega Eryka Tomczyka. Wzruszył się, widząc wikarego na swoim

progu. Razem prowadzili kilka pielgrzymek do Częstochowy, razem przechodzili Bramę Rybę w Lednicy. Potem już tylko wymieniali e-maile, a z czasem coraz rzadsze i rutynowe życzenia na święta. Ucieszył się, słysząc, że wikary postanowił spędzić u niego część swojego urlopu.

Tomczyk nie chciał jeść ani pić, nie miał nawet siły, żeby się umyć. Ciężko sapiąc, wdrapał się do mikroskopijnego pokoju na poddaszu i runął na łóżko. Spał w ubraniu kilka godzin, obudził go głód i pragnienie. Zszedł na parter, a potem – wiedziony zapachem – do piwnicy, gdzie mieściła się kuchnia. Dwóch zarośniętych młodzieńców obierało tam ziemniaki. Wrzucali je do ogromnego kotła wypełnionego wodą. Tomczyk powiedział im, że jest głodny. Bardziej zarośnięty wskazał ostrzem noża wojskowy termos, obok którego leżał bochenek chleba, pokrojona w ćwiartki cebula i gliniany garnek ze smalcem. Tomczyk zrobił sobie kanapkę i wyszedł przed dom. W żadnym z okien nie paliło się światło. W świetle księżycy widać było połyskujący na trawie szron. Zachłannie wdychał mroźne powietrze. „Jeżeli tak się czuje ścigane zwierzę, to jest to całkiem miłe”. Czuł tylko lekkie drżenie kolan i ucisk w przełyku. Ścigali go, ale im zwiął. Nie był rozmamłanym histerykiem. Potrafił opanować strach i trzeźwo myśleć. Nic na niego nie mieli. Ci policjanci przyjechali tylko po to, żeby go sprowokować. „Ktoś, kto ucieka, musi się wytłumaczyć. Nigdy mnie nie złapią, działają tak, jak wszystko w tym kraju, opieszale i beznadziejnie. Zjadł kanapkę, cebulę i popił herbatą.

Zamarł na chwilę. Całkiem blisko rozległo się beczenie kozy. Zrobił kilka kroków w tamtą stronę. Teraz widział wyraźnie – między drzewami stała szopa, obora zbita z desek, z poddaszem na paszę. Podeszedł bliżej, usłyszał dźwięki, których nie wydają zwierzęta. Krew zaczęła pulsować mu w skroniach. Powinienem teraz wrócić do pokoju i zasnąć. „Nie wrócę, bo i tak nie zasnę...”. Przyłożył ucho do ściany szopy i poczuł dreszcz na całym ciele. Nie mógł się mylić. To był dźwięk, który go tu przywiódł. Który kazał mu uciekać, kłamać i grzeszyć. „Nie mogę, nie potrafię przed nim uciec”. Obszedł szopę dookoła. Do przeciwległego szczytu była przystawiona drabina. Wspiął

się na nią i zobaczył ich. Ciało oświetlał płomień świecy. Zarośnięty neandertalczyk kopulował z rozłożystą brunetką opartą o belki podtrzymujące kalenicę. Dziewczyna obejmowała jego szyję, on wczepił się palcami w jej biodra. Brzuch dziewczyny był pokryty tatuażem. Kiedy jęczała zbyt głośno, kochanek zasłaniał jej dłonią usta. Nagle dziewczyna go odepchnęła. – Dawaj! – wysapała.

Neandertalczyk sięgnął po blaszane pudełko. Wyjął z niego łyżeczkę do herbaty i zaczerpnął nią kilka grudek z pudełka. Podał dziewczynie firkę. Łyżeczkę podgrzał nad płomieniem świecy. Kiedy pojawił się dym, dziewczyna zaczęła go wdychać przez firkę. Neandertalczyk odwrócił dziewczynę plecami do siebie i kontynuował kopulację. Tomczyk odniósł wrażenie, że dziewczyna nie zauważała już starań i westchnień partnera. Uniosła ręce, upodabniając je do skrzydeł ptaka, chciała odlecieć, neandertalczyk stał się tylko balastem. Energicznym ruchem bioder odrzuciła go na słomę. Tomczyk nie chciał dłużej na to patrzeć, zszedł po drabinie na ziemię. Parzyli się jak zwierzęta. Czy to wydarzyło się naprawdę, czy było tylko nocnym koszmarem? Rozbolała go głowa i poczuł, że traci władzę w lewej nodze. Zdarzało mu się to już wcześniej. Za pierwszym razem wpadł w panikę, ale po kilku minutach paraliż ustąpił. Teraz też pewnie wystarczy chwilę poczekać. Podejrzał, że to nerwica, i nie traktował tej dolegliwości poważnie. To bardzo dziwne uczucie dotykać własnego ciała i nic nie czuć, tak jakby umierał po kawałku. Ci na górze czuli każdy milimetr swojego ciała i ciała partnera, byli jednym organizmem dyszącym zwierzęcym pożądaniem.

Z szopy dobiegł jęk bólu, poprzedził go odgłos uderzenia otwartą dłonią. Kochankowie się kłócili. Na drabinie ukazał się neandertalczyk, dziewczyna próbowała go zatrzymać, ale facet, urażony w swej samczej dumie, zszedł na dół. Tomczyk stał kilka metrów od drabiny i nie był w stanie się ruszyć. Facet nie zauważył go w ciemnościach, przeszedł obok, mrużąc pod nosem przekleństwa dezawuuujące moralność i wiek swojej kochanki. „Pozbawiony miłości seks jest przejawem ludzkiej pychy, grzechem stokroć gorszym niż grzech pierworodny i musi być napiętnowany. Czy mogę jednak potępić innych, sam będąc

grzesznym?”. Tomczyk zapomniał o swojej sparaliżowanej nodze. Jego umysł w całości zaangażował się w rozstrzygnięcie dylematu, czy jest zbłąkanym pasterzem, czy już tylko czarną owcą, którą odrzuciło stado. Czuł, jak drętwieje mu cała lewa strona ciała.

Grosz dotarł do rezydencji pani Kalińskiej kilka minut po ósmej. Po drodze zadzwonił do Marcina i przeprosił, że nie uda mu się dzisiaj go odwiedzić. Marcin specjalnie się tym nie zmartwił. Strumiłło załatwił mu transport do szpitala w Warszawie, gdzie czuł się całkiem komfortowo. Pięćdziesiąt kilometrów przed Kamockiem Grosz zatrzymał się, aby wypić kawę. Na pierwszej stronie pakietu, który wręczył mu sekretarz biskupa, znalazł informację, że Kalińska to przybrane nazwisko Róży Kaczorkiewicz. Urodziła się w polskiej rodzinie mieszkającej od wojny we Francji. Po studiach przeniosła się do Szwajcarii, dwa razy wychodziła za mąż i zmieniła nazwisko na Kalińska, mimo że nie nosił go żaden z jej mężów. Prawo własności do pałacu w Kamocku odkupiła od potomka rodziny Kalińskich, który trafił do zarządzanego przez nią domu starców.

Pod adresem pałacu zarejestrowano dwa lata temu działalność fundacji Bractwo Świętej Doroty. Margaret Kalińska wystąpiła o rejestrację fundacji jako związku wyznaniowego, ale dostała odmowę. Ktoś poinformował Departament Wyznań o sekcje, którą Margaret Kalińska założyła w Szwajcarii. Sąd kantonu Sankt Gallen zakazał jej działalności i zmusił Kalińską do opuszczenia kraju.

Grosz wysiadł z samochodu i podszedł do domofonu. Nacisnął guzik i usłyszał nagrany komunikat: „Nie ma nas w domu, prosimy o kontakt przez stronę internetową”. Wrócił do samochodu i kilkadziesiąt metrów przejechał na wstecznym biegu, zanim udało mu się zawrócić. Wydawało mu się, że w świetle reflektorów widział kilka samochodów zaparkowanych obok pałacu. Skręcił w lewo. Polna droga biegła przez zagajnik i kończyła się na polanie, z której za biegnącym poniżej wąwozem widać było kontur pałacu. Wyjął ze schowka lornetkę

noktowizyjną i latarkę, zamknął samochód i ruszył w stronę pałacu. Po piętnastu minutach dotarł do muru. Po tej stronie posiadłości konstrukcja była w znacznie lepszym stanie. W świetle latarki zauważył, że na szczycie muru zachowała się jeszcze dachówka. Cały czas intensywnie się zastanawiał, po co tam przyjechał. Dostrzegł w oczach Morsztynowej strach, ale to nic nadzwyczajnego u kobiety w tym wieku. Dossier Kalińskiej wskazywało na aferzystkę, ale opinia biskupa nie musiała być obiektywna, w końcu pracowali w tej samej branży.

Jeżeli jego ambicję uraził protekcyjny ton, z jakim się do niego zwracała, to robił w tej chwili coś bardzo głupiego. Grosz nie znosił, kiedy okazywano mu lekceważenie wyłącznie dlatego, że był biedniejszy od swojego rozmówcy. Szczególnie kiedy robiła to kobieta. Włamując się teraz na jej teren, po prostu się podkładał, ale pokusa rewanzu była silniejsza. Silniejsza niż rozum, któremu – jak dotąd – wszystko zawdzięczał. Doszedł jednak do wniosku, że warto zaryzykować. Teren, a wraz z nim mur, zaczęły opadać w stronę strumienia, który wypływał z posiadłości w stronę wąwozu. Cierpliwi, nawet niespełna rozumu, dostają w końcu nagrodę! Na pochyleniu terenu zaprawa spajająca polne kamienie była spękana. Szczelina, choć nie szersza niż grubość jego ramienia, pozwalała obserwować budynek. Od południowej strony stało zaparkowanych kilkanaście luksusowych samochodów, przed wejściem – jeszcze kilka, ale nie zdołał ich policzyć. Pokonanie muru w nocy bez wyraźnego celu i wsparcia wydawało się czymś tak głupim, że nie sposób było się temu oprzeć. Pomysły na to, jak usprawiedliwi swoje wtargnięcie, napływały do głowy Grosza falami. Cofnąłby się, gdyby miał szansę wrócić do domu na kolację. Skoro zdecydował się zarwać tę noc, to niech się coś wydarzy.

„Ten babsztyl tylko udaje wielką damę, za wszelką cenę muszę ją poznać bliżej” – pomyślał. Włożył czubek buta w szczelinę i podciągnął się na rękach. Krawędź dachówki się ułamała, ale siedział już okraciem na szczycie muru. Skierował światło latarki w dół. Splątane badyle krzewów bzu i forsycji. Zeskoczył i miękko wylądował na ziemi. Przyjrzał się koronom drzew, żeby w razie potrzeby móc szybko tu

trafić. Zaczął od zapisywania numerów rejestracyjnych zaparkowanych samochodów. Stanowiły klasę samą w sobie, żaden nie był wart mniej niż sto tysięcy.

Nagle Grosz usłyszał szczekanie psa. Zza węgła domu wyszedł facet z wilkogatym kundlem na krótkiej smyczy. Skierował latarkę w stronę zaparkowanych samochodów. Snop światła prześlizgnął się po maskach i wypłoszył lisa. Zwierzę, nie spiesząc się, pobiegło w stronę strumienia, odprowadzane szczekaniem psa. Znowu było cicho i zimno. Facet z psem patrolował teren wokół domu, co kilka minut stawał i zapalał kolejnego papierosa. W noktowizorze Grosz widział tylko kontur jego twarzy, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że już go widział.

Kryjąc się za krzewami, Grosz przeszedł na tył budynku, gdzie znajdował się osłonięty iglakami zjazd do piwnicy. Kończył się dwuskrzydłowymi drzwiami, nad którymi umieszczono daszek ze zbrojonego szkła. Zadaszenie pełniło funkcję otwartej szopy, stało tu kilka butli z gazem, związane drutem drewno do kominka, stara lodówka i kilka plastikowych worków, śmierdzących gnijącymi odpadkami. Ktoś był po drugiej stronie drzwi. Zgrzytnął odsuwany rygiel i drzwi, piszcząc zawiasami, uchyliły się. Grosz zdążył się wcisnąć za stertę drewna. Młoda kobieta, wysoka, ale zbyt tęga na swój wiek, w białym fartuchu i kucharskiej przepasce na głowie, stanęła na progu. Przyszła tu, żeby zapalić papierosa, tak to przynajmniej wyglądało, mimo że co chwila zerkała w stronę podjazdu, jakby zabraniano tu palić nawet poza domem. Pierwszy pokazał się pies, a za nim nogi ochroniarza. Zeszli na dół, kucharka schyliła się do środka i podała ochroniarzowi pojemnik firmy cateringowej. Ochroniarz przełknął kilka kawałków, jeden dał psu i zaszczycił kucharkę spojrzeniem.

– Ty coraz grubsza się robisz...

– Twój jeszcze nie jem.

– Może cię kto zapylił?

Spojrzała na niego z pogardą, zgasiła papierosa i rzuciła go w stronę śmieci; upadł tuż obok buta Grosza.

– Niech wywozą te śmieci, smród taki, że lisy z lasu przyłazą...

– Herbaty ci zrobić?

– Zrób...

Kucharka zniknęła za drzwiami. Ochroniarz odprowadził ją spojrzaniem badacza kobiecej anatomii. Światło z wnętrza rozjaśniło jego twarz. Znali się, to Lipka, gruby policjant, który rano towarzyszył komendantowi Smolarowi. Wieczorami dorabiał tu sobie jako ochroniarz. Pies zaczął się wiercić wokół nóg Lipki i zaszczekał. Ruszyli razem w górę podjazdu. Lipka snopem światła przecesał parking i okolicę, imponował spokojem. Po chwili wyłączył latarkę i wrócił do pożerania zawartości pudełka. Grosz uznał to za błąd w sztuce patrolowania. Wyskoczył ze swojego ukrycia i schował się za drzwiami. Był w kotłowni, węglowy piec centralnego ogrzewania zamieniono na kocioł olejowy z dużym zasobnikiem ciepłej wody. Całe pomieszczenie wyłożone było glazurą, lśniło czystością i nowoczesną elektroniką kotła. Gdzieś nad nim znajdował się pokryty patyną czasz hol, w którym przed południem rozmawiał z Kalińską. Wystarczyło wejść na górę, aby cofnąć się o dwieście lat.

Obok nagle włączył się hydrofor, Grosz odskoczył jak oparzony. „Trzeba się decydować, do cholery, to nie jest miejsce na historyczne sentymenty. Albo spadam stąd, albo...”. Klapanie obcasów na schodach uświadomiło mu, że musi jeszcze chwilę poczekać z odpowiedzią na to pytanie. Wybrał przestrzeń za zasobnikiem ciepłej wody. Nie była to dobra decyzja, bo rura, na której chciał usiąść, parzyła tyłek nawet przez spodnie. Musiał kucnąć w bardzo niewygodnej pozycji. Skrzypnęły drzwi, kucharka przyniosła kubek z herbatą, zawołała Lipkę i obserwowała, jak pije parujący płyn.

– Przyszedłbyś do matki w niedzielę...

– Najsamopierw przeprosić mnie musi.

– Niby za co?

– Za co? Powiedziała, że moja, to kurwa jest...

– A nie jest?

– Wszystkie takie same jesteście! – Oddał jej kubek i odszedł, naburmuszony.

Kucharka zamknęła drzwi, zasunęła zasuwę i skierowała się w stronę schodów. Przy drzwiach na schody zatrzymała się, obrzuciła kotłownię spojrzeniem nieufnej gospodyni i wyszła. Zgasło światło i Grosz usłyszał zdradziecki odgłos klucza w zamku. W końcu osiągnął swój cel, znalazł się w pułapce. Odczekał, aż ucichnie kłapanie butów kucharki na schodach i włączył latarkę. Odsunięcie zasuw nie było niczym trudnym, wystarczyło odciągnąć zawleczkę blokującą rygiel – jakby wbrew rozsądkowi spodziewano się intruza wewnątrz budynku. Po drewnianych schodach dotarł na półpiętro, krótki korytarz prowadził do kuchni, gdzie zobaczył kucharkę myjącą mopem podłogę. Wrócił na schody i dotarł nimi na poziom parteru. Za uchylnymi drzwiami znajdował się hol, przez małą szybkę dostrzegł kanapę, na której siedział przed południem. Lekko pchnął drzwi, po lewej stronie ustawione były wieszaki, których wcześniej nie zauważył, wisiało na nich kilkanaście płaszczy i futer.

Pierwsze dźwięki fugi organowej zabrzmiały jak muzyka z telefonu komórkowego, ale po chwili się zorientował, że źródło dźwięku jest znacznie silniejsze. Przeszedł szybko wzdłuż ściany holu. Znalazł drugie uchylne drzwi, a za nimi prowadzące w dół schody. Po tej stronie budynku nie było półpiętra. Za drzwiami, przed którymi teraz stał, mogła być duża, niewidoczna z zewnątrz sala. To stamtąd dobiegała muzyka. „Fuga d-moll” Jana Sebastiana Bacha. Ludzie, którzy słuchają Bacha, nie powinni być niebezpieczni.

Uchylił drzwi i zajrzał do środka. Elektroniczne organy Allena stały tuż za drzwiami, po prawej stronie, na niewielkim podwyższeniu. Grająca na organach Maria Morsztyn miała na sobie białą albę przeciętą przerzuconą przez ramię czerwoną stułą. Organy oddzielała od sali ciężka kotara, w której wycięto otwór, aby organistka mogła widzieć, co się dzieje w środku. Zauważyła Grosza, komisarz dał jej znak ręką, żeby sobie nie przeszkadzała. Maria Morsztyn łatwo wpadała w panikę, wytrzeszczyła oczy i zaczęła spazmatycznie dyszeć, ale zachowała panowanie nad klawiszami. W podziemiach pałacu urządzono kaplicę. W kandelabrach na ścianach umieszczono kadzidła, które wydzielają

zapach drzewa sandałowego i czegoś odurzającego. Niebieskawy dym ograniczał widoczność, ale budował nastrój. Pod ścianami stały dwa rzędy ławek, po sześć z każdej strony. Nie wszystkie miejsca były zajęte. Zgromadzeni byli ubrani w niebieskie alby z żółtą stułą, ich głowy zakrywały niebieskie kaptury. Dwie postacie siedzące w pierwszej ławce nie miały stuły ani kapturów. Ich twarze zasłaniały czarne maski. Kapłan przy ołtarzu klęczał tyłem do swoich wiernych. Obleczony w czerwoną albę z niebieskim kapturem, zasłaniającym opartą o ołtarz głowę, zaciskał upierścienione ręce na złotym kielichu ofiarnym. W ścianie za ołtarzem wycięto otwór w kształcie krzyża, wysoki na dwa metry i szeroki na tyle, że mógł służyć za przejście.

Wybrzmiał ostatni akord fugi. Morsztynowa miała w zasięgu ręki konsolę oświetleniową. Dotknęła suwak i światła przygasły. Przez otwór w kształcie krzyża wpadła do kaplicy oślepiająca fioletowa poświata. Kapłan odrzucił kaptur. Wstał, wysoko unosząc kielich, i odwrócił się do wiernych. Odezwały się organy, poświatę zastąpił punktowy reflektor. Kapłan z kielichem był kobietą, był Margaret Kalińską ze złotą aureolą wokół fryzury, którą Grosz zapamiętał z przedpołudniowej wizyty. Wyznawcy adorowali kielich uniesionymi rękami, którymi poruszali rytmicznie. Kalińska odwróciła się do ołtarza i pogrążyła w modlitwie, naciągnęła kaptur na głowę i wyraźnie na coś czekała, zerkając przez ramię. Liturgia obrzędu utknęła w martwym punkcie. Siedząca w ostatnim rzędzie kobieta odwróciła zagniewaną twarz w stronę otworu w kotarze. Morsztynowa była jak sparaliżowana. Miała spocone czoło i twarz wykrzywioną w grymasie cierpienia. Grosz wyczuł zapach moczu i spostrzegł ciemniejącą pod jej taborettem plamę. Zagniewana kobieta zajrzała za kotarę.

– Graj! – syknęła.

Zakłęcie zadziało. Palce Morsztynowej opadły na klawisze. Z instrumentu popłynął wibrujący dźwięk, który sprawił, że uniesione ręce wyznawców zaczęły ponownie falować, jak trzciny na wietrze. Margaret Kalińska przeniosła kielich w stronę wyciętego w murze krzyża i cofnęła ręce. Kielich przez chwilę wisiał w powietrzu, ignorując

grawitację. Po chwili zaczął znikać w głębi otworu i oślepiającej poświacie. Wibrujący dźwięk organów przechodził w coraz wyższe rejestry. Wymachujący rękami wyznawcy wpadli w trans. Wyszli z ławek i ustawili się za swoją kapłanką. W wypływającej z krzyża poświacie powstał hologram przedstawiający pokrytą szronem kobietą postać w długiej niebieskiej sukni.

– Święta Doroto, podziel nasze troski... – zaintonowała Morsztynowa.

Ręka pokrytej szronem postaci nakreśliła w powietrzu znak krzyża. Wszyscy upadli na kolana, czołami dotykając podłogi.

– Święta Doroto, miej nas w swej opiece teraz i w dniu śmierci...

– Recytatyw Morsztynowej mógł skruszyć najbardziej zatwardziałe serca.

Postać oszronionej świętej się przybliżyła. Z jej twarzy można było odczytać jednocześnie troskę, współczucie i cierpienie. Nieruchome niebieskie oczy patrzyły ponad głowami wiernych w nieodgadnioną przyszłość. Spod powieki świętej wytoczyła się łza i spłynęła po różowym policzku. Rozległy się pojedyncze jęki i szlochy wiernych. Grosz wyszedł na zewnątrz. Gwałtownie potrzebował świeżego powietrza. Dym kadzideł, religijne uniesienie i mistyczny performance Margaret Kalińskiej podniosły mu ciśnienie. Drzwi wyjściowe były zamknięte tylko na klucz tkwiący w zamku. Lipka ze swoim psem zaczynał kolejne okrażenie domu, odgłos otwieranych drzwi kazał mu się zatrzymać. Grosz podszedł do niego.

– Co tu robisz, Lipka?

– Dorabiam sobie, panie komisarzu.

– Komendant wie?

– Wie.

– Na pewno?

– Siostra tu na kuchni robi... A pan jak tu wszedł?

– Ta pani mnie tu zaprosiła. – Grosz wskazał truchtającą w ich stronę Morsztynową.

– To ja... przepraszam...

Sierzant Lipka był spryciarzem, nie chciał się wikłać w coś, co oceniał

jako początek kłopotów. Odszedł w stronę samochodów, do których zaczęli już wsiadać uczestnicy nabożeństwa. W ich ruchach było widać pośpiech i nerwowość. Wiadomość o intruzie dotarła już do wszystkich.

– Mogę zapytać, co pan tu robi? – Morsztynowa starała się przybrać maksymalnie groźny wyraz twarzy, ale w jej oczach był tylko strach.

– Spodobało mi się, chciałbym się zapisać, jeżeli są jeszcze wolne miejsca...

– Proszę opuścić teren, to prywatna posesja, wezwę policję...

– Wykrzywiła się w grymasie, gdy dotarła do niej absurdalność tej groźby.

– Wrócę z nakazem przeszukania budynku, będzie się pani musiała rozebrać do bielizny, jeżeli tak pani na tym zależy...

– Działamy zgodnie z prawem, mamy wszystkie pozwolenia... Czego pan tu szuka?

– Pani chyba nie muszę tłumaczyć...

Stary, zużyty blef zadziałał. Morsztynowa zapomniała, że powinna zamknąć usta. Stała tak przez chwilę jak sroka, która połknęła zbyt wielkiego robala. Przekręciła głowę i jej sztuczne szczęki się domknęły.

– Proszę tu zaczekać – zaskrzeczała.

– Nie powinna pani włożyć czegoś suchego?

Morsztynowa odeszła, gniewnie stukając obcasami. Samochody z uczestnikami mszy jeden po drugim odjeżdżały w pośpiechu. Po kilku minutach parking opustoszał, znowu zrobiło się cicho i zimno. Grosz ruszył do wejścia do pałacu. Od strony bramy nadjeżdżał samochód z migającym kogutem na dachu. Komendant Smolar wyskoczył z samochodu i podbiegł do Grosza.

– Co tu się, kurwa, wyrabia?!

– Spóźniłeś się, już po imprezie...

– To prywatny teren...

– Wjeżdżasz tu jak do siebie.

– Dostałem wezwanie.

– Zawsze przyjeżdżasz, jak ktoś się zleje w gacie?

– Jesteś na prywatnym terenie i masz stąd wypierdalać! Jasne?

– Należysz do tych przebierańców?
– Pokaż nakaz albo wypierdalaj!
– Sam nie dasz rady... zawołaj Lipkę i sprawdzimy, kto ma prawo tu być...

– Decyduje właściciel...
– Twoja Kalińska ma już jeden wyrok, a ja jej załatwię drugi. Nie mogę, niestety, ci obiecać, że dostaniecie wspólną celę.

– Za cienki na to jesteś... Jaki wyrok, co ty ściemniasz?
– Wpieprzasz się między wódkę a zakąskę... Najlepiej będzie, jak sam ją spytasz.

Smolar sięgnął po komórkę i odszedł kilka kroków na bok. Rozmawiał krótko i wrócił do Grosza.

– Masz piętnaście minut... – wycedził przez zęby i ruszył w stronę swojego samochodu, ale zaraz zawrócił. – Za co ten wyrok?

– Seks analny z byłym policjantem.

Smolar szybko tracił zapał do służby prawu.

– Wszyscy się tu z nią liczą, nie mieszam się do polityki, robię tylko to, co mi każą.

– Wyobraź sobie, że wiem, jak jest w policji.

– Gówno wiesz, mądralo! To nie Warszawa, tu jest Polska. Jak brakuje na benzynę do radiowozów, to ona wyklada kasę. Nikt jej tu nie podskoczy.

– Wybierzcie ją na prezydenta.

– Masz kwadrans i grzecznie stąd wypierdalasz, potrafimy sami rozwiązywać swoje problemy...

Smolar wrócił do samochodu i odjechał w stronę bramy. Morsztynowa musiała ich obserwować, bo natychmiast wyszła przed dom i skinęła na Grosza. Poprowadziła go przez hol, schodami w dół, do świątyni. Za kotarą, po prawej stronie były drzwi, których wcześniej nie zauważył. Morsztynowa je otworzyła i dała mu znak ręką, żeby wszedł. Margaret Kalińska siedziała przy małym stoliku i raczyła się naparem z ziół pachnących mokrą ziemią i hibiskusem. Była wyczerpana bliskim kontaktem ze swoim bogiem, nie zdążyła nawet zdjąć szaty liturgicznej

ani zmyć ostrego makijażu, który dodawał jej twarzy wyrazu władczej bezwzględności. Jej wspaniała fryzura okazała się peruką: teraz zsunęła się jej trochę na bok, odsłaniając rzadkie siwe włosy. Pokój, w którym się znajdowali, był mały, bez okna i mebli. Po prawej stronie w murze osadzone były drzwi z kutej blachy, pomalowane na biało, jak całe pomieszczenie.

– Co by pan chciał tu znaleźć? Nasz Kościół działa legalnie, mamy wszystkie pozwolenia, panie komisarzu.

– Podziwiam pani *show*, zupełnie nie rozumiem, dlaczego pani wniosek o rejestrację został odrzucony...

Poprawiła perukę i wbiła w niego wzrok kobry, która za chwilę odbierze mu życie jednym ukąszeniem.

– Mamy mało czasu, proszę go nie marnować.

– Mam kilka pytań... Jak powinienem się do pani zwracać? Ekscelencjo? Eminencjo?

– Jest pan chamem... to bez znaczenia.

– Transcendencja wprowadza mnie zawsze w stan pewnego zakłopotania.

– Jeżeli nie ma pan nic do sprzedania, proszę już iść, bo każę pana wyrzucić.

– Dlaczego zgodziła się pani porozmawiać z chamem?

– Podobno chce pan wstąpić do naszego Kościoła...

– Rozważam to, ale... na początek chciałbym się tu trochę rozejrzeć.

– Grosz wskazał blaszane drzwi.

– Interesuje się pan wentylacją? – Lekceważący uśmiech przemknął po jej twarzy. – Fundamenty budynku są w bardzo złym stanie, walczymy z grzybem i wilgocią... tam jest wentylatornia, komisarzu.

– Szukam też wikarego Tomczyka, znali się państwo, jak sądzę?

Kalińska patrzyła na niego z nieskrywaną pogardą.

– Mógłbym? – Grosz drwiąco powtórzył pytanie, wskazując drzwi.

Skinęła głową. Grosz uchylił drzwi. W sąsiednim pokoju zainstalowano agregat do klimatyzacji, sterowany migającą kolorowymi ledami kontrolką konsolą.

—To prawda, że w Szwajcarii prokurator zarzucił pani wyłudzenie sześciuset tysięcy euro?

– Nie potrafił, niestety, tego udowodnić, prawdopodobnie zatrudniał takich idiotów jak pan.

– Podziwiam panią... Co jest tam dalej? – Grosz wskazał kolejne drzwi.

– Cały system jest kontrolowany drogą radiową, proszę zostawić tu swój telefon, jeżeli chce pan wejść dalej, takie są przepisy.

Grosz sięgnął do kieszeni po telefon. Wyjął baterię i podał ją Kalińskiej. Nacisnął klamkę, ale kolejne drzwi nie ustąpiły.

– Proszę zaczekać, przyniosę klucz... – Kalińska wróciła do pokoju ze stolikiem.

O ułamek sekundy za późno zorientował się, że zamknęła za sobą drzwi. Rzucił się w ich stronę, ale wcześniej usłyszał chrobot klucza. Zamknęła go jak niesfornego psa! Ledy na konsoli zamrugały do niego porozumiewawczo. Przez chwilę szarpał się z drzwiami po jednej i drugiej stronie pokoju. Gruba blacha nie zostawiała cienia wątpliwości – był tam bezpieczny jak w więziennej celi. Wszystko, co przeczytał o Kalińskiej było prawdą. Chciał ją upokorzyć – okazała się sprytniejsza. Nawet trzepnięty wikary Tomczyk wyrzucił ją za drzwi. Ludzie z branży intuicyjnie rozpoznają oszustów. Komisarz Grosz dał się złapać. Koniecznie chciał zobaczyć, jak znika kielich i co sprawia, że święta Dorota płacze.

Szum agregatu zaczął narastać. Z nawiewu pod sufitem zaczęło się wydostawać lodowate powietrze. Z informacji biskupa wynikało, że szwajcarski prokurator oprócz wyłudzenia zarzucił Kalińskiej również nakłanianie sześciu osób do popełnienia samobójstwa. „Wszystko wskazuje na to, że będę na tej liście numerem siedem – pomyślał Grosz. – Ktoś, kto pozwala zamknąć się w lodówce, nie zasługuje na nic lepszego. Biskup obiecał mi żar piekła, nic z tego, zamarznię tu: hierarchowie Kościoła są tacy sami jak politycy, nigdy nie dotrzymują obietnic”.

Ten niezwykle dzień utkwił w pamięci wielu osób. Jak trzęsienie ziemi lub powódź, która zabiera nam dom i wszystko inne, włącznie z nadzieją. Dwie kobiety przez kilka godzin wspólnej jazdy nie odezwały się do siebie ani słowem. W kabinie land rovera słychać było tylko ciepły głos wskazującej drogę nawigacji satelitarnej. Ubrane w futra dwie kobiety podobne były do naburmuszonych sów, które przymuszono do nagłej podróży. O trzeciej nad ranem samochód dotarł do Gdyni, a dwadzieścia minut później zatrzymał się na końcu kolejki pojazdów czekających na wjazd na prom do Karlskrony. Po lewej stronie widać było smolistą powierzchnię lekko wzburzonego morza i grzywy fal rozbijających się o falochron. Margaret Kalińska podała Marii Morsztynowej swój paszport, do którego wetknęła kilka banknotów.

- Odbierz bilety w kasie, rezerwacja jest na twoje nazwisko.
- Wstydzisz się już swojego? – syknęła w odpowiedzi Morsztynowa.
- Nie bądź bezczelna! Zastanów się, kto mu powiedział?
- Jakie to ma znaczenie? Znowu mnie oszukałaś.
- Lubisz być oszukiwana i chętnie bierzesz za to pieniądze.

Morsztynowa z gracją zbankrutowanej kapłanki podreptała w stronę pawilonów przystani. Kalińska odprowadziła ją wzrokiem pełnym głęboko uzasadnionej pogardy. Wyjęła z torebki złotą papierośnicę, z niej ręcznie zwiniętego papierosa i umieściła go w cygarnicze. Głęboko zaciągnęła się dymem i przymknęła oczy. Ta ucieczka była błędem. Przegrała ze strachem. Ktoś ukradł jej tajemnicę. Ten policjant umrze z zimna i głodu, nie zabierze jednak ze sobą tajemnicy. Ludzie się dowiedzą. Kiedy wiedzą, przestają wierzyć. „Bóg się na mnie gniewa, mimo że pragnę Jego chwały. Jestem już za stara, żeby znowu uciekać. Co mam robić? Ta chciwa suka też mnie zdradzi, jak się skończą pieniądze. Gdyby zdechła lub wpadła do morza, byłby to dowód, że moja patronka czuwa jeszcze nade mną. Święta Doroto, pocieszycielko strapionych, miej mnie w swojej opiece... Ustrzeż mnie, służebnicę twoją, przed zawiścią papistów, heretyków i liberałów”.

Rozdział XI

Ambitny plan Marty Czapskiej, aby w całości przespać pierwszy dzień niespodziewanego urlopu, zakończył się porażką już po ósmej. Po raz pierwszy od tygodni nic się jej nie śniło, nie musiała się spieszyć i miała czas na śniadanie. Pół godziny w wannie wykorzystwała na wyrwanie kilku siwych włosów i lekturę broszury „Poznaj swój kraj”, dołączonej do weekendowego wydania gazety. Zaraz po śniadaniu postanowiła wyjechać z miasta. Skoro prezesa Alerta wysłano na sześciotygodniową obserwację psychiatryczną, to jej też coś się należało. Odkryła, że coraz częściej rozmawiała z anonimowymi ludźmi w Internecie, a zanedbywała bliskich, ulegała złudzeniu istnienia lepszego świata. Od dawna chciała spędzić dzień lub dwa w miejscu, w którym czas się zatrzymał. Gdzie ludzie nie mieszkali w takich betonowych bunkrach jak jej blok. Chciała zobaczyć kwiaty w ogródkach i ulice bez McDonalda, i wszechobecnego zapachu frytek i kebabu. Świata bez telewizji, mediów społecznościowych i kredytów hipotecznych. Wybór Kazimierza nad Wisłą wydał się jej mało ambitny. Wołała Tykocin i obiad w karczmie w Kiermusach. Już kiedyś tam była i zawsze chciała tam wrócić.

Za Ostrołęką odkryła, że jej plan nie spełniał wszystkich kryteriów radykalnej odmiany. Ponad wszystko nie chciała oglądać ludzi. Słyszeć gwaru, knajpianych śmiechów i tej szczególnej aury autokarowych wypraw integracyjnych. Musiało to być coś małego, na uboczu. Bez mogących zepsuć wszystko niespodzianek. Gdzie nie trzeba się malować i gdzie przez cały dzień można chodzić w dresie.

Dostępu do tego miejsca strzegł rudy kot, który leżał dokładnie w tym samym miejscu kontuaru, gdzie widziała go ostatnio. W recepcji pensjonatu Żuraw pachniało świeżą farbą, poza tym nie zaszły tu żadne

zmiany. Marta nacisnęła przycisk dzwonka. Natalia Sobolewska zjawiała się prawie natychmiast.

– Cześć... – Na jej twarzy radość zmagiała się ze strachem i zaskoczeniem.

– Wyluzuj, przyjechałam zupełnie prywatnie – uspokoiła ją Marta.

Natalia zaprowadziła ją do pachnącego modrzewiem pokoju z zapierającym dech widokiem na rzekę. Marta od razu postanowiła pójść na spacer. Natalia zaproponowała jej herbatę z domowym ciastem i kieliszek nalewki. Rozmawiały ze sobą, jakby się znały od lat, ustaliły, że kolację zjedzą o szóstej. Po powrocie do pokoju Marta rozpakowała plecak i w ubraniu wsunęła się pod kołdrę. Cisza, powietrze, nalewka na miodzie – w dowolnej kolejności pozwalają nam uświadomić sobie, jak czułym kochankiem potrafi być sen.

Obudziły ją dźwięki, których nie była w stanie zidentyfikować. Nie potrafiła też określić, gdzie się znajdowała, dlaczego nie była w swoim mieszkaniu, dlaczego łóżko, w którym leżała, było tak duże i dlaczego tak bardzo bolała ją głowa. Uniosła się na poduszce. Światło wschodzącego słońca sączyło się przez firanki, w pokoju panował półmrok. Obok leżała ludzka głowa przysłonięta gęstwiną długich włosów. Ruchem wyćwiczonym na zajęciach z patologii dotknęła ciała w okolicy tętnicy szyjnej. Pulsowała, skóra była ciepła i delikatna. To sen... Jednocześnie uświadomiła sobie, że kakofonia dźwięków to śpiewne popisy ptaków za oknem. Jeden, najmniej utalentowany, odstawał solówkę, która wybijała się na pierwszy plan. Ten dźwięk odstawał od pozostałych i wydobywał się tuż obok. Na podłodze leżały jej spodnie i bielizna. W spodniach wibrował telefon. Wygrzebała go i odebrała połączenie. Rozpoznała głos Władka, starała się uważnie słuchać tego, co do niej mówił. Rozumiała słowa, ale nie potrafiła ich połączyć w cokolwiek znaczące zdania. Władkowi zdarzało się upić, więc nie przejęła się tym zbytnio.

– Słabo cię słyszę, oddzwonię do ciebie za chwilę.

Leżąca obok głowa odwróciła się w jej stronę.

– Coś się stało? – spytała Natalia.

– Co ja tu robię? – odpowiedziała Marta.

– Chciałaś obejrzeć film...

Na wprost łóżka stał telewizor, którego wcześniej nie zauważyła.

– Co było wcześniej?

– Kolacja.

– Piłyśmy coś?

– Gadałyśmy.

– O czym?

– O dzieciach i facetach.

– Ja nie mam dzieci.

Natalia dotknęła palcami jej policzka i pocałowała ją.

– Kiedyś będziesz miała...

– Co piłyśmy?

– Ty piłaś nalewkę na miodzie...

– A ty?

– Nie mogę teraz pić... Boli cię głowa? – Natalia przytuliła Martę do swoich piersi.

Ból złagodniał, ale powrócił niepokój. Obie były nagie.

– Coś robiłyśmy?

– Co masz na myśli?

– No, wiesz...

Natalia pocałowała ją w usta i przytuliła. To było nawet miłe. Odwzajemniła pieśczoć. Natalia delikatnie popchnęła ją na poduszkę i przesunęła dłoń po jej brzuchu.

– Zaczekaj... muszę się trochę umyć. Robiłyśmy to?

Natalia się uśmiechnęła.

– Niby co?

Mocny, na zmianę zimny i gorący prysznic pomógł jej wytrzeźwieć, ale pamięć ciągle szwankowała. Pamiętała kolację: był pieczony bażant lub kuropatwa. Natalia nie chciała pić wina. Dlaczego nie chciała? „Nalewała mi, ale sama nie piła. Jest lesbą? Raczej nie, miała przecież tego księdza i tego od ślimaków. Do cholery z tym! Czego chciał Władek? Szukają Grosza... Nie mogę mu pomóc, nie wsiądę teraz do

samochodu. Dlaczego powiedziałam Natalii, że nie mam dziecka? Bo nikt nie wie, że mam. Bo nie mam. Zabrali mi je. Tylko Grosz wie jak jest. Nakłamałam mu, że oddałam do adopcji, bo to jest mniejszy wstyd, niż to, że mi zabrali, bo nie potrafiłam go utrzymać. Moja sprawa, mój ból. To ta kurewska nalewka! Po winie była nalewka, dlatego pęka mi łeb. Ale jestem na urlopie, wszystko mi wolno”. Spływająca po niej woda przynosiła ulgę, piła ją łapczywie, żeby ugasić pożar w żołądku. „Może coś było w tej nalewce? Pijackie gadanie! Natalia uprzedzała, że to miejscowy bimber i żeby uważać”. Pamięć wracała powoli. Wytarła się ręcznikiem i wróciła do sypialni. Pachniało kawą. Natalia przyniosła sok, aspirynę i kilka kawałków swojego ciasta.

– Przepraszam cię, ale się upiłam, kręci mi się w głowie.

– Nie masz za co przepraszać, to był wspaniały wieczór, brakuje mi tu rozrywki...

Marta wrzuciła musującą aspirynę do wody i posłodziła sobie kawę.

– Dlaczego ty nic nie piłaś?

– Mówiłam ci, jestem w ciąży. – Natalia podeszła do niej i zaczęła suszyć jej włosy elektryczną suszarką. Była ubrana tylko w szlafrok, który nic nie zasłaniał.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że z nim?

– Twój telefon znowu dzwonił.

Marta sięgnęła po komórkę, odczytała wiadomość i nawiązała połączenie.

– To ja, Władziu... Jak mnie słyszysz?

– Przepraszam, zupełnie zapomniałem, że masz wolne, nie nadaję się już do tej roboty... – tłumaczył się Jawor.

– Powiedz szybko, co się dzieje.

– Ktoś porwał Grosza... Znaleźli jego samochód w tym Kamocku, nie wrócił do domu i nie można się do niego dodzwonić.

– Jak mogę pomóc?

– To nie koniec złych wiadomości. Wiesz, gdzie jest Turczynek?

– Pojęcia nie mam.

– Między Toruniem a Brodnicą, jest tam odwyk dla narkomanów,

wczoraj kilka minut po północy ktoś zamordował tam młodą dziewczynę.

– Dlaczego powinnam o tym wiedzieć?

– Tej nocy był tam Tomczyk.

– O kurwa!

– Próbował uciekać, ale go dorwali. Nie ma przy sobie dokumentów, ktoś musi potwierdzić jego tożsamość.

– Mogę tam być jutro.

– Ten świr może coś wiedzieć o Groszu.

– Niby jak?

– Grosz wieczorem spotkał się z kimś w tym Kamocku, wcześniej rozmawiał z biskupem, który twierdzi, że Grosz miał zamiar wrócić do Warszawy.

– Oddzwonię do ciebie, Władziu. – Marta odłożyła telefon i wypła łyk kawy.

– Stało się coś? – spytała Natalia.

– Weźmiemy mój samochód... zawieziesz mnie do Turczynka.

– Co ciekawego jest w tym Turczynku?

– Mają tam izbę zatrzymań, siedzi w niej ojciec twojego dziecka, potrzebny jest ktoś, kto potrafi go zidentyfikować.

– Znowu kogoś zabił?

– Podejrzewają go.

Natalia myślała intensywnie, zagryzając wargi.

– Dobra, pojedę.

– Jeżeli chcesz mu napluć w twarz lub wbić nóż w serce, to nic z tego.

– Robię to dla ciebie, nie muszę go oglądać. – Położyła dłoń na ramieniu Marty i przyciągnęła ją do siebie. – Co chcesz na śniadanie?

– Mogę tylko pić...

– Mam sok z kiszonych ogórków, dobrze ci to zrobi, tu wszyscy się tym raczą na śniadanie.

Marta delikatnie odsunęła się od niej.

– Mam wolne pierwszy raz od trzech lat, dlaczego wszystko tak mi się pieprzy w tym zafajdanym życiu?

- Moja matka uważa, że przyciągam popapranych facetów.
- Wszyscy faceci są popaprani.
- Nieprawda, problem polega na tym, że ci fajni są zwykle żonaci.
- Znam fajnego faceta, który nie jest żonaty.
- Na co czekasz?
- Olewa mnie.
- Ty nic nie rozumiesz, dziewczyno. Facet, który cię olewa, nie jest fajny, jest popaprany.
- Daj mi tego soku, bo zdechnę... - Chociaż przez chwilę chciała być sama.

Silniejszy od bólu głowy okazał się niepokój o Grosza i bezradność. „Nie powinnam tu przyjeżdżać, ci wszyscy ludzie mogą być w zмовie. Jak mogłam być taką idiotką? Nam się tylko wydaje, że mamy nad nimi przewagę. Ta nimfomanka próbuje mnie od siebie uzależnić, wczoraj wyciągnęła ze mnie wszystko i teraz wykończą nas sztuka po sztuce. Co mogłam jej powiedzieć? Nic z tego nie rozumiem!”

Natalia wróciła ze szklanką mętnego soku.

„Pewnie, kurwa, trucizna” – pomyślała Marta, ale pragnienie było silniejsze. Słona, zimna breja przyniosła ulgę. Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Natalii. „Muszę ją mieć na oku, nie znajdę tu innego kierowcy”.

Pół godziny później były już na szosie. Natalia prowadziła szybko i pewnie. Marta, walcząc z ogarniającą ją sennością, próbowała zrozumieć, skąd czerpią siłę do życia ludzie, którzy upijają się co wieczór.

Rozdział XII

Obudził go kaszel. Potrząsał nim jak żebrak swoją puszką. Dygotał z zimna. Zerwał się z podłogi. Zaczął wyrzucać ręce nad głowę i energicznie ćwiczyć przysiady. Po kilku minutach poczuł ciepło i odzyskał pamięć. Tym razem to nie był sen. Dał się złapać jak kogut na niedzielny rosół. Największe zagrożenie stwarzał pracujący klimatyzator. Ostrzem scyzoryka odkręcił śruby blaszanego panelu obudowy i próbował znaleźć sekcję sterowania, aby wyłączyć urządzenie. Klimatyzator tłoczył zimne powietrze do pomieszczenia za ścianą. Ciepło wytwarzane przez sprężarkę było odprowadzane aluminiową rurą do kanału wentylacyjnego pod sufitem. Nie był w stanie zrozumieć, po co ktoś schładzał zimną piwnicę. „Jeżeli zrobi się tu zbyt zimno, zerwę izolację z aluminiowej rury i potraktuję ją jak grzejnik”. Oba kanały były zbyt wąskie, aby je wykorzystać jako drogę ucieczki. „Nikt nie wie, że tu jestem. W tej temperaturze mogę nie przetrwać tu do rana”.

Wrócił do drzwi, które zamknęła Kalińska. Ostrzem scyzoryka zdrapał tynk na wysokości zamka. Drzwi osadzone były w ścianie z ciosanych gładów. Pułapka, w której się znalazł, była wykonana solidnie. Drugie drzwi, prowadzące do pomieszczeń za ołtarzem, osadzono w ścianie z cegły. Ściana nie była gruba, ale ostrze scyzoryka było zbyt krótkie, aby przebić ją na wylot. Wrócił do klimatyzatora. Odkrył, że urządzenie zasilane jest prądem 380 V, a strumień zimnego powietrza może być skierowany również do pomieszczenia, w którym się znajdował. Hydrauliczne siłowniki poruszały półtorametrowe sztaby, które odchyłały kłapy sterujące strumieniem powietrza. Umocowane były na krótkich ośkach zabezpieczonych stalowymi zawleczkami, które dały się usunąć przy pomocy scyzoryka. Grosz chwycił oburącz sztabę i szarpnął. Dała się odłączyć.

Po raz pierwszy dzisiaj był z siebie dumny. Trzymał w rękach półtorametrowy łom, który utoruje mu drogę na zewnątrz. Pozbawiona oparcia kłapa wentylacyjna opadła z cichym westchnieniem uszczelki. System przekierował nadmuch zimnego powietrza do wnętrza. „Wcale nie jesteś taki sprytny, Grosz. Nie możesz tak stać z rozdziawioną gębą, za chwilę będzie tu Syberia. Wychłodziś się i zaśniesz. Jeżeli nie weźmiesz się w garść, szczury zeżrą cię na śniadanie”.

Wrócił do drzwi. Łom spisał się znakomicie. Po kilkunastu uderzeniach cegła wypadła z muru. Powietrze za ścianą było jeszcze zimniejsze niż po tej stronie i cuchnęło chemikaliami. Po kilkunastu minutach kucia Grosz wyłuskał z muru drugą cegłę. Wsunął w otwór rękę, aby odnaleźć zamek; zasuwa ustąpiła lekko i bezdźwięcznie. Miał świadomość, że nie była to droga ucieczki. Za drzwiami nie było kolejnego pomieszczenia. Był wąski, opadający stopniami w dół, zagięty w prawo korytarz. Czuł, że traci siły, kucie muru go wyczerpało, zaczął mu doskwierać głód, ale chęć poznania kulis teatru Kalińskiej była silniejsza. Korytarz kończył się owalną salą z surowej cegły, z gwiazdzistym sklepieniem, jak w średniowiecznych piwnicach. Po prawej stronie wisiała kotara. Przed nią stał pulpit z laserowym rzutnikiem, który zapewniał Kalińskiej oprawę scenograficzną. Odślonił kotarę – maskowała przesuwane szklane drzwi, za którymi widać było wycięte w kształcie krzyża przejście do sali ceremonialnej. Stojący obok kran wysięgnik kamerowy unosił prawdopodobnie kielich w końcowej części mszy. Środek sali zajmowało coś w rodzaju katafalku, przykrytego czarnym pluszem.

„Dlaczego ludzie chcą jeszcze wierzyć w takie rzeczy? Jak Kalińska potrafi na tym zarabiać? Dlaczego ja się nad tym zastanawiam? Muszę znaleźć sposób, jak stąd wyjść i wrócić do domu. Ludzie mają prawo wierzyć we wszystko, nawet w to, że politycy pragną ich szczęścia. Ja mam obowiązek posługiwania się rozumem. Nie byłoby mnie tu, gdybym o tym pamiętał”.

– Jestem idiotą. Idiotą! – krzyknął i kopnął z całej siły w katafalk.

Kopnięcie wprawilo katafalk w nienaturalną wibrację, którą wyczuć

można było tylko przez dotyk. Jednym szarpnięciem ściągnął plusz. Materiał okrywał chłodziarkę, bardzo podobną do tych w sklepach, ze szklaną szybą, przez którą widać zawartość. W chłodziarce leżała młoda kobieta, ta sama, która w niebieskiej sukni objawiła się w trakcie mszy. Nie żyła od dawna, ale jej ciało zachowało się w zdumiewająco dobrym stanie. Makijaż na twarzy był całkiem świeży. Ktoś, kto jej dokleił sztuczne rzęsy, znał się na swojej robocie. Niebieskie oczy nienaturalnie odbijały światło. Oka nie da się zabalsamować. Do oczodołów włożono szklane repliki, tak dobre, że można było odnieść wrażenie, że dziewczyna wciąż żyje. Na szyi nie było śladu plam opadowych ani stężenia pośmiertnego. Spod trzy razy owiniętego sznura pereł prześwitywał ślad otarcia na wysokości kości gnykowej, zbyt głęboki, aby ukryć go pod warstwą pudru. Grosz widział zbyt wiele zwłok, aby się mylić. Ktoś bardzo dbał o wygląd tego trupa. Niebieska suknia przywoływała postać, którą Grosz już gdzieś widział. Oczywiście! Jej portret wisiał w nawie kościoła w Kamocku! W chłodziarce leżał sobowtór świętej Doroty! Było mu niedobrze z głodu, ale niedorzeczność tego odkrycia wywołała gwałtowną aktywność ślinianek. Czuł, że za chwilę zwymiotuje. Dziewczyna w trumnie miała nie więcej niż dwadzieścia lat. „Dlaczego umarła i kiedy zdążyła zostać świętą? W tej okolicy mieszka stanowczo za dużo wariatów. Wikary ze skłonnością do autodestrukcji, który próbował rozjechać Marcina, i dwie wiedźmy, które pokazują fanatykom zabalsamowanego trupa w wersji 3D”.

Grosz przeczytał w encyklopedii, że polska święta Dorota umarła pięćset lat temu w celi kościoła w Kwidzynie, gdzie kazała się żywcem zamurować. Dziewczyna w chłodziarce nie żyła najdalej od roku. Jak tu trafiła i kim była, kiedy żyła? Jeżeli nie uda mi się stąd wyjść, nigdy się tego nie dowiem. „Za kilka dni Strumiłło wystąpi do ministra z wnioskiem, aby mój pogrzeb odbył się na koszt państwa, z asystą policyjnej orkiestry. Mój problem polega na tym, że jeszcze nie chcę umierać. Ta sprawa zaczyna mnie wciągać. Wikary Tomczyk prawdopodobnie nie jest idiotą. Mógł tylko pozorować konflikt

z Kalińską. Wikary był małym trybikiem wielkiej korporacji. Mógł dojść do wniosku, że problemy wizerunkowe, spadek powołań i słaby marketing Kościoła stanowią zagrożenie dla jego przyszłości. Zaczął od zakwestionowania celibatu. Prawosławni i protestanci uważają to za dziwactwo. Uznał, że przyszłość należy do rynkowo aktywnych form ewangelizacji. Pewien zakonnik z Torunia prowadzi radio, które słyszą aż na Uralu. Uruchomił stację telewizyjną i aquapark. Oczyszcza duszę i ciało, dzięki czemu jego interes ma się całkiem dobrze. Hipoteza, że Kalińska i Tomczyk wpadli na podobny pomysł, jest całkiem prawdopodobna. Oczyszczone w aquaparku dusze trzeba nakarmić. Ludzie potrzebują i zawsze będą potrzebowali wiary. Nawet całkowicie świecka w założeniu Unia Europejska umieściła na swojej fladze aureolę Matki Boskiej. Popyt na wiarę ciągle jest niezaspokojony. Stara doktryna nawołująca do życia w ascezie i grzechu pierworodnym stała się nieatrakcyjna. Ludzie poszukują teraz wiary interaktywnej i multimedialnej. Bez upokarzającego wyznawania grzechów i jakiejś wioskowej pokuty. Kalińska odkryła, że w epoce supermarketu wiara powinna kojarzyć się z przyjemnością i relaksem. Tak jak talent show czy telenowele. Poszła o krok dalej niż czarni twórcy gospel. Do archaicznej doktryny wprowadziła ożywczy nurt fantasy i multimedia. Trzeba być takim idiotą jak Smolar, żeby nie zauważyć, że fundacja Kalińskiej to zwykła sekta. Marki samochodów na parkingu każą sądzić, że wyznawcy Kalińskiej to ludzie zamożni, z silnie rozwiniętą potrzebą obcowania z liberalnym Bogiem, który akceptuje ich słabości. Nie potępia i nie wyklucza: rozwodników, związków partnerskich i jednopłciowych. Współczesnej arki Noego, która uchroni swoich wyznawców przed Armagedonem. Dogmaty są *passé*, ale cuda i relikwie muszą istnieć. Wychodzimy naprzeciw oczekiwaniom znudzonych burżujów, niczego nie narzucamy, podnosimy samoocenę do poziomu, na którym zaczyna się nam wydawać, że już sami jesteśmy bóstwem. Sztuka zarządzania transcendencją to przede wszystkim właściwe określenie wysokości wpisowego i wpłat na fundusz zbawienia. Przynajmniej ja bym tak zrobił, gdybym był kaznodzieją” – pomyślał

Grosz.

Przykrył chłodziarkę pluszem i wrócił do pomieszczenia z klimatyzatorem. Było tam przeraźliwie zimno. Spróbował włożyć sztabę tam, gdzie tkwiła wcześniej, i zamknąć nawiew zimnego powietrza. Nie udało mu się to, ale kłapa sterującą przepływ powietrza wróciła do poprzedniego położenia. Zimne powietrze przestało napływać. Przebił ostrzem szczyryka izolację rury wentylacyjnej. Smrodliwe, ale dające odrobinę ciepła powietrze zaczęło płynąć do wnętrza.

„Z głodu umrę dopiero za kilka dni, to szansa dla ludzi, którzy się uważają za moich przyjaciół. Jutro powinni zacząć mnie szukać, chyba że wiadomość o moim zniknięciu przyjęli z ulgą. Kogo obchodzi socjopatyczny, zrędlivy stary zgred, który nie akceptuje rzeczywistości i wpięprza się w życie ludzi otoczonych szacunkiem i uznaniem? Cóż złego w tym, że dwie egzaltowane panie przechowują w piwnicy zabalsamowanego trupa? W demokratycznym kraju wolni ludzie mają takie samo prawo do obcowania ze swoim bóstwem jak wielbiciele Kim Ir Sena czy Lenina. Bóstwa są przedmiotem kultu milionów ludzi. Próby usunięcia ich mumii uważa się za świętokradztwo. Po jaką cholere ja tu włazłem? Olewam, co będzie ze mną po śmierci, teraz gotów jestem zostać nawet świadkiem Jehowy za kawałek chleba z kiełbasą. Co ja gadam? Może być sam chleb! Jeszcze nigdy nie byłem tak głodny!”. Przypomniiał sobie wykłady z patologii. Po zajęciach na stołówce wszyscy patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Jedli jak wygłodzone wilki. Obcowanie ze zwłokami wzmacnia apetyt. To samo zauważył, kiedy zaczął bywać w prosektorjach, tam też ciągle ktoś coś podjadał.

Kłapa klimatyzatora opadła z łoskotem. Znowu poczuł na twarzy podmuch polarne go powietrza. Popchnął łomem kłapę tak, aby wróciła na swoje miejsce, ale tym razem się nie udało. Krew odpłynęła mu z uniesionych ramion i manipulowanie łomem było coraz mniej precyzyjne. Doszedł do wniosku, że musi stanąć trochę wyżej. Oparł lewą stopę o metalową puszkę wystającą z korpusu urządzenia. Przeniósł

na nią ciężar ciała i uniósł łom. Spod stopy błysnął niebieski płomień zwarcia elektrycznego. Towarzyszył mu odgłos implozji i zapach zjonizowanego zwarciem powietrza, do którego dołączył smród palonej podeszwy buta. Zeskoczył na podłogę. But przywarł do urządzenia, lądując na podłodze Grosz stracił równowagę. Uderzył głową w klimatyzator i upadł na plecy. Piekła go oparzona stopa i czuł, jak rośnie mu guz na głowie. Światło zgasło wcześniej, leżał przez chwilę w ciemnościach, próbując ocenić sytuację. Był cały i mógł się poruszać. Przeczłogał się na drugą, cieplejszą stronę klimatyzatora i zwinął w kłębek, aby tracić jak najmniej ciepła. Blasowany fragment obudowy, który odkręcił wcześniej, oparł o korpus urządzenia, tak że tworzył nad nim rodzaj daszku, osłony przed zimnem.

„Muszę odpocząć, za nic nie wolno mi zasnąć... Jeżeli chcę przetrwać, nie mogę zasnąć” – powtarzał w myślach. Powiew lodowatego wiatru sprawił, że odwrócił głowę w stronę korytarza. Na progu stała święta Dorota w swojej niebieskiej sukni, z uśmiechem na bladej twarzy i wyciągniętą w jego stronę drżącą ręką. Jej dłoń zacisnęła się na łodydze czerwonej róży. Kolce wbiły się w ciało. Grosz podszedł do niej, zauważył kroplę krwi spływającą po łodydze i rozpryskującą się na kamiennej podłodze. Spróbował wyjąć różę z jej dłoni, ale jej palce były sztywne z zimna i nie dały się odgiąć. Otoczył je swoimi dłońmi i zaczął na nie chuchać. Dziewczyna zarzuciła mu na szyję drugą rękę. Poczul dotknięcie bryły lodu, ale w skroniach czuł ogień. Dłoń ściskająca różę rozwarła się, kwiat upadł na podłogę. Krople krwi wypłynęły z miejsc zranionych przez kolce. Grosz odruchowo całował te miejsca. Krew świętej była słodka jak likier. Spojrzał na nią, zdumiony tym odkryciem. Opuściła powieki i pocałowała go w usta. Poczul zawrót głowy, ale odwzajemnił pocałunek i objął ją. Nie zauważył kiedy unieśli się nad ziemię i przeniknęli przez mur piwnicy. Jej niebieska suknia łopotiała na wietrze jak ogon komety. Obejmował ją z całych sił, również dlatego, że obawiał się upadku na coraz bardziej odległą ziemię. Jej dłonie pieściły jego twarz i włosy. Jej język dostarczał mu rozkoszy, jakiej nigdy wcześniej nie doznał.

Kiedy przelatywali nad kościołem w Kamocku, odezwał się dzwon. Każde uderzenie wprawiało ich ciała w wibrację. Przed budynkiem plebanii zauważył proboszcza Bonikowskiego. Wybiegł na dziedziniec w rozpiętej sutannie, spod której wystawały białe kalessony. Pozdrowiał szybującą parę, machając ręką. Jak ich dostrzegł na rozgwieżdżonym niebie i dlaczego akceptował jego grzeszną bliskość ze świętą? Świętej Dorocie chyba nawet zależało, żeby to podkreślić. Owinęła swoją nogę wokół jego uda. Ich ciała przywarły do siebie i stały się bardziej wyuzdanie aerodynamiczne. Nadużywany przez poetów związek frazeologiczny „płonać z miłości” był w tej chwili najlepszym określeniem stanu umysłu Grosza. Pamiętał swoje wcześniejsze miłości, nigdy jednak ich siła nie zdołała pokonać grawitacji. Wieża kościoła zniknęła za horyzontem, ale dźwięk dzwonu stawał się coraz bardziej natarczywy. Grosz oderwał usta od ust świętej Doroty i spojrzał za siebie. Zniknęło wszystko, nawet gwiazdy. Była tylko ciemność. Ciało świętej się zdematerializowało. Kiedy spróbował je przytulić, okazało się, że obejmował sam siebie, chroniąc się przed zimnem. Siedział na czymś twardym, co uwierało go w tyłek. „Jednak zasnąłem!”. Ból rozczarowania był bardziej dotkliwy niż zimno, które nim wstrząsało. Tuż obok rozległ się łomot, który wcześniej interpretował jako kościelny dzwon. Ktoś po drugiej stronie próbował rozwalić żelazne drzwi. Uderzał w nie łomem, potem młotem, aż zapadła cisza.

– Grosz! Jesteś tam?

Rozpoznał głos Smolara. Wstał z podłogi i po omacku podszedł do drzwi.

– Znajdź tę babę, Smolar, zanim dobię ci się do dupy...

– Pirotechnik przyjechał. – Usłyszał głos Władka. – Mówi, że może wysadzić te drzwi, jak masz się tam gdzie schować.

– Niech wysadza. Sprowadź, Władziu, prokuratora i patologa, mamy tu pięknego trupa.

– Czerwińska Elżbieta, prokurator rejonowy! – przerwał im piskliwy sopran niedowartościowanej kobiety. – Nie zgadzam się na żadne wysadzanie, nieruchomość jest w rejestrze zabytków, musi pan tam

jeszcze chwilę wytrzymać, komisarzu. Co to za trup?

– Młoda dziewczyna, około dwudziestu lat...

– W jakim stanie są zwłoki?

– Ktoś je zabalsamował.

– Co to znaczy „zabalsamował”?

– Usunął z ciała wszystkie narządy wewnętrzne i płyny fizjologiczne, potem wypełnił tętnice gliceryną i związkami potasu... Nic już pani nie pamięta z patologii?

– Proszę sobie darować te komentarze!

Rozbłysło światło, chwilę później Grosz usłyszał wysoki dźwięk pracującej szlifierki. Tarcza tnąca pokonała dwie warstwy blachy i ukazała się po stronie Grosza: to już na pewno nie był sen. Snop iskier opadł na podłogę i szybko się utlenił, wydając charakterystyczny zapach. W snach nie występują zapachy. Wszystko, co się tu wydarzyło, było realne. Drzwi się otworzyły. Ostatnie kilkanaście godzin musiało pozostawić na twarzy Grosza traumatyczne piętno, bo Smolar i pani prokurator przyglądali mu się z grymasem zakłopotania i dezaprobaty na twarzach. Tak patrzy się na ludzi, którzy zjawiają się nieproszeni, jak ubodzy krewni. Burzą błogi spokój i przywożą problemy...

Rozdział XIII

Marta spała przez całą drogę, tylko chwilami udawała, że śpi. Nie miała ochoty na rozmowę. Natalia była dobrym kierowcą, co kilka minut zerkała w lusterko, aby sprawdzić, co dzieje się z Martą. Ze słuchawki wetkniętej w jej ucho sączył się głos Patricii Kaas, przerywany wiadomościami i prognozą pogody. Jechały na wprost wędrującej z zachodu burzy, która dotarła już w okolice Torunia i Bydgoszczy. Marta nie czuła już wypitego w nocy alkoholu. Kac, który ją dręczył, miał podłoże egzystencjalne. Pierwszy od lat urlop skończył się nagle i dość traumatycznie. Budowana przez lata świadomość, że wreszcie była samodzielna i niezależna, okazała się złudzeniem. To tylko pozory. Zachowywała równowagę wyłącznie dlatego, że nie miała czasu na myślenie o sobie, a zamiast szminki i pudru nosiła rewolwer i kajdanki. Prywatnie była ćmą, pragnęła światła, ale zabijała ją temperatura żarówki. Zaledwie kilkanaście godzin wystarczyło, aby zdemaskować jej bezradność wobec życia i samotności, która miała być lekarstwem, a okazała się trucizną. Powierzyła Natalii wszystkie swoje sekrety, jakby się znały od lat. Najgorsze jednak było to, że nadal była pod jej urokiem i wstydziła się do tego przyznać, niezależnie od tego, co mogło się między nimi wydarzyć. Pierwszym wrażeniem, jakie dotarło do niej, kiedy się obudziła, była chęć objęcia dziewczyny i długiego pocałunku. Na szczęście ból głowy okazał się silniejszy, chwilę później nie miała już ochoty z nikim się całować. Teraz zastanawiała się, czy w ogóle byłaby w stanie coś takiego zrobić.

Kilka minut po jedenastej zadzwonił Grosz, chciał wiedzieć, czy była już po identyfikacji. Marta próbowała się dowiedzieć, co się z nim działo, ale Grosz nie miał ochoty na zwierzenia, powiedział tylko, że odwołuje ją z urlopu i jutro o dziewiątej mają zebranie w sprawie

Kamocka. Burza była już bardzo blisko. Kiedy wjeżdżały do Rogowa, pierwsze krople deszczu uderzyły w dach samochodu. Chwilę później zaczął padać grad wielkości golfowych piłek. Natalia zatrzymała samochód i odwróciła się do Marty.

– Jesteśmy na miejscu. Jak się czujesz?

– Dobrze, nic mi nie jest.

– Nie zostawiaj mnie z nim samej, boję się, wszystko się we mnie trzęsie...

– Wyluzuj... Jak będzie trzeba, to go zastrzel!

Natalia spojrzała na nią z niedowierzaniem, ale też z wdzięcznością. Marta znowu miała ochotę ją pocałować.

Policyjny pies odnalazł wikarego Tomczyka w lesie, około trzystu metrów od Ośrodka Terapii Uzależnień w Turczynku. Policjanci zastanawiali się, jak udało mu się przebyć taką odległość ze sparaliżowaną lewą połową ciała. Część dystansu pokonał, wspierając się na grabiach ogrodniczych, które znalazł w pobliżu szopy, gdzie znaleziono zwłoki ofiary. Drzewce grabi się złamało i ostatnie kilkadziesiąt metrów Tomczyk czołgał się, aby oddalić się od miejsca zbrodni. Kiedy pies zaczął nad nim szczekać, oznajmiając o swoim znalezisku, Tomczyk bezdźwięcznie poruszył ustami, stracił mowę. Zawieziono go na oddział neurologiczny szpitala w Rogowie, gdzie zajął się nim doktor Nowaczyk. Zgodził się na widzenie, pod warunkiem że Marta nie będzie próbowała rozmawiać z wikarym. Pilnujący księdza policjant też chciał zaistnieć przed dziewczynami i nie zgodził się na wejście Natalii. Marta zadzwoniła do Strumiły. Po kilku minutach odezwała się radiostacja policjanta i zakaz gorliwca przestał obowiązywać.

Pierwsza weszła Marta. Tomczyk był preraźliwie blady. Do ciała przyklejono mu kilkanaście receptorów aparatury diagnostycznej. Miał otwarte oczy, z kącika wykrzywionych w grymasie oblędu ust sączyła się ślina – jedyna oznaka tlącego się w ciele wikarego życia. Marta

poprosiła, żeby Natalię ubrano w czepek i fartuch pielęgniarki. Kiedy podeszła do łóżka i pochyliła się nad nim, po chwili Tomczyk westchnął ciężko, z wielkim wysiłkiem uniósł prawą dłoń i zasłonił oczy. Jego ciałem wstrząsnął szloch, spod dłoni wypłynęła łza, po niej następna i kolejne. Doktor Nowaczyk poprosił, żeby wyszły na korytarz.

– Kim pani jest dla niego? – spytał Natalię, kiedy znaleźli się na korytarzu.

– Kochanką...

– Obudziła go pani ze śpiączki, marnie już z nim było.

– Co mu jest?

– Trudno powiedzieć. Ma dobrą morfologię, płuca i serce w porządku, obserwujemy... W kieszeni miał notatki z podróży, wynika z nich, że był już bardzo zmęczony życiem.

Marta odwróciła się do policjanta.

– Chciałabym zobaczyć dziewczynę.

– Prosektorium jest w piwnicy, może pani zjechać tą windą – odpowiedział Nowaczyk.

Policjant nie był zachwycony jego aktywnością. Uważał, że ma wyłączność na kontakt z Martą. Pilnowanie sparaliżowanego mordercy uważał za coś zdecydowanie poniżej swojego potencjału.

Facet, który czekał na Martę w prosektorium, przypominał wędzonego śledzia, w handlu detalicznym występującego pod nazwą pikling. Jego pomarszczona twarz nie wyrażała żadnych uczuć, nie uznał nawet za stosowne się przedstawić. Bez słowa podał Marcie wstępny raport patologa. U ofiary stwierdzono zapaść krążeniową, która spowodowała zawał mięśnia sercowego, co wstępnie przyjęto jako bezpośrednią przyczynę zgonu. Krótko przed śmiercią ofiara odbyła stosunek płciowy, w jej krwi stwierdzono obecność acetylomorfiny.

– Chciałabym zobaczyć zwłoki.

„Pikling” ukłonił się z gracją. Przeszli do korytarza, w którym znajdowała się chłodnia. „Pikling” energicznie wyciągnął szufladę. Tatuaż na brzuchu mocno zbudowanej brunetki przedstawiał „Che” Guevarę w okresie jego świetności. Nóż patologa rozdzielił twarz

rewolucjonisty na dwie części, scalone teraz niedbałym szwem węzełkowym. Na twarzy dziewczyny zastygł wyraz rozczarowania tym, co się stało. W odróżnieniu od wikarego Tomczyka robiła wrażenie osoby, która bardzo chciała żyć i rozstała się z tym światem wbrew własnej woli.

Natalia czekała w samochodzie na szpitalnym parkingu. Tuż obok stał facet, który starał się zrobić na niej wrażenie. Krótka skórzana kurtka, wąskie czerwone spodnie i bystre spojrzenie policjanta w cywilu.

– Marek Łukasik – przedstawił się Marcie. – Nasz komendant zaprasza panią na kawę.

Marta spojrzała pytająco na Natalię, a ona dyskretnie, ale przecząco pokręciła głową, sugerując, że nie miała z tym nic wspólnego.

– Proszę podziękować komendantowi za zaproszenie. Jestem teraz na urlopie, przyjechałam potwierdzić tożsamość podejrzanego, do pracy wracam za kilka dni.

– Pan inspektor Strumiłło zapewnił nas, że możemy liczyć na pani współpracę.

– Prawdopodobnie nawet nie wie, że jestem na urlopie.

– Nam przekazał, że odwołał panią z urlopu.

– Długo to potrwa?

– Tyle, ile potrzeba na wypicie kawy...

– Zgódź się, pan Marek był bardzo miły, zaprosił mnie na pizzę. Ty też możesz przyjść, jak już uporasz się z tą kawą.

Natalia ostentacyjnie kpiła z policyjnej dyplomacji Łukasika. Było oczywiste, że muszą zrobić to, czego od nich oczekiwali. Marta wsiadła do samochodu. Łukasik jechał przed nimi. Do komendy było niecałe osiemset metrów. Gabinet komendanta mieścił się na pierwszym piętrze. Gerard Cieślar był już po pięćdziesiątce, energiczny, ogorzały na twarzy i siwy jak gołąb pocztowy. Typ mężczyzny, który nigdy nie choruje, któregoś dnia po prostu umiera i nie uważa tego za coś nadzwyczajnego.

– Książdz, który prowadzi ośrodek uzależnień w Turczynku, nie wpisał tego Tomczyka do księgi gości, ale potwierdził jego pobyt na terenie. U nas wyszedł jako osoba poszukiwana.

– Kto znalazł zwłoki?

– Nie mają na to zgody, ale trzymają tam kozy. Facet, który się nimi zajmuje, obudził się w nocy – ktoś wybił mu kamieniem szybę – wyszedł na zewnątrz i zobaczył drabinę przystawioną do obory. Postanowił sprawdzić... Ona leżała tuż obok, ciepła jeszcze była.

– Podejrzewacie Tomczyka?

– Wszyscy byli na miejscu, tylko on zniknął. Tak się spieszył, że zostawił nawet swoje rzeczy.

– Rozumiem...

– Podobno ma coś z głową i lubi kobitki.

– Podobno...

Marta zorientowała się, że Cieślar wiedział o Tomczyku więcej, niż powinien, sprowadził ją tu, żeby potwierdzić wiarygodność swojego źródła, i był rozczarowany jej lakonicznym komentarzem.

– Czy mogę panu jeszcze czymś służyć?

„Jeżeli chociaż przez chwilę mam nad nim przewagę, to muszę to wykorzystać” – pomyślała.

– Jest prośba... to znaczy poproszono mnie o przekazanie prośby... prywatnej... – Cedził słowa, obserwując wyraz jej twarzy. – Jest tu matka ofiary...

– Jak się nazywa ta dziewczyna?

– Urszula Oracz.

– Chyba słyszałam już to nazwisko.

– Denatka jest córką senator Małgorzaty Oracz, przewodniczącej Komisji Ustawodawczej.

– Jest tutaj?

Cieślar wskazał drzwi w ścianie gabinetu.

– Chce z panią porozmawiać na gruncie prywatnym, wszystko oczywiście zostaje w tych ścianach.

– Kto prowadzi tę sprawę?

– My.

– Wybacz pan, komendancie, ale nie bardzo rozumiem pana prośbę. Potwierdziłam tożsamość podejrzanego, nie chcę w to dalej wchodzić.

– To osobista prośba pani senator, to była jej jedyna córka...

Marta spojrzała w stronę okna, tam też podążył wzrok Ciesłara. Stary policjant wiedział, że dalsza presja nie służy sprawie, milczał więc ze zboląłą miną. Marta wskazała dłonią drzwi. Cieslar skinął głową.

Pani senator siedziała za biurkiem, pogrążona w rozmowie telefonicznej. Zdążyła się już przebrać w czarną garsonkę i buty na wysokim obcasie. Wstała i podała Marcie rękę. Gestem dłoni wskazała jej krzesło po drugiej stronie biurka.

– Bardzo pani dziękuję, że zechciała nam pani pomóc. – Wróciła za biurko i usiadła w fotelu, zakładając nogę na nogę. – Sądzę, że potrafi pani sobie wyobrazić, co czuje matka po utracie jedynego dziecka. Nie chcę pani tym epatować, chcę oddzielić wszystko, co w tej sprawie ma jakikolwiek kontekst osobisty, chcę... zrobić wszystko, żeby takie rzeczy nie zdarzały się w przyszłości.

– Ludzie nigdy nie przestaną się zabijać.

Pani senator zmarszczyła brwi. Politycy nie lubią jasnych i jednoznacznych wypowiedzi, szczególnie tych, które mogą sugerować, że wiedzą mniej niż ich rozmówca. Martę drażnił mentorski ton pani senator i postanowiła tego nie ukrywać.

– Chodzi mi wyłącznie o przestępstwa dokonywane przez księży.

– Nie specjalizuję się w tym.

– Zna pani tego księdza lepiej niż ja i tutejsi policjanci. Nie zamierzam ingerować w to postępowanie ani zrobić niczego, co byłoby niezgodne z prawem... – Uważnie obserwowała reakcję Marty, aby nie zrobić fałszywego kroku. – Istnieje w tym kraju zmowa milczenia wobec przestępstw dokonywanych przez księży, chcę coś z tym zrobić, ktoś musi to przerwać...

– Nie jestem wierząca i nie chodzę do kościoła, nie wiem, jak mogłabym pani pomóc.

– Chcę uruchomić szeroką dyskusję w prasie i telewizji, przełamać

barierę strachu, znowę milczenia... Kościół ma duże zasługi w walce z komunizmem i sporo przewinień w umacnianiu wiary. Zajął się polityką i swoimi przywilejami, zamiast ewangelizacją. Księża uznali, że nie podlegają prawu, bo mogą sobie kupić sprawiedliwość. Kompromitują nas tutaj i za granicą. Z pewnością słyszała pani o tej obrzydliwej sprawie z Dominikany?

– Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, gdzie to jest...

– Polski biskup jest ścigany listem gończym, jak pospolity przestępca! Nie chcę od pani niczego wyciągać i wiem, co to jest tajemnica postępowania, chcę tylko potwierdzić informacje, które już do mnie dotarły. Trzeba zrobić wszystko, żeby powstrzymać tych zbrodniarzy... Potrafię docenić i wynagrodzić odwagę i zaangażowanie...

– Zupełnie nie wiem, jak mogłabym pani pomóc.

– Zna pani tego księdza. Przywiozła tu pani jego kochankę. Każda informacja jest ważna. Społeczeństwo ma prawo znać prawdę.

– Odnoszę wrażenie, że wie pani o nim więcej niż ja.

– Powtarzam, muszę mieć pewność, że to, co wiem, jest prawdą, nie chcę niczego za darmo... Mogę zaproponować pani znacznie lepszą pracę od tego, co pani robi w tej chwili, bardzo brakuje nam kobiet w Straży Marszałkowskiej...

– Dziękuję, lubię swoją pracę.

– Jedna z wersji zakłada, że on zabija swoje kolejne kochanki. Ten ośrodek uzależnień to był zakamulowany burdel, tam znajdowali swoje ofiary. Kiedy ten Tomczyk uświadomił sobie, że nie potrafi nad tym zapanować, próbował popełnić samobójstwo. Pani przecież zna te fakty.

– Nikt go jeszcze nie oskarżył o zabójstwo.

– To tylko kwestia czasu, pani dobrze wie, że to on... Zabezpieczono dowody, przyznam, że nie rozumiem pani zachowania.

– Nie chcę się wypowiadać w sprawie, której nie znam.

– Przesłuchiwała go pani... w sprawie o zabójstwo, dlaczego nie chce mi pani pomóc?

– Był podejrzewany o zawiadomienie o przestępstwie, którego nie było. Zmusza mnie pani do poinformowania przełożonych, że ustalenia

tego postępowania wyciekły na zewnątrz.

– Proszę wybaczyć szczerość, ale nie wygląda pani na idiotkę.

– To ma być komplement?

– Potrafię pomóc, ale potrafię też zaszkodzić. Pracowała pani kiedyś w wiejskim komisariacie, gdzie w zimie pali się węglem w piecu?

– Miło się z panią rozmawia, ale w tej pracy oprócz przyjemności mamy też obowiązki. – Marta wstała i skierowała się w stronę drzwi.

– Przynajmniej wiem, po której jest pani stronie, drogo to będzie panią kosztowało! – krzyknęła pani senator.

– Od straszenia to jest Baba-Jaga...

– Odpowiesz za to, bezczelna dziwko!

Marta wyszła, zostawiając za sobą otwarte drzwi. W gabinecie nie było nikogo. Sekretarka udawała, że jej nie widzi. Przed budynkiem Natalia cierpliwie czekała w samochodzie.

– Co z twoją pizzą? – spytała Marta.

– Agent specjalny Łukasik poszedł do bankomatu, obawiam się, że już nie wróci. Spieprzajmy stąd – odpowiedziała Natalia.

– A jeszcze przed chwilą wszyscy nas tu kochali, trudno jest utrzymać popularność w tym kraju.

– Wiedzą już, że on to zrobił?

– Bardzo by chcieli, żeby to był on.

– Nie rozumiem?

– Bardzo potrzebują księdza seryjnego mordercy.

– Jaja sobie chyba robisz?

– Nic nie nakręca lepiej interesu jak świeży trup niewinnej dziewczyny i zwyrodniały ksiądz. Jedni są za księdzem, drudzy za dziewczyną. Ludzie skaczą sobie do oczu, rząd ma święty spokój, gazety znowu dobrze się sprzedają.

– To lekkie kurewstwo jest!

– Najwięcej i najgłośniej wrzeszczą ci, którzy nie mają nic do powiedzenia. Demokracja, niestety, nie składa się z samych zalet.

– Chrzanię to! Powiedz mi... on to zrobił?

– A jakie to ma znaczenie?

– Żadnego. – Natalia wcisnęła gaz do podłogi.

– Chcesz nas pozabijać? Może ja poprowadzę? – nieśmiało odezwała się Marta.

Natalia gwałtownie zatrzymała samochód i zamieniły się miejscami. Po kwadransie Marta delikatnie dotknęła dłoń Natalii. Dziewczyna odwzajemniła uścisk.

Rozdział XIV

Z samochodu Grosza ukradziono koła już po tym, jak jego auto odnaleźli policjanci Smolara. Komendant zaklinał się, że w ciągu godziny schwyta złodziei, ale Grosz nie chciał czekać, chciał być jak najdalej od miejsca swojej porażki, postanowił więc wrócić do Warszawy z Władkiem. Prawie całą drogę przespał na tylnej kanapie, obudził się, kiedy utknęli w korku na wiadukcie trasy AK. Poczul głód i zaprosił Władka na coś małego do Pireusu. Zadzwonili do Germanosa, żeby przygotował im kalmary i kekoretsi. Gospodarz powitał ich na progu lokalu i zaprowadził do gabinetu. Od siebie na koszt firmy dodał do kolacji karafkę retsiny.

– Myślałem, że zapomnieliście już o starym Greku.

– Jeżeli chcesz znać prawdę, to potrafię sobie wyobrazić moje życie bez ciebie – zaczępnie odpowiedział Władek. – Ale żaden z nas nie potrafi zapomnieć o twoim żarciu.

Wybuchnęli śmiechem i wzniesli toast. To był dobry pomysł: byli spragnieni swojego towarzystwa i szczęśliwi, że znowu mogą razem napić się wina z intrygującym dodatkiem sosnowej żywicy. W kieszeni Władka zaczął dzwonić telefon. Jawor chciał odrzucić połączenie, ale numer, który mu się wyświetlił na ekranie, zainteresował go. Odebrał i po chwili dał znak ręką, że słabo słyszy swojego rozmówcę. Wstał od stołu i odszedł kilka kroków. Germanos dyskretnie wycofał się za drzwi. Władek słuchał, potakując głową.

– Dzięki ci, stary, to dla nas bardzo ważne. Rozumiem, że przyślesz mi to wszystko? Dzięki. – Władek wrócił do stolika, sięgnął po kieliszek i wymógł na Groszu, żeby zrobił to samo. Wypili po łyku. – Policjant z komisariatu w Gdyni odebrał anonimową wiadomość, że siedzisz zamknięty w jakimś lochu. Bystrzak zajrzał do rejestru osób

poszukiwanych. Umieściłem tam na wszelki wypadek tę Kalińską. Chłopak z Gdyni miał nosa, szybko sprawdził, że oba babsztyłe wybrały prom do Szwecji, porównał numer ich samochodu z tym na rezerwacji, no i bingo!

– Kurwa, co w tym nadzwyczajnego?

– Anonimowe zgłoszenie odebrali kilka minut po szóstej. Kobieta dzwoniła z automatu na dworcu... tymczasem prom odpłynął o piątej.

– Chyba wiem, do czego zmierzasz, mam zgadnąć, o której ten prom poszedł na dno?

– Na to jesteś za głupi. To znaczy tylko tyle, że przynajmniej jedna z nich nie weszła na pokład.

Do gabinetu zajrzał Germanos.

– Niczego wam nie brakuje?

– Siadaj z nami! – krzyknął Grosz. – Nie zostawiaj mnie z tym starym nudziarzem, gada na okrągło o czymś, o czym chciałbym chociaż na chwilę zapomnieć.

– Nasz przyjaciel ma trudność z rozwiązaniem prostej zagadki, kto uratował mu życie.

– Myślę, że jak zwykle ty, Władek – zasugerował Germanos.

– Trzeba wybrać między dwoma babami, są ze sobą związane jak syjamskie siostry, chytre, pazerne i zakłamate, jedna bogata, a druga biedna. Której trzeba się bać?

– W sprawie kobiet nie jestem specjalistą – bąknął Germanos.

– Wystarczy, że powiesz: biedna czy bogata...?

– A ty wiesz? – dopytywał się Germanos.

– Zamknęła tego mądralę jak chomika w klatce.

– O czym on gada? – Germanos starał się cokolwiek zrozumieć z tego dialogu.

– Niestety, ten dureń mówi prawdę – odezwał się Grosz. – Dałem się zamknąć starej wiedźmie w lochu, wyglądało na to, że zdechnę tam z zimna i głodu.

– Pijesz wino i jesz musakę. Warto mieć przyjaciół...

– Nasz przyjaciel nie może pogodzić się z tym, że również uratowała go

baba.

Władek był w coraz lepszym humorze. Retsina zaczęła krążyć w żyłach Grosza. Poczul się lekki jak wtedy, kiedy szybował ze świętą Dorotą nad Kamockiem. Smak jej ust ciągle przyprowadzał go o zawrót głowy.

„Kim była ta dziewczyna? Nie jestem dobrym katolikiem, nie wierzę, że była świętą. Chcę tylko wiedzieć, kto odebrał jej życie” – myślał.

Do gabinetu wszedł kelner, podał smażone kalmary w cieście i butelkę wina, której nikt nie zamawiał. Germanos potrafił zadbać o dobry humor swoich gości i o to, żeby nie rozmawiali o swojej pracy. Pokazał Władkowi fotografię olbrzymiego suma, którego złowił w ostatnią sobotę. Walczył z rybą trzy godziny, a kiedy wyciągnął ją na brzeg, okazało się, że waży więcej niż jego wnuczka. Słowa wypowiedane przez Władka i Germanosa nie docierały do Grosza. Uśmiechał się do nich, pozorując wrażenie, że słuchał historii o wielkiej rybie. Jego umysł zmagął się z zagadką świętej Doroty.

Istniały trzy święte o tym imieniu. Jedna była z Aleksandrii, druga z Kapadocji, dopiero trzecia urodziła się w Polsce. Za świętą uważana jest w Niemczech, w Polsce ma status zaledwie błogosławionej Doroty z Mątowów. To ona ostrzegła wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, że pycha doprowadzi go do klęski z Polakami, i tak się stało. Władysław Jagiełło po zwycięstwie pod Grunwaldem modlił się przy jej grobie w katedrze świętego Jana Ewangelisty w Kwidzynie. Problem Grosza polegał na tym, że Dorota z Mątowów była z całej tej trójki najbrzydsza i wcale niepodobna do tej z trumny. Dorota z Mątowów – wówczas Gross Montau – z domu Schwarce, była córką holenderskich osadników. Umartwiała się, miała paskudny charakter, potrafiła ranić się do krwi różańcem. Urodziła piątkę dzieci, które szybko zmarły. Pieszko chodziła do Rzymu, aż w końcu kazała się zamurować w celi w kwidzyńskiej katedrze, gdzie zmarła w wieku czterdziestu siedmiu lat. W żaden więc sposób, mimo polskich korzeni, nie mogła być tą, z którą Grosz szybował nad Kamockiem.

„Jest stanowczo za późno, żeby zadzwonić do proboszcza Bonikowskiego i wypytywać go, która z trzech świętych Dorot

uwieczniona jest na portrecie wiszącym w kościele, naprzeciw chrzcielnicy. Muszę to wiedzieć, jeżeli chcę znaleźć jej zabójcę. Znajdę drania i nie jest to zasługa wina, które szumi mi w głowie. Nigdy wcześniej nie spotkałem takiej kobiety. Nikt nigdy tak mną nie zawładnął, bez botoksu, silikonu, lakieru i pudru. Potęgą wiary i magią miłości”.

Machinalnie podniósł kieliszek do toastu, który wzniósł Władek. Nie słyszał go i nie zauważył, że kompani patrzyli na niego z politowaniem. Był skupiony tylko na niej. „Nie ma żadnych dowodów na to, że ktoś ją zamordował. Może te wariatki wykradły zwłoki z jakiejś kostnicy, a może dziewczyna wcześniej należała do sekty i po śmierci stała się przedmiotem kultu. Dlaczego chcę to wiedzieć? Bo nie wierzę w przypadkowość podobieństwa tej na kościelnym obrazie z tą, którą znalazłem w trumnie. Wspólny lot bardzo nas zbliżył. Kto wie, może kiedyś wrócę na łono jakiegoś Kościoła, aby jeszcze raz ją spotkać”. Twarze Władka i Germanosa rozmazały się. Znowu zobaczył ją na progu z różą w dłoni.

Rozdział XV

Strumiłło wezwał wszystkich do swojego gabinetu i nakłonił, aby do herbaty, zamiast mleka lub cytryny, dodali imbir. O ósmej rano odwiedził w szpitalu Marcina. Lekarz, który się nim zajmował, okazał się starym znajomym Strumiłły z resortowej lecznicy. Oprócz praktyki ortopedycznej pan doktor prowadził dystrybucję suplementów diety, preparat z imbiru był w stanie – jego zdaniem – zmienić jakość naszego życia. Żeby uniknąć podejrzania o natrętną promocję, wyjawił Strumille w sekrecie, że Marcin, który bardzo polubił herbatę z suplementem, będzie mógł już w przyszłym tygodniu wrócić do domu. Strumiłło uważnie obserwował twarze swoich współpracowników, pijących cudowną herbatę.

– Imbir daje nam życie... zmniejsza agregację płytek krwi i poprawia pracę mózgu, będąc jednocześnie silnym afrodyzjakiem...

– Odsuń się ode mnie – szepnął Włodek do siedzącej obok Marty.

– Po afrodyzjaku bywam nieobliczalny.

Poziom jego szeptu został ustawiony tak, aby dotarł do Strumiłły. Bolesny grymas wykrzywił mu twarz. Przebywanie wśród profanów znosił równie źle, jak refluks żołądka, który dopadł go po ostatniej kuracji sokiem z brazylijskiej jagody, którą odbył za namową córki.

– Powierzono nam sprawdzenie ewentualnych związków pomiędzy tymi zdarzeniami. Mam tu: Gorzów, Łądek i teraz ten Olsztynek.

– Turczynek – mruknął Grosz.

Strumiłło skierował na niego badawcze spojrzenie.

– Zostałem postawiony w bardzo niezręcznej sytuacji... Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego odpuściliśmy tę sprawę księdza z Kamocka?

Grosz, Marta i Włodek wymienili pytające spojrzenia, tak jakby nie byli pewni, kto powinien podjąć się wyjaśnienia.

– To lokalna sprawa, zarejestrowana jako fałszywe wezwanie. Chłopcy z Kamocka umorzyli to. Do nas trafiła wylosowana przez system monitorujący umorzenia. Wysłałam zapytanie do operatora, jak przyszła odpowiedź, pojechałam do tego Tomczyka. Sprawą spowodowania kolizji w ruchu drogowym, nieudzielenia pomocy Marcinowi i ucieczką z miejsca zdarzenia zajmuje się komisariat w Kamocku.

– To błąd – ocenił Strumiłło.

– Wikary Tomczyk... – pospieszył Marcie z pomocą Grosz – prowadzi dość niezwykły tryb życia, ale podlega to ocenie prawa kanonicznego. Sprytny adwokat może przekonać sąd, że nasz Marcin zajechał księdzu drogę, tak zresztą było. Wikary nie ma mocnej psychiki, będzie się bronił, że uciekł w obawie o własne życie.

– Jak wobec tego tak delikatny księżuło mógł zgwałcić i zabić dziewczynę z tego Olsztynka?

– Jeszcze nie wiemy, kto ją zabił – wtrąciła się Marta.

– Zakładając, że było to w Turczynku. – Władek musiał upuścić trochę jadu, o tej porze zawsze pił kawę, herbata Strumiłły była obrzydliwa.

– Jego ślady znaleziono tuż obok miejsca, gdzie leżały zwłoki dziewczyny, ślady jego butów były wystarczająco głębokie, żeby wnioskować, że czekał tam na nią co najmniej kilkanaście minut. Strumiłło odkrył karty, wiedział więcej, niż oni wszyscy razem wzięci.

– Zostawiacie wszystko, absolutnie wszystko, mamy tydzień na sprawdzenie, czy te trzy zabójstwa łączy osoba sprawcy. To priorytet. Nic jeszcze nie wiadomo, a już zrobiła się z tego sprawa polityczna. Ja tu jestem od polityki. Wracamy na ziemię. Od dzisiaj do zamknięcia co rano na moim biurku widzę raport pana komisarza.

Grosz wstał, ta formuła zawsze oznaczała koniec odprawy. Marta i Władek poszli w jego ślady.

– Jeżeli chodzi o Łądek, to wikary ma alibi, nie było go tam – rzuciła Marta.

– Kto to potwierdza? – chciał wiedzieć Strumiłło.

– Dziewczyna, z którą kręcił.

– A jeżeli ona jest jego współniczką, brałaś to pod uwagę? W literaturze jest całkiem sporo takich par...

„Stary lis czyta w moich myślach, były takie zdarzenia również w Polsce” – pomyślała.

– Panom dziękuję, Marta zostaje. – Strumiłło błyskawicznie odbudował swoją pozycję samca alfa.

Kiedy w ich pracę wkradała się polityka, ubywało mu lat i opuszczały go wszystkie choroby. Był w swoim żywiole. Zrobił kilkusekundową pauzę po tym, jak zamknęły się drzwi za Groszem i Władkiem.

– Ktoś wie o tej rozmowie? – spytał.

Nie lubiła go. Czasem imponował jej wiedzą i doświadczeniem, ale jako mężczyzna był dla niej zbyt śliski, bywał żaloszny i gdyby któregoś dnia zniknął, nie zauważyłaby jego braku. Biurokrata z niezaleczoną manią wielkości.

– Z panią senator?

Łaskawie skinął głową.

– Zapomniałam o tym natychmiast, jak tylko stamtąd wyjechałam.

– Nie przypuszczała, że kłamstwo tak łatwo przejdzie jej przez gardło. Rano zadzwoniła do Grosza i opowiedziała mu o rozmowie z senator Oracz.

Strumiłło uśmiechał się z satysfakcją.

– To ważne w naszej pracy, umieć trzymać język na wodzy... Babsztyl posunął się za daleko. Dałaś jej coś?

– Ostrzegłam, że napiszę na nią raport.

– Bardzo dobrze, ale nie spiesz się z tym... to polityka.

– Nie rozumiem, o co tu chodzi.

– Zostaw to mnie, zawsze jak coś takiego się zdarzy, masz obowiązek mnie o tym informować. Mogę ci pomóc tylko wtedy, jeżeli wiem o czymś wystarczająco wcześniej. Pani senator napisała wniosek do Komendy Głównej, żeby zawiesić cię w czynnościach. Wybroniłem cię, ale ja nie będę żył wiecznie. Żeby cię chronić, muszę wiedzieć o wszystkim. Mam nadzieję, że teraz lepiej to rozumiesz?

Skinęła głową, była pewna, że stary kłamał, stroszył piórka i myślał

wyłącznie o swoim stołku. „Kiedy nagle umiera dziecko kogoś ważnego, zawsze towarzyszy temu małe trzęsienie ziemi, a czasem nawet jakaś dymisja. Dzieci biedaków są bardziej taktowne, umierają cicho i ziemia przyjmuje ich ciała bez wstrząsów. Ziemia jest mądra, wie, że wszyscy umrzemy: politycy, kaznodzieje, tyrani, Grosz, Włodek, ja i Strumiłło, wszyscy. Marcin był o krok, ale ktoś zdecydował, że jeszcze nie jego kolej”. „Unikaj głośnych i napastliwych, są udręką ducha” – coraz częściej przywoływała w myślach słowa „Dezyderaty” Maxa Ehrmanna; działały jak eliksir neutralizujący wściekłość, która wzbierała w niej, kiedy pustogłowi mądrze wciskali jej kit.

– Nie zastąpię ci rodziców, ale nie pozwolę cię skrzywdzić.

Strumiłło uwielbiał rolę mentora. Kiedy słuchaczem była kobieta, wzbijał się na szczyty swojego kunsztu. „Wysłuchaj też innych, nawet tępych i nieświadomych, oni też mają swoją opowieść” – postulował poeta. Wyrozumiwały uśmiech na ustach Marty Strumiłło odczytał jako ostrzeżenie.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłoby cię zabraknąć w naszym zespole – dodał.

„Potrafisz, stary grzechotniku, potrafisz. Manipulujesz ludźmi, ale ja już się na tobie poznałam. Chcę tu być, dlatego uśmiecham się do ciebie, tylko dlatego...” – pomyślała.

Gorzki smak imbirowej herbaty Modesta Strumiłły udało się usunąć z kubków smakowych dzięki kawie, parzonej przez Jawora z dodatkiem anyżówki. Efekt całkowitej sanacji organizmu można osiągnąć, wprowadzając do przełyku anyżówkę prosto z kieliszka, kawę traktując jako tak zwany popychacz. Kiedy do pokoju Grosza weszła Marta, Jawor i Grosz byli już po trzecim kieliszku antidotum. Dziewczyna odmówiła udziału w czwartej kolejce.

– Co sądzisz o tej Sobolewskiej? – spytał Grosz.

– Sobolewskiej?

– Kochance wikarego.

– Co mogę o niej sądzić? Nie znam jej... – odpowiedziała obojętnie, aby nie mogli się zorientować, że kłamała.

– Uważasz, że mogłaby być jego współniczką? – drążył Władek.

– Nie znam jej na tyle.

– Jutro dostaniemy akta z Łądka i Gorzowa. Obie sprawy udało się jak na razie schować przed gazetami. Dostały klauzulę tajne przez poufne. Dlatego tak późno zaczęto je łączyć ze sobą. Facet porywa ofiary, przetrzymuje je i dopiero po jakimś czasie zabija. Ciała wywozi daleko od miejsca uprowadzenia. Logistycznie trochę to skomplikowane, dlatego nie wykluczałbym współnika... – Grosz wpatrywał się w Martę z nadzieją, że coś jeszcze od niej usłyszy.

– Książd z kochanką mordują dzieci polityków? Na tym Strumiłło chce pojechać w szkiełku? – szydziła Marta.

– Nie było żadnego powodu, żeby to nagłaśniać. – Grosz zaczynał tracić cierpliwość. – Bierzesz Łądek, Władek – Gorzów. Ja – świętą z Kamocka i ten Turczynek. Mamy cztery dni, żeby sprawdzić, czy da się to połączyć. Mało o nim wiemy, więc na początku skoncentrujmy się na ofiarach, może to jest jakiś trop.

– Coś musimy o nim wiedzieć, ten Tomczyk nie nadaje się na wampira... – nie ustępowała Marta.

– Facet ukrzyżował tę dziewczynę z Gorzowa – powiedział Grosz.

– Jak to ukrzyżował? – spytała z niedowierzaniem.

– Zrobił krzyż z desek, przybił ją do niego gwoździami i wrzucił do rzeki.

– Kurwa, to świr!

Ich spojrzenia się spotkały. Było jasne, że zaczynali najtrudniejszą ze spraw, jakimi dotąd się zajmowali. Ktoś rzucił im wyzwanie. Muszą stworzyć sprawnie działającą maszynę, która w ciągu kilku dni przemieni zebrane dotąd informacje i wskaże jakiś kierunek. Mogli liczyć tylko na siebie. Strumiłło trzy razy dziennie będzie pytał zatroskanym szeptem: „Dlaczego tak długo się z tym pieprzycie?”. Nie tylko morderca był przeciwko nim. Takiej sprawy nie da się długo utrzymać w tajemnicy. Jeżeli go nie złapią, gazety zaczną wrzeszczeć: „Dlaczego musimy się bać,

skoro płacimy podatki?”. Na co dzień obojętność wobec leżących na chodniku, ograbionych i pobitych, i gwałtowna histeria, kiedy z telewizora, zamiast słodkiej telenoweli, mówią nam, że nas też ktoś może wypatroszyć.

Marta bardzo chciała porozmawiać z Groszem, opowiedzieć mu całą historię z Suraza. „Nie mogę napisać o tym w raporcie, nie mogę wciągać w to Natalii, zaufała mi. Tylko Grosz mógłby to zrozumieć, ten popieprzony snob, w którym kiedyś się kochałam, a może nawet tkwię w tym nadal. Patrzy teraz na mnie i jeżeli umie czytać w myślach, to już wie, że znowu zrobiłam z siebie idiotkę”.

Rozdział XVI

Zagipsowany po szyję Marcin w czasie porannego mycia próbował bilansować straty i korzyści, jakie płynęły z hospitalizacji w klimatyzowanej separatce resortowej kliniki. W kilkułóżkowej sali można spotkać kogoś, kto interesuje się futbolem i przedyskutować z nim kluczowe problemy polskiej ekstraklasy. To byłoby coś. W separatce miał spokój i telewizor, w którym występowali faceci znający się na futbolu. Gdy gadali od rzeczy, sięgał po pilot. Z żywym facetem, który gada głupoty, mógłby być problem. Niestety, życie to nie tylko sport. To jeszcze mycie, golenie, zastrzyki przeciwzakrzepowe i rehabilitacja. W tych dziedzinach separatka nie miała konkurencji.

Zaczął prowadzić ranking pielęgniarek, które się nim zajmowały. Wydawało się im, że skoro trafił do separatki, to musi być kimś ważnym, a co najmniej synem kogoś ważnego. Zaglądały do niego częściej niż do tych na zbiorowych salach. Dzisiaj nocny dyżur miała Teresa, rano zmieni ją Kasia. Obie nie lubiły Marty. W ich ocenie była dla Marcina za stara, przychodziła za późno i stanowczo zbyt rzadko. Teresa słyszała fragmenty ich rozmowy, kiedy przynosiła lekarstwa i termometr. Gadali, nie zwracając na nią uwagi, o seksie, jakimś księdzu i greckim żarciu. Zza drzwi dobiegały ich śmiechy i cisza, kiedy z całą pewnością się dotykali. Wytrzymała do dziewiątej, potem weszła do separatki i kazała Marcie się wynosić.

Jadąc do domu, Marta kupiła kebab i dwa ciemne piwa, na wypadek gdyby nie mogła zasnąć. „Zbyt często robię z siebie idiotkę” – pomyślała. Marcin uważnie wysłuchał jej relacji i miał sporo pytań. Za każdym razem, kiedy pojawiała się pielęgniarka, odprowadzał

spojrzeniem jej zgrabny tyłek. Ciekawe, czy naga Urszula Oracz, wyzywająco leżąca na stole sekcyjnym prosektorium szpitala w Rogowie, zrobiłaby na nim równie silne wrażenie? Była trochę grubawa, ale ciągle zgrabna. Jej rodzice się rozwiedli, kiedy była w drugiej klasie liceum. Mieszkała u babci, w Świdrze pod Warszawą, a potem w różnych ośrodkach terapii uzależnień. Była nawet na kuracji w Austrii, gdzie wyjechał ojciec. Matki nie widziała od kilku lat. O jej sukcesach w polityce dowiadywała się z gazet. Jej partia chciała, aby pani senator objęła stanowisko ministra sportu i turystyki. Córka narkomanka mogłaby zaszkodzić jej wizerunkowi. Notatkę o rodzinie Oraczów Strumiłło dał Marcie tylko do przeczytania, po czym zamknął ją w swoim biurku. „Ciekawe, czy jutro napiszą o tym brukowce. Krucjata, którą pani senator chce zorganizować przeciwko Tomczykowi, wymaga rozgłosu. Biurko Strumiłły może okazać się niewystarczająco dyskretne”.

Kebab był paskudny. Wzięła prysznic i z butelką piwa poszła do łóżka. W telewizyjnych wiadomościach już wiedzieli o zabójstwie w Turczynku i zatrzymaniu domniemanego sprawcy. Pani senator Oracz zwróciła się na konferencji prasowej z apelem o pomoc w walce z przemocą i w demaskowaniu sprawców. Prowadząca program rudowłosa redaktor poinformowała, że organizacje antyklerykalne planują w Warszawie wielką demonstrację. Kamień poruszył lawinę. Przejście lawiny można przeżyć, ale nikomu nie udało się jeszcze jej zatrzymać.

Rozdział XVII

Marzenia o własnej restauracji towarzyszyły Ewie Gawrak od jej balu maturalnego. Miejsce, w którym pojawiali się wciąż nowi ludzie, z apetytem jedzący dobre rzeczy, gdzie można się bawić i miło spędzać czas, a które jednocześnie może być źródłem utrzymania, wydawało się jej dobrym pomysłem na życie.

Ewa była rozsądna i potrafiła czekać. Swoje pierwsze wakacje spędziła we Włoszech, pracując jako kelnerka w restauracji Tritone na plaży w Rimini. Długonoga blondynka nie ma na tej plaży zbyt wielu szans na wypełnienie kontraktu. Po miesiącu wyjechała z lekko łysiejącym Bettino Ditto do Mediolanu. Bettino pracował w reklamie. Kariera modelki trwa krótko i nie mogła tego odkładać. Bettino uprzedził ją, że na sukces w tej branży jest już za stara, ale zrobi dla niej wyjątek, bo bardzo ją kocha. Szybko poznała kilkanaście dziewczyn z Europy Wschodniej, które również kochał Bettino. Pracowały razem jako hostessy na przyjęciach i pokazach. Sesje zdjęciowe, które organizował dla nich Bettino, nie kończyły się kontraktami. Pojawiały się za to propozycje przyjęć na jachtach i w prywatnych domach.

Ewa szybko doszła do wniosku, że skórzana kurtka od Prady była warta jednej nocy poświęcenia. W czerwcu noce w Rimini są wyjątkowo krótkie. Koleżanka z Kijowa poznała szejka, który nad ranem obiecał mianować ją ministrem swojego rządu. Ewie powiodło się jeszcze lepiej. Tłusty jak wieprz facet, który sapał na niej niecałe pięć minut, okazał się skarbnikiem partii aktualnie sprawującej władzę. Jak większość mężczyzn, których poznała we włoskich łóżkach, skarbnik również się w niej zakochał. Nie zdążyła kupić kurtki od Prady. Pod koniec wakacji miała już dwa futra, trochę złota i kabriolet alfa romeo. Skarbnik był lojalnym członkiem swojej partii, dzielił się z nią wszystkim, czym

obdarowywało go życie. Przedstawił Ewę premierowi, a ona zrozumiała wtedy, że miłość to nie tylko egoistyczne oczekiwania, ale również umiejętność dzielenia się szczęściem. Była u premiera kilka razy, był wyjątkowy, nawet nie próbował udawać, że ją kocha, dla niego liczyła się wyłącznie dobra zabawa. Na takich przyjęciach człowiek wyzwala się z kompleksów i przesądów, które szaraków dręczą niekiedy przez całe życie.

Kiedy tańczyła na szklanym stole z kompletnie nagim ministrem obrony kraju pozbawionego dostępu do morza, który zaproponował jej pracę w Brukseli, zrozumiała, że marzenie o knajpie musi trochę poczekać. Produktem, który dawał największą dywidendę, był jej talent uszczęśliwiania ludzi, przełamywania barier kulturowych, historycznych uprzedzeń i fobii. Nadąsani politycy wieczorem łagodnieli, pili bruderszafty i nie okazywali zazdrości o swoje kochanki, bywali natomiast bardzo szczodrzy. Kiedy rano wychodziła z hotelowego apartamentu ministra, zaspany staruszek wręczył jej oprawioną w złoto kameę, prawdopodobnie prezent dla żony, i voucher hotelowy do luksusowego apartamentu w Pradze.

Czekający na nią przed hotelem agenci SISMI reprezentowali zupełnie inny typ męskości niż goście premiera. Wprawdzie kazali jej rozebrać się do naga, ale zadawali pytania, na które nie pozwoliłyby sobie nawet szatniarz w burdelu przy via Flavia. Agenci wywiadu pozwolili jej zadzwonić. Zadzwoniła więc do skarbnika. Był to dobry strzał. Grubas siedział już wprawdzie w areszcie domowym, ale przysłał adwokata. Sprawy wyglądały źle. Jeszcze gorzej, niż pisały o tym gazety. Skandal obyczajowy wokół osoby premiera wywołał kryzys polityczny i groził upadkiem rządu. Opozycja żądała głów.

– Nigdy bym nie pomyślała, że to, co skrywam w majtkach, może zagrozić Italii – skomentowała sytuację Ewa.

Najgłośniejsz śmiał się adwokat, agenci z trudem zachowali powagę. Ewa spędziła w areszcie trzy miesiące, za radą adwokata nie przyznała się do niczego. Wskazała tylko na fotografiach mężczyzn, których spotkała u premiera. Skarbnik potwierdził kupno wszystkich prezentów, łącznie

z kameą, dzięki czemu upadło oskarżenie o kradzież, które rozpaczliwie próbowali sfabrykować agenci SISMI.

Dwa lata później Ewa wróciła do rodzinnego Poznania. Zaczęła od klubu fitness. Ambitne dziewczyny trafiały do agencji modelek, którą otworzyła rok później. Agencja działała w podobnym profilu jak ta w Mediolanie. Poznań szybko stawał się europejskim miastem. Wreszcie przyszedł czas na knajpę. Długo nie mogła się zdecydować, jaką wybrać kuchnię. W końcu powstały dwie: oczywiście włoska i pierwsza w mieście tajska. Z Berlina jest znacznie bliżej do Poznania niż do Bangkoku, tylko znawcy odróżniają kuchnię wietnamską od tajskiej, podobnie jest z masażem. W obu przypadkach wychodziło to znacznie taniej, a za prochy nie grozi – tak jak w Bangkoku – dożywocie.

Ewa Gawrak, dziewczyna, która potrafiła czekać, w wieku dwudziestu ośmiu lat osiągnęła więcej niż kilka pokoleń jej przodków. Stała się ozdobą przyjęć i imprez charytatywnych organizowanych przez miasto i jego najznakomitszych obywateli. Pojawili się oczywiście zawistnicy. Pojawiły się też wezwania do Urzędu Skarbowego i propozycja płatnej protekcji ze strony anabolicznego mafiosa. Wszystkie te problemy rozwiązała sesja fotograficzna dla polskiego wydania „Playboya”. Piękna i odważna kobieta budzi w naszym kraju szacunek. Prokurator okręgowy, który załatwił Ewie tę sesję, został – w uznaniu zasług – jej kochankiem. Mafioso „Anabol” dostał posadę szefa ochrony, a w zasadzie alfonsa: do jego obowiązków należało odwodzenie dziewczyn od prywatnych kontraktów i łamanie nosów klientom, którzy nie byli w stanie przebrnąć przez pierwsze strony podręcznika *savoir-vivre’u*.

Nawet w tak ułożonym i dostatnim życiu utrzymanie sylwetki z okładki „Playboya” nie było sprawą łatwą. Ewa bywała w swoich knajpach, bywała też u konkurencji, lubiła słodczyce i alkohol. Na szczęście lubiła też biegać ścieżką wzdłuż brzegu jeziora, nad którym stał jej dom. Ceny nieruchomości były tam tak wysokie, że stać na nie wyłącznie bardzo bogatych, ceniących spokój ludzi. Kilku z nich co dzień obserwowało przez swoje lornetki biegnącą w obcisłym dresie

Ewę. Żaden nie zauważył jej zniknięcia. Ona też przez chwilę była kompletnie dezorientowana. Zbiegała ścieżką prowadzącą ostro w dół, prawie do lustra wody. Poczowała objęcie wokół bioder, nie zdążyła nawet krzyknąć. Smrodliwy chloroform wypełnił jej płuca i zatoki. Ciało zwiotczało. Ktoś przerzucił ją sobie jak worek przez ramię i biegł, jakby nie czuł ciężaru jej ciała. Resztką świadomości zarejestrowała cichy zwierzęcy skowyt, jaki wydobył się z gardła napastnika, gdy wspinał się z nią po stoku. Kiedy ma się już za sobą szaleństwa młodości i zaczyna doceniać uroki stabilizacji, taka przygoda jest szokiem. Nikt nigdy nie użył wobec niej przemocy, wydawało jej się, że życie, jakie sobie stworzyła, było absolutnie bezpieczne.

O dziesiątej do domu Ewy Gawrak, jak co dzień, przyjechała masażystka. Musiała poczekać, zanim pojawiła się ukraińska sprzątaczką, która miała klucze do domu. Doszły do wniosku, że lekko ubrana Ewa zbyt długo przebywała poza domem i trzeba zawiadomić policję. Posterunkowy z Baranowa sprawdził trasę biegową Ewy. Znalazł jeszcze cuchnący chloroformem tampon i miejsce, w którym porywacz zaparkował swoją furgonetkę.

Rozdział XVIII

Na peronie dworca w Kamocku powitał Grosza komisarz Smolar. Rozpierała go duma. Przed dworcem stał świeżo umyty samochód Grosza z odnalezionymi kołami.

– Sami przynieśli na komisariat, zasańcy!

– Jeżeli chcesz powiedzieć, że trzymasz tu wszystkich za jaja, to szacun najniższy... Nie mam żalu, że pozwoliłeś zwać tym wiedźmom...

Smolar odpowiedział gniewnym machnięciem ręki.

– Gadasz na okrągło, jak warszawski miglanc, który zjadł wszystkie rozumy, ale to ty spieprzyłeś tę sprawę, Grosz. Chcesz wypić kawę czy jedziemy?

Ciało świętej Doroty bez sukni i makijażu wyglądało jak egipska mumia, w wielu miejscach pomarszczyło się i przybrało kolor wosku. Rozcięta skóra na brzuchu miała ciemne pofałdowane krawędzie, które patolog rozsunął, używając metalowych haków. Podobnie potraktował szczęki, rozwarł je i odsłonił dziąsła.

– Ciało zostało profesjonalnie zabalsamowane – powiedział, nie wyjmując z ust papierosa. – Nie da się tu wiele powiedzieć, zostały usunięte wszystkie płyny fizjologiczne i narządy wewnętrzne, dokładnie możemy zbadać tylko kości.

Sięgnął pęsetą po leżący w szklanym naczyniu ząb i umieścił go w miejscu ubytku w górnej szczęce.

– Ząb, który przysłało laboratorium, ma to samo DNA. Nie został wyrwany, ktoś jej go wybił... – Dotknął końcem pęsety szyi denatki.

– Ma pęknięty trzon kości gnykowej. Nie jestem pewien, czy uda się ustalić bezpośrednią przyczynę zgonu. Ktoś ją torturował, próbował dusić. Macie panowie kłopot, nie spotkałem się jeszcze z balsamowaniem zwłok ofiary. Zwykle starają się je ukryć – oświadczył

z miną prowincjonalnego mądrali.

Wyjął na chwilę z ust papierosa i siorbnął łyk herbaty. Osłupiałe na widok truchła świętej twarzy policjantów podwyższyły jego samoocenę – niektórzy patolodzy mają skłonność do mniemania, że wiedzą wszystko o ludziach, których patroszą.

Grosz zaprosił Smolara na pizzę. Wypytał go o wszystko, co zrobili, aby ustalić tożsamość denatki. Dziewczyna w chwili śmierci mogła mieć około osiemnaście, dziewiętnaście lat. Program komputerowy wygenerował na podstawie pośmiertnej fotografii domniemany portret badanej osoby, o rok młodziej i o rok starszej. Były do siebie bardzo podobne. Ktoś, kto balsamował zwłoki, znał się na swojej robocie. Równie niezwykle było to, że nikt nigdy nie zgłosił zaginięcia osoby odpowiadającej rysopisowi zmarłej. Nikt jej nie szukał. Nie wiadomo, czy była Polką i czy miała tu rodzinę. Smolar mówił o tym beznamytnie i bez emocji, obawiał się, że odbiorą mu tę sprawę. Pojawia się pytania o relacje z Margaret Kalińską, które mogą mu bardzo zaszkodzić. Miał na głowie kredyt na dom, którego nie zdążył jeszcze zbudować. Jego żona za dwa miesiące urodzi trzecie dziecko. Kilku misiów od dawna miało apetyt na jego stanowisko. Grosz odebrał to jako niewypowiedzianą prośbę o pomoc, ale nie spieszył się z żadnymi obietnicami. Jeszcze raz podziękował Smolarowi za odnalezienie kół i pożegnali się.

Grosz chciał się jeszcze spotkać z proboszczem Bonikowskim, ostatnie dni przyniosły wiele pytań, na które nie znajdował odpowiedzi. Młody ksiądz, którego biskup przysłał w zastępstwie wikarego Tomczyka, pokrył się rumieńcem na widok odznaki Grosza. Przedstawił się: Ignacy Almaryk. Proboszcz Bonikowski wyjechał i nie powiedział, kiedy wróci, codziennie dzwonił na plebanię, więc można zostawić dla niego wiadomość, którą płonący rumieńcem ksiądz natychmiast przekaże. Kościół był zamknięty, ale ksiądz na samą wzmiankę o tym, że Grosz chciałby wejść do środka, pobiegł po klucze. Weszli do środka od strony

absydy i zatrzymali się przy rzeźbie z bawarskiego wapienia, przedstawiającej patronkę kościoła napastowaną przez cesarza Maksymina.

– Święta Dorota Aleksandryjska złożyła śluby dziewictwa. Swoją niewinność ofiarowała Bogu, cesarz zapalał do niej pożądliwością... – pospieszył z wyjaśnieniem ksiądz.

– Wiem, co chciał jej zrobić – uprzedził go Grosz.

Rumieniec na twarzy młodego księdza osiągnął stan krytyczny. Grosz ruszył w stronę chrzcielnicy. To była ona! Półtorametrowy portret kobiety w niebieskiej sukni, z jasnoblond warkoczem opadającym na ramię. W lewej dłoni trzymała różę, obok na stoliku leżało kilka jabłek. Za świętą widać służącą poprawiającą jej kwietną koronę na głowie. W tle górski krajobraz. To ona, to ją widział we śnie w podziemiach pałacu Margaret Kalińskiej.

– To błogosławiona Dorota z Mątówów, małej wsi pod Malborkiem, wizjonerka i stygmatyczka. W Niemczech uznawana jest za świętą, emerytowany papież Benedykt XVI jest wyznawcą jej kultu... – ciągnął Almaryk.

– Jabłka i różę są kojarzone ze świętą Dorotą z Kapadocji, a nie z jakimś Malborkiem... w Malborku nie ma gór – przerwał mu Grosz.

– Mogłem coś pomylić. – Szkarłatny rumieniec wrócił na twarz księdza. – Jestem tu dopiero od tygodnia...

– Potrzebna mi będzie drabina.

– To kościelnego muszę zawołać.

Grosz zauważył obok coś w rodzaju podestu zbudowanego z trzech schodków, używanego do zapalania i gaszenia świec tkwiących w wysokich lichtarzach. Przysunął podest, wszedł na niego i skierował na obraz światło latarki. To był mocno zakurzony oleodruk. Do ramy była przymocowana poczerńiała mosiężna tabliczka z wrytym napisem: „St. Dorethea E.D. Frampton”.

– Będę musiał dotrzeć do oryginału i poznać historię powstania tego obrazu. Tych świętych Dorot jest stanowczo za dużo, a każdy malarz wyobraża je sobie całkiem dowolnie – westchnął.

Potań tabliczkę palcem, ale nie udało mu się odczytać nic więcej. Młody ksiądz podejrzliwie przyglądał się jego zabiegom. Policjant interesujący się żywotami świętych nie zasługiwał na zaufanie. Kiedy się zegnali poprosił Grosza o wizytówkę.

Drzewa wokół baru przy drodze numer osiemdziesiąt pokryte były srebrnoszarymi baziami, które co rok nieomylnie zapowiadały wiosnę. Grosz zatrzymał się na talerz grochówki z wojskowej kuchni. Ciągłe miał nadzieję, że trafi wreszcie na smak, który zapamiętał ze służby w wojsku. Ta próba, jak wszystkie poprzednie, zakończyła się upokarzającą porażką. Zupa była obrzydliwa i zimna. Zjadł suchą bułkę i popił ją herbatą z papierowego kubka. Na stoliku rozłożył swój notebook i bez trudu odnalazł galerię obrazów dziewiętnastowiecznego angielskiego malarza, Edwarda Reginalda Framptona. Był wśród nich portret świętej Doroty z Cezarei, którego zakurzony oleodruk wisiał w kościele w Kamocku. „Ktoś próbuje przywołać tę historię. Komuś zależy, aby święta zmartwychwstała, żeby jej ciało i dusza wróciły na ziemię. Czy to jest przestępstwo? Czy można kogoś za to ścigać?”. Z odpowiedzią pospieszył dzwonek telefonu.

- Gdzie jesteś? - Po drugiej stronie usłyszał Martę.
- Próbuję otruć się grochówką.
- Nie udało ci się poderwać kelnerki czy nie masz czym zapłacić?
- Mam portret tej dziewczyny.
- Której? Były trzy święte Doroty...
- Tej z Kapadocji.
- Czyli z Cezarei.
- Zgoda, tej z Cezarei w Kapadocji.
- W Internecie jest ich kilkanaście, jedna niepodobna do drugiej.
- Ta w trumnie wygląda jak sobowtór świętej z obrazu Edwarda Framptona.
- Poczekaj, znajdę sobie... Nie chcesz wiedzieć, dlaczego dzwonię?
- Już wiesz, kto to jest.

– Pudło, nie wiem nawet, jak się do tego zabrać... O, mam, taka z warkoczami...

– To ona, spróbuj ją znaleźć w poszukiwanych lub zaginionych, miała około siedemnastu, dziewiętnastu lat i sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu.

– Kolor oczu? – dopytywała Marta.

– Miała szklane... Wpisz niebieskie, ze znakiem zapytania.

– Wikary Tomczyk odzyskał przytomność, dzwonił ze szpitala. Nie chce z nikim gadać. Lekarz mówi, że on w każdej chwili może znowu odjechać...

– Co mu jest?

– Ma objawy cyklofrenii.

– Cyklo co...?

– Psychoza maniakalno-depresyjna.

– Jest czubem?

– Trzeba czasu, żeby to sprawdzić, na razie to hipoteza.

– Ile to potrwa?

– Tygodnie.

– Koncentrujemy się na ofiarach, wikary idzie na bok.

– On chce z tobą rozmawiać, Grosz, tylko z tobą, pamięta twoje nazwisko.

– Od tego trzeba było zacząć!

– Lubię z tobą gadać, Grosz, nie dałeś mi dojść do słowa, lubię cię słuchać...

– Piłaś coś?

– Jeszcze nie, czekam, aż mnie zaprosisz...

– Gdzie jest ten cholerny szpital?

– Wpisz sobie do nawigacji: Rogów, kujawsko-pomorskie; jakieś czterdzieści kilosów na północ od tego Turczynka.

– Pojadę tam. Czy ta jego kochanka będzie chciała z nami współpracować?

– Co masz na myśli?

– Czy jest gotowa nam go wystawić?

- Myślę, że powie, co wie.
- Dziewczyna z Kamocka została zamordowana, on jest ostatnim, który ją widział. Była torturowana, tak jak te z Łądką i Gorzowa...
- Dostałam wiadomość o uprowadzeniu pod Poznaniem, sposób działania podobny jak w Gorzowie.
- Czy to znaczy, że mamy już cztery?
- Być może. Ta ostatnia była kochanką prokuratora.
- Dlaczego mówisz o niej w czasie przeszłym?
- Jeżeli zrobił to ten sam zbok, to nie ma szansy na drugie życie.
- Co na to wskazuje?
- *Modus operandi*, komisarzu.

Lesław Królikowski, neurolog, który tej nocy pełnił dyżur na oddziale neurologicznym szpitala w Rogowie, uprzedził Grosza, że rozmowa z chorym nie może trwać dłużej niż dziesięć minut. U wikarego Tomczyka rozpoznano wrodzoną wadę w budowie czaszki i kręgosłupa szyjnego, znaną w medycynie jako zespół Arnolda-Chiariego.

- Czy to zagraża jego życiu? – spytał Grosz.
- Nie. – Na tomogramie mózgu Królikowski wskazał Groszowi otwór potyliczny wikarego. – Ta wada genetyczna powoduje zaburzenia w przepływach płynu mózgowo-rdzeniowego, skutkuje zawrotami głowy, osłabieniem kończyn, które chorzy odbierają czasem jako paraliż, zdarzają się zaburzenia mowy i wzroku. Generalnie to zaburzenie ośrodkowego układu nerwowego, w tym konkretnym przypadku był to niedowład lewej części ciała.
- A następstwa psychiatryczne? – Królikowski przyjrzał mu się podejrzliwie.
- Nie jestem pewien, czy mogę o tym mówić... obowiązuje mnie tajemnica lekarska.
- Zwalniam pana z tajemnicy, jest podejrzany o kilka zabójstw.
- Tylko sąd może mnie zwolnić z tajemnicy. Słyszałem, że jest podejrzany o zabójstwo, ale w stanie, w jakim go tu przywieźli, nie

mógłby skrzywdzić muchy.

– Uciekł z miejsca, gdzie znaleziono zwłoki ofiary.

– Tak? Nie wiedziałem o tym. Musimy go ustabilizować. Jeżeli będzie chciał się leczyć, czeka go zabieg.

– Miał na nogach buty, kiedy go znaleźli?

– Musi pan sprawdzić w depozycie lub zapytać policjanta, który go pilnuje.

Środki ostrożności wobec Tomczyka podniesiono do rangi nadzwyczajnych. Drzwi do separatki, w której umieszczono wikarego, osobiście pilnował aspirant Łukasik w dawno nieużywanym, ale świeżo wyprasowanym mundurze. Z namaszczeniem sprawdził legitymację Grosza, zanim pozwolił mu wejść do środka. Wikary Tomczyk nie zauważył wejścia komisarza. spał. Grosz delikatnie wyjął z jego dłoni pilot i odłożył go na nocny stolik. Wikary poruszył się, otworzył oczy i uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Czekałem na pana...

– Przepraszam za spóźnienie.

– Niech pan siada. – Wskazał Groszowi stołek. – Chciałbym przeprosić pana i tego policjanta, który chciał mnie zatrzymać. Jak on się czuje? – Wikary sięgnął po pilot, żeby wyłączyć telewizor, ale Grosz go uprzedził. Odsunął urządzenie poza zasięg ręki Tomczyka.

– Jest w szpitalu... trochę go ksiądz połamł.

– Jak tylko stąd wyjdę, osobiście go przeproszę i zapłacę za wszystko, proszę mu to przekazać, bardzo pana proszę.

Grosz skinął głową, dając wikaremu do zrozumienia, że nie przyjechał tu, aby uczestniczyć w jego nawróceniu.

– Nie wiem, od czego mam zacząć...

– Od dziewczyny w śniegu.

– Była tam, widziałem ją... i to ja zadzwoniłem na policję.

– Znał ją ksiądz?

– Tak... nie.

– To nie jest przesłuchanie, nie mogę wykorzystać tego, co ksiądz teraz mówi, przyjechałem tu na księdza prośbę. Czy ksiądz rozumie, co do

księdza mówię?

– Nie znałem jej, ale znałem twarz z portretu, który wisi w kościele w Kamocku.

– Święta Dorota z Kapadocji Edwarda Framptona.

Wikary potwierdził ruchem głowy.

– Znalazłem jej ciało, ktoś chciał, żeby znowu była świętą. Nie żyła, kiedy ją widziałem, nie chciałem być świadkiem, nie chciałem żadnych pytań, chciałem, żeby czas się cofnął i żeby wrócił spokój, ale Bóg chciał inaczej. Nie zrobiłem nic złego... Zgrzeszyłem, zdradziłem Boga, ale to chyba pana nie interesuje.

– Policjanci, którzy przyjechali na miejsce, które ksiądz wskazał, nie znaleźli ciała.

– No, ale pan je znalazł.

– Przyjechałem tu, bo chcę wiedzieć, kto ją zabił.

– Pan myśli, że to ja zrobiłem, teraz rozumiem. Ja też myślałem, że opętał mnie diabeł i każe mi robić te wszystkie rzeczy. Mogę pana uspokoić, diabeł nie istnieje, proszę mi wierzyć, mam licencjat z teologii. Zbłądziłem i zgrzeszyłem, ale nie potrafiłbym zabić.

– Dotknął blizny na przegubie. – To zupełnie co innego, samobójstwo to słabość i tchórzostwo... morderstwo wymaga siły i odwagi, nie stać mnie na to. Z pańskiego punktu widzenia brakuje też motywu, święta Dorota była moją patronką, kochałem ją.

– Jak znalazła się w domu Kalińskiej?

– Kto?

– Zwłoki, które widział ksiądz przy drodze, znalazłem osiem tygodni później w domu Kalińskiej w Kamocku. Posługiwała się nimi w swoich obrzędach.

Teolog pastoralny Eryk Tomczyk, absolwent Uniwersytetu Santa Croce w Rzymie, po raz pierwszy w życiu usłyszał coś tak głupiego. Coś tak absurdalnego, co nie dawało się objąć analityczną potęgą jego umysłu i doświadczenia sługi Bożego.

– Mógłby pan jaśniej wyrazić swoją myśl?

– Trudno mi uwierzyć, że nic ksiądz nie wiedział o tym, że Kalińska

kieruje sektą. Jej wyznawcy zbierali się w pałacu i odprawiali tam swoje obrzędy.

– To, co pan mówi, jest tak absurdalne, że może być prawdziwe. Nic o tym nie wiedziałem, ale pamiętam, że była wtedy z tą drugą u proboszcza, wtedy jak była ta straszna śnieżycą. Wracały drogą, którą przyjechałem, mogły widzieć zwłoki... To jest prawdopodobne...

– Sekta musiała działać wcześniej, widziałem tam kilkadziesiąt osób.

– Każda sekta odcina się od Kościoła, ale nie jest w stanie bez niego żyć. Przywłaszczają sobie jeden element, reinterpreterują go i głoszą nową wiarę, ale zawsze z odwołaniem do Ewangelii. Ich marketing polega na tym, że oni odkrywają prawdę, którą my rzekomo ukrywamy. To przyciąga rozczarowanych. Sekty potępiają hierarchię i bogactwo, to się podoba. Ich święci wypowiadają myśli, które nigdy nie przyszły im do głowy. Taki teologiczny postmodernizm, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

– Ksiądz też chyba oddalił się od źródeł.

– Grzech nie jest schizmą, komisarzu.

– Myśli pan, że Kalińska sama zorganizowała swój kościół?

– Wystarczy trochę tupetu i chciwości. Ludzie odczuwają potrzebę wiary, tak jak głód czy pragnienie. Skoro jest popyt, pojawia się podaż...

– Dlaczego ksiądz uciekał?

– Wtedy jeszcze wierzyłem w istnienie diabła, myślałem, że muszę z nim walczyć o moją duszę, byłem pewien, że pan również jest na jego usługach. Tutaj zrozumiałem, że to szaleństwo, że to ja sam wymyślam sobie usprawiedliwienia, zamiast dokonać wyboru. W mojej sytuacji oznaczało to zakończenie pierwszego życia, co prawie mi się udało.

– Wikary uśmiechnął się wyrozumiale na myśl o własnej niedoskonałości.

– Co ksiądz łączyło z Kalińską?

– Uważała, że kościół jest jej własnością, bo zbudowali go jej przodkowie. Proboszcz kazał mi ją tolerować, bo dawała duże datki i obiecała kupić nowe organy. Chciała odkupić rzeźbę świętej Doroty

dręczonej przez cesarza, którą musiał pan widzieć w kościele, jest sporo warta. Była cwana i wiedziała, że legalnie nie jest to możliwe. zaproponowała, że pod pozorem renowacji wykona kopię rzeźby: ona weźmie oryginał, my dostaniemy kopię i nowe organy. Przypominam panu o tym, co mi pan obiecał... że nikomu pan tego nie powtórzy.

– Czy to znaczy, że proboszcz Bonikowski był skłonny zaakceptować taki dil? – Tomczyk nawet nie spojrzał w jego stronę. – Chciałbym spytać księdza o kilka dat i wyjaśnienie, co ksiądz wtedy robił...

– Miejscowi oskarżają mnie o zamordowanie jakiejś ćpunkki. Pan uważa, że to ja zabiłem dziewczynę podobną do świętej Doroty! Proszę mi się dobrze przyjrzeć! Jestem żalonym świrem, który prawdopodobnie resztę życia spędzi w domu wariatów. Jeżeli dobrze rozumiem ten koncept, chcecie zrobić ze mnie seryjnego mordercę tylko dlatego, że nie potrafię się bronić. Nie umiecie złapać tego prawdziwego, więc ja spadłem wam jak z nieba. Rozczarował mnie pan, myślałem, że jest pan inteligentniejszy.

– Moja praca polega na zadawaniu pytań.

– Pana praca polega na tropieniu zła. Na rozumieniu tego, co się dzieje z ludźmi. Wmówiono panu, że państwo opiera się na prawie i sprawiedliwości, a powinnością obywatela jest czynienie dobra. Uczciwość, pracowitość, przestrzeganie przykazań et cetera... Praktyka życia nie potwierdza tej koncepcji: pieniądze, sławę, kobiety i władzę zdobywa się, kłamiąc, kradnąc i likwidując stojących nam na drodze przeciwników. Jest pan ślepym narzędziem władzy, niczego pan nie rozumie i dlatego szuka pan po niewłaściwej stronie.

– Czy wystarczy nosić czarną sutannę zapiętą na trzydzieści trzy guziki, aby posiadać wszystkie rozumy?

Tomczyk zmarszczył czoło, mobilizując swój udręczony mózg do riposty. Uznał jednak, że tak marny przeciwnik nie zasługiwał na odpowiedź. Nacisnął guzik dzwonka. Doktor Królikowski pojawił się prawie natychmiast.

– Skończyliśmy – oznajmił Tomczyk, patrząc w okno.

Królikowski zorientował się, że doszło między nimi do ścięcia, dotknął

ramienia Grosza. Komisarz wyszedł na korytarz. Aspirant Łukasik zerwał się z krzesła i wszedł do separatki. Spod leżącego na parapecie ręcznika wyciągnął dyktafon. Pełne dezaprobaty spojrzenie Królikowskiego nie było w stanie osłabić rozpierającej go dumy.

Do świtu brakowało jeszcze kilku godzin. Od Warszawy dzieliło go trzysta siedemnaście kilometrów – tak informował system nawigacji. Droga była pusta, termometr wskazywał trzy stopnie poniżej zera. Grosz jechał ostrożnie, trochę żałował, że nie skorzystał z zaproszenia gościnnego doktora Królikowskiego. Lekarz zaoferował mu drzemkę na służbowej kanapie i śniadanie. Grosz doszedł do wniosku, że przyjęcie tej propozycji byłoby nadużyciem. Królikowski powiedział mu o dyktafonie Łukasika. Grosz uznał to za nadzwyczajny przejaw lojalności wobec pacjenta. Powstrzymał się przed dopowiedzeniem, że spodziewał się tego i dlatego zostawił włączony telewizor, który z pewnością zagłuszył nagranie gorliwego aspiranta. Lekarz odprowadził Grosza na parking i tam dopiero wprowadził Grosza w prawdziwe zdumienie. Wyznał, że tuż przed pojawieniem się Grosza wszedł do separatki Tomczyka i wyłączył dyktafon, bo zgodnie z regulaminem na parapecie nie powinno nic leżeć. Grosz mocno uściśnął dłoń doktora, jego pacjenci mogli się czuć absolutnie bezpieczni.

Radiowe wiadomości przyniosły informacje o wyborczej kłęsce blond celebrytek w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Wygrała prawica, niekiedy dość radykalna. Spory sukces odniósł jękający się facet w muszce. Zapowiedział, że rozwali Unię Europejską i obniży ceny benzyny i alkoholu. Poparła go młodzież, z wyjątkiem własnego zięcia, który kilka lat wcześniej, celując w muszkę, przebił mu nożem brzuch. „Po papieżu i Szymborskiej mamy wreszcie kogoś, kto przypomni światu o Polsce. – Grosz wyłączył radio. – Dlaczego nikt się nie interesuje sobowtorem świętej Doroty?”. Skoro była tak młoda, to musiała chodzić do szkoły. Nawet jeżeli wagarowała, chorowała, to ktoś musiał o niej pamiętać. Inaczej trafiłaby do domu dziecka lub

placówki opiekuńczej. Pełnoletnim łatwiej jest zniknąć, mogą wyjechać za granicę, zmienić nazwisko, wyjść za mąż za cudzoziemca, wyrzec się rodziców.

„Nie ruszę z miejsca, jeżeli nie ustalę jej tożsamości. Nie dowiem się, gdzie mieszkała lub chodziła do szkoły. W tej chwili nie mam nic. Wikary Tomczyk raczej jej nie zabił, nie dzwoniłby na komisariat, żeby się tym pochwalić. Gdyby zabiła ją Kalińska, nie zostawiłaby zwłok w śniegu, przy drodze do swojego domu. Mogło być inaczej, ale muszę mieć jakiś trop, który pozwoli mi ruszyć to śledztwo. Jak dotąd naruszono jedynie przepisy ustawy o cmentarzach i chowaniu zmarłych. Miejscowy prokurator powinien przesłuchać Kalińską i tę drugą. Baby zwały, więc ich nie przesłucha. Wykona rutynowe czynności i umorzy postępowanie. Nikt w tej sprawie nie złożył skargi lub doniesienia, śmierć tej dziewczyny nikogo nie obchodzi. Zdarza się, że ludzie giną bez śladu i nie chcą być odnalezieni, uciekają przed własną przeszłością, ale wtedy coś o nich wiemy: jak się nazywali, gdzie mieszkali, z kim się spotykali i spędzali czas. Tu są tylko milczące zwłoki”.

Koło samochodu zjechało na pobocze – pierwszy objaw zmęczenia przed świtem. Wyprowadził samochód na środek drogi, przyspieszył i opuścił szybę. Mroźne powietrze go orzeźwiło. „Głupio by było rozwalić się w tym lesie, tak daleko od domu!”. Zjechał na pobocze, wysiadł z samochodu, zrobił kilka skłonów i przysiadów. Parę razy obiegł truchtem samochód dookoła. Było przeraźliwie zimno. „Jak strasznie zimno musiało być tej dziewczynie, kiedy wrzucili ją na śnieg, jeżeli jeszcze żyła? Znajdę go, dowiem się, kim była ta dziewczyna, a Kalińska odpowie za profanację jej zwłok. Wszystkim dobiore się do dupy! Normalni ludzie śpią o tej porze w swoich ciepłych łóżkach, kochają się, mordują, robią dzieci lub chrapią. Dlaczego ja muszę biegać w nocy jak krety wokół samochodu, dlaczego?!”.

Wrócił do auta. Błogie ciepło nie złagodziło jego wściekłości. Ruszył, wrywając kołami trawę z podłoża.

„Ktoś rzucił mi wyzwanie, przyjmuję je. Potrzebuję trzech godzin snu, gorącej kąpieli i planu. Moja głowa potrzebuje kawy. Kawy, a nie lury

z przydrożnego automatu. Trzech jajek na bekonie, z grzanką, a nie jajecznicy z proszku, doprawionej glutaminianem sodu, z baru przy stacji benzynowej. Prawdziwe żarcie osiągalne jest tylko w moim walącym się domu, muszę znaleźć się tam jak najszybciej w jednym kawałku.

Rozdział XIX

U progu swojej włoskiej kariery Ewa Gawrak spała ze swoją rumuńską koleżanką w pomieszczeniu na szczotki i środki czystości. Miały tam mały telewizor, piętrowe łóżko i niemożliwy do wywietrzenia zapach detergentów. Pomieszczenie, w którym się obudziła przed chwilą, było znacznie większe, ale zapach był podobny. Ściany i podłoga wyłożone glazurą. W kącie stał niepodłączony jeszcze do instalacji piec centralnego ogrzewania. Spała na podłodze, przykryta kocem. Miała na sobie tylko biały szlafrok, jej dres i bielizna zniknęły. Powoli wracała pamięć: „Ktoś mnie porwał, kiedy biegałam, przywiózł tu, rozebrał i umył”. Czuła na skórze zapach taniego mydła. Tępy ból w kroczu mógł świadczyć o tym, że została zgwałcona.

„Widziałam w życiu sporo, ale co można zrobić w takiej sytuacji?”. „Wstań i walcz!” – zawsze powtarzał ojciec. Poruszyła się ostrożnie. Ból w lewej piersi był silniejszy niż ten w kroczu. Odsloniła szlafrok. Z sutka lewej piersi zwisała srebrna miniatura smoka. Włócznia rycerza, który poskromił potwora, przebiła jej sutek oraz paszczę i ogon smoka, dzięki czemu stali się nierozłączni. Wyczuła czyjąś obecność, ale nie chciała nikogo zobaczyć. Zastygła w bezruchu. Impuls płynącego prądu – właśnie to poczuła, kiedy dotknął jej ramienia. Zmusił ją, żeby odwróciła głowę. Wysoki, mocno zbudowany, w białym obcisłym trykocie. Twarz zasłonięta karnawałową maską. Wydał z siebie przeciągłe mruknięcie. Interpretowanie tego dźwięku wyłącznie w konotacjach seksualnych byłoby niedopuszczalnym uproszczeniem. Nawet mało wrażliwe ucho usłyszałoby w nim samotność i ból istnienia.

Grosz nie zdążył zjeść śniadania. Telefon od Strumiłły wyrwał go ze snu trzy minuty po siódmej. Kwadrans stał pod prysznicem, próbując

przypomnieć sobie, jak się nazywa i kim jest Strumiłło. Po nieudanej próbie umycia zębów maszynką do golenia ubrał się i zaparzył kawę. Prowadząc samochód, starał się odtworzyć treść rozmowy ze Strumiłłą. Stary dureń kilka razy powtórzył, że sprawą zabójstwa Urszuli Oracz osobiście interesował się minister. W zakamarkach pamięci nie udało się jednak Groszowi odszukać powodów tego zainteresowania. Obwodnica, którą jechał do miasta, była w trakcie drugiego już w tym roku remontu. Musiał bardzo uważać, żeby nie najechać na pełną przed nim samochód. Radio nadało wiadomość o podsłuchanych rozmowach czołowych polityków. „Nasza rzeczywistość w tych konwersacjach opisywana jest wyłącznie przy pomocy przekleństw i wulgaryzmów. Przemoc i agresja są normą, kłamstwo akceptowanym obyczajem. Politycy, nawet ci inteligentni, mają świadomość uczestniczenia w fikcji. Wydaje się im, że klnąc i bluźgając dodają sobie męskości, prestiżu i kompetencji. Uwięzieni w korku biedacy przejmują te maniery, aby również poprawić sobie samopoczucie. Normalność mogłaby okazać się zabójczą alienacją. Pytani w radiowym studio politycy, dlaczego robią z siebie takich bydlaków, odpowiadają, że wszyscy już tak mówią, że już jesteśmy Rzeczpospolitą Oświeconych Chamów, w której słownik udało się zredukować wyłącznie do katalogu bluźgów. Tacy dziwacy jak: Słowacki, Mickiewicz i Szymborska wkrótce znikną ze szkolnych lektur. Gombrowicz już poleciał. Ważą się jeszcze losy Sienkiewicza, ale tu osobiście zdecydowanie wszechpolski wicepremier”.

Grosz obserwował w lusterku twarz jadącego za nim kierowcy. Wykrzywiona złością, miotająca przekleństwami gęba mogła należeć do mordercy, którego szukał, lub do kogoś z elity; mógł to też być pospolity idiota, któremu wydawało się, że remonty powinny odbywać się nie częściej niż co dziesięć lat. „Umiejętność zmuszenia ludzi do aprobaty nienormalności jest pierwszym krokiem na wyboistej drodze budowy Nowej Utopii”.

Rozdział XX

Nie czekali na niego. Kiedy Grosz wszedł do gabinetu Strumiłły, Marta referowała już ustalenia w sprawie Andżeliki Korycińskiej, której nagie zwłoki wyłowiono w styczniu z Jeziora Otmuchowskiego. Dwudziestoosmioletnia dziewczyna pracowała w sklepie z pamiątkami w Łądku Zdroju. Weekendy spędzała w Czechach, gdzie robiła striptiz w wietnamskiej restauracji. Właściciel sklepu z pamiątkami zawiadomił policję, że dziewczyna od kilku dni nie przychodziła do pracy. Pochodziła z Podkarpacia. Nie miała w Łądku rodziny ani stałego partnera. Kobieta, u której wynajmowała pokój, zeznała, że próbował z nią kręcić właściciel sklepu, ale zagroziła mu, że odejdzie z pracy. O występach za granicą facet dowiedział się od policjantów. Był przekonany, że jeździła do rodziców w Jaśle. Brzmiało to na tyle niewiarygodnie, że stał się pierwszym podejrzanym. Wyeliminowano go po sprawdzeniu alibi. Mimo dobrej współpracy z czeską policją nie udało się ustalić, co się z nią działo po występie w knajpie. Wietnamski kucharz zeznał, że kiedy wyrzucał śmieci na zapleczu, widział dziewczynę wsiadającą do czarnego auta. Nie rozpoznał jej jednak na okazanych fotografiach. Andżelika Korycińska nigdy nie wróciła do swojego wynajmowanego w Łądku pokoju. Jej samochodu, którym wyjechała w swoją ostatnią podróż, również nie udało się odnaleźć. Sprawę przekazano do Poznania.

– Jak to się łączy z Gorzowem? – spytał Strumiłło.

– Samanta Białecka, lat dwadzieścia sześć, nagie zwłoki wyłowione z rzeki. Branża rozrywkowa, taniec na rurze. Uprawdzona jedenastego grudnia dwa tysiące trzynastego roku w okolicach Strykowa. Ciało odnaleziono trzeciego lutego dwa tysiące czternastego w Warcie, na wysokości Gorzowa. Za bezpośrednią przyczynę śmierci uznano

przerwanie rdzenia kręgowego, podobnie jak w przypadku tej z Łądką. Zwłoki przywiązane były do drewnianej konstrukcji w kształcie krzyża.

- Włodek źle ułożył kartki, z których czytał, i nerwowo je przekładał, szukając dalszego ciągu.
- Skojarzono to z figurą, jaką Białecka wykonywała w swoim popisowym numerze. W pierwszej fazie po wrzuceniu do wody prawdopodobnie jej ciało było obciążone jakimś balastem i leżało na dnie, w przełyku stwierdzono obecność mułu i flory dennej. Po wzdęciu zwłoki wypłynęły na powierzchnię, prąd rzeki przemieścił ciało w kierunku zachodnim... Przebywała w wodzie około trzech tygodni. Podjęte czynności nie doprowadziły do wskazania podejrzanego. Sprawę przekazano do Poznania.

- Dlaczego właśnie tam? - chciał wiedzieć Strumiłło.

- Prokuratura Okręgowa w Poznaniu dopatrzyła się cech wspólnych w obu przypadkach, po czym utajniła część wyników badań patomorfologicznych, kierując się dobrem śledztwa... - uaktywnił się Grosz.

- Mam tu jeszcze coś z Tucholi. - Strumiłło niezdarnie grzebał w swoich kartkach.

- Nauczycielka, dwadzieścia sześć lat, nagie ciało w parku - przerwał mu Grosz. - Kilkanaście ciosów nożem. Ofiara znaleziona w miejscu dokonania zabójstwa - to nie jest nasz misio...

- To dlaczego ja to mam tutaj? - marudził Strumiłło.

- Źle ustawiłeś wyszukiwarkę - upomniał go Grosz.

Strumiłło nie cierpiał być pouczany, jednak nie dał tego po sobie poznać. Sięgnął do szuflady po jedno ze swoich lekarstw. Nie był pewien, czy wybrał właściwe i z łoskotem zamknął szufladę, manifestując dysonans poznawczy.

- Dziewczyny z Kamocka i Turczynka to prawdopodobnie ofiary innego sprawcy, możliwe że dwóch różnych sprawców... - ciągnął Grosz.

- Za godzinę będę stał na dywaniku, muszę mieć coś konkretnego, a nie wróżby z fusów! - wybuchnął Strumiłło.

- Cechy wspólne wykazują Samanta Białecka i Angelika Korycińska.

U obu jako bezpośrednią przyczynę śmierci stwierdzono przerwanie rdzenia kręgowego. Ich ciała zostały przemieszczone, nie mają śladów tortur czy sadystycznego okaleczenia, co sugerowały wcześniejsze informacje.

– Dlaczego nie mógł tego zrobić Tomczyk?

– Ma alibi na dzień uprowadzenia Białeckiej.

– A ta druga? – nie ustępował Strumiłło.

– Zakładamy, że zabił je ten sam zbok – odezwał się Władek.

– Dwie dziewczyny ze skręconym karkiem, obie zarabiają, kręcąc gołym tyłkiem. Ta z Kamocka też miała skręcony kark. Czy to nie wygląda na robotę misjonarza? – Strumiłło szybko oswajał się ze swoją hipotezą.

– Dziewczyna z Kamocka była obiektem kultu religijnego – przypomniła Marta.

– To uprawdopodobnia wersję obsesji religijnej, moja droga...

Dla Marty nic nie brzmiało bardziej obraźliwie niż „moja droga”. A to, że Strumiłło nazwał sprawcę zabójstw misjonarzem, doprowadziło ją do furii. W typologii przestępców występuje typ misjonarza, zabójcy ukierunkowanego na ściśle określone kategorie ludzi. Nawet ona wiedziała, że „misjonarze” pozostawiają zwłoki na miejscu zbrodni. Strumiłło wspomniał o tym w swojej książce, ale zdążył już o tym zapomnieć.

– Ten ksiądz chyba leczył się psychiatrycznie, dobrze pamiętam? – ciągnął Strumiłło.

– Masz świetną pamięć, ale on ma alibi – uspokajał go Grosz.

– Kto je poświadczył? – desperacko brnął Strumiłło.

– Są wpisy w dzienniku kościelnym...

Strumiłło z wdziękiem ateisty lekceważąco machnął ręką.

– Sam wiesz, na co ich stać...

Nikt nie zdobył się na ripostę. Strumiłło ufał tylko sobie. Ze swoimi współpracownikami rozmawiał wyłącznie po to, aby poznać tropy, którymi jego analityczny umysł nie powinien podążać.

Wiceminister spraw wewnętrznych Sławoj Kowalewski był z zawodu katechetą. Na Uniwersytecie Adama Mickiewicza obronił pracę magisterską poświęconą średniowiecznym wyprawom krzyżowym. Po pierwszym rozwodzie zrezygnował z kariery naukowej na rzecz polityki. Funkcję wiceministra pełnił już w drugim z kolei rządzie. Jego poglądy polityczne elastycznością dorównywały damskiej bieliźnie. Koncyliacja – za to go cenili zarówno postkomuniści, jak i narodowi katolicy. Jego pozycję ugruntowała rozległa wiedza o małych i dużych grzechach czołowych polityków oraz to, że wiedzy tej nie nadużywał. Swoich rozmówców uwodził umiejętnością słuchania i kolekcją jedwabnych krawatów, o którą dbała jego czwarta żona.

Pierwszym gościem Sławoja Kowalczewskiego była dzisiaj przewodnicząca senackiej Komisji Ustawodawczej, senator Małgorzata Oracz. Przed spotkaniem Kowalewski zdążył przejrzeć jej teczkę. Pani senator była córką przedsiębiorcy pogrzebowego, który zapewnił jej imponujący posag. Nieudane małżeństwo wepchnęło ją w środowisko polityków, którzy zawsze potrzebują pieniędzy, ale nigdy sami nie potrafią ich zarobić. Zaczęła od wydawania katolickiego tygodnika, który szybko upadł. Ojciec doradził jej wtedy założenie radykalnie antyklerykalnej partii politycznej; powstające przy kościołach małe firmy pogrzebowe zaczęły zagrażać jego interesom.

Mimo swoich czterdziestu pięciu lat senator Małgorzata Oracz w dobrze skrojonej żałobie prezentowała się bardzo atrakcyjnie.

– Nie proszę pana ministra o nic dla siebie, ale nie możemy tu, w środku Europy, tolerować średniowiecza. Nie może być tak, że oni bezkarnie gwałcą i mordują nasze dzieci tylko dlatego, że ktoś zawarł z nimi jakiś konkordat!

– Jeżeli pamięć mnie nie zawodzi, senat, który pani reprezentuje, zaaprobował konkordat.

– Społeczeństwo nie godzi się już na stawianie księży ponad prawem!

– Oskarża pani księdza o zamordowanie swojej córki... Według mojej wiedzy nie ma na to dowodów.

– Bo już zdążyliście je zniszczyć! Zrobił to człowiek, który panu podlega!

– To poważne oskarżenie.

– Ten zboczeniec zamordował już cztery kobiety! Próbujecie ukryć własną niekompetencję i strach przed biskupami, ale tym razem to się nie uda. Pierwsze zabójstwa zostały utajnione, może mi pan powiedzieć dlaczego? Mam sama zgadywać? Co to jest jak nie zamiatanie pod dywan? Nie twierdzą, że to pan ich kryje, ale toleruje pan, że mordercy w sutannach wchodzi do naszych domów...

Kowalewski zajrzał do swoich notatek.

– Według mojej wiedzy żadna z ofiar nie została zamordowana w miejscu zamieszkania. Jak pani widzi, przygotowałem się do spotkania z panią, traktujemy tę sprawę bardzo poważnie. W ciągu tygodnia poinformuję panią o ustaleniach w sprawie śmierci pani córki, raz jeszcze proszę przyjąć moje kondolencje, bardzo pani współczuję.
– Wstał, aby ucałować jej dłoń.

Nie pozwoliła mu na to, cofnęła się o krok i przybrała wojowniczą postawę.

– Dupa się panu przykleiła do tego fotela, ale ja pana stąd ruszę! Wyleci pan stąd na zbity pysk! Co pan chce jeszcze ustalać? Nie żyją cztery kobiety, a pan się boi o tym powiedzieć społeczeństwu! Nawet za komuny tak nie było! Boi się pan, że prymas pourywa wam uszy? Jutro przeczyta pan sobie o tym we wszystkich gazetach! – Ruszyła, stukając obcasami, w stronę drzwi. W połowie drogi odwróciła się. – Jak panu nie wstyd? Na Dominikanie polskich biskupów wsadzają za kraty, a pan tu im laskę robi, hańba!

Słuszne oburzenie pani senator podkreśliła spektakularnym trzaśnięciem drzwiami. Na wiceministrze Kowalewskim nie zrobiło to wrażenia. Z urzędowo uprzejmym uśmiechem ukłonił się gwałtownie zamkniętym drzwiom i podszedł do drugich, prowadzących do saloniku. Nie musiał naciskać klamki, zostawił drzwi uchylone, aby siedzący w środku Modest Strumiłło mógł przysłuchiwać się jego rozmowie z panią senator.

- Za twoich czasów politycy też mieli takie niewyparzone gęby?
- Niechby który spróbował! Jakiś profesorek czy inny dysydent czasem coś w kącie pisał, ale nigdy publicznie. Cham myślał, co myślał, ale mordę trzymał na kłódkę. Bo były autorytety, a teraz są spin doktorzy, to oni nauczyli ich tego chamstwa, to się teraz nazywa aktywna autoekspresja.
- Baba zdobyła mandat w wyborach uzupełniających, rozdając ludziom wódkę i kielbasę. Powiedz mi, skąd ona tyle wie?
- Musi mieć informatora, działamy z zachowaniem procedur, ale przy seryjnych zabójstwach nie utrzymasz wszystkiego pod kluczem. Kowalewski ze zrozumieniem pokiwał głową.
- Twój człowiek podobno niszczy dowody...
- Chcieli go nagrać, złamasy, ale się zesrali, niczego mu nie udowodnią.
- Co masz dla mnie?
- Łądek i Gorzów – to może być jedna ręka, Turczynek i Kamocko – to jest za świeże, żeby typować.
- Ten ksiądz był w tym Turczynku...
- Przed śmiercią dziewczyna odbyła stosunek płciowy, wiemy już, że to nie był on.
- Nie musiał jej posuwać, mógł ją zabić za cokolwiek.
- Czekamy na opinię patomorfologa.
- Ja nie mogę czekać, premier nie może się o tym dowiedzieć z gazet.
- Blokada informacji jest jak dotąd całkiem skuteczna.
- Ona teraz startuje w wyborach do Brukseli, chrzani twoje blokady.
- Nie ma szans na mandat.
- Śmierć córki spadła jej jak z nieba. Miała słabą kampanię i jeszcze gorsze sondaże. Od trzech dni jest na topie, nic jej nie zatrzyma. Ludzie nie wiedzą, że ona tej swojej córki nie widziała od ponad roku. Kupują przekaz o mordercach w sutannach, bo to działa na wyobraźnię. Nie można by tego wikarego gdzieś schować, dopóki to nie przycichnie?
- Znasz prezesa telewizji?
- On mnie zna, o co chodzi?

- Komunikat o zaginionej.
- Mają tam taki program...
- Chodzi o emisję zaraz po wiadomościach, kiedy ludzie oglądają, a nie wtedy, kiedy śpią.
- Zobaczę, co da się zrobić.

Na biurku zadzwonił telefon.

- Dawaj go! - zadysponował Kowalewski i odłożył słuchawkę. - Jest ten prokurator z Poznania...

Włączył monitor komputera i wskazał Strumille miejsce z boku. Na ekranie monitora pojawiła się nalana twarz w kolorze świeżej szynki, ozdobiona złotymi oprawkami dwuogniskowych szkieł.

- Kowalewski po tej stronie, witam pana prokuratora.
- Henryk Węgłarczyk, prokurator okręgowy.
- Mamy bezpieczne połączenie, prokuratorze. Chciałbym wiedzieć, dlaczego postanowił pan utajnić część akt ze spraw tych dziewczyn, o które pana pytałem.

- Nie jestem pewien, czy mogę w tych okolicznościach dysponować tymi informacjami.

- Nie proszę pana o szczegóły, wystarczą mi motywy.
- Istniała obawa naśladownictwa...
- A dokładniej?
- Ktoś mógłby podszywać się pod sprawcę i w ten sposób manipulować... utrudniać śledztwo.
- Proszę pana o informacje wyłącznie do mojego użytku. Sytuacja jest bardzo poważna, prokuratorze, mamy tu nóż na gardle.
- Nie powinienem tego robić...

- Ja decyduję o tym, co pan powinien, a czego nie!

- Otrzymałem dzisiaj rano przesyłkę, dlatego poprosiłem o rozmowę. Mam powody, żeby sądzić, że ktoś wyprzedza pana działania, panie ministrze. Albo macie tam kreta...

Kowalewski nerwowo spojrzął w stronę Strumille, zbyt późno się zorientował, że prokurator Węgłarczyk może skojarzyć to z obecnością kogoś postronnego w jego gabinecie.

– Wróćmy do meritum, panie prokuratorze.

Węglarczyk skinął głową. Sięgnął prawą ręką pod ekran, na monitorze ukazały się jego grube palce, trzymające srebrną miniaturę smoka.

– Co to jest, panie prokuratorze?

– Jego znak firmowy. Obie ofiary miały to przyczipione do piersi. Utajniłem to, żeby nie prowokować ewentualnych naśladowców. Ten psychol poczuł się tym dotknięty. Chce, żebym... kazał mi to ogłosić...

– Nie może pan tego zrobić!

– Nie mam wyjścia, dostałem od niego wiadomość, przesłałem ją panu.

– Nie rozmawiamy z szantażystami.

– Porwał kobietę, którą kocham. Jeżeli nie pokażę tego dziennikarzom, zabije ją.

– Ile dał panu na to czasu?

– Sześć godzin. – Prokurator spojrzął na zegarek. – Już tylko cztery...

– Może pan dzwonić do mnie o każdej porze, jesteśmy z panem.

– Dziękuję panu, panie ministrze.

– Będziemy w kontakcie, nie jest pan sam, do widzenia.

Kowalewski przerwał połączenie. Rozluźnił węzeł krawata i papierową chusteczką osuszył spocone czoło i kark.

– Co się w tym kraju, kurwa, wyrabia? —sapnął.

– Znajdź kreta, nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Kto u ciebie zajmuje się tą sprawą?

– Grosz.

– Kto to jest, kurwa, Grosz?

– Jest dobry... może nawet tak dobry jak ja.

Kowalewski przełknął ślinę. Zbyt wiele złych wiadomości, a ta ostatnia była chyba najgorsza.

– Co teraz powinienem zrobić?

– Każ sekretarce zrobić dwie dobre kawy, w szafie znajdź dwa czyste kieliszki i najlepszy koniak, jaki ukradłeś w *duty free*...

Kowalewski działał jak automat. Nachylił się do intercomu.

– Dwie włoskie kawy, pani Basiu. Proszę odwołać wszystkie spotkania

do jedenastej.

– Umówiony pan podsekretarz Kęsik czeka.

– Niech mu pani też zrobi kawę.

– To bardzo pilne...

– To niech mu pani dorzuci ciasteczko.

– Widzisz, z jakimi kretydami muszę pracować? – poskarżył się Strumille. Podszedł do szafy pancерnej, napełnił dwa kryształowe kieliszki. Jeden postawił przed Strumiłłą.

– Sprawdź pocztę – rozkazał Strumiłło. Podniósł kieliszek pod światło i studiował barwę trunku. Umoczył w nim usta. – Stravecchio Branca... ale dobra.

Wzrok Kowalczuka wędrował między twarzą Strumiłły a ekranem komputera. Strumiłło usłyszał piskliwy głos przerażonej kobiety, przysunął się do monitora. Wiadomość miała formę animacji. W środkowej części kadru umieszczona była zapłakana twarz Ewy Gawrak. Po bokach autor umieścił Angelikę Korycińską i Samantę Białecką. Obnażone do pasa i uśmiechnięte, przyglądały się Ewie. Na ich piersiach beztrósko huśtały się srebrne miniatury przebitego włócznią smoka.

– Ta po lewej jest z Łądka, ta z prawej – z Gorzowa – objaśnił Strumiłło.

Kowalewski sięgnął po kieliszek i wypił go jednym haustem. Kolejne ujęcie przedstawiało nagą Ewę Gawrak; jej pierś również zdobił smok.

– Heniu, zrób to, o co pan prosi, bo on mnie zabije! Heniu, proszę cię! Zawieź to do radia, na Mołdawską, tam już na ciebie czekają. Musisz zdążyć przed drugą! Heniu, ratuj mnie! – krzyczała metalicznym głosem.

Strumiłło skinął głową z uznaniem dla talentu autora i wrócił na swoje miejsce.

– Myślisz, że ta wiedźma już wie o tym? – spytał zrezygnowany Kowalewski.

– To nie ma znaczenia, pozwól jej trochę poszumieć, to amatorka, gra za wysoko, wywali się i sama pójdzie na dno.

– Zbiera głosy od ludzi, którzy zwątpili w nas, w rząd, rozumiesz? Ona żywi się naszą krwią, nie możemy na to pozwolić, nie rozumiesz tego? Nie mamy czasu!

– Bez hysterii! Czas można kupić, przyjacielu. – Strumiłło uwielbiał, kiedy ministerialni mądrale patrzyli na niego jak na Batmana, lubił uszczęśliwiać ludzi.

– Masz jakiś pomysł? – nieśmiało spytał minister Kowalewski.

– Na tego psychola?

– Chuj z nim! Na Oraczową.

Strumiłło dopił resztkę brandy. Zaintrygowało go, dlaczego minister nie brał pod uwagę, że psychol mógłby uprowadzić również jego żonę. Kowalewski wyciągnął z szafy zapakowaną w karton butelkę.

– Jeżeli ci smakuje, to proszę, na zdrowie... zrobisz mi przyjemność – kusił go minister.

Strumiłło włożył okulary, aby przyjrzeć się etykietce trunku. „Trzeba być prawdziwie liberalnym chamem, aby tak nisko wycenić głowę antyklerykalnej senator” – pomyślał.

Grosz wrócił do domu przed szóstą i zajął się gotowaniem rosółu. Dawno już dostrzegł terapeutyczne właściwości tego zajęcia. Przygotowanie mięsa, warzyw i przypraw odbywa się w zupełnie innym rytmie niż ten, w którym trwonął swoje życie. Chaos, pośpiech, śmiertelne zmęczenie i permanentna apatia. Bardzo rzadko przynosił do domu dokumenty spraw, nad którymi pracował. Dzisiaj ułożył je na kuchennym stole i cierpliwie czekał, aż rosół osiągnie właściwą temperaturę. Wtedy trzeba już tylko odpowiednio ustawić płomień palnika i zaczekać dwie godziny. Właśnie tyle potrzebował, aby uporządkować wszystkie informacje, jakie zebrali w związku z zabójstwami młodych kobiet. Zapisał sobie na kartce, co ma zamiar zrobić z warzywami, które zostaną po ugotowaniu rosółu, i sięgnął po teczkę z dokumentami.

Zwłoki znalezione w pałacu Margaret Kalińskiej, w Kamocku, ze

względu na nieustaloną tożsamość zostały oznaczone hasłem „Dorota-19”, na tyle biegli ocenili wiek ofiary. Za bezpośrednią przyczynę zgonu uznano wychłodzenie organizmu. Ślad zadzierzgnięcia na szyi był zbyt płytki, aby pozbawić ją życia. Ofiara została brutalnie pobita, miała złamane dwa żebra, z których jedno przebiło płuco. Przemieszczenie kręgów szyjnych było charakterystyczne bardziej dla wypadku komunikacyjnego niż celowego działania zabójcy. Ząb, znaleziony wcześniej przy drodze, z całą pewnością należał do ofiary. Znęcano się nad nią długo i na różne sposoby, być może torturowano, aby wydobyć jakieś informacje: ktoś, kto to zrobił, nie znał się na swojej robocie, gdyby znaleziono ją wcześniej, miała szansę przeżyć. Psychopata szantażujący prokuratora Węglarczyka nie popełniał takich błędów, jego ofiary nie miały szansy przeżycia. Socjopatyczni mordercy – przynajmniej ci, z którymi zetknął się Grosz – działali tak jak on, zdumiewająco racjonalnie.

„Czas zajrzeć do rosołu”. Grosz usunął burą pianę, która zgromadziła się na powierzchni, zmniejszył płomień i wrócił do stołu. W przypadku Urszuli Oracz również doszło do przemieszczenia kręgów odcinka szyjnego kręgosłupa, ale nie spowodowało to przerwania rdzenia kręgowego, na kręgach nie stwierdzono żłobień rotacyjnych, które zwykle powstają przy działaniu osoby trzeciej, dokonującej tak zwanego skręcenia karku ofiary. Jak miało to miejsce w przypadku Samanty Białeckiej i Andżeliki Korycińskiej. Boczne przemieszczenia kręgów szyjnych w przypadku Urszuli Oracz patolog uznał za następstwo upadku z wysokości. Córka pani senator nie była uprowadzona ani przetrzymywana, tak jak dziewczyny z Łądką i Gorzowa. Grosz założył, że ich zabójca nie działał ani w Kamocku, ani w Turczynku. Jeżeli jutro Ewa Gawrak, kochanka prokuratora Węglarczyka, dołączy do galerii ofiar psychopaty, to prawdopodobnie nikt nie będzie chciał go słuchać. Dowody przestaną być ważne. Kogoś trzeba będzie zamknąć, tego od niego oczekiwali. Przez chwilę obracał w palcach notatkę komendanta Cieślara z Rogowa. Po wstępnych oględzinach zwłok Urszuli Oracz i stwierdzeniu, że odbyła stosunek seksualny tuż przed śmiercią,

prokurator polecił pobranie materiału porównawczego od wszystkich pensjonariuszy ośrodka uzależnień w Turczynku. W trakcie pobierania próbek nasienia pacjent Krzysztof Chrobak przyznał się, że współżył z panną Oracz i widział jej upadek z drabiny. Przestraszył się i uciekł w obawie przed konsekwencjami. Okazało się, że o schadzках Chrobaka i panny Oracz wiedziało więcej osób, a relacje między pacjentami w ośrodku były dość swobodne.

Na powierzchni rosółu pojawiły się żółte plamy tłuszczu. Zapach przypraw i gotowanych warzyw oddzielił go na chwilę od świata zbrodni, zbrojeńców i chorobliwie ambitnych polityków. Planował sam zrobić makaron, ale znalazł w szafce tagliatelle i doszedł do wniosku, że będą wystarczająco dobrym substytutem. Zadzwoił telefon. Strumille poinformował komisarza, że tuż przed dwudziestą trzecią publiczna telewizja pokaże fotografię Doroty z Kamocka, a potem zrobił pauzę i czekał na odpowiedź Grosza. Nie doczekał się. Zebrane dowody rujnowały finezyjną koncepcję senator Oracz, ale Grosz nie miał zamiaru przeciągać rozmowy i dostarczać Strumille satysfakcji przed północą. Teraz liczył się tylko rosół, któremu będzie towarzyszył kawałek gotowanej wołowiny z musztardą Dijon. Psychopata, którego z Władkiem nazwali „Smok”, i tak zajmie się ktoś inny. Sprawa miała charakter ogólnokrajowy i wymagała dużego zespołu. Nawiedzone wiedźmy z Kamocka uciekły za granicę i to był problem prokurator Czerwińskiej. Tego wieczoru ważny był tylko rosół. Za kilka godzin zobaczy w telewizji zrekonstruowaną twarz Doroty i to będzie ich ostatnie spotkanie. Ktoś ją rozpozna lub nie. Jutro lub pojutrze dostanie nową sprawę i tak już będzie do emerytury. W nocy kilka razy jego mózg odtworzył sen, w którym leciał z Dorotą nad Kamockiem. Ciągłe jeszcze robiło to na nim wrażenie. „Długo będę o tym pamiętał – pomyślał, próbując rosół. – Tylko to się liczy, reszta jest stratą czasu i zawracaniem głowy”.

Telefon zadzwonił ponownie. Od razu rozpoznał drżący głos proboszcza Bonikowskiego.

– Przepraszam, że tak późno do pana dzwonię... Nie obudziłem, mam

nadzieję.

- W czym mogę pomóc?
- Przed godziną umarła pani Maria Morsztyn, pamięta ją pan?
- Pamiętam obie panie, pani Morsztyn pięknie grała na organach.
- Jestem wykonawcą ostatniej woli pani Morsztyn, prosiła mnie o przekazanie panu kilku drobiazgów.
- Jestem do dyspozycji księdza proboszcza.
- Jutro wracam do Kamocka. Gdyby znalazł pan chwilę przed południem...
- Zapraszam księdza do mnie, na rosół.
- Nie chciałbym sprawiać kłopotu...
- To dla mnie przyjemność, proszę sobie zapisać adres... Fredry dwadzieścia sześć, do zobaczenia.

Bonikowski zjawił się po półgodzinie. Miał bardzo zmęczoną twarz i przekrwione oczy. Zjadł z apetytem talerz rosółu i kawałek mięsa. Kiedy Grosz zaproponował mu kieliszek koniaku, wyciągnął z kieszeni sutanny niewielkie pudełeczko. W środku znajdował się dyktafon. Podał go Groszowi.

- Obiecałem to panu dostarczyć. Nie odtwarzałem tego, ale przypuszczam, że usłyszysz pan to, co chciała panu powiedzieć. Zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym przyjechał do niej, do Gdańska, do szpitala. Odmówiłem, kanclerz kurii uprzedził mnie, że w pałacu była policja, a wcześniej Margaret Kalińską deportowano ze Szwajcarii... - przerwał, żeby pokrzepić się koniakiem. - Zaczęła mnie błagać, prosić, że chce złożyć hojną ofiarę na kościół.

- Jak trafiła do szpitala?
- Uciekały przed panem, to był dla niej wielki wstyd, to była uczciwa kobieta, całe życie poświęciła tej drugiej, uwierzyła, że ta Kalińska ma objawienia i rozmawia z Bogiem. Znam takich ludzi, proszę mi wierzyć, ciężko z tego wyjść. Bóg miał ją w swojej opiece, mimo że go zdradziła, zesłał jej opamiętanie. Nie wsiadła z Kalińską na prom, została w Polsce. Wkrótce źle się poczuła, straciła przytomność i znalazła się w szpitalu. Znaleźli raka - guz przyczepiony do kręgosłupa zagrażał sercu. Nie

wiem, po co robili jej te wszystkie badania, wiadomo było, że nie można tego operować. Pojawiła się woda w płucach. Trzy dni i po człowieku...

Tym razem wypili razem, wznosząc milczący toast.

– Miała tylko pięćdziesiąt osiem lat, mogła jeszcze żyć, zdążyłaby przeprosić Pana Boga za grzechy...

– Udzielił jej ksiądz ostatniego namaszczenia?

– Zrobił to szpitalny kapelan.

– A spowiedź?

Bonikowski wpatrywał się w Grosza wzrokiem pełnym bólu i rozpacz. Jakby do ostatniej chwili wierzył, że to pytanie nie padnie. Skoro padło, oznaczało wyrok.

– Zdążyliśmy ustalić, że pałac w Kamocku notarialnie został zapisany na panią Marię Morsztyn, to zawsze była jej własność – bezlitośnie ciągnął Grosz.

– Pałac przepisała na Kościół...

– Na Kościół czy na księdza?

– To tylko chwilowo moja własność, życzeniem pani Morsztyn było, aby pałac sprzedać. Połowę uzyskanej sumy przeznaczyć na remont i nowe organy dla kościoła, z drugiej części utworzyć fundusz na zaspokojenie roszczeń wyznawców.

– Jakiego typu roszczeń?

– Członkowie sekty byli wybrańcami, którzy jako jedyni mieli przetrwać zagładę.

– Jest coś, o czym nie wiem?

– Magaret Kalińska twierdzi, że miała objawienie świętego Jana Ewangelisty, który zapowiedział koniec naszego świata na rok dwa tysiące dwudziesty. Ci, którzy chcieli przetrwać, wpłacali na konto Kalińskiej w Luksemburgu swoje oszczędności. Odsetki szły na utrzymanie sekty. Pani Morsztyn podejrzewała, że część z tych pieniędzy zostało zdefraudowanych.

– Czy wspomniała coś o zwłokach?

– O zwłokach? – Zdziwienie proboszcza było więcej niż prawdziwe.

– O zwłokach, które przechowywały w pałacu.

– Co pan wygaduje, komisarzy?

– To te same zwłoki, które znalazł w śniegu wikary Tomczyk. Zobaczył je i uciekł, przerażony podobieństwem do świętej z obrazu, który wisi w kościele.

– Dlaczego nic mi o tym nie powiedział?

– Nie był wtedy w najlepszej formie...

– To było wtedy, tej nocy?

Grosz skinął głową.

– Chwilę później przejeżdżały tamtędy dwie przedsiębiorcze panie... Moim zdaniem to one zabrały zwłoki, kazały je zabalsamować i dały im nowe życie.

– Nowe życie?

– Widziałem ludzi modlących się do świętej Doroty, która zstąpiła na ziemię w Kamocku, aby nas zbawić.

Bonikowski był zszokowany.

– Wydawało mi się, że wiem, co się dzieje w mojej parafii... Jak się czuje ten policjant, którego rozjechał mój wikary?

– Całkiem dobrze, na pewno lepiej niż Tomczyk.

– Coś o nim wiadomo?

Grosz spojrział na zegarek. Włączył telewizor, a kiedy pojawił się obraz, wyłączył dźwięk.

– Jest w szpitalu, chcą go oskarżyć o morderstwo córki senator Oracz.

– Jak dla mnie to za dużo na jeden wieczór, stanowczo za dużo... już boli mnie serce, pozwoli pan, że zadzwonię po taksówkę?

– Jeszcze chwilę, chciałbym, żeby ksiądz coś zobaczył.

– Ksiądz Tomczyk bardzo pobłądził, ale nie był w stanie kogokolwiek zabić.

– Też tak uważam – zapewnił go Grosz.

Bonikowski był zdruzgotany, nie był w stanie ocenić, czy Grosz kpi sobie z niego, czy mówi poważnie. Na ekranie telewizora ukazała się monochromatyczna twarz świętej Doroty z obrazu Edwarda Framptona. Zmieniono upozowanie głowy z profilu na *en face* oraz usunięto tło i warkocze. Lektor prosił o kontakt z policją każdego, kto widział lub

posiadał informacje o dziewczynie z fotografii.

- Ja znam tę twarz... – szepnął Bonikowski.
- To dziewczyna, którą znalazł w śniegu wikary Tomczyk.
- Ja też chyba gdzieś ją widziałem...
- Wisi w kościele, po prawej stronie od wejścia, na wprost chrzcielnicy.

Bonikowski nie chciał uwierzyć, że ma aż tak daleko posuniętą sklerozę.

- Tamta jest chyba trochę starsza – próbował się usprawiedliwiać.
- Młodsza... o prawie dwa tysiące lat.
- Dlaczego pan zawsze ma rację, komisarzu? Dlaczego...?
- Ja mam rację, a ksiądz ma pałac.

Bonikowski wykrzywił się w cierpięcniczym grymasie i podreptał w stronę korytarza. Grosz odprowadził go do taksówki. Spowiedź nieboszczki Morsztynowej go nie interesowała, przesłucha nagranie w pracy. „Kim była Dorota? Kim byli jej rodzice? W wieku dziewiętnastu lat mogła już mieć chłopaka... Dlaczego nikt jej nie szukał, nie tęsknił za nią i nie mógł zasnąć, zamartwiając się o jej los? I na koniec najważniejsze: dlaczego ja, Michał Grosz, komisarz policji, tak bardzo się tym przejmuję?”

Dwa następne kieliszki koniaku nie przyniosły odpowiedzi. Zasnął na kanapie, nic mu się nie przyśniło. O drugiej nad ranem, klnąc i złorzecząc, przeniósł się do sypialni. Obudził go telefon Marty. Było kilka minut po siódmej. Marta zdążyła już sprawdzić u dyżurnego odzew na telewizyjną informację o zaginionej Dorocie. Były tylko dwa zgłoszenia, sprawdzali to. Kilkadziesiąt minut później telewizja Mazovia24 nadała wywiad z senator Oracz. Wiadomość o śmierci jej córki trafiła do czołówek serwisów informacyjnych.

- Próbuje grać zdruzgotaną matkę, ale słabo jej to wychodzi... Domaga się, aby zlikwidować lekcje religii w szkołach i wycofać klauzulę sumienia. Jej zdaniem morderca jej córki jest fanatykiem religijnym, prawdopodobnie księdzem... Bierzesz to pod uwagę?

- Nie prowadzimy tej sprawy.

– Włącz telewizor! Mazovia Dwadzieścia Cztery, mówią o nas...

Przeszedł do pokoju i włączył odbiornik. W przeglądzie prasy rudowłosa redaktor zwróciła uwagę na publikację poznańskiego „Ekspresu”, zatytułowaną „Smok”. Artykuł ujawniał, że prokuratura utrzymywała w tajemnicy działalność seryjnego mordercy. Wczoraj morderca, szantażując, zażądał, aby przedstawiono go opinii publicznej. Nie chciał być anonimowy. Wskazał osobę, która miała dokonać jego laudacji – prokurator okręgowy! Nastąpiło połączenie ze studiem w Poznaniu. Przed kamerą siedział spocony prokurator Węglarczyk.

– Co sprawiło, prokuratorze, że uległ pan żądaniu psychopatycznego mordercy? – spytała zalotnie „Rudowłosa”.

– Przestępca rzucił nam wyzwanie, musimy mu sprostać.

– W artykule czytamy, że w grę wchodziły względy osobiste.

– Nie będę polemizował z brukowcem!

– Nam chodzi o dotarcie do prawdy...

– Prawda jest jak dupa, proszę pani, każdy ma swoją!

Połączenie między studiami zostało zerwane. Zdezorientowana „Rudowłosa” przez chwilę wsłuchiwała się w głos w swojej słuchawce. Potem zdecydowanym ruchem skierowała do kamery płachtę gazety. Kadr wypełniła miniatura smoka.

– Na ciele każdej z ofiar znaleziono coś takiego. Ile jeszcze ich będzie? – dramatycznie spytała dziennikarka.

Grosz wyłączył telewizor i odezwał się do słuchawki:

– Smok bardzo chce, żeby go złapali.

– Niech się sam zgłosi.

– Nudzi już go to zabijanie, chce, żebyśmy pokazali, że jesteśmy od niego lepsi.

– Dlaczego faceci muszą bez przerwy udowodniać, jacy są ważni?

– Natura przypisała nam cechy jelenia. Jedni muszą być ciągle podziwiani, inni wolą nosić rogi.

– Do której grupy ty należysz?

– Kobieta, którą porwał ten „Smok”, jest kochanką prokuratora Węglarczyka.

- To bardzo ciekawe... Kawał chama, tak przy okazji...
- Zrobił to, żeby ją ratować. Twoim zdaniem jest narcyzem czy rogowcem?
- Powiedziałam ci już, jest chamem. - Marta odłożyła słuchawkę. „Pewnie jej się wydawało, że sobie z niej kpię” - pomyślał Grosz.
- Zjadł lekkie śniadanie i pojechał do kuratorium oświaty. Dopiero po południu dotarł do swojego biurka. Nakarmił ptaki, niecierpliwie stukające dziobami w parapet, i przejrzał pocztę. Nie znalazł żadnej informacji o Dorocie, ale wyłowił z powietrza sączący się szparą pod drzwiami zapach kawy. Przeszedł do pokoju Władka. Marta i Jawor raczyli się pączkami z konfiturą z róży. Grosz dostał espresso z anyżówką. Wypił kawę jednym haustem i odstawił filiżankę.
- Musimy wysłać sześćset czternaście mejli - oznajmił.
- Żenisz się? - spytał Władek, dławiąc się pączkiem.
- To jest lista szkół z internatem, pogotowi opiekuńczych i placówek wychowawczych. Ona musiała gdzieś mieszkać, gdzieś chodzić do szkoły...
- Te dwa sprawdzenia, o których ci mówiłam, były negatywne.
- Marta nie kryła braku entuzjazmu dla jego pomysłu.
- Mogę wiedzieć, dlaczego mamy odwalić robotę za tych z Kamocka? - dopytywał Władek.
- Nie interesuje cię, kim była ta dziewczyna?
- Stara mi się rozchorowała, obiecałem, że wcześniej dzisiaj wrócę...
- Nie ma sprawy, Władziu, dam sobie z tym radę... - uspokoiła go Marta.
- Do każdego zapytania trzeba dołączyć fotografię, ktoś musiał ją znać... Władek podniósł słuchawkę natrętnie dzwoniącego telefonu.
- Jest... - syknął i rozłączył się. - Stary cię wzywa. Uprzedzam, że mamy jeszcze tylko dwa takie pączki, przykro mi...

Grymas na twarzy Strumiłły upodabniał go do lisa, który zjadł trutkę, ale nie cieszył się, że przeżył.

- Wyobraź sobie, że ten psychol ją puścił.
- Nie rozumiem...
- „Smok” pozwolił kochance prokuratora wrócić do domu. Czy to jest twoim zdaniem dobra wiadomość?
- Znaczący tylko tyle, że ma nas gdzieś, on decyduje o tym, kto będzie żył, a kto nie. Jest Bogiem. Jak się wam nie podoba, to mnie złapcie, zasańcy...
- Jedyne nasze błędem polega na tym, że pozwoliliśmy mu mówić.
- Wolisz trupy w wodzie? Strumiłło spojrział wyniośle w stronę okna.
- Wróć do kwadrans... zezrą mi pączka – zaproponował Grosz.
- Funkcjonowanie policji nie polega wyłącznie na łapaniu przestępców. Jesteśmy twarzą demokratycznie wybranej władzy. Nie możemy robić z siebie idiotów...
- Kilka lat temu w Słupsku policjant służbową pałką zabił dzieciaka. Prokurator i biegły sądowy doszli do wniosku, że chłopak przebiegał przez ulicę w miejscu niedozwolonym. Przekroczył dozwoloną dla biegacza szybkość, uderzył głową w latarnię i zmarł.
- Pamiętam tę sprawę.
- Ludziom nie spodobała się taka policja. Podpalili komisariat i pół miasta, było kilkuset rannych. Kiedy pojawia się trup, ludzie domagają się prawdy...
- To zły przykład, nam dobierają się do dupy, mimo że nie zdążyliśmy skłamać.
- Pani senator chce ci odebrać emeryturę?
- Zarzuca nam manipulowanie postępowaniem w sprawie wypadku Marcina.
- Nie zajmujemy się wypadkami drogowymi.
- Ona twierdzi, że to było usiłowanie zabójstwa funkcjonariusza, a nie wypadek. Rozmawiałeś ze sprawcą, ale nie ma po tym nawet notatki. Ktoś próbował coś nagrać w szpitalu. Są pewni, że skasowałeś to nagranie. Uważają, że na czyjeś polecenie kryjemy tego Tomczyka! Widziano cię u biskupa, któremu podlega ten wikary. Trochę tego, kurwa, za dużo!

– Z Tomczykiem nie można prowadzić czynności, dopóki nie ustalą, czy jest poczytalny.

– Jeżeli był i udowodnią mu któreś z tych zabójstw, będziemy mieli pełne gacie. Mam wiadomość, że przenieśli go do innego wariatkowa i pracują nad nim. Musimy utopić panią senator, zanim nas wyśle na zieloną trawkę.

– Jest kampania wyborcza, wszyscy biegą w jedną stronę...

– I co z tego?

– Masz przewagę nad Czerwonym Kapturkiem, kiedy wiesz, którą ścieżkę wybrała.

Strumiłło wykrzywił się w uśmiechu. Opinia o Groszu, którą przekazał Kowalewskiemu, nie była przesadzona.

– Kochanica prokuratora zamknęła się w domu i nie chce z nikim gadać. Pani senator twierdzi, że zrobiła dla niej wyjątek i przekazała jej informacje, które policja chce ukryć.

– Myślę, że pani senator blefuje, nie ma nic do stracenia, ale jeszcze nie wie, że to ty zawsze wygrywasz.

– Muszę zrobić jej krzywdę, wiesz, jak tego nie lubię...

Grosz wiedział. Strumiłło chciał się upewnić, czy decyzja, jaką podjął jeszcze przed jego przyjściem, była dobra. Grymas na jego twarzy oznaczał, że musi zrobić to sam; zwykle komuś to zlecał, aby nie ubrudzić swoich wypielęgowanych dłoni.

Kasia, pielęgniarka oddziałowa, wbiła w brzuch Marcina krótką igłę zastrzyku heparyny. Marcin syknął, mimo że nie poczuł bólu. Pielęgniarka to zignorowała. Wpatrywała się w twarz Marty, która obserwowała jej ruchy. Dziewczyna była młodsza od Marty i wyraźnie ciekawa, czy brzuch Marcina jest już znanym terytorium. Kiedy wyszła, Marcin poprosił Martę, żeby szeroko otworzyła okno. Wyciągnął z szafki papierosa. Zapalił i głęboko zaciągnął się dymem.

– Muszę cię przesłuchać – powiedziała.

– Wiem, że nie wolno tu palić...

- Kazali nam ustalić, że Tomczyk chciał cię zabić.
 - Debilizm! Najgłupszy adwokat przekona sąd, że zajechałem mu drogę i ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało.
 - Wystarczy, że podpiszesz takie oświadczenie, i będziemy mieli to z głowy.
 - Zastanowię się...
 - Potrafisz zrobić listę wysyłkową dla sześćset odbiorców?
 - A co to za problem?
 - Obawiam się, że mnie zajmie to ze dwa dni.
 - Zwykle zajmuje minutę.
 - Mam sześćset czternaście adresów i chcę do nich wysłać mejle z załączoną fotografią.
 - No to wyślij.
 - Nie mam tych adresów w komputerze...
 - To jak chcesz cokolwiek wysłać?
 - Myślałam, że jest jakiś sposób, program, żeby nie musieć tego klepać.
 - Jest.
 - No, widzisz...
 - Kupujesz butelkę whisky, musi być single malt, lód w termosie i coś na przegryzkę.
 - Co dalej...?
 - Przynosisz to tu... i masz!
 - Ile kosztuje taka whisky? – spytała podejrzliwie.
 - Dużo, ale jak od ciebie, to wystarczy dwa piwa. W nocy i tak nie mogę spać.
- Pocałowała go w policzek.
- Kochany jesteś.
 - A co to ma być, tak konkretnie?
 - Grosz chce ustalić tożsamość tej dziewczyny z Kamocka.
 - Po co mu to?
 - Wiesz, jaki on jest...
 - W sumie to chciałbym być taki jak on... żeby mi, kurczę, na czymś

zależało.

– Zaczynj od tej listy. Nie musimy tego robić, ale on się uparł. Zależy mu na tym.

– Dlaczego?

– Na tym polega indywidualność, robisz coś wbrew wszystkim, bez wyraźnego powodu, ludzie patrzą na ciebie jak na wariata, ale to ty wygrywasz.

– Kiedy ja się przy czymś upieram, zawsze wychodzę na idiotę.

– Takie jest życie, nie wystarczy tylko chcieć wygrać, trzeba trenować.

– Na kiedy ma być ta lista?

– Na wczoraj, połamany kolego!

– To miłe, że nie powiedziałaś „złamasie”.

Rozdział XXI

Cytrynowe risotto, które Grosz postanowił zjeść na kolację, wymagało ciągłego mieszania i dolewania bulionu. Obie te czynności były na tyle nużące i nudne, że zdecydował się na odsłuchanie nagrania spowiedzi Marii Morsztyn. Odkładał to już tak długo, że zdążyła się w nim rozbudzić ciekawość. Włączył dyktafon. W głosie kobiety słychać było chorobę, płytki oddech i gasnące życie. Margaret Kalińską poznała w 1982 roku w Monachium, w kościelnym ośrodku pomocy dla emigrantów z Polski. Słyszała o niej różne rzeczy, ale zaangażowanie Kalińskiej w akcje charytatywne, patriotyzm i religijna żarliwość sprawiły, że z radością przyjęła jej propozycję współpracy. Wcześniej pracowała w stołówce Radia Wolna Europa, nowe zajęcie uznała za awans i szansę wykorzystania swoich kwalifikacji. Wszelkie trudności, jakie przed nimi stawały, uznawała, pod wpływem Kalińskiej, za dowód słuszności tego, co robiły. Jeszcze w Monachium Kalińska zaczęła miewać objawienia świętych kobiet. Świętej Faustyny i świętej Teresy z Ávila. To one ostrzegły je przed krążącym wokół nich szatanem. Austriacka policja odkryła w paczkach z żywnością i lekami, które wysyłały do Polski, papierosy bez akcyzy. Kartony pochodziły z magazynów amerykańskiej bazy wojskowej w Wiesbaden. W śledztwie kilka osób fałszywie świadczyło przeciwko nim. Również wtedy się dowiedziała, że Kalińska spędziła kilka lat w klasztorze szarytek, a wcześniej zmieniła nazwisko.

Grosz zatrzymał nagranie. Risotto zaczęło przywierać do dna rondla i musiał się skoncentrować na gotowaniu. Nienawidził opowieści o zmarnowanym życiu. Autorzy takich dzieł, aby osiągnąć swój cel, nie zawsze mówią prawdę, nawet na łożu śmierci. Zwykle pomijają okoliczności, które świadczą o tym, że w pewnej mierze sami przyczynili

się do swojej porażki. Przez chwilę się zastanawiał, czy słuchać dalej. Zwyciężyła ciekawość.

Austriacka policja znalazła prawdziwych organizatorów przemytu, zostały przeproszone i dostały rządowe wsparcie. Margaret Kalińska zdecydowała jednak, że przeniesie swoją działalność do Szwajcarii. Wyjaśniła też kwestię nazwiska: kiedyś pomogła komuś wyjechać z komunistycznej Polski i fikcyjnie wyszła za mąż. Kalińska to panięskie nazwisko, do którego wróciła po latach. W Szwajcarii prowadziły dom spokojnej starości i hospicjum. Kalińska coraz częściej doznawała nawiedzeń. Chorzy twierdzili, że mniej cierpieli dzięki bezpośredniemu obcowaniu z matką przełożoną, jak zaczęto tytułować Kalińską. W skupieniach modlitewnych zaczęli uczestniczyć członkowie rodzin pacjentów. Pojawiło się pierwsze uzdrowienie, sparaliżowany po wylewie pacjent wstał z wózka w trakcie wspólnej modlitwy. Kalińska zrobiła wszystko, aby wiadomość o uzdrowieniu nie wydostała się na zewnątrz. Święta Teresa z Ávila ostrzegła ją, że szatan znowu jest blisko. Bulwarówka w Zurichu napisała, że cudownie uzdrowiony staruszek był wcześniej karany za oszustwa i wyłudzenia. W hospicjum miał rzekomo namawiać pensjonariuszy, aby przepisywali swoje majątki na rzecz fundacji Kalińskiej, za co otrzymywał prowizję. Było oczywiste, że to zemsta laickich mediów za ostrą wypowiedź Kalińskiej dla lokalnej telewizji w kwestii legalizacji eutanazji. Pacjenci i ich rodziny murem stanęli za Kalińską, kilka osób dobrowolnie przekazało swoje majątki na rzecz fundacji.

Na powierzchni risotto zaczęły się pojawiać bąble powietrza. Grosz zatrzymał nagranie. Zaczął intensywnie mieszać ryż drewnianą łyżką. Zadzwonił telefon. Zignorował go. Ratowanie risotto było priorytetem wieczoru. Dolał bulionu i zmniejszył gaz. Telefon ciągle dzwonił.

– Tak, słucham...

– Wieczorem pani senator chce nam powiedzieć coś ważnego w telewizorze.

– Lubisz cytrynowe risotto?

– Czy to jest zaproszenie?

- Możesz to tak traktować.
- Mogę przyjść z kimś?
- Nie.
- W tej sytuacji przyjmuję zaproszenie. O której mam być?
- Nie wcześniej i nie później niż za godzinę.
- Rozkaz!

Rozłączyła się, a Grosz ponownie włączył nagranie. Głos Morsztynowej był coraz słabszy, mówiła z wysiłkiem, jakby się obawiała, że nie starczy jej życia, aby dobrać do końca swojej historii.

W hospicjum Kalińskiej zdarzyło się kilka samobójstw. Zdarzały się wcześniej, ale nigdy tyle w tak krótkim czasie. Podejrzenia wzbudził fakt, że życie odbierali sobie najbogatsi pensjonariusze. Szwajcaria uznaje eutanazję, ale broni też praw ludzi chorych i niedołączonych. Skandal wybuchnął, kiedy jeden ze zmarłych pensjonariuszy ocknął się w kostnicy. Wyznawcy Kalińskiej uznali to za cud. Rodzina zmarłego skierowała sprawę do sądu z pozwem o zaniedbanie.

W trakcie postępowania sądowego prokurator doszukał się nieścisłości w rachunkach hospicjum. Proces trwał długie dwa lata. W tym czasie Kalińska kupiła od spadkobiercy, który trafił do ich zakładu, pałac w Kamocku. Spadkobierca był w stanie zaawansowanej demencji, ale rozpoznał w Margaret swoją krewną. W akcie notarialnym jako nabywca pałacu występuje Maria Morsztyn, bo adwokat ostrzegł je, że w wypadku przegranej w sądzie świeżo nabyty pałac może zostać uznany za zabezpieczenie pozwu. Proces zakończył się ugodą, ale musiały opuścić Szwajcarię, bez prawa powrotu. Maria Morsztyn uznała wtedy, że skoro tyle przeszła, to w jej życiu nic gorszego nie może się już zdarzyć. Zdarzyło się. Kalińskiej zaczęła się ukazywać święta Dorota z Mątówów, która kazała jej przenieść interesy do Polski. Występując w Polsce o zgodę na rejestrację związku wyznaniowego, Morsztyn dowiedziała się, że panięskie nazwisko Kalińskiej to Kaczorkiewicz. Jej świat runął... Chciała służyć Bogu i ewentualnie komuś z wyższych sfer, a okazało się, że była wykorzystywana przez cyniczną oszustkę z gminu, która nigdy nie miała nic wspólnego z rodziną Kalińskich. Kolejną

wersję, jakoby Margaret była nieślubnym dzieckiem ordynata Kalińskiego, Maria Morsztyn przyjęła z rezerwą. Razem z obietnicą, że już nigdy nie wejdą w konflikt z prawem.

W Polsce interesy zaczęły iść lepiej, szybko zdobywały nowych wyznawców. Dostały zgodę na budowę Arki, ośrodka hospicyjnego dla około trzystu pacjentów z krajów Unii Europejskiej, chcących dokonać żywota w bezpośredniej bliskości świętej stygmatyczki z Mątowów. Dla osób zdrowych kontynuowały pod szyldem fundacji działalność Kościoła Świętej Doroty, którego biskupem mianowała się Kalińska. Atmosfera konspiracji i tajemnicy konsolidowała wiernych i umacniała w wierze, że odnaleźli właściwą drogę w zepsutym świecie. Dzięki talentom Kalińskiej stosunki z proboszczem kościoła w Kamocku układały się dobrze i sprawa odkupienia dzieł sztuki poświęconych świętej Dorocie była na dobrej drodze.

W dniu, który oby nigdy nie nastąpił, pojechali do Bonikowskiego po ostateczną odpowiedź. Wykręcił się i poprosił o czas do namysłu. W drodze powrotnej była straszna śnieżycy, tuż za miastem zauważyły wbitą w śnieg łopatę i ludzką głowę obok. Kalińska podeszła do ciała nagiej dziewczyny i upadła na kolana. Zaczęła się głośno modlić i wpadła w ekstazę. Objęła ciało i wciągnęła je do samochodu. Maria Morsztyn nie była w stanie jej powstrzymać. Wykonywała polecenia Kalińskiej, ale czuła, że ich drogi się rozchodziły. Nie była jednak w stanie wyobrazić sobie życia bez niej. Kalińska sprowadziła z Austrii specjalistę od balsamowania zwłok, a potem ludzi, którzy poustawiali światła i kamery potrzebne do inscenizacji objawienia świętej Doroty. Morsztynowa po raz pierwszy zaczęła dobrze zarabiać, grając na organach.

Grosz uznał, że może już wyłączyć gaz. Ryż spęczniał i zaczął tworzyć jednolitą masę. Teraz wystarczyło już tylko dodać zatopioną w maśle utartą skórkę cytryny. Spróbował swojego dzieła, risotto smakowało wspaniale. Uruchomił dyktafon. Końcowy fragment wzbudzał litość, głos kobiety miał barwę skrzypiącego koła cementarnego wózka.

– *Ma pan prawo podejrzewać nas o zamordowanie tej dziewczyny, pazerne hieny żerujące na ludzkich słabościach. Zmarnowałam swoje życie i rozumiałam to dopiero na starość. Święta Dorota z Mątowów straciła majątek, poświęciła się Bogu, nie dbając o życie swoich dzieci i męża. Kaząca się zamurować w celi, bo wierzyła, że w ten sposób najlepiej służy Panu. Ja zbyt późno zrozumiałam, że Bóg nie oczekuje od nas cierpienia. Chce, abysmy byli szczęśliwi i dawali szczęście innym. Ja służyłam tylko Margaret Kalińskiej... Wkrótce umrę i to jest kara za wszystko, co zrobiłam. Tę nieszczęsną dziewczynę ktoś strasznie pobił i prawdopodobnie zgwałcił. Nie przyszło mi do głowy, że jej bliscy mogli na nią czekać. Nie protestowałam. Dla nas ważne było tylko to, że była tak podobna do świętej z obrazu. Obie byłyśmy ślepe, nie widziałyśmy w niej człowieka. Pozwoliłam sobie powiedzieć to panu, bo nie chcę, aby pan myślał, że którakolwiek z nas mogłaby zabić. Chciałam dobrze służyć Bogu. Dzisiejszy Kościół zajmuje się wyłącznie sobą. Miałam nadzieję, że zdążę jeszcze odpokutować za swoje grzechy, ale Bóg zdecydował inaczej. Może panu uda się sprawić, aby ci, którzy popełnili tę straszną zbrodnię, ponieśli karę. Mnie za moje grzechy Bóg ukarał surowo i jestem Mu za to wdzięczna. Niech opatrzność ma pana w swojej opiece!*

Cisza. Koniec nagrania. „Ludzie, czując nadchodzącą śmierć, robią dziwne rzeczy. Starzy komuniści proszą o księdza i ostatnie namaszczenie. Skąpcy stają się rozrzutni, purytanie rozwiążli, a notorycznym kłamcom zbiera się na szczerość. Swoją drogą to intrygujące, jaki ja będę, kiedy do moich drzwi zastuka kostucha”. Grosz wybrał ze stojaka z winami sardyńskie cannonau i rozpoczął poszukiwanie korkociągu. „Odezwał się dzwonek przy drzwiach. Jeżeli to śmierć, to nie dam jej tak dobrego wina, kostuchy powinny pić ocet”. Na progu stała Marta z butelką prosecco w ręku.

– Oglądasz?

Przeszli do pokoju. Grosz włączył telewizor. Program wyborczy prowadziła „Rudowłosa”. Senator Oracz w ostatniej chwili odwołała swój udział w programie. Zebrani w studio politycy zaczęli komentować

jej nieobecność. Poglądowi, że ciężko przeżywała żalobę, bezceremonialnie przeciwstawiono informację, że od kilku lat nie utrzymywała z córką kontaktów. „Rudowłosa” umiejętnie sterowała emocjami wybrańców narodu. Spytała, co sądzą o pozwie skierowanym do sądu w trybie wyborczym. Kandydat z Wrocławia oskarżył panią senator o świadome wprowadzanie wyborców w błąd i rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji na temat okoliczności śmierci jej córki. W pozwie znalazły się dokumenty, które świadczyły o tym, że pani senator mijają się z prawdą w celu zdobycia szerszego poparcia w wyborach. Żądanie ogłoszenia w prasie sprostowań i przeprosin może zrujnować nawet tak zamożną osobę jak Małgorzata Oracz. Konkurenci pani senator przyjęli wiadomość ze źle ukrywaną satysfakcją. Grosz nie miał wątpliwości, że Strumiłło konsultował treść tego pozwu. Postawił na stole talerze z risotto i napełnił kieliszki winem.

– Na zdrowie. – Grosz podniósł kieliszek.

– Pyszne – odpowiedziała Marta, wpatrując się w ekran.

Nie zawsze opłaca się nie przyjść na własną egzekucję. Oprawcy, widząc ofiarę, rzadko, ale jednak potrafią okazać litość. Kiedy nie widzą skazańca, wychodzi z nich zwierzę. Nikt nie zaatakował wprost matki, która straciła córkę, to byłby błąd wizerunkowy. Kandydaci zaczęli krytykować jej styl uprawiania polityki. Zastępowanie realnych działań demagogią i propagandą ukrytą pod eleganckim płaszczykiem *public relations*. „Rudowłosa” była w siódmym niebie. Jej program był coraz częściej cytowany i stawał się źródłem prawdy niedostępnej dla zwykłych zjadaczy chleba. Czas na finał – „Rudowłosa” oznajmiła swoim gościom, że prokurator Węglarczyk po rozmowie z nią podał się do dymisji, co każe wątpić w wiarygodność jego oświadczenia. Cała historia „Smoka” w sutannie może okazać się konfabulacją. Gorąco poparł tę tezę kandydat prawicy. Liberał zalecał ostrożność, ale trucizna niepewności zaczęła działać. Kiedy „Rudowłosa” spytała swoich gości, co sądzą o roli smoków w polityce, z wyraźną aluzją do Smoka Wawelskiego, uważni obserwatorzy sceny politycznej doszli do wniosku, że szanse pani senator na fotel w Brukseli zostały ostatecznie

pogrzebane. Narracja grozy i horroru przyniosła groteskę. Grosz wyłączył telewizor.

– Całkiem ładnie ją utopiła – oceniła Marta.

– Jeszcze niedawno, trzymając się sutanny, można było w polityce zająć na sam szczyt. Moda się zmieniła, dzisiaj karierę robi się, oskarżając Kościół o ocieplenie klimatu. Problem polega na tym, że Kościół nie jest jeszcze chłopcem do bicia, potrafi się bronić. Ona zapomniała, że na prowincji ludzie idą do kościoła, a dopiero potem głosują.

– Wszyscy to wiedzą.

– Ale ciągle popełniają ten sam błąd... Nie miała zaplecza i chciała wypełnić to fikcją. Ludzi, którzy wierzą w smoki, jest ciągle za mało.

– Nalej mi jeszcze trochę.

Grosz napełnił kieliszki.

– Co dalej z tym całym bajzlem? – spytała.

– „Smoka” bierze Poznań, córkę Oraczowej zrobią na miejscu, nas już w tym nie ma.

– Ty nie wierzysz w tego „Smoka”?

– Sam pomysł nie jest zły, smok jest wcieleniem szatana, to otwiera drogę do bardzo interesujących interpretacji...

Marta była rozczarowana jego pokrętną odpowiedzią.

– Chciałabym wyjechać na kilka dni...

– Muszę napisać raport dla tych z kontroli. Potrzebne są zeznania Marcina i Tomczyka, napiszesz to i możesz jechać.

– Co ten Tomczyk ma zeznać?

– Chcą go oskarżyć o czynny zamach na funkcjonariusza, gdyby Marcin wziął coś na siebie, daliby nam spokój.

– Tomczyk nie musiał wiedzieć, że Marcin jest policjantem...

– Napisz cokolwiek.

– Jutro będziesz to miał. Nalej mi jeszcze. Może spróbujemy tego prosecco?

– Wszyscy wiedzą, jak smakuje prosecco.

– Ale nie wszyscy chcą się dzisiaj upić. Nie denerwuj się, nie wskoczę ci do łóżka...

– Nie mam nic przeciwko dziewczynom wskazującym do mojego łóżka, przywiązuję się do nich bardziej niż do tych, które muszę zdobywać.

– Jesteś notorycznym, egocentrycznym kłamcą. Toleruję cię tylko dlatego, że dobrze gotujesz i jesteś dobrym policjantem.

Grosz ponownie napełnił jej kieliszek.

– Rzadko mnie tu ktoś odwiedza, jak już uda mi się kogoś zwabić, pozwalam mu na wiele, możesz wygadywać o mnie wszystko, co poprawia ci humor.

Ich spojrzenia spotkały się. Dobrze czuli się ze sobą i lubili sobie dokuczać: przekorna manifestacja braku zgody na to, że nie byli razem.

– Szkoda, że nie dali nam tego „Smoka”...

– Dwa, może trzy lata ciężkiej harówki dzień i noc, żeby złapać spoconego psychopata, śmierdzącego tchórza, który atakuje słabszych tylko dlatego, że słyszy głosy.

– To nasza praca...

– Chłopcy z Poznania zrobią to lepiej od nas.

– Tobie też by się przydał urlop.

– Muszę tu zrobić mały remont, zanim to wszystko zwali mi się na głowę, ten dom to ruina.

– Jest fajny, lubię go. Ja mieszkam w przechowalni bagażu. – Tym razem Marta sięgnęła po butelkę, była prawie pusta. – Dawaj to prosecco!

– Proponuję brandy, po prosecco boli mnie głowa.

– Nie możemy na to pozwolić...

Alkohol zaczynał już działać, Marta zsunęła buty i usiadła na podwiniętych nogach. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, uśmiechnęła się, kiedy Grosz przyniósł butelkę i kieliszki.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem?

– Myślę, że nie miałaś z kim się napić.

– Chciałam sprawdzić, czy interesują mnie jeszcze faceci.

– Związki heteroseksualne są już *passé*...

Spodobało jej się to, sięgnęła po brandy.

– Wyobraź sobie, że masz żonę, a ona znajduje sobie kochankę.
– To znaczy, że nie mam już żony, tego nie muszę sobie wyobrażać.
– Jesteś sprytny, Grosz, na wszystko masz odpowiedź. Powiedz mi, dlaczego marnujesz sobie życie?

– Uważam, że to życie marnuje ludzi.

Z uznaniem pokiwała głową.

– Byłbyś w stanie pójść ze mną do łóżka?

– Teraz tak, ale jak skończymy tę butelkę, mogę nie trafić...

Wybuchnęła śmiechem.

– Nie trafić... gdzie?

– Do sypialni.

– Zrobimy tak, zadzwonię po taksówkę, niech będzie za godzinę, OK?

Grosz skinął głową

– Jak przyjedzie, pomogę ci trafić do sypialni i sobie pojedę, OK?

– Matka pomagała mi włożyć piżamę...

– Nie radzisz sobie bez niej, co?

– Zostawiła mnie...

Grosz napełnił kieliszki. Marta zadzwoniła po taksówkę.

– Dlaczego tak ci zależy, żeby ustalić tożsamość tej dziewczyny z Kamocka?

– Czasami wydaje mi się, że jesteś mądrą dziewczyną, która wie, o co chodzi i co jest ważne. Ale jest też coś takiego w tobie – i to nie jest alkohol – że zachowujesz się jak idiotka...

– Może jestem zazdrosna?

– O trupa?

– O uwagę, jaką jej poświęcasz.

– Uważasz, że powinna leżeć w bezimiennym grobie, bez kwiatów i świeczek, żeby zniknęła, jak śnieg na wiosnę?

– Skąd wiesz, że ktoś będzie jej szukał?

– Nic więcej nie mogę dla niej zrobić...

– Nie musisz nic robić, nie znałeś jej, nie wiesz, kim była... Może kogoś ci przypomina?

– Może o tym, że jesteśmy ludźmi... Była jedną z nas, niezależnie od

tego, jak żałośnie to brzmi.

Podniósł kieliszek, Marta wypić zawartość swojego jednym haustem.

– Nie wiesz, jak bardzo jest mi to potrzebne... – szepnęła.

Grosz włożył płytę do odtwarzacza

– Co takiego?

– Żeby ktoś od czasu do czasu kopnął mnie w tyłek, głupieję w tym mieście, prawie nie spotykam normalnych ludzi. Dlaczego wszyscy są tacy popieprzeni, Grosz?

– Nasza cywilizacja jest już bardzo stara, cierpi na reumatyzm, arteriosklerozę, padaczkę i schizofrenię. Bogaci kupują bilety na wycieczkę na Marsa, a na Ziemi miliony umierają z głodu. Wybieramy pazernych i bezwzględnych, aby nami rządili, i mamy do nich pretensje, że nie idą drogą apostołów. Ludzie uwierzyli, że chciwość jest silniejsza od wiary i poświęcenia. Pojawił się strach, że skoro najważniejsza jest kasa, to ktoś tu wkrótce przyjdzie i nam to zabierze, tak jest zawsze, uczą tego w szkole...

– Co za bzdury wygadujesz? Zrobiłbyś lepiej herbaty... – Marta ziewnęła, zasłaniając dłonią usta. – Tym od Allacha wystarczy dać spokój i przestaną się nami interesować, w zimie nie wytrzymają tu nawet tygodnia, nie mogą jeść bigosu ani schabowych, zdechną tu...

Grosz poczłapał do kuchni. Przygotował imbryk i napełnił go wrzątkiem. Zaczekał, aż porcelana nagrzej się nad płomieniem. Postawił na tacy cukiernicę i filiżanki, po czym wrócił do pokoju. Marta spała z otwartymi ustami. Uznał to za bardzo komfortową sytuację – nie był sam, a jednocześnie nie musiał nic mówić. Herbata z akompaniamentem „Rapsodii węgierskich” Liszta smakowała mu wspaniale. Dzwonek telefonu zupełnie do tego nie pasował. Wyszedł przed dom i odprawił taksówkę.

Marta nie obudziła się, kiedy przeniósł ją do sypialni. Wrócił do pokoju, wyciągnął się na kanapie i nakrył pledem. Zasnął już, kiedy usłyszał, że Marta wstała i zapaliła światło w łazience. Po kilku minutach światło zgasło, usłyszał skrzypnięcie podłogi i drobna dłoń dotknęła jego twarzy. – Nie bądź idiotą, Grosz, chodź już do łóżka...

Rozdział XXII

Musiała czekać prawie godzinę, zanim doktor Królikowski pojawił się w swoim gabinecie. Był trochę zdziwiony widokiem Marty i od razu to wyjaśnił:

– Przepraszam, że musiała pani czekać, ale byłem na przesłuchaniu w prokuraturze. Ciągłe się im wydaje, że mogę być źródłem wiedzy o wikarym Tomczyku.

– Aż mi głupio... mnie też przysłali w jego sprawie.

– Zapraszam panią na kawę i ciasto, które upiekła moja dziewczyna. W sprawie wikarego, niestety, nie mogę pani pomóc, powiedziałem to już w prokuraturze, ale specjalnie dla pani powtórzę jeszcze raz: już go tu nie ma, przewieziono go do szpitala w Choroszczu.

– Z powodu...?

– Ktoś zdecydował, że musi przejść obserwację psychiatryczną. W służbie zdrowia narzekamy trochę na przepływ informacji, ale widzę, że wy też macie niezły bajzel.

– Mogę tylko pana przeprosić, panie doktorze. Gdzie jest ta Choroszcz?

– Pod Białymstokiem...

– Kurwa... Przepraszam, dziękuję za kawę, ale muszę już...

– Mają tam zamknięty oddział i nie są tak uprzejmi jak my. Zadzwonię do kolegi, żeby umożliwili pani kontakt z nim, jeżeli oczywiście nie ma przeciwwskazań. To się pani opłaci... Zależy mi, żeby spróbowała pani tego ciasta, we wrześnie mamy się pobrać, pani opinia będzie dla mnie bezcenna.

Królikowski był przemiłym facetem, ale Marta nie mogła się oprzeć wrażeniu, że był lekko trzepnięty. Kawa, którą ją poczęstował, była prawie tak dobra jak ta, którą rano podał jej Grosz.

Ojciec powiedział mu, że schizofrenia była dość częstą przypadłością w rodzinie matki Grosza. Prawdopodobnie próbował w ten sposób usprawiedliwić to, że ich zostawiła. Grosz za wszelką cenę nie chciał mieć nic wspólnego ze swoją rodziną, nawet choroby. Dlatego schizofrenii obawiał się najbardziej. Pamiętał dzisiejszy poranek i ciągle czuł na ustach pożegnalny pocałunek Marty. To była rzeczywistość, tak jak smak jej szminki, ptaki dziobiące ziarno za oknem i zapach kurzu w jego pokoju. Jak co dzień włączył komputer i przejrzał pocztę. Syndrom Lotto, marzymy o skumulowanej wygranej, mimo że nie zdarzyło się to nikomu z naszych znajomych. Z kilku krótkich zdań wynikało, że na fotografii, która dotarła do sekretariatu dyrektora technikum włókienniczego z internatem w Wisłoczy, kilka osób bez cienia wątpliwości rozpoznało Sylwię Grandet, uczennicę klasy maturalnej. Grosz natychmiast zadzwonił pod podany w e-mailu numer telefonu. Dyrektor technikum poinformował go, że Sylwia uciekła ze szkoły 30 listopada ubiegłego roku. Powiadomił o tym listownie jej opiekuna prawnego. Nie zawiadomił policji, bo nie miał takiego obowiązku. Regulamin nakazywał mu w takiej sytuacji wykreślić uczennicę z ewidencji.

Grosz odłożył słuchawkę. Żałośnie mało jak na historię dziewczyny, która została świętą. Powoli docierało do niego, że ją odnalazł, że nie była już anonimowym trupem w lodówce z przywiązaną do palca stopy etykietką NN. To koniec historii dziewczyny z Kamocka... Dlaczego było to dla niego tak ważne? Podejrzał, że podobnie jak on została porzucona przez rodziców. Nikt jej nie bronił i nikt jej nie szukał, kiedy przestała żyć. „Szukałem jej, bo połączył nas wspólny lot nad Kamockiem. To żałosne, ale jak dotąd to jedno z najbardziej niezwykłych wydarzeń w moim życiu. Smak szminki, którą czuję na ustach, nie należy do niej”. Grosz bezdźwięcznie poruszał ustami, jakby układał mowę pogrzebową. Władek przyglądał mu się z ironicznym uśmiechem, znał ten stan ducha przyjaciela i wiedział, że to tylko jedno

z wielu nieszkodliwych dziwactw Grosza, dzięki którym rozładowywał swoje frustracje.

Marta dotarła do szpitala psychiatrycznego w Choroszczy kilka minut po drugiej. Doktor Fiszer czekał na nią w swoim gabinecie, znał doktora Królikowskiego jeszcze ze studiów i gotów był udzielić wszelkiej pomocy.

– Problem podstawowy to status księdza Tomczyka: przeprowadzamy tu obserwacje osób, wobec których sąd wydał nakaz aresztowania w związku z popełnionym przestępstwem. Do badania niezbędne są dokumenty z postępowania przygotowawczego, jakiś materiał, na którym można pracować... Tym razem nie dostaliśmy nic. Ksiądz Tomczyk jest tu – można by rzec – prywatnie, nie zgodziłem się, aby umieścić go na oddziale zamkniętym. Większość czasu spędza w kaplicy. Zrobiliśmy mu takie bardzo podstawowe badania, no i... czekamy.

– Chcę mu zadać kilka pytań w związku z wypadkiem drogowym, w którym uczestniczył.

– Nie widzę przeciwwskazań.

Wyszli na korytarz. Fiszer wskazał jej drzwi kaplicy. Marta uchyliła je i zajrzała do środka.

– Nie ma go tu...

– Wobec tego pawilon H, pokój sto dwa. Musi pani wyjść na zewnątrz i pójść w lewo, do końca alejki.

Bez trudu odnalazła pawilon i łóżko wikarego. Było starannie zasłane, pacjenci z sąsiednich łóżek nie widzieli go od śniadania. Biegiem wróciła do głównego budynku. Pielęgniarka kazała jej poczekać, bo doktor Fiszer był zajęty badaniem pacjenta. Powiedzenie, że świat jest mały, należało po raz kolejny uznać za prawdziwe. Po kilku minutach z gabinetu wyszedł facet. Trochę schudł i zapuścił brodę. Poznał ją od razu.

– Stęskniłaś się? To ładnie z twojej strony. Chodź, opowiesz mi, co słyszeć...

Prezes Alert poufale objął Martę za ramię, jego ręka opadła i dłoń zacisnęła się na jej pośladku. Zrobiła krótki zamach łokciem, który wbił się w brzuch Alerta na wysokości mostka. Prezes ryknął jak wieprz, zatoczył się na ścianę i usiadł na podłodze. Radosny uśmiech zniknął z jego twarzy, z kącika ust pociekła ślina i wyglądało na to, że zaraz się rozplącze. Doktor Fiszer wyjrzał z gabinetu.

– Panie Alert, co się panu stało?

– Zakręciło mu się w głowie – wyjaśniła Marta. – Złapał mnie za tyłek.

– Może pan wstać? – spytał Fiszer. Podał mu rękę i podniósł go z podłogi. – Trafi pan do pokoju?

Alert skinął głową. Jednocześnie wyciągnął rękę w stronę Marty z zamiarem złapania jej za włosy. Fiszer odwrócił Alerta do ściany i sięgnął do kieszeni po pilot.

– Zna go pani?

– Z jak najgorszej strony, to sprośny zbok!

Zjawili się dwóch pielęgniarzy, którzy zabrali prezesa Alerta. Fiszer zaprosił Martę do gabinetu.

– Przepraszam panią, to moja wina, on był już zupełnie niegroźny... To erotoman, symuluje hipomanię.

– Kiedyś groził mi bronią.

– Nie mamy tu jego akt...

– On jest specjalistą od akt, jak dacie mu żółte papiery, może pan liczyć na stanowisko ministra zdrowia.

– No to już pani wie, gdzie muszę pracować.

– Nigdzie nie mogę znaleźć Tomczyka, nie był na obiedzie...

– Kurwa, przepraszam, ale to chyba prawdziwy dom wariatów. Jest zimno, nie wyszedł chyba w piżamie na ulicę...

Fiszer zaczął wydzwaniać nerwowo, wypytyjąc o Tomczyka. Marta wyszła na korytarz i odnalazła pokój, w którym znajdowało się biuro ochrony i monitoring. Przez prawie godzinę przeglądała nagrania kilkunastu kamer. Poprosiła operatora, aby przegrał jej fragment z korytarza przychodni przyszpitalnej. Nagranie przedstawiało kobietę w słonecznych okularach niosącą torbę podróżną. Weszła do toalety

i chwilę później wyszła, już bez bagażu. Powiększenie twarzy kobiety bardzo pogorszyło jakość nagrania, ale dla Marty była ona wystarczająca. Zadzwoiła do Grosza.

- Tomczyk zwił ze szpitala w Choroszczy.
- Co on tam robił?
- Mieli mu zrobić obserwację w kierunku poczytalności. Trochę to szemrane, bo przysłali go tu bez dokumentów.
- Gdzie teraz jesteś?
- W tej cholerniej Choroszczy. Zgadnij, kogo tu spotkałam...
- Nie zgadnę.
- Wujka Alerta, zdaje egzamin na żółte papiery.
- Pozdrów go ode mnie.
- Już to zrobiłam.
- Przeżył?
- Niestety tak!
- Wiesz, gdzie jest karczma w Kiermusach?
- Wiem.
- To dobrze, zjemy tam kolację.
- To zaproszenie?
- Tak. Podziękowałam już Marcinowi, teraz chcę podziękować tobie...

- Odezwał się ktoś?
- Dyrektor jej szkoły, jadę do niego.
- To gdzieś w okolicy?
- Całkiem blisko. Spotkamy się o szóstej.
- Polubiłam kolacje z tobą, Grosz.

Dotarła do Jeżewa i zamiast w prawo, do Kiermus, skręciła w lewo, znała tę drogę. Jechała znacznie szybciej, niż pozwalał rozsądek, wzbierała w niej złość i chciała ją jak najszybciej rozładować.

Budynek z czerwonej cegły, w którym mieściło się technikum z internatem w Wisłoczy, przypominał carskie koszary. Tablica przed

wejściem informowała, że budynek powstał jeszcze za panowania Mikołaja II Romanowa, w 1907 roku, kiedy w szkołach nauczano po rosyjsku, a za posiadanie polskich książek można było trafić na Syberię.

– Pan szanowny to w jakiej sprawie? – pytanie zostało zadane śpiewnym wschodnim akcentem przez czerstwego dziadka, ubranego w sportowy dres, ozdobiony na piersi, cofniętej trochę wobec wydatnego brzucha, identyfikatorem „Ochrona Mienia i Osób”.

– Jestem umówiony z dyrektorem.

– Po schodach pójdzie i w prawo, drugie drzwi.

– Z panem też będę chciał porozmawiać.

– Z kim przyjemność mam? – zaśpiewał dziadek.

Grosz pokazał mu odznakę. Dziadek się skrzywił, jakby połknął swoje sztuczne zęby.

– Ma się rozumieć, do dyspozycji.

Grosz wszedł po schodach na pierwszą kondygnację budynku. Sekretarka spytała, czy napije się herbaty. Na krześle przy drzwiach siedziała ubrana na czarno, naburmuszona farbowana brunetka z kolczykiem w dolnej wardze. Zmierzyła Grosza nienawistnym wzrokiem. Sekretarka otworzyła drzwi gabinetu dyrektora, który z wyciągniętą dłonią podbiegł do Grosza. Sylwetką i rysami twarzy przypominał Alberta Einsteina, miał tylko nieco krótsze włosy i większy nos, w zasadzie nochal.

– Sawczuk jestem, do usług – przedstawił się. – Pan komisarz osobiście czy z kierowcą?

– Co pan proponuje?

– Nalewkę na miodzie...

– Poproszę o dwie krople do herbaty.

Usiedli przy okrągłym stoliku, przy oknie. Sawczuk podał Groszowi tekturową teczkę zawiązaną na kokardkę. W środku były świadectwa lekarskie, orzeczenia sądu rodzinnego, pełnomocnictwa opiekuna prawnego uczennicy Sylwii Grandet.

– To nie był pierwszy raz... ale zawsze wracała, to dobra dziewczyna... Przywiozła ją tu jej babka, tak że trzy lata temu, nie dawała sobie z nią

radę, z sobą zresztą też, alkoholiczka... Sylwia jest nieślubnym dzieckiem, ojciec to jakiś Francuz czy coś. On płacił chesne, matka piła razem z babką, ale widać wątrobę miała słabszą, bo umarła, jak jeszcze Sylwia malutka była. Maturę w tym roku miała zdawać. Co ona takiego przeskrobała, panie komisarzu?

– Co pan wie o jej chłopaku?

– Chłopaku? A co ja mogę o tym wiedzieć? Dziewczyna tu czeka, z którą w pokoju mieszkała, ona coś więcej panu powie, wołać?

Grosz jeszcze raz przejrzał dokumenty w teczce.

– Nie ma tu żadnych informacji o jej ojcu...

– To podobno Arab jest, jak zobaczył, że matka Sylwii tak ze swoją matką gorzałę grzeją, to wrócił do Francji, wie pan, im religia nie pozwala. Bursztynem handlował

– Ktoś ją tu odwiedzał?

Dyrektor przecząco pokręcił głową.

– Nikt, przynajmniej ja o tym nic nie wiem, panie komisarzu.

Do gabinetu weszła sekretarka, przyniosła kawę dla dyrektora i herbatę dla Grosza. Dyrektor wyjął z biurka monstualną piersiówkę i dołąił im trochę nalewki. Podniósł szklanę, markując toast.

– Chce się panu przyjeźdźać na przesłuchanie do Warszawy, dyrektorze?

Zaprzeczył ruchem głowy. Wzniósł drugi milczący toast.

– Tego od ochrony niech pan spyta... ale tak po swojemu... Ja to nic nie wiem, z za tych papierów to świata nie widzę. Powie mi pan, co ona narozrabiła?

– Zrobimy tak, ja porozmawiam sobie z tą małą, a pan spróbuje sobie coś przypomnieć. Nie mogę, jako urzędnik państwowy, zaakceptować sytuacji, że pański woźny wie więcej niż pan. Szlachetna twarz „Alberta Einsteina” przybrała wyraz lisiego sprytu, w rysach i w spojzeniu.

– Dwa dni po tym, jak zwiła, zadzwoniła do mnie... że oczywiście przeprasza, że ma dobre stopnie, ale to nagła sprawa i nie będzie jej jeszcze trzy dni, potem wraca i już będzie grzeczna. Dzwoniła z automatu, kończyły jej się pieniądze, dałem jej mój prywatny numer

i kazałem dzwonić co dzień... a jak nie, to fora ze dwora. Ale już nie zadzwoniła, ladaco.

– Nie może pan jej o nic winić... została zamordowana...

Dyrektor rozdziawił usta i po chwili zasłonił je dłonią. Jego głowa obracała się na boki z niedowierzaniem.

– Niech pan powie, że to nieprawda, proszę pana...

– Później opowiem panu, jak została świętą, teraz niech pan poprosi tę dziewczynę.

Sawczuk złapał za słuchawkę telefonu.

– Dawaj ją!

Ubrana na czarno naburmuszona dziewczyna weszła do gabinetu. Grosz podszedł do niej i podał jej rękę.

– Nazywam się Michał Grosz, jestem z policji.

– Ja jestem Monika Rybałtowska, trzecia C.

– Chciałbym zobaczyć pokój, w którym mieszkałaś z Sylwią Grandet.

Dziewczyna spojrzała w stronę Sawczuka. Przyzwalająco skinął głową.

Dwa ostatnie piętra i poddasze budynku przeznaczono na internat. Monika mieszkała w małym pokoju z mansardowym oknem, gdzie poza dwoma łózkami i biurkiem nie było już miejsca na nic. Wykończony boazerią sufit był wyklejony fotografiami gwiazd filmu i młodzieżowej muzyki.

– Zostawiła jakieś swoje rzeczy?

– Wszystko zabrali do magazynu.

– Mówiła ci, że ma zamiar uciec?

– Nikt nas tu siłą nie trzyma...

– Próbuję zrozumieć dziewczynę, która przez trzy lata dobrze się uczy i ucieka tuż przed maturą.

– A co tu jest do rozumienia? Chłopaka poznała, matura nie zając...

– Mówiła ci o nim?

– Kłamała... To kłamczucha była i złodziejka!

– Dlaczego chciałaś z nią mieszkać?

– Nie wiedziałam, że jest taka. Laptop mi ukradła!

– Zgłosiłaś to?

Przezcąco pokręciła głową.

– Dlaczego?

– Nie chciałam tak za plecami, czekałam, aż wróci i w oczy chciałam jej powiedzieć...

– Myślałaś, że wróci?

– Dużo książek tu zostawiła... fajne ciuchy... wszystko od niego...

Okradziona, porzucona i zazdrosna – wszystko to dało się wyczytać na zagniewanej twarzy Moniki Rybałtowskiej.

– Widziałaś go?

– Nigdy... ale on też się na niej poznał. Nie rozumiem, jak można być taką zdzirą, fajnego chłopaka miała, dwa lata się znali, zaraz po maturze ślub mieli brać, a ta na boku kręciła z jakimś frajerem...

– Mówiła ci o tym?

– Tak się kryła, że nikt nie wiedział, co z niej za numer. Jak tylko dała w długą, to zaraz następnego dnia do mnie zadzwoniła, żeby jej numer do ciotki tego pierwszego dać, bo niby zapomniała. Jej notes tu został, tak się spieszyła... Tak pod koniec stycznia on przyjechał tu...

– Który? – spytał lekko zdezorientowany Grosz.

– No ten, z którym miała się hajtać, on też jej szukał. No i się wydało...

– Co o nim wiesz?

– Fajny jest, na tirach jeździ. Byłam raz z nimi w trasie, głupia jest, że go zostawiła.

– Musisz mi bardzo dokładnie opowiedzieć wszystko, co pamiętasz, to bardzo ważne. Gdzie jest ten jej notes?

– Razem z jej rzeczami, w magazynie.

– Sylwia nie żyje, została zamordowana, jeżeli chcesz coś dla niej zrobić, to mów prawdę.

– Nigdy w to nie uwierzę! Uciekła z tamtym! – Zza książek na półce wyciągnęła oprawiony w skórę notes. – Niech go pan sobie znajdzie!

– Musisz się z tym pogodzić, Sylwia nie żyje...

– Nieprawda!

– Musiała bardzo cierpieć... Nie masz jej czego zazdrościć...

Monika się rozplakała, rozmazując makijaż. Uderzyła pięścią w mikroskopijne biurko między łózkami.

– Nic mi nie ukradła! Pożyczyłam jej ten laptop! Niech pan powie, że to nieprawda!

Było już ciemno, kiedy wrócił do samochodu. Przeczytał SMS-a od Marty. Uprzedzała, że trochę się spóźni na spotkanie. Grosz uruchomił silnik. Wskaźnik poziomu oleju zaświecił się na czerwono. Odruchowo zareagował na pukanie w boczną szybę – sięgnął po broń. Sylwetka za szybą zgięła się w pół i mógł teraz rozpoznać twarz ochroniarza. Grosz opuścił szybę.

– Czym mogę służyć?

– Ten jej chłopak tu był jakiś czas po tym, jak ona zwiłała...

– I co z tego?

– Zostawił dla niej list.

– Dawaj go pan!

– Kazał tylko jej do ręki dać, pistolet mi tu... – Dotknął palcem skroni. – ...przystawił.

– Musi pan wybrać, kogo bardziej się pan boi.

– Ja to tylko spokój chcę mieć...

– Dlatego zapytałem pana, co mogę dla pana zrobić!

– No, żeby ja nie był zamieszany... nu, jak ona zabita została...

– Skąd pan wie, że Sylwia nie żyje? \

Ochroniarz w dramatycznie bezradnym geście rozłożył ręce.

– Panie, ja tam nic nie wiem... To dobra dziewczyna była, na święta to zawsze o mnie pamiętała, ten diabeł musiał ją w coś wciągnąć...

– Ten co panu ten pistolet?

Ochroniarz potwierdził ruchem głowy.

– Ma pan w domu jakieś książki?

– Nu jak? Pewnie, że mam. – Ochroniarz poczuł się dotknięty pytaniem Grosza.

– Jak się tu znowu pokaże, powie mu pan, że dwóch z policji przyszło

na rewizję i znaleźli ten list w książce.

– Niby w której?

– Sam pan sobie wybierze. Dawaj pan ten list!

Ochroniarz podał mu wymiętą kopertę, odręcznie zaadresowaną do Sylwii Grandet.

– Gdzie tu jest stacja benzynowa?

– Dziesięć kilometrów na Truskolasy pojedzie...

– Dzięki!

– To dobra dziewczyna była, co niedziela do kościoła chodziła, nie jak ta Sodoma... – Wskazał ręką niewidoczny już budynek szkoły.

Rozdział XXIII

W recepcji pensjonatu Żuraw nie było nikogo. Rudy kot leżący na kontuarze nie dopatrzył się w Marcie nikogo godnego uwagi. Otworzył tylko jedno oko, aby się jej przyjrzeć i zamknął je, wyraźnie rozczarowany. Odślonił zęby w grymasie złości, kiedy nacisnęła przycisk dzwonka. Po chwili oboje usłyszeli odgłos kroków na piętrze i skrzypienie schodów

– Marta? Dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

Natalia Sobolewska podbiegła, rzuciła się jej na szyję i pocałowała w oba policzki.

– Skrzywienia zawodowe... Byłam w pobliżu, pomyślałam, że wpadnę na herbatę.

– Zjeść coś musisz, dostałam dzisiaj ryby, zaraz usmażę. Opowiesz mi, co słyhać, coś tam widziałam w telewizji, ale nie bardzo zrozumiałam, o co chodzi...

– Innym razem, dzisiaj tylko na herbatę.

– No co ty, gdzie będziesz po nocy jeździć?

– Byłam tu w szpitalu, w Choroszczy.

– W Choroszczy? To wariatkowo jest...

– Przywieźli tam Tomczyka na badania.

– No, po tym wszystkim to mogło mu się coś poprzestawiać pod sufitem.

– Są jeszcze ludzie, którzy uważają, że to on zabił. Chcieli go zbadać, czy jest poczytalny.

– A to nie jest tak, że jakieś dowody muszą być, że ktoś zabił, a dopiero potem się bada, czy to wariat? No bo jak wariat, to wszystko można mu wcisnąć, nie?

– Nie zajmuję się tym, miałam go tylko przesłuchać w sprawie

wypadku, rozjechał mojego kolegę i nie udzielił mu pomocy.

- Prawdziwy „Smok”! – W oczach Natalii pojawiły się iskierki agresji.
- Dasz mi tej herbaty? – próbowała ją uspokoić Marta.

Przeszły do biura. Natalia włączyła czajnik i przyniosła z kuchni kawałek sernika.

- Mówili w telewizji, że policja namierzyła jakiegoś zboka, który zabija kobiety. Jedną puścił wolno... On to robi?

- Słuchaj, robię to, co mi każą. Brzydzą się polityką; tam były jakieś krzywe układy i rzeczywiście chcieli go w coś wrobić. Ale jak rozjeżdżasz kogoś samochodem, łamiesz mu nogi i obojczyk i jedziesz sobie dalej, jakby nic się nie stało, to na to, niestety, jest paragraf.

- Nie znam się na tym. – Natalia nalała herbaty do szklanek.

- Nie bronię tego systemu.

- Jesteś jego częścią, dostajesz pensję i robisz, co ci każą.

- Co cię napadło? Stało się coś?

- Nic nadzwyczajnego... Poroziłam... Nawet pies ode mnie uciekł!

Marta spróbowała ją objąć i przytulić, ale Natalia się odsunęła.

- Tu się nigdy nic nie zmieni! Połowa ludzi nie ma pracy, a te łobuzy budują sobie stadiony i aquaparki, bo im się nudzi. Nie słyszysz, co oni gadają? Że Polska to fikcja! A co drugi chodzi obwieszony zegarkami albo kradnie w sejmie diety dla grubej żony! Płacimy im, żeby nam służyli, a oni mają nas w dupie, bo uważają, że dostają za mało! Nie rozumiesz tego?!

- Myślisz, że za granicą jest inaczej?

- Ludzie stąd uciekają...

- Co ciebie tu trzyma?

- Nie bądź beczelna, jak ci z rządu! Jestem już za stara na przygody.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie byłaś dzisiaj rano w Choroszczy?

Natalia wytrzymała jej spojrzenie. Była gotowa na walkę.

- On może robić, co chce, jest niewinny, nikt nie kazał go aresztować... Ty go ścigasz, a ja mu pomagam, taka jest różnica między Warszawą a tym grajdołem.

- Gdzie on teraz jest?

- Odwiozłam go na dworzec.
 - Kochasz go?
 - Nie twój interes!
 - To prawda, życzę ci, żebyś była szczęśliwa...
 - Dziękuję, dam sobie radę. Nic do ciebie nie mam, ale ja jestem po drugiej stronie barykady... Ta historia pomogła mi zrozumieć, w jakim syfie żyjemy. Co chwila urządzenie jakieś przedstawienia, żeby czymś ludzi zająć. Żeby nie mieli czasu się zastanowić, co dzieje się z ich życiem. Żeby w ogóle przestali myśleć. Tylko polityka, sport i „Taniec z gwiazdami”. Jak ludzie zaczynają narzekać, to pokazujecie im jakiegoś „Smoka”, żeby wiedzieli, że może być gorzej, i to działa!
 - Nie potrafię tak mądrze gadać jak ty, jestem tylko policjantką...
- Objęły się na pożegnanie, jakby chciały sprawdzić, czy w tak krótkim czasie można aż tak się od siebie oddalić.

Karczma Rzym w Kiermusach słynęła z dobrej kuchni. Marta zamówiła kaczkę w pomarańczach, a Grosz jagnięcinę w ziołach. Kelner wrócił po chwili, przyniósł talerz wędlin i karafkę lokalnej nalewki. Grosz napełnił kieliszki.

- Jak masz zamiar po tym jechać? - spytała.
 - Ty prowadzisz.
 - Zapomnij! Twoje zdrowie! - Jednym haustem opróżniła kieliszek.
- Grosz obserwował ją przez chwilę, udając zaskoczenie. Wypił jej zdrowie i ponownie napełnił kieliszki. Zagryzli chlebem i wędzoną słoniną.
- Jak ci poszło?
 - Znalazłem ją... W tym roku miała zdawać maturę...
 - Historia jak z gotyckiej powieści: niewinna licealistka i upiorna sekta starej wiedźmy. Ktoś jest w stanie w to uwierzyć?
 - Miała chłopaka, a może nawet dwóch, bardzo chciała zobaczyć się z jednym z nich.
 - Psujesz fabułę, dziewczyna powinna kochać tylko jednego i być mu

wierna.

– Być może tak było, ale ten, za którego miała wyjść za mąż, przestał do niej dzwonić, kazał jej czekać...

– Ona była cierpliwa, ale któregoś dnia postanowiła sprawdzić, czy aby on też czeka, tak było? – przerwała mu Marta.

– Nie wiemy nic pewnego – ciągnął Grosz. – Próbowała skontaktować się z ciotką tego pierwszego, ale nigdy tam nie dotarła, ciotka nic nie wie, nawet tego, że istniała jakaś dziewczyna. Pod pretekstem wizyty u dentysty Sylwia Grandet trzydziestego listopada opuszcza internat w Wisłoczy, ubrana w czerwoną puchową kurtkę, jasne sztruksowe spodnie i wełnianą czapkę, którą sama zrobiła sobie na drutach. Dwa dni później, drugiego grudnia, wikary Tomczyk znajduje jej nagie zwłoki w śniegu na przedmieściu Kamocka. To wszystko, co wiemy.

– Nie wydaje ci się, że ten Tomczyk zbyt często pojawia się w pobliżu świeżych trupów młodych kobiet?

– Z tego, co pamiętam, interesują go też te całkiem żywe...

– Byłam u niej.

– Kto cię o to prosił?

– Pomogła mu uciec ze szpitala w Choroszcy. Przywiozła mu ubranie i pewnie pieniądze.

– To jest postać do twojej powieści... musi być miłość, jakaś afera i trzepnięty klecha, podoba mi się to. Historia Sylwii Grandet nie przebije się do programu „Opowiedz mi swoją historię”, jest zbyt smutna, to się źle sprzedaje, ale wypijmy za zdrowie smutnych kochanków.

Marta podniosła kieliszek, ale nie wypila.

– To jest kompletne odludzie, gdzie my będziemy spali?

– To takie ważne?

– Dla mnie tak!

– Mają tu pokoje gościnne.

– Skąd wiesz, że będę chciała z tobą spać?

– Mogę się zdrzemnąć w samochodzie...

Potraktowała to poważnie i wypila swój kieliszek.

– Mam nadzieję, że nie muszę już nic robić w sprawie wikarego Tomczyka.

– Wyślesz mu wezwanie i możesz jechać na urlop.

– Miły z ciebie facet, Grosz. Nie obrazisz się, jak wezmę sobie drugi pokój?

– Nie... jak na mój gust trochę za głośno chrapiesz.

– Ja chrapię? Co ty gadasz?

Kelner przyniósł dania i zaczęli jeść. Marta podejrzliwie przyglądała się Groszowi, informacja o chrapaniu dotknęła ją.

– Zastanawiam się, dlaczego nikt wcześniej mi o tym nie powiedział.

– Faceci podchodzą do tego bardzo różnie... jeżeli nie zwracają na to uwagi, to znaczy, że interesuje ich tylko seks.

– Chcesz powiedzieć, że powiedziałeś mi o tym, bo masz zamiar mi się oświadczyć?

– Chciałem tylko zwrócić twoją uwagę na to, jak wielką rolę w związkach między ludźmi odgrywa szczerść. Wymaga odwagi i deklaruje chęć zmiany, podniesienia jakości ich relacji.

– Nie wystarczy, jak ludzie się po prostu kochają?

– Absolutnie nie! Natalia Sobolewska odrzuciła wikarego, bo zawiódł jej zaufanie. Kiedy zdobył się na odwagę i wyznał jej prawdę, pokochała go na nowo.

– Myślę, że ona się nad nim lituje...

– Ona ryzykuje, tego nie robi się z litości.

– Już mnie to nie obchodzi. Wypijmy nasze zdrowie. Grosz, dlaczego nie pytasz, co będę robiła na urlopie?

– Wydaje mi się, że wiem...

Wpatrywała się w jego oczy, próbując odgadnąć, co o niej myślał.

– Muszę go zobaczyć, za dwa tygodnie skończy osiem lat...

– Powinnaś o tym porozmawiać z psychologiem...

– Uważa, że nie powinnam tego robić.

– Ja też tak uważam.

– Niepotrzebnie ci powiedziałam! Proszę pana! – przywołała kelnera.

– Jeszcze raz to samo. – Wskazała karafkę z nalewką.

- Jutro zajrzemy jeszcze w jedno miejsce, to po drodze...
 - Dopiero jutro, Grosz, dzisiaj nie chcę niczego wiedzieć ani gadać o pracy. Czuję się strasznie staro... Jak się tak zastanawiam, to nie wiem, po co ja żyję, co robię, po co uderzyłam tego obleśnego dziada...
 - Sprovokował cię.
 - Dobrze wiesz, że to nieprofesjonalne. I nie mów mi, że nie powinnam pić. Wiem kiedy przestać!
 - Wszyscy tak mówią...
 - Myślisz, że mogłabym zostać pijaczką?
 - W tym sporcie nie ty decydujesz, wciąga cię jak bagno, a potem poznajesz fajnych koleśi z AA...
 - Mój ojciec pił, to się dziedziczy?
 - Coś zostaje...
- Zjawił się kelner z karafką.
- Proszę to zabrać – szepnęła Marta.
- Kelner z nadzieją w oczach odwrócił się do Grosza.
- Poproszę o rachunek, wychodzimy.
- Kelner odwrócił się na pięcie i odszedł.

Obudziło go szczekanie psów. Grosz wstał z łóżka i otworzył okno. Wzdłuż ogrodzenia biegały dwa psy oszczekujące niewidocznego intruza. Zatroškany rogal Księżycy przyglądał się coraz cieńszej warstwie ozonu, która chroni Ziemię przed zabójczym promieniowaniem Słońca. Nieruchome czubki sosen, połyskująca w ciemnościach pusta asfaltowa szosa i niewidoczni, pogrążeni we śnie ludzie. Wszyscy czekali, co przyniesie kolejny dzień: pieniądze, chorobę, awans czy zdradę.

Pukanie do drzwi nie musiało być dźwiękiem realnym, Grosz, jak zwykle o tej porze, dopuszczał możliwość, że jest to wytwór sennej fantasmagorii, która często dręczyła w nocy jego umysł. Nauczył się już odróżniać te stany. Sen można rozpoznać po trudnościach w poruszaniu się, szczególnie w sekwencjach pościgu bądź ucieczki, nogi i ręce są ciężkie jak ołów, każdy ruch wiąże się z ogromnym wysiłkiem.

Spróbował zrobić krok. Niespodziewanie lekko udało mu się podejść do drzwi i je otworzyć.

– Nie mogę zasnąć – szepnęła Marta; stała na progu bosa, owinięta w koc.

– Wejdz, opowiem ci bajkę – zaproponował.

– Jesteś idiotą, Grosz, nie chcę bajki, czekałam na ciebie... – Zrzuciła koc i wsunęła się pod kołdrę.

– Czy wiesz, że jeżeli roztopią się lodowce, to wszędzie dookoła będą pływały dorsze, flądry i łososie?

– Lubię ryby. Denerwują mnie faceci, którzy gadają brednie, bzdury, farmazony, dyrdymały... gadają, żeby, broń Boże, czegoś nie zrobić, zagadać, zanudzić. Dlaczego potrafisz być taką mendą, Grosz?

– Chciałaś spać sama, odebrałem to jako upokorzenie.

– To niemożliwe, że jesteś tak głupi!

– To miłe, że wpadłaś mi to powiedzieć.

– Chodź tu!

Grosz wsunął się pod kołdrę.

– Lubię spać z tobą, Grosz, nie musisz mnie posuwać...

– Chciałabyś, żebym został twoim pluszowym misiem?

– Dam sobie radę bez ciebie i twoich mądrości. Nie przychodzi ci czasem do głowy, że dziczejesz i wkrótce zostaniesz sam razem z tymi twoimi dorszami i flądrami?

– Nie interesuje cię, jak będzie wyglądała Ziemia za sto lat?

– Wiem, jak ja będę wyglądała za dwadzieścia, dlatego nie chce mi się gadać o takich bzdurach.

– A na co miałabyś ochotę?

– Będziesz kiedyś żałował, że mnie odtrąciłeś.

– Już żałuję.

– Nie żałuj, spróbuj to naprawić.

– Jestem trochę popieprzony...

– Nie użalaj się nad sobą, pora dorosnąć, uganianie się za bandytami i złodziejami to zajęcie dla chłopców, życie to jest dopiero prawdziwe wyzwanie!

– Tak myślisz?

– Wiem to na pewno, komisarzu.

Pocałowała go. Objął ją i odwzajemnił pocałunek. Długi i tak gorący, że mógłby topić lodowce. Ziemia zaczęła drżeć w rytmie wzbierających fal oceanu. Nadciągał potop. Mimo to mieszkańcy pokoi gościnnych w karczmie Rzym czuli się szczęśliwi jak nigdy wcześniej. Krople deszczu uderzyły w dach nad nimi i mogli sobie wyobrazić, że są w brzuchu nurkującego wieloryba, a nad nimi przepływa pełna zwierząt arka Noego. Mogli wyobrazić sobie absolutnie wszystko poza tym, że znajdują się dzisiaj w miejscu, w którym oberwanie chmury nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Tak przynajmniej twierdził staruszek pilnujący parkingu. Spał, kiedy zaczęło padać. Woda wdarła się do jego budki i wlała mu się do butów.

Rozdział XXIV

Na ogromnym parkingu dla tirów, za kompleksem gastronomiczno-rozrywkowym Volenti, zapach marnej kawy mieszał się ze spalinami i dymem grilla. Marta i Grosz siedzieli w samochodzie, popijając herbatę z papierowych kubków.

– Sylwia i Monika przyjechały tu piętnastego października, żeby spotkać się z Arturem, chłopakiem...

– Kto to jest Monika? – przerwała mu Marta.

Grosz stał dłonią parę wodną z szyby, aby lepiej widzieć ludzi na parkingu. Wszystkie szyby – barów i sklepów – były oklejone plakatami kandydatów na europosłów. Deszcz okrutnie potraktował ich upozowane twarze, wyglądali żałośnie i budzili współczucie.

– Monika Rybałtowska, koleżanka Sylwii z pokoju w internacie. Dziewczyny miały już dowody osobiste i Artur, chłopak Sylwii, zaproponował, że zabierze je do Francji na festiwal wina.

– Dlaczego to takie ważne? – Padający deszcz i wczesna pora utrudniały Marcie kontakt z rzeczywistością.

– Bo nie wiemy o nim nic więcej poza tym, że ma na imię Artur.

– Musieli się jakoś ze sobą kontaktować, Grosz. Ludzie, którzy się kochają, odczuwają potrzebę kontaktu, pamiętaj o tym.

– Miała komórkę na kartę, ale nie wiadomo, co się z nią stało. Przed zaginięciem mejlowała z laptopa koleżanki, ale komputer też wciąło.

– To dziwne miejsce – powiedziała, wpatrując się w szybę. – Wygląda jak wiocha, a dzieją się tu takie rzeczy...

– Niby co?

– W tym grajdole naprzeciwko występowała Samanta Białecka, pierwsza ofiara „Smoka”.

– Cholera, nie skojarzyłem!

- Co miałaś kojarzyć, nie widziałeś przecież tych akt.
- Zapamiętałem to Volenti, coś to znaczy?
- Pojęcia nie mam, teraz wszystko nazywa się Las Vegas albo Vesuvio, jakby nie mogło być: Wesoły Domek, Młode Cycki albo Rura Tango...
- Rura Tango?
- Samanta tańczyła w tym Volenti na rurze, faceci to uwielbiają...
- Teraz kojarzę, uprowadził ją na drodze. Myślę, że bez przykrywki nic tu nie zdziałamy, w tych tirach trafiają się prochy, szmuglowane papierosy, czasem broń, a nawet ludzie...
- Mam udawać jej matkę czy siostrę?
- Przyrodnią siostrę, mieszkasz we Francji i straciłyście kontakt ze sobą, od miesiąca nie ma jej na Fejsie ani na Skypie...
- A co z tym drugim chłopakiem?
- Nic o nim nie wiesz, straciłyście kontakt, wiesz tylko o Arturze i masz jego fotografię. Jest jeszcze babka Sylwii, mieszka w Kamieniu Pomorskim, grzeje na okrągło, nie widziała jej od czasu, kiedy Sylwia przeniosła się do internatu.
- Nasz ojciec?
- Nie ożenił się z twoją matką, mieszka w Grenoble, we Francji, płaci za szkołę Sylwii i pamięta o prezentach na święta, teraz ma nową babę i nie utrzymujesz z nim kontaktu.
- Dobra, robię to i puszczasz mnie na urlop!
- Dzisiaj wybory, nie zapomnij zagłosować...
- Mógłbyś chociaż spróbować mnie zatrzymać.

Grosz chciał coś powiedzieć, ale Marta zdążyła już wysiąść z samochodu.

W barze śniadaniowym kilku nieogolonych kierowców jadło smażoną kiełbasę z kapustą. Z szafy grającej wydobywał się energetyczny głos Dody Rabczewskiej, mimo to twarze zebranych pogrążone były w porannej apatii. Z całą pewnością nie w zadumie, bo ta dodaje ludzkiej twarzy pewnej szlachetności.

- Szukam siostry, widziała ją może pani?

Bufetowa, której sylwetka doskonale oddawała profil ułożonych na

sobie opon do traktora, skierowała w stronę fotografii jedno oko. Przecząco pokręciła głową. Marta schowała fotografię do kieszeni i wyszła na zewnątrz. Kilkadziesiąt metrów dalej, we wspólnym ze stacją benzynową budynku, był drugi bar. Atmosfera była tu trochę lepsza, ludzie, a przynajmniej ich część, rozmawiali ze sobą. Przy automacie telefonicznym śniada dziewczyna w przemoczonej kostiumie przydrożnej prostytutki głośno rozmawiała w którymś z bałkańskich języków. Klienci siedzieli wzdłuż kontuaru okalającego kuchnię, na której przygotowywano parówki i omlety. Kapusty nie było tu w menu. Marta usiadła na końcu kontuaru i zamówiła colę. Młoda barmanka postawiła przed nią szklankę i poprosiła o należność. Marta dała jej duży napiwek i pokazała fotografię Sylwii.

– To moja siostra. Cała rodzina jej szuka, ktoś widział ją tutaj w grudniu...

Barmanka przyjrzała się fotografii i kilka razy Marcie, jakby próbowała doszukać się podobieństwa. Przecząco pokręciła głową.

– Nie widziałam jej tu, ale koleżankę mogę spytać...

Pokazała zdjęcie dziewczynie smażącej omlety. Ta zareagowała identycznie: zerknęła na podobiznę Sylwii i uważnie przyjrzała się Marcie. Przecząco pokręciła głową. Barmanka wróciła do Marty i oddała jej fotografię.

– Nie kojarzy...

Marta podała jej drugie zdjęcie. Przedstawiało Sylwię, Artura, Monikę Rybałtowską i uśmiechniętego chłopaka z przepaską na włosach, który obejmował Monikę.

– A kogoś z nich?

Barmanka długo studiowała twarze. Marszczyła czoło, próbując pobudzić swoją pamięć.

– Może koleżanka kogoś pamięta?

Spojrzały w stronę kuchni, ale tej drugiej już tam nie było.

– Ona tu za krótko pracuje, żeby kogoś pamiętać – Oddała fotografię i zajęła się ratowaniem dymiącego omletu.

Marta wyszła na zewnątrz. Przemoczone twarze wybrańców narodu

z wyrzutem patrzyły na nią z plakatów wyborczych. „Jak można w tak wyjątkowym dniu zajmować się czymś innym niż wybory? Nikogo nie obchodzi fotografia podlotka, który dał się zabić. Ludzie rodzą się i umierają... Dzisiaj ważni są ci, dzięki którym uda się nam przetrwać”. Tęgawa jejmość, reprezentująca okręg czternasty, odkleiła się od szyby i osunęła ze swoim plakatem na chodnik. Marta miłosiernie podniosła plakat i przytknęła go do szyby. Wyrocznia Pytii Brukselskiej była nieubłagana, plakat ponownie osunął się na chodnik. Kilkanaście godzin później komunikat komisji wyborczej potwierdził wyrocznię: tęgawa przepadła.

W odległości dwustu metrów widać było jeszcze jeden bar. Jego wnętrze zasłonięto żaluzjami. Marta pobiegła w tamtym kierunku. Po prawej stronie, na utwardzonej łące, parkowało kilkadziesiąt, a może kilkaset pograżonych we śnie tirów. Za nimi – sięgające po horyzont pole kapusty. Bar był zamknięty do odwołania. Biegiem wróciła do samochodu Grosza.

– Cała przemokłam! Włącz ogrzewanie! Nikt jej tu nie widział. Po co miałaby tu przyjeżdżać?

– Tu się spotkali przed wycieczką do Francji. Jej chłopak zostawił w internacie list, on też jej szukał... nie wiedział, że Sylwia nie żyje.

– Albo udawał, że nie wie...

– Ochroniarz nie chciał przyjąć listu, a wtedy chłopak przystawił mu klamkę do czoła: szukał jej i chciał ją przed czymś ostrzec.

– Co jest w tym liście?

– Pisze, że ma kłopoty. Kazał jej wyrzucić stary telefon i kupić nowy, zabronił jej wyjeżdżać z internatu i zapewnił, że ją kocha.

– Każdy facet tak gada. Nie wiem, dlaczego to robisz, ale to nie nasza sprawa. Ustaliłeś jej tożsamość i to koniec tej bajki. Nie chcę kłopotów, wracam do Warszawy.

– Mogę cię jakoś zatrzymać?

– Miałeś szansę, Grosz, ale ją olałeś, mnie też olewasz... Nie myśl, że jestem zazdrosna, ale ty nie potrafisz być z kimś, myślisz tylko o sobie i o tej popieprzonej pracy. Jestem dla ciebie za młoda i za głupia,

potrzebujesz kogoś, kto potrafi poprowadzić cię za rączkę, ale tak, żeby ci się wydawało, że to ty prowadzisz!

Gwałtownie otworzyła drzwi i biegiem ruszyła w stronę swojego samochodu. Deszcz zamienił się w ulewę. Grosz zauważył fiata bravo, który oderwał się od krawężnika, nie zapalając świateł. Fiat zajechał Marcie drogę, a uśmiechnięty facet na miejscu pasażera opuścił szybę i próbował ją zatrzymać czerwonym lizakiem drogowki.

– Spieprzaj, koleś!

Otworzyła pilotem drzwi swojego samochodu i zatrzasnęła się w środku. Fiat podjechał z tyłu i zatrzymał się kilka centymetrów od jej zderzaka. Przed sobą miała wysoki krawężnik i żadnych szans na ucieczkę. Faceci w bravo umieścili na dachu migającego koguta i wyraźnie czekali na wsparcie. Opuściła szybę i pokazała im swoją odznakę.

– Wsiądź z podniesionymi rękami, oprzyj dłonie na dachu...

„Choćby mieli mnie zastrzelić, nie zadzwonię do Grosza. Muszę sama dać sobie z nimi radę”. Wsiadła z samochodu i z podniesionymi rękoma podeszła do fiata. Faceci w środku krzyczeli i groźnie wymachiwali pistoletami. Ten za kierownicą uchylił szybę i skierował w nią lufę. Bardzo powoli opuściła dłoń, między palcami trzymała swoją legitymację. Facet za kierownicą, zasłaniając się bronią, wziął od niej dokument i zaczął czytać. Przerwał, kiedy poczuł lekkie uderzenie w tylny zderzak. Spojrzał pytająco na partnera; oślepił ich snop długich świateł. Marta obiegła fiata i wsiadła do samochodu Grosza.

– Czego chcą? – spytał.

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć?!

– Obserwowali nas...

– Zawsze w coś się wpięprzysz, nic nigdy nie może być normalnie, spadam stąd, nawet jak będę musiała ich zastrzelić. – Wyciągnęła z kabury pistolet i przeładowała go. Wyraz jej twarzy potwierdzał, że była gotowa spełnić obietnicę.

Grosz rozmawiał już przez telefon, podyktował dyżurnemu numery samochodu, który stał przed nimi.

– To nasza załoga – odpowiedział dyżurny. – Wezwali tam do was wsparcie z prewencji.

Grosz odłożył słuchawkę. Na autostradzie przed nimi widać już było zbliżające się światła kilku radiowozów.

– Schowaj to. Chłopcy są tuż po szkole, musiałś wpaść im w oko.

– Kretyn! – odpowiedziała. Była przemoknięta, miała zlepione deszczem włosy i wiedziała, jak wygląda. Wyjęła pocisk z komory i włożyła broń do kabury. – Nie musiałś się w to wcinać, dałabym sobie radę...

Za nimi zatrzymały się trzy mikrobusy, policjanci z długą bronią półkolem otoczyli uwięzionego fiata i zajęli pozycje strzeleckie. Nadjechał radiowóz, wysiadł z niego mocno zbudowany policjant w przyciasnym mundurze. Z godną podziwu odwagą podszedł do samochodu Grosza i dziarsko zsalutował.

– Komisarz Wiktor Lenniczak, witam w moim rejonie!

– Spocznij – odpowiedział Grosz i podał mu rękę przez opuszczoną szybę.

Lenniczak dał dyskretny znak swoim, że ich zwalnia. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, kto rządził na tym terenie. Dowiedział się przez radio, o co chodzi, i próbował ratować twarz.

– Jakieś nieporozumienie zaszło... – zagadnął Lenniczak.

– Pozwalasz swoim pić na służbie? – odpowiedział pytaniem Grosz.

– Za chłanie u mnie jest dyscyplinarka.

– Twój chłopak zatrzymuje pieszych lizakiem drogowki.

Lenniczak wytrzeszczył oczy, podszedł do fiata i przez opuszczoną szybę wsadził głowę do środka. Po krótkiej konsultacji wrócił do Grosza.

– Wyższa konieczność była, dziewczyna uciekała...

– Przed kim? – Ton Grosza nie wróżył nic dobrego i Lenniczak to wyczuł. Znów podbiegł do fiata i jeszcze szybciej wrócił.

– Napiszą raport i wpierdzielę im naganę, przepraszam. Powinniście zgłosić działania na moim terenie. – Lenniczak gotów był na kompromis.

- Nie prowadzimy żadnych działań na twoim terenie.
 - Zgłoszenie było...
 - Jakie zgłoszenie?
 - Tu będziemy gadać? Zapraszam do mnie.
 - Załatwisz jej suche ubranie, może być mundur, musi być dzisiaj w Warszawie.
 - Załatwione. Raport, cholerka, muszę napisać, paliwo trzeba rozliczyć.
 - Jasne, ja stawiam paliwo, ty sponsorujesz zakąski...
- Lenniczak się rozpromienił. „Policjanci z Warszawy mają tu złą opinię, ale jak widać, zdarzają się wyjątki”.

Atrakcją tego miejsca była nie tylko knajpa z panienkami. Na samym końcu parkingu rozsiadł się motel Casablanca. Miejsce dla gości niekorzystających z pomocy społecznej. Marta wylądowała w spa. Gorąca kąpiel uchroniła ją przed zapaleniem płuc. Mówiąca ze wschodnim akcentem menedżerka wyrozumiałym uśmiechem skwitowała prośbę Marty o rachunek. Osobiście przyniosła jej filiżankę bulionu i zapytała, co zje po wizycie u fryzjera, który już na nią czekał. Fryzjerka wyjaśniła, że są zaszczyceni jej obecnością i będą zobowiązani, jeżeli wpisze się do księgi honorowej gości. Z pralni przyniesiono wysuszone ubranie. Marta z trudem wybroniła się przed lakierowaniem włosów i paznokci. Boy hotelowy podał kluczyki do jej samochodu, który został w tym czasie umyty. W recepcji wpisała się do księgi i zajrzała do restauracji, aby pożegnać się z Lenniczakiem. To był błąd. Lenniczak miał słabą głowę, a fryzjerka spisała się na medal. Zaczął zaklinać Martę, aby usiadła z nimi chociaż na chwilę, a w końcu poprosił Grosza, aby wydał jej rozkaz pozostania. Nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Grosz odprowadził Martę na parking.

- Dobrze ci w tej fryzurze...
- Chcesz, żebym została?
- Jestem umówiony z komisarzem...

Jej samochód z piskiem opon opuścił gościnną domenę Volenti. Kandydaci na posłów żegnali ją ze łzami deszczu na pomarszczonych twarzach. Grosz wrócił do stolika. Lenniczak rozmawiał przez telefon, kiedy skończył, wypił trochę wódki i zakąsił ogórkiem.

– Dlaczego się z nią nie ożenisz?

– Nie chce mnie.

– Mnie nie oszukasz, widziałem, jak na ciebie patrzy. Ta dziewczyna z baru przyjdzie po pracy na komisariat, powie ci wszystko, co wie. Nie przyciskaj jej... jeden z moich chłopaków chce się z nią żenić.

– Dzięki, stary.

Wypili milczący toast.

– Przez chwilę wydawało się, że tę moją świętą mógł zabić ten sam zbok, który uprowadził stąd dziewczynę.

– Nie wierzę w żadnego seryjnego, byłem tam zaraz po zgłoszeniu. To zrobił ktoś, kto ją znał, opona przebita fachowo, żeby dała radę odjechać tyle, ile chciał, żadnych śladów walki, znała go...

– On podpisuje swoje zbrodnie...

– Te smoki? Wierzysz w to? To wymyślili dziennikarze, żeby dodać sprawie hajcu, bujda na resorach, jak już złapią trupa, to będą się nim wycierać kilka tygodni, dopóki nie trafi im się świeży. Najlepiej żre świeży. Nie pamiętasz, co potem wymyślali? Że znowu porwał, ale wypuścił. „Smok” ją puścił, a ona puszczała się z prokuratorem, wierzysz w takie bajki?

– Później była druga ofiara, też ze smokiem...

– Nie słyszałem. Powiem ci tylko, że jakbyś wypatroszył te tiry na parkingu, to znalazłbyś tam jadowite węże, krokodyle, Wietnamki do burdelu, a może nawet smoka. Facet tej Samanty, co tańczyła na rurze, robił w tym interesie, mieli razem dziecko, nie byli już ze sobą, ale on był o nią zazdrosny. Estończyk albo Łotysz, parę razy jej przyłożył, zniknął zaraz po tym, jego warto by zapytać. Ta twoja też miała smoka?

Grosz się uśmiechnął.

– Moja była świętą, mówiłem ci...

– Miała czy nie miała? – nie ustępował Lenniczak.

– Nie wiem, ktoś zabalsamował jej zwłoki, wyrzucają wtedy wszystko, co niepotrzebne.

– Wystarczy już tego, muszę wracać. Dziewczyna będzie tak po drugiej, jak skończy pracę, tu wszystko zapłacone jest, jak uporasz się z dziewczyną, jedziemy do mnie do chałupy na obiad, kurczaka żona zrobiła.

Grosz odprowadził go do wyjścia i przeszedł na drugą stronę parkingu. Z Volenti już dobiegała muzyka. Gości było niewielu, popijali piwo po trudach nocy. Na murze w pobliżu baru popisywała się wysoka, zgrabna blondynka. Na lewym pośladku miała wymalowany sierp i młot, a na prawym portret Putina. Ikony imperium zła nie robiły na gościach żadnego wrażenia, mimo rozpaczliwych wysiłków dziewczyny i jej wspaniałego biustu, za gumką, która służyła jej za majtki, nie wisiał żaden banknot. Ten od Grosza przyjęła z promiennym uśmiechem śnieżnobiałych zębów. Menedżer Volenti pozwolił jej na krótką rozmowę z Groszem. Dziewczyna okazała się o głowę wyższą od komisarza Ukrainką i miała na imię Oksana. Była już przesłuchiwana przez policjantów z Poznania i chętnie odpowiadała na pytania. Przyjaźniła się z Samantą Białecką, widziała nawet jej faceta, przywiózł z Włoch ubranka dla ich dziecka. Były tak śliczne, że się popłakała. Uważnie przyjrzała się fotografiom – nigdy nie widziała Sylwii ani Artura.

Dziewczyna, która smażyła w barze śniadaniowym omlety, nazywała się Sara Kwasiborska. W komisariacie czuła się znacznie pewniej niż w barze. Fotografię Artura widziała już wcześniej. W końcu grudnia pytał o niego śniady chłopak ubrany w skórzaną kurtkę, słabo mówił po polsku. Na fotografii Artur był w towarzystwie dwóch kolegów, których nie rozpoznała. Zapamiętała tę fotografię, bo za plecami chłopaków było widać witryny sklepów, w których siedziały nagie dziewczyny. Odpowiedziała, że nie zapamiętuje twarzy, bo mają zbyt wielu gości. Śniady chłopak zostawił jej duży napiwek i sobie poszedł. Tak

przynajmniej się jej wtedy wydawało. Kiedy po pracy wsiadała do samochodu, zaatakował ją. Wepchnął do samochodu i przyłożył jej nóż do szyi. Chciał wiedzieć, jak nazywa się ten na fotografii, gdzie mieszka i kiedy pojawi się na parkingu. Nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z jego pytań. Uderzył ją rękojęścią noża w głowę tak mocno, że straciła przytomność. Chłopak Sary pracował w drogowce. Kazał jej natychmiast dzwonić na policję, jak tylko pojawi się kolejny ktoś z fotografią. Sylwią pamięta bardzo dobrze, bo dziewczyna spędziła w barze prawie cały dzień. Bez przerwy dzwoniła gdzieś z automatu, a kiedy skończyły się jej drobne, chciała rozmienić banknot stułotowy, ale w kasie nie było tyle monet. Zapamiętała, że dziewczyna miała dłonie pokryte zapisanymi numerami telefonów. Sylwia wyszła na zewnątrz, żeby rozmienić banknot, kiedy wróciła, była tak zziębnięta, że uderzała zębami o krawędzi kubka z herbatą, którą podała jej Sara.

– Czy możesz sobie przypomnieć, który to był dzień? – spytał Grosz.

– Listopad, grudzień, jakoś tak... – Wzruszyła ramionami.

– To bardzo ważne...

Sara cały czas żuła gumę. Rajcowało ją, że coś od niej zależy i że być może znajdują tego, który uderzył ją w głowę. Zalotnie uśmiechała się do Grosza.

– Sorry pana bardzo, ale nie jarzę, trochę czasu zleciało.

– Zaczekaj tu na mnie chwilę.

Grosz przeszedł do pokoju Lenniczaka i zapytał go, czy mógłby ustalić numer automatu telefonicznego w barze śniadaniowym.

– Cały czas jest na podsłuchu chłopaków z Agencji. Nie nagrywają rozmów, rejestrują tylko połączenia, żeby nie czekać na billing operatora. Problem polega na tym, że wszyscy przewalacze już o tym wiedzą i nawet nie patrzą w stronę tego automatu. Co chciałbyś sprawdzić?

– Połączenie z początku grudnia.

– Data, godzina?

– Nie znam.

– To nic z tego, musisz mieć formalny wniosek. Dziewczyna gada?

Grosz potwierdził ruchem głowy i wyszedł. Sara zarzuciła nogi na blat biurka, przy którym siedzieli, i rozmawiała przez telefon. Spłoszyła się na widok wchodzącego komisarza, jej nogi wróciły na podłogę. Grosz czekał cierpliwie, aż skończy rozmawiać. Sara patrzyła mu prosto w oczy, sugerując, że jej rozmówca nie był nikim ważnym.

– Pierwszy? – powiedziała, oczekując potwierdzenia. – Dzięki, nara.

Rozmówca prawdopodobnie potwierdził informację, bo dziewczyna rozłączyła połączenie.

– Taki chłopak, co w zespole u nas gra... no, to on też klimę serwisuje, był wtedy u nas, za wcześniej przyjechał i musiał czekać, jak otworzę...

– Tego dnia, kiedy była u was?

– Ona była tak o dziesiątej, jego już nie było.

– Jesteś pewna?

– Dzwoniłam do kumpeli, co jest teraz na zmianie. Jak on już zrobi ten przegląd, to do książki wpisuje i przystawia pieczętkę, że wszystko jest OK. To było pierwszego grudnia. Była dumna ze swojego sprytu, młodości i z tego, że ten facet tak na nią patrzył. Miejscowym to tylko jedno w głowie.

Pieczony kurczak, którego podała żona Lenniczaka, był wersją glazurowaną tej potrawy. Wymaga ona od gospodyni talentu i dużego wyczucia w przygotowaniu marynaty, w której ptak powinien przebywać przed włożeniem do pieca. Agata Lenniczak zrobiła to po mistrzowsku. Jej mąż zjadł swoją porcję tak, jak głodny wilk zjada chomika, i ukradkiem spoglądał w stronę telewizora. Wyniki ekstraklasy piłkarskiej były dla niego o niebo ważniejsze niż dobre maniery. Grosz jadł powoli, aby nie uronić nic ze smaku potrawy. Zastanawiał się, jak wyrazić swój podziw i uznanie dla talentu żony gospodarza, nie wychodząc przy tym na prostaka. Kiedy usiedli do stołu, Lenniczak wydał komendę „smacznego” i zaczął pochłaniać zawartość swojego talerza. Jego żona, naturalna blondynka o rozmarzonym spojrzeniu

chabrowych oczu i świetnej – jak na miłośniczkę dobrej kuchni – figurze, pozwoliła sobie na uwagę, że życzenie „smacznego” zawiera w sobie domniemanie, że proponowane gościowi jedzenie może być niedobre i wymaga wsparcia życzeniem, zaklęciem. Grosz podzielał ten pogląd, uważał, że nie powinno się chwalić potraw w trakcie jedzenia, na to mogą sobie pozwolić tylko ludzie dobrze i długo się znający. W sytuacji takiej jak ta jedzenie powinno być tylko tłem interesującej rozmowy. Agata Lenniczak ukradkiem obserwowała Grosza chabrowymi oczyma.

Zanim usiedli do stołu, wymienili kilka uwag o winie. Przedstawiciele ginącego gatunku wyznawców *savoir-vivre’u* wyczuwają się jak pokerzyści. I ciągle jeszcze zdarzają się wśród nich tacy, którzy nie grają znaczonymi kartami. Lenniczak gapił się w telewizor, a Grosz po każdym kęsie wznosił wzrok w stronę sufitu lub z niedowierzaniem kręcił głową. Agacie Lenniczak podobała się ta gra, mimo że udawała, że jej nie widzi. Zdradzały ją jednak ukradkowe uśmiechy, których jej mąż wołał nie widzieć.

– Zrób kawę – rozkazał.

– Pan Michał jeszcze nie skończył jeść – odpowiedziała sopranem.

– Przepraszam... Pewnie mu nie smakuje. – Przeniósł wzrok na telewizor, gdzie entuzjaści kopania piłki nogą komentowali wyniki niedzielnych rozgrywek. Na dole ekranu ukazała się zapowiedź ogłoszenia wstępnych wyników do europarlamentu.

W korytarzu odezwał się dzwonek do drzwi. Agata Lenniczak poszła otworzyć i wróciła po chwili.

– Ktoś do ciebie...

Lenniczak wstał i zniknął w przedpokoju.

– Mogę? – spytała Agata, wskazując pusty talerz Grosza.

Grosz podał jej talerz, przysmykając powieki, co miało być aluzją do smaku kurczaka.

– Kawa? – spytała.

– Wołałbym herbatę, jeżeli to nie kłopot...

– Żaden, ja też będę piła herbatę...

Dopiero teraz Grosz się zorientował, że w jej głosie brzmi coś więcej niż przywiązanie do dobrych manier.

– Nie zapomnij, że dla mnie kawa. – Jej mąż brutalnie wkroczył do pokoju. Wrócił z zadrukowaną kartką, którą podał Groszowi. – Między dziewiątą a siedemnastą było tylko trzydzieści kilka połączeń...

Grosz zakreślił długopisem numer, który podała mu w internacie Monika Rybałtowska.

– Rozumiem, że to dla mnie?

– Daj mi to! – Lenniczak wyciągnął rękę. – Chłopak sprawdzi ci ten numer.

– Sam mogę sobie sprawdzić.

Lenniczak wyrwał mu papier z dłoni.

– Gościem tu jesteś... – szepnął i wyszedł do korytarza.

Żona podała do herbaty szarlotkę z kulką waniliowych lodów. Na ekranie zaczęły się pojawiać pierwsze sondażowe wyniki wyborów. Przepadły piękności z pierwszych stron magazynów dla panów, przegrała również specjalistka od transakcji finansowych pod stołem. Mimo groźby procesu pani senator Oracz zdobyła mandat. Ludzie uwierzyli w jej wizję świata. Lenniczak wyglądał na zmartwionego.

– Żaden z naszych nie przeszedł – westchnął.

– Tooo chyba dooobrze – przeciągając sylaby, odpowiedziała żona.
– Co paaan o tym sądzi?

Dopiero teraz Grosz zauważył, że zdążyła się upić. Kiedy? Na stole stała butelka wina, którą wspólnie wybrali. Kieliszki Grosza i Agaty były prawie nietknięte, wino pił tylko Lenniczak. Musiała mieć coś w kuchni i popijała przy każdym wyjściu.

– Nie interesuję się polityką, ale wydaje mi się, że jesteśmy trochę oszukiwani...

– Widzisz! – Agata triumfowała, wskazując męża.

– Nie wierzę w siłę naszej gospodarki, ubywa nam ludności, młodzi emigrują jak w dziewiętnastym wieku. Nikt nie będzie nas traktował poważnie, dopóki nie wprowadzimy euro. Ale na to jesteśmy za biedni...

– Nie widzisz, co się w ostatnich latach zbudowało? – Lenniczak był rozczarowany jego sceptycyzmem.

– Grecy zbudowali więcej, dzisiaj klepią biedę i nie wypłacają emerytur – dodał Grosz.

– Nareszcie pojawił się w tym domu ktoś rozsądny – triumfowała Agata.

Podniosła do ust filiżankę, ale ta wyslizgnęła jej się z dłoni i upadła na suknię. Zerwała się z krzesła, zaczęła stopą o nogę stołu i runęła na podłogę. Lenniczak pochylił się, żeby pomóc jej wstać, ale odtrąciła jego rękę.

– Sama wstanę!

Udało jej się, ale musiała oprzeć się o stół, żeby nie upaść ponownie. Zauważyła plamę na sukni, na wysokości podbrzusza. Zatoczyła się, ale udało jej się wyjść z pokoju. Lenniczak bezradnie rozłożył ręce.

– Nie chce iść do żadnej pracy... Jak dzieci poszły na swoje, to tylko w telewizor się gapi, no i grzeje, jakby jej, kurwa, czegoś brakowało!

Zadzwoił telefon Lenniczaka.

– Jest już chłopak, zaczekaj tu chwilę.

Grosz poszedł jednak za nim.

– Pożegnaj ode mnie żonę, pójdę już.

– Przepraszam cię, zawsze jakoś panowała nad sobą...

Kierowca zaparkowanego przed domem samochodu czekał oparty o błotnik.

– Odwieszysz komisarza do motelu.

Kierowca podał Lenniczakowi zaklejoną kopertę, a ten przekazał ją Groszowi.

– Przepraszam, stary, że tak wyszło...

– No nie wygłupiaj się, było miło.

Siedząc w samochodzie, otworzył kopertę. Abonent, do którego Sylwia dzwoniła pierwszego grudnia, mieszkał w okolicy Lubania. Nazywał się Sabina Stein i mógł być ciotką Artura, chłopaka, który zostawił dla Sylwii list u ochroniarza internatu w Wisłoczy. Telefon do Sabiny Stein był zapisany w notatniku Sylwii pod literą N. Nie pod C od cioci, nie

pod S jak Stein ani pod S jak Sabina. Prosty szyfr przestraszonej dziewczyny. N to ostatnia litera nazwiska Stein. Podobnie zapisała numer, od końca. Kiedy Grosz spróbował zadzwonić, automat rozłączył go już po trzeciej wybranej cyfrze. W Polsce nie istniał numer kierunkowy trzydzieści siedem. Ten numer to prefiks rezerwowany, nieużywany przez operatora w połączeniach abonenckich. Jednak cały numer wystukany wspak dał połączenie ze znerwicowanym głosem kobiety w średnim wieku, która odpowiedziała, że nie zna żadnego Artura. Kierowca dyskretnie obserwował Grosza w lusterku. Wjechali na parking przy Volenti. Kierowca zatrzymał samochód obok peugeotu Grosza.

– Przepraszam, pana komisarza, że tak się pytam... To prawda, że ten zbok przyczepia im te smoki do cycków?

Odpowiedziało mu trzaśnięcie drzwiami. Grosz postanowił przejść się trochę przed snem. Wszedł do recepcji, zarezerwował pokój i wyszedł na ulicę. Jaskrawe neony upodabniały parking do alei rozrywek. Deszcz wystraszył wielu klientów, ale za witrynami tętniło nocne życie. Kręgle, automaty do gry, kebab, striptiz i tajskie masaże. Floryda na polu kapusty! Nie chciał wracać do domu, żeby nie stracić tropu, żeby nie rozpraszać uwagi.

„Nie mogę się teraz zajmować niczym, co nie ma związku z Sylwią Grandet. Jeżeli teraz wyruszę do tego Lubania, to dojadę tam nad ranem, brudny i zmęczony. Potrzebuję świeżego powietrza i snu”. Doszedł do końca parkingu; było już po jedenastej, ale sen nie nadchodził. Żołądek trawił glazurowanego kurczaka, a mózg próbował sobie wyobrazić, co działo się teraz w gościnnym domu Lenniczaków. Czy ona wykrzykiwała teraz pretensje do niego, że zmarnował jej życie w tej dziurze? Czy on bił ją mokrym ręcznikiem, grożąc, że wyśle ją na przymusowe leczenie? A może pogodzili się już ze swoim losem i spali, nie słysząc swojego chrapania? „Który z nas zasługuje na współczucie? Lenniczak w małżeńskim łóżu z początkującą pijaczką czy ja na jaskrawo oświetlonej ulicy kapuścianego kurwidółka? Jest jeden sposób na sen, który nie chce nadejść...”. Pchnął wahadłowe drzwi Volenti i wszedł do

środku. W sali tym razem był komplet, na obu scenach tańczyły nagie dziewczyny. Grosz przycisnął się do baru i zamówił gin z tonikiem. Zawsze po tym zasypiał. Tylko w wyjątkowych sytuacjach musiał wypić dwie kolejki. Barman postawił przed nim szklankę, Grosz podał mu banknot.

– Już zapłacone.

Grosz pochylił się, żeby lepiej widzieć twarze siedzących przy barze gości. Nie dostrzegł nikogo znajomego. Położył banknot na kontuarze i przesunął go w stronę barmana.

– Jeszcze raz to samo!

Barmanowi podobała się jego rola w tej grze, uśmiechnął się i odszedł. Dziewczyna tańcząca na rurze miała ciało pokryte tatuażem przedstawiającym walczące bestie. Artysta zaprojektował swoje dzieło tak, że głowy szczerzących zęby smoków wypadały na wydatnych piersiach dziewczyny. Ostry makijaż i postawione na żel fioletowo-purpurowe włosy upodabniały jej twarz do trzeciej głowy hydry, co inspirująco działało na wyobraźnię gapiących się na nią facetów. Grosz poczuł ciepło pod lewą łopatką, blisko kabury. To nie było dotknięcie, to był powiew dobrych perfum niesiony przez ciepły monsun. Barman postawił przed nim drugą szklankę ginu. Był tak samo radosny jak przy pierwszej kolejce. Grosz odwrócił głowę. Mimo że siedział na wysokim stołku, jej usta były na wysokości jego twarzy. Miała gładko zaczesane do tyłu włosy i okulary w czarnej oprawie, które nadawały jej wygląd szefowej marketingu dużej korporacji, w podróży służbowej. Zapięta pod szyję kremowa jedwabna bluzka i szare spodnie z wełny odmieniły ją prawie nie do poznania.

– Tobie też trudna stąd ujechać? – spytała.

– Wpadłem tylko na drinka i zobaczyć, jak tańczysz.

– Nie dasz rady cały dzień tańczyć. – Oksana uśmiechnęła się zalotnie.

– Spędzasz tu całe życie?

– Zepsuł mi się *samachod*, muszę czekać, ona... – Wskazała brodą tancerkę. – ...odwiezie mnie *doma*.

– Dlaczego postawiłaś mi drinka? Stać mnie jeszcze na alkohol.

– Zmieszala się i nie wiedziała, co powiedzieć. – Ten drugi jest dla ciebie. – Grosz podał jej szklankę.

Przenieśli się do stolika po drugiej stronie baru. Nie widzieli stąd estrady, ale można było tu rozmawiać.

– Tańczycy nas tu *dziesiąt* dziewczyn... – zaczęła nieśmiało. – Jak ty chcesz, ja mogę pokazać im fotografi tych, co ty szukasz. Tobie nie mówio, mnie tak...

– Dziękii, Oksano, Polska ci tego nie zapomni.

– Dlaczego ty myślisz, że ja jestem głupia?

– Stawiasz mi drinka, proponujesz pomoc, skąd wiesz, że to dobra inwestycja?

– Może znam się na *ludach*?

– Jesteś piękną kobietą, Oksano, wielu facetów zrobi dla ciebie wszystko, nawet bez drinka...

– Ja wiem, że ty szukasz tego, co zabił Samanta, u nas jest nagroda, *dwadziest* tysięcy dolarow dla tego, kto jego złapie.

– Nie zajmuję się tą sprawą.

– Jak *dwadziest* mało, to będzie więcej.

– Ktoś wprowadził cię w błąd...

Przecząco pokręciła głową.

– Jak policjanty z Poznania dowiedzieli się, że to jest ksiądz, sprawa poszła do Warszawy, tak czy nie, *kamisar*?

Grosz pociągnął ze swojej szklanki. Alkohol już zaczynał działać, powieki nabierały ciężaru, między skroniami pojawił się sen. Pojawił się też, niestety, sierp i młot, i twarz pewnego przywódcy. Oksana patrzyła mu prosto w oczy, próbując zgadnąć, o czym myślał. Ona też miała swój plan, niespodziewanie zjawił się kelner, który postawił na stoliku następne dwie szklanki.

– Nawet jeżeli sprawa jest w Warszawie, to jest tam wielu policjantów.

– Tylko jeden taki jak ty...

„Kolejna pijana nimfomanka – pomyślał Grosz. – Wypiję jeszcze tego drinka i damę w długą”.

– Jeżeli nie *wierisz*, co mówię, możesz mieć zaliczka.

- Nigdy nie biorę zaliczek – odpowiedział z nadzieją, że zamknie wątek.

- Nie rozumiesz... przyjdę do ciebie...

Sierp, młot i twarz przywódcy imperium powróciły jak natrętna reklama w telewizorze.

- Ja i dziewczyny *zdziałamy usio, czto*by ten gad zdech, rozumiesz?

- Przykro mi, ale nie mogę pomóc.

- Nie podobam ci się?

- Z przodu nawet tak...

Oksana wybuchnęła śmiechem tak głośnym, że ludzie zaczęli patrzeć w ich stronę. Zdjęła okulary, żeby otrzeć łzy radości, które napłynęły jej do oczu, kiedy znowu spojrzała na Grosza, śmiech wrócił ze zdwojoną siłą. Klepnęła się dłonią w siedzenie, aby nie miał wątpliwości, że rozumiała aluzję. Grosz dopił swojego drinka, wydawało mu się, że powinien coś zrobić, skoro wszyscy na nich patrzyli.

Rozdział XXV

Szczyty łagodnych wzniesień Pogórza Izerskiego otulała mgła. Dom Sabiny Stein stał kilkaset metrów od łącznika z autostradą A4 w stronę Henrykowa. Stare ponemieckie zabudowania z czerwonej cegły, kryte przerośniętą mchem dachówką. W okularze lornetki Grosz widział drobną kobietę karmiącą kury na podwórku. W klatce obok cierpliwie czekały na swoją kolej króliki. Grosz też czekał: na impuls, znak lub bodziec, który kazałby mu wyjść z samochodu i porozmawiać z kobietą. Nie miał na to najmniejszej ochoty. Ciągłe jeszcze słyszał beztroski śmiech Oksany i dudnienie muzyki w Volenti. Taniec uważał za coś, co było sprzeczne z anatomią i motoryką człowieka, nigdy nie był w stanie nauczyć się nawet najprostszycy kroków. A wczoraj tańczył! Oksana była zachwycona jego umiejętnościami, a w końcu przecież ona coś wiedziała o tańcu.

„O czym mógłbym rozmawiać ze staruszką karmiącą kury?”. Chyba usłyszała jego drwiące pytanie. Sypnęła ptakom ostatnią garść ziarna i weszła do budynku. Grosz zaparkował samochód przed jej płotem. Pchnął furtkę, podszedł do drzwi i mocno w nie zapukał. Otworzyła, otaksowała go wzrokiem – nie wzbudził jej zaufania. Włożyła na nos okulary, żeby przyjrzeć się jego legitymacji.

- Czego chce?
- Dzwoniłem do pani wczoraj w sprawie Artura...
- Nie znam żadnego Artura.
- Nie potrafi pani kłamać. Jej też pani nie zna?

Pokazał jej fotografię przedstawiającą Sylwię i Artura na święcie wina we Francji. Spojrzała na nią jak na kartkę wielkanocną i wzruszyła ramionami. Grała całkiem niezłe, ale nie była w stanie zapanować nad nerwowym tikiem pod okiem. Odwróciła się i weszła do domu.

Zagracona sień prowadziła do kuchni. Linoleum na podłodze, butla z gazem pod dwupalnikową kuchenką i zbiornik z ciepłą wodą pod sufitem. Sabina Stein odmierzyła sobie dwadzieścia kropli nasercowych, zmieszała je z wodą i wypiała.

– Dwa razy źle mi się śniła – powiedziała, ocierając usta wierzchem dłoni.

Usiadła na stołku i, wpatrując się w wiszący na ścianie obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, szeptała modlitwę. Grosz przestał dla niej istnieć. W końcu przeżegnała się i nie patrząc w jego stronę, rozkazała:

– Niech mówi!

– Sylwia nie żyje...

Skinęła głową na znak, że dotarło to do niej.

– A dlaczego?

– Próbuję ustalić, kto ją zabił.

Ukryła twarz w dłoniach, ale jej krzyk słychać było chyba aż na drodze.

– Zostawię pani swoją wizytówkę, gdyby Artur odezwał się do pani. Do widzenia.

Jej głos dogonił go w sieni:

– Pan zaczeka, tak?

Grosz wrócił do kuchni. Sabina stała przy dwuskrzydłowych drzwiach do przylegającego pokoju. Machnęła ręką, żeby szedł za nią.

– A z tym to co będzie?

Z Sabiną Stein działo się coś niedobrego. Tik pod okiem przeszedł w grymas, który wykrzywił jej twarz. W kąciку ust pojawiła się strużka śliny. Otworzyła drzwi i oparła się na klamce.

– Po co teraz to wszystko? – powtórzyła płaczącym szeptem.

Pokój wyglądał jak magazyn. Wszystkie zgromadzone tu rzeczy były nowe, jeszcze nierozpakowane. Lodówka, pralka, zmywarka, kabina prysznicowa, wanienka do kąpeli dziecka, dywan i przykryte folią włoskie meble w dość śmiałym guście. Wielki pluszowy miś przyglądał się temu bogactwu zdumionymi szklanymi oczami. Grosz usłyszał stłumiony łoskot za plecami. Sabina Stein osunęła się na podłogę.

Próbowała wstać, oparła się na łokciu, ale przeceniła swoje siły.

– Nie chcę umierać, głodna jestem, nie chcę głodna umierać...

Grosz zadzwonił po pogotowie. Sabina oddychała jak wyjęty z wody karp, traciła kontakt z rzeczywistością, ale ciągle była przytomna. Grosz zadzwonił na policję – ktoś musiał zająć się tym domem. Kiedy przyjechała karetka, Sabina Stein nie była w stanie odpowiedzieć na żadne pytanie lekarza. Nie wiedziała, jak się nazywa i nie pamiętała, co się stało. Lekarz przejrzał stojące przy jej łóżku lekarstwa – miała chorobę wieńcową i prawdopodobnie przeszła mikrowylew. Gorszy w takich przypadkach jest paraliż, pamięć zwykle wraca. Policjant pojawił się kilka minut po odjeździe karetki. Nic nie wiedział o Sabinie, poza tym że figurowała na liście mieszkańców gminy. Obiecał, że rozpyta sąsiadów i znajdzie kogoś, kto zajmie się inwentarzem. Razem zajrzeli do wszystkich pomieszczeń w domu, a na końcu do stodoły. Była wypełniona sianem. Tuż za wrotami stało kilkadziesiąt kartonów z hiszpańską terakotą. Policjant znał zwyczajnie miejscowych hodowców kur. Odgarnął siano i odsłonił plandekę, pod którą drzemał czerwony dwumiejscowy mercedes CLK bez tablic rejestracyjnych.

Grosz wrócił do domu kilka minut po północy. Z kranu nad wanną leciał wrzątek, a piec za ścianą pomrukiwał jak reaktor w Czernobylu tuż przed swoim popisowym numerem. Ustalenie tożsamości Sylwii Grandet nie wynikało z jego obowiązków. Ktoś inny odnajdzie jej chłopaka lub jego zwłoki. Facet, który z nożem w ręku pytał o niego na parkingu przy Volenti, mógł już wpaść na jego trop. Ktoś znajdzie zabójcę Sylwii lub umorzy to postępowanie. Leżąc w gorącej wodzie, próbował uporządkować chronologię wydarzeń. Złapał się na tym, że nie bardzo już pamiętał, jak wplątał się w tę sprawę. Pół szklanki białego wina nie rujnowało aż tak pamięci. Wszystko zaczęło się od księdza, który nieszczęśliwie się zakochał, stracił rozum i wiarę w Boga.

Jadąc do domu, Grosz zadzwonił do pani prokurator Czerwińskiej z Kamocka, która prowadziła sprawę Sylwii Grandet. Ton jej głosu

pobrzmiwał urzędową pewnością siebie. „Prowadzimy intensywne dochodzenie... Dziękujemy za pomoc i współpracę. Prosimy o wcześniejsze uzgadnianie czynności, gdyby wiązało się to z prowadzoną przez nas sprawą... Pierdu, pierdu, panienko. Gdybyś zrobiła cokolwiek, już dawno powinnaś przesłuchać mnie w sprawie Margaret Kalińskiej”. Pani prokurator wysłała jej wezwanie, a po czternastu dniach uzna je za doręczone. Przed Wielkanocą wyda nakaz doprowadzenia jej przed swoje oblicze. Przed wakacjami odnotuje w aktach, że kontakt ze świadkiem jest utrudniony ze względu na nieobecność w kraju.

Wino smakowało mu coraz bardziej, wypił całą szklankę. Owinął się w szlafrok, a kiedy dotarł do kanapy, narzucił na siebie koc. W telewizji zaczęły się już nocne powtórki programów informacyjnych. Ciągłe obecny był temat wyborów, w których niespodziewany sukces odniósł hałaśliwy socjopata. „Rudowłosa” postawiła tezę, że wybory przegrały wielkie firmy *public relations*, kandydaci, który korzystali z ich usług, przepadli z kretesem. Zwycięzcy odwoływali się do prostych przekazów. Socjopata odniósł sukces, tytułując swoich przeciwników kretynami, a rządzących – złodziejami. Wyborcy doszli do wniosku, że to musiał być swój chłop, skoro oni też tak myśleli. Senator Oracz wybrała bardziej wyrafinowaną narrację. Trzeba stworzyć potwora i stanąć na czele świeckiej krucjaty, która go unicestwi. Książd seryjny morderca okazał się genialnym pomysłem. Eksploatował antyklerykalizm, pedofilskie ekscesy księży i watykańskiego biskupa dyplomatę. Konfrontował biedę ulicy z przepychem hierarchii. Wyborcy kupili tę historię, mimo że postać bohatera okazała się fikcyjna. Policja zaprzeczyła, jakoby w Polsce działał „Smok” w sutannie. Żona prokuratora, który z nieustalonych powodów próbował uwiarygodnić „Smoka”, określiła swojego męża jako notorycznego kłamcę i łajdaka.

„Rudowłosa” poza programem w Mazovia24 miała też felieton w tygodniku „Szepty”. Zbrodnia, seks i polityka sprzedawały się lepiej niż sztabki złota, które policja znalazła przedwczoraj w biurku kapelana katedry wojskowej. „Rudowłosa” zastanawiała się, czy powinna już

sprzedawać ten drugi temat. Dwie mocne sprawy z sutanną w tle mogły wywołać zakłopotanie. Tak jak dwa grzyby w barszczu zabijają smak buraków. „Rudowłosa” życzliwie uśmiechała się do studyjnych gęgaczy, którzy popisywali się przed widzami swoją erudycją. Tekst na piątek miała gotowy, wystarczyło tylko opracować to, co wygadywali ci mądrale. „«Smok» już zdycha, wyciśnijmy z niego ile się da, a potem zajmiemy się sztabkami złota w biurku kapelana katedry”.

Grosz nie widział już twarzy „Rudowłosej”. Spał i nic mu się nie śniło. Zasnął wolny od wspomnień i domysłów. Nad ranem widział przez chwilę pluszowego misia z pokoju Sabiny Stein. Zwierzak wyjadał konfitury z jego lodówki.

Program „Rudowłosej” miał niezłą oglądalność, szczególnie nadawane po północy powtórki. Sygnał z satelity docierał do każdego, kto chciał śledzić wydarzenia w kraju nad Wisłą, prosta aplikacja pozwalała oglądać dziennikarkę nawet na ekranie laptopa. Mężczyzna w białym trykocie, który wpatrywał się w ekran, zajęty był pracą wymagającą skupienia i uwagi. Jego palce niezdarnie przytrzymały miniaturę smoka, do której próbował przylutować druciane ucho.

Obraz na ekranie laptopa go rozpraszał. „Rudowłosa” pokazywano teraz w planie pełnym, jej splecione nogi spływały z fotela na podłogę, upodabniając ją do syreny lub ogona smoka, którego trzymał w palcach. „Rudowłosa” zapytała swoich gości w studiu, czy łatwowierność Polaków uwarunkowana jest kulturowo, czy religijnie. Pytanie było prowokacyjne i żaden z gości nie spieszył się z odpowiedzią. Facet w trykocie przylutował druciane ucho do brzucha smoka, drugie tkwiło już na wysokości paszczy. Przełożył zaostrzony srebrny pręt przez oba ucha. Był zadowolony ze swojego dzieła. „Rudowłosa” w telewizorze domagała się diagnozy społeczeństwa, które w XXI wieku gotowe było uwierzyć w istnienie piekła, diabła i smoków. Mężczyzna w trykocie jęknął cicho. Wsunął mały palec między paszczę a ogon smoka i wbił w niego pręt symbolizujący włócznię rycerza. Musiało to bardzo boleć,

ale na jego twarzy nie było widać cierpienia. Włócznia przeszła przez oba ucha i zespoliła palec ze smokiem. Mężczyzna w trykocie podniósł krwawiący palec na wysokość wzroku widocznej na ekranie „Rudowłosej” – chciał, żeby dobrze mu się przyjrzała.

Jeszcze nigdy nie było tam tak pusto. Strumiłło był na konferencji w Bukareszcie, więc jego sekretarka przyjdzie dopiero o dziewiątej. Marta była na urlopie, Marcin w szpitalu. Co się działo z Władkiem? Zawsze o tej porze siedział otoczony stertą gazet i zapachem świeżo zmielonej kawy. Teraz brakowało wszystkiego: szumu drukarek, dzwonek telefonów i obecności ludzi.

„Potrzebuję ich – pomyślał Grosz, otwierając drzwi swojego pokoju. – Stali się częścią mojego życia, jestem żałosny, skoro dostrzegam to dopiero wtedy, kiedy ich nie ma”. Wyjął z szuflady biurka pudełko z pszenicą, otworzył okno i rozsypał ziarno na parapecie. Gołębi też nie było. O tej porze siedziały po wschodniej stronie budynku, gdzie mogły ogrzać się w słońcu. Po kilku minutach pojawił się czarny jak smoła kos. Nieufnie przyjrzał się Groszowi i ostrożnie spróbował jego ziarna. Żółtym dziobem wybrał dwa i odleciał. „Nikt za tobą nie tęskni, Grosz. Nikomu nie jesteś potrzebny”. Dzwonek telefonu gwałtownie zaprzeczył temu odkryciu. Na drugim końcu drutu Włodek dopytywał się, dlaczego nie odbierał telefonu.

– Rozmawiam z tobą – odpowiedział Grosz.

– Nie odbierasz komórki...

– Wygląda na to, że zostawiłem ją w samochodzie, dopiero przyjechałem.

– Wypisali Marcina ze szpitala, jest już w domu, obiecałem przywieźć mu takie specjalne łóżko do rehabilitacji, pomogli mi je załadować, ale nie dam rady sam wnieść tego na górę.

– Gdzie mam przyjechać?

– Tyłczycka sto szesnaście, będę czekał na dole.

W bloku była winda towarowa, na tyle duża, że zmieściło się w niej elektrycznie sterowane łóżko i akcesoria. Wyładowali wszystko na ósmym piętrze. Władek nacisnął dzwonek. Czekali chwilę, potem Władek zadzwonił ponownie, tym razem kilka razy i długo. W szparze drzwi pokazała się rozczochrana głowa pielęgniarki Kasi. Dziewczyna otworzyła drzwi. Wnieśli łóżko do środka i przywitali się z Marcinem. Wyglądał lepiej niż dobrze. Prawą nogę miał zagipsowaną do połowy uda. Lewa stopa była unieruchomiona w orzezie. Miał całkowicie sprawną prawą rękę i lewą unieruchomioną od łokcia w górę. Trochę przytył, miał różowe policzki i roześmiane oczy.

– Siadajcie! Kaśka, daj tu jakieś krzesła!

Speszona dziewczyna przyniosła z kuchni taboret, Grosz usiadł na kartonie, który przynieśli.

– To ja już pójde – powiedziała Kaśka.

– Herbaty byś jakiejś zrobiła... – upomniał ją Marcin.

Odpowiedział mu odgłos zamykanych drzwi.

– Trochę dzika jest – usprawiedliwił dziewczynę Marcin. – Sam zrobię.

Siedział na zwykłym biurowym krzeselku na kółkach. Odepchnął się zagipsowaną stopą i fotelik znalazł się na środku pokoju. Grosz złapał za poręcz krzeselka i pchnął je z powrotem.

– Władek zrobi nam herbatkę. Powiedz mu, gdzie ma szukać kieliszków...

Marcin nie był pewien, czy nie żartują sobie z niego.

– Nowy mebel trzeba oblać.

– Nie mam nic do picia...

– Masz za to kolegów.

Grosz wyciągnął z kieszeni piersiówkę.

– Fajnie, że jesteście, jajo można znieść w tym szpitalu.

– Kiedy ci zdejmą te gipsy? – spytał Grosz.

– Cztery, pięć tygodni. Dorwaliście tego świra?

– Nie robimy tego – wyjaśnił mu Władek.

- To on zabił tę dziewczynę?
- Raczej nie, ale ostatnio zwiął z psychiatrika.
- Dlaczego ucieka?
- Dysonans poznawczy... facet odczuwa sprzeczność pomiędzy swoim zachowaniem a tym, w co wierzy.
- Też to mam – ożnamiał Marcin. – Lekarz mówił mi, że jak wszystko dobrze się zrośnie, to nie dostanę żadnego odszkodowania.

- Może tak być.

- Czyli to wszystko psu w dupę?

- Słyszysz ojczyźnie...

- Dorwę gnoja i połamię mu te same kości!

Władek przyniósł szklanki z herbatą i trzy różne kieliszki. Wypili na zdrowie. Władek zaczął rozpakowywać łożko.

- Zostaw, Władziu, znajdę kogoś, kto to złoży.

Konstrukcja okazała się niezwykle prosta w montażu. Trudniejsze było podłączenie siłowników, które zmieniały geometrię posłania. Marcin szybko opanował sterowanie joystickiem. Osiągnął w tym taką biegłość, że wypił kieliszek, nie podnosząc go do ust, wykorzystując jedynie wychylenie posłania. Pusta piersiówka przypomniała im, że pierwsza wizyta nie powinna trwać zbyt długo. Żegnając się, Grosz spytał Marcina, czy potrafiłby włamać się do czyjegoś komputera i przejrzyć pocztę.

- Robiłem już takie rzeczy, ale zdarzają się takie zabezpieczenia, że odpadam. Co to ma konkretnie być?

- Wpadnę kiedyś, to pogadamy. Zadzwoń wcześniej.

- Nie o to chodzi, brakuje mi roboty, daj mi cokolwiek...

Na pożegnanie wykonał brawurową akrobację, unosząc i przechylając swoje posłanie. Miał sporo szczęścia, że nie spadł na podłogę.

W drodze powrotnej Grosz chciał odwiedzić sklep z częściami zamiennymi do swojego pieca. Na drzwiach wisiała kartka, że sklep przeniesiono do Piastowa. Stał chwilę, niezdeterminowany, czy ma w sobie

wystarczający zapas cierpliwości na pokonanie korka na obwodnicy. Dzwonek telefonu wyzwolił go od tego dylematu. Kobieta przedstawiła się, ale Grosz nie skojarzył jej nazwiska. Powoływała się na rozmowę ze Strumiłą, ale nie chciała powiedzieć, dlaczego pilnie chciała się z nim spotkać. Jej głos wydawał się znajomy, ale dopiero pod koniec rozmowy skojarzył, do kogo należał. Z premedytacją wybrał kawiarnię w Blue City, stamtąd było już całkiem blisko do Piastowa.

Spóźniła się tylko dziesięć minut, przyszła w kapeluszu z szerokim rondem, zasłaniającym pół twarzy. Pod zamszową kurtką miała obcisłą sukienkę w kolorze kapelusza. Stanowczo za duży jak na tę porę dnia dekolt ozdobiony bursztynem wielkości włoskiego orzecha w srebrnej oprawie. Botoks, szminkę i puder również przedawkowała.

– Zastanawiam się, dlaczego tak późno o panu usłyszałam, jest pan fascynującym człowiekiem.

– Mój lekarz nie podziela tej opinii.

– Dlaczego, jeśli można wiedzieć? Choruje pan... na coś...?

– Hemoroidy...

„Rudowłosa” była zbyt sprytna, żeby się na to złapać.

– Dlaczego chce mnie pan do siebie zniechęcić?

– Nie zniósłbym odrzucenia.

Roześmiała się, pokazując komplet białych zębów. Kelnerka speszzyła się na jej widok, ale przyjęła zamówienie.

– Ktoś tak inteligentny jak pan z pewnością nie ogląda telewizji...

– Nie doczekała się reakcji z jego strony. – Prowadzę program, w którym często sięgamy do tematów kryminalnych, wiem, co to jest tajemnica śledztwa i ochrona danych, nie interesują mnie szczegóły, ale raczej zjawiska, problemy... – Cały czas hipnotyzowała go niebieskimi oczami, osłoniętymi markizą sztucznych rzęs. – Bezrefleksyjne eksploatowanie sensacji polaryzuje opinię społeczną, uważam, że powinniśmy się temu przeciwstawiać.

– Rozmawia pani z oportunistą.

- To nieprawda, pana szef określa pana jako idealistę i romantyka.
- W czym mógłbym pani pomóc?
- Wiem, że sprawa tego księdza z Kamocka nie jest zakończona i nie może mi pan powiedzieć zbyt wiele. Chciałabym tylko zrozumieć, dlaczego próbowano z niego zrobić seryjnego mordercę, skoro zabił tylko jedną dziewczynę.
- Moim zdaniem nie zabił żadnej.
- Skoro tak, to dlaczego ofiary, które z nim kojarzono, próbowano przypisać jakiemuś psychopacie, który podobno oznacza swoje ofiary.
- Dlaczego mam komentować jakieś brednie?
- Potwierdził to ten prokurator z Poznania.
- Prokurator z Poznania był przekonany, że może w ten sposób uratować życie kobiety, z którą był związany.
- Postawię sprawę jasno: oboje możemy skorzystać na tej współpracy. Pan nawet bardziej niż ja, komisarzu. - Nachyliła się do niego poufale, bursztyń ugrzązł między jej piersiami, jak trzecie oko, przed którym nie da się niczego ukryć. - Nie wiem, czym kierował się pan prokurator, wiem za to, że pierwsza i druga ofiara miały przyczepiony do sutka kolczyk przedstawiający smoka. Obie dziewczyny pochodziły ze środowisk, w których nosi się takie ozdoby. Można chyba jakoś sprawdzić, czy miały to przed porwaniem?
- Pewnie tak.
- Daję panu słowo, że nie wykorzystam tego na antenie. Czy ta dziewczyna z Kamocka miała taki kolczyk?
- Jej zwłoki były zabalsamowane.
- Jak to?! Nie wiedziałam o tym...
- Proszę zachować to dla siebie.
- Oczywiście... ale to jest całkiem nowy aspekt tej sprawy. Znakowanie zwłok, balsamowanie... to wygląda na rytuał i może prowadzić do jednego sprawcy.
- Córka pani senator nie pasuje do pani profilu.
- To, co ona zrobiła, to mistrzostwo świata, z niczego zbudowała narrację, dzięki której zdobyła współczucie, sympatię i ciepłą posadkę.

Czy ten książdz został już oskarżony?

– Nie.

– Czyli mogłabym zrobić z nim wywiad... Pomoże mi pan, prawda?

– Nie.

– Należy pan do tego typu mężczyzn, których trzeba długo prosić, jestem cierpliwa i wytrwała, zapewniam pana.

Kelnerka podała im kawę. Grosz, mieszając cukier, zastanawiał się, w jakich okolicznościach „Rudowłosa” zdobyła zaufanie Strumiłły: tylko od niego mogła się dowiedzieć o kolczykach tkwiących w ciałach ofiar. A może to ten bursztyn między jej cycami ma moc czytania w umyśle rozmówcy. Zauważyła jego zadumę i uśmiechnęła się promiennie.

– Wiem, że mi pan pomoże, komisarzu. Chcę pokazać, jak łatwo jest manipulować emocjami, wymyślać takie wawelskie smoki i straszyć nimi biednych ludzi. Za rok mamy kolejne wybory, wie pan, kto je wygra?

– Nie interesuję się polityką.

– Ktoś, kto obieca przywrócenie kary śmierci, ludzie już nie chcą słyszeć o klimatyzowanych celach dla morderców i programach resocjalizacji pedofili. Chcą zemsty, chcą widzieć, jak ich oprawca dynda na szubienicy, tak jak w Ameryce, wszystko ma być tak jak w Ameryce...

Wersja „Społecznie Zaangażowanej Rudowłosej” była znacznie lepsza od „Rudowłosej Zalotnej”, ale mimo to Grosz postanowił się pożegnać.

Do sklepu zdążył tuż przed zamknięciem, kupił membranę i wrócił z nią do domu. Przed północą zdążył naprawić piec. Wykąpał się, dumny ze swoich talentów hydraulicznych, i poszedł prosto do łóżka. „Muszę sobie wynajdywać jakieś prace w tym domu, zasypiam po tym lepiej niż po alkoholu”. Zaczął planować wymianę zbutwiełej podłogi w kuchni, ale rano już o tym nie pamiętał, spał całą noc jak kamień.

Po śniadaniu wybrał się na spacer. W powietrzu czuło się już zapach wiosny, w niektórych ogrodach kwitły forsycje. „Muszę być już bardzo

stary, skoro pamiętam tyle wiosen. Nic się nie zmienia w moim życiu... Jeszcze trochę zostało mi do emerytury, ale potem nic już się nie zdarzy. Przyroda odnawia się co roku, za miesiąc pojawią się pierwsze kwiaty, a później owoce, w moim życiu nie zmieni się nic, złapię kilku złodziei albo morderców, po których pojawią się nowi... i tak bez końca. Nie jestem pewien, czy brakuje mi kobiety, czy dziecka, czy odwagi, żeby wziąć za to odpowiedzialność. Czy wszyscy muszą mieć żony i dzieci, czy bez tego nie da się żyć?”

Starsza pani, która grabiła liście za płotem, uśmiechnęła się do niego i pomachała mu. Musiała go zauważyć wcześniej na którymś ze spacerów. Dawno go tu nie było, pewnie się ucieszyła, że jeszcze żyje. „Dlaczego ja się nie cieszę na jej widok? To proste, zazdrozczę jej bezinteresownego uśmiechu i spontanicznej radości. Stać ją na to, mimo że ledwie trzyma się na nogach. Na co ciebie stać, Grosz?”

Rozdział XXVI

Sekretarka Strumiłły poprosiła, aby pokwitował odbiór korespondencji i powiedziała, że inspektor będzie dopiero w przyszłym tygodniu. Przez trzy kolejne dni Grosz zajmował się papierami. W domu zmienił tapetę w sypialni i któregoś wieczoru wybrał się do teatru. Awangardowy reżyser, inscenizując osiemnastowieczny tekst, zmusił swoich aktorów do pokazywania genitaliów. Widzowie przyglądali się temu z wyrazem przygnębienia na twarzach. Speszeni i szywni ze wstydu aktorzy bez przekonania dukali swoje kwestie, tęsknie zerkając w stronę kurtyny, która mogłaby zakryć ich nagość, metaforę pustki dzieła. Grosz wyszedł w przerwie, dotarł do swojej wysłużonej kanapy w salonie, załadował DVD „Tosca: The MET, Live in HD” i starał się zapomnieć o tym, co widział w teatrze. Na scenie niezdarne próbowano naśladować życie, które oglądał co dzień w wersji *hardcore*. Na ekranie telewizora widział świat, za którym tęsknił, ponieważ już nie istniał. Dosłowność nie jest sztuką, ponieważ nie pozwala marzyć. Floria Tosca inspiruje marzenia, ale ćwierkanie telefonu już nie...

Proboszcz Bonikowski bardzo przeproszał za telefon o tej porze. Długo się zastanawiał, czy powinien w ogóle dzwonić: choć zalecano mu dyskrecję, postanowił się temu sprzeciwić. Burmistrz Kamocka poprosił go o zgodę na pochówek osoby o nieustalonej tożsamości, bezdomnej i nieposiadającej bliskich. Takie pochówki się zdarzają i Bonikowski kazał przygotować grób. Dzisiaj się dowiedział nieoficjalnie, że będzie to pogrzeb dziewczyny, którą znalazł w śniegu wikary Tomczyk i której tożsamość udało się ustalić. Bonikowski był przesłuchiwany w prokuraturze i dzwonił już w tej sprawie do komendanta Smolara, ale okazało się, że ów został odwołany. Proboszcz bardzo by nie chciał

nowych kłopotów, dlatego pozwolił sobie zadzwonić do Grosza, aby się upewnić, czy to wszystko jest legalne.

- Ma ksiądz postanowienie prokuratora? - spytał Grosz.
- Dzisiaj przywieźli. Ona miała tylko... dziewiętnaście lat!
- Decyduje prokurator... Kiedy będzie pogrzeb?
- Jutro, o jedenastej...
- Gdzie mogę w Kamocku kupić kwiaty?
- Na rynku najlepiej... Pan chce przyjechać?
- Tak...
- Proszę mnie odwiedzić... Szczęść Boże!

Grosz przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien zadzwonić do internatu w Wisłoczy, by zawiadomić Sawczuka i Monikę, doszedł jednak do wniosku, że ta sprawa to już historia i nie powinien do niej wracać. Wszystkie materiały przekazał prokuraturze w Kamocku, jutro miał zamiar zająć się podłogą w kuchni, odłoży to o jeden dzień, a po powrocie zajmie się sobą i swoim życiem.

W połowie drogi pokazała się mgła tak gęsta, że widział tylko światła jadącego przed nim samochodu. Dwa razy zgubił drogę i musiał zawracać, przez cały czas pytał się w myślach, dlaczego chce być na tym pogrzebie. Kiedy dotarł na cmentarz, ceremonia dobiegała końca. Ksiądz Ignacy Almaryk przypomniał, że śmierć nie jest niczym nadzwyczajnym, skoro powstaliśmy z prochu i zamieniamy się pył po śmierci. Zaczerpnął dziecienną łopatką odrobinę świeżo wykopanej ziemi i rzucił ją na trumnę.

Grosz poczuł, że wzbiera w nim gniew, nawet drobno padający deszcz nie był w stanie go ostudzić. „Życie jest wszystkim, co mamy! Czemu służą te zaklęcia? Nie rodzimy się z prochu, ale z krzyku matki i w jej brzuchu! W proch zamieniają się ci, których stać na kremację. Widziałem dziesiątki ludzkich zwłok - zostają z nas kości, nie żaden proch, leżą potem w ziemi setki lat. Nie istnieje nic poza życiem, wie to każdy uczciwy człowiek. Dlaczego Kościół uważa, że nasze życie, to nic niewart epizod? Czy nie czas coś z tym zrobić?”

Ksiądz Almaryk pobłogosławił trumnę i ruszył w stronę kościoła.

Kiedy zauważył Grosza, podszedł do niego. Komisarz chciał krzyknąć, że życie jest ważniejsze od każdej religii, ale głos uwiązł mu w gardle. Almaryk miał oczy mokre od łez, spływały po policzkach, łącząc się z kroplami deszczu.

– Ksiądz proboszcz czeka na pana komisarza – szepnął.

Grosz podszedł do trumny i położył na niej wiązanek kwiatów.

– Żegnaj, Sylwio! Nie udało mi się znaleźć tego, który ci to zrobił, jestem ci to winien i nigdy o tobie nie zapomnę... – To chyba trochę żałosne, a może nie, skoro łyzy cisnęły mu się do oczu i musiał je ukradkiem ocierać.

Poczuł, że ktoś za nim stał. Odwrócił się. Przemoknięty komisarz Smolar trzymał w ręku wiązanek goździków, minął Grosza i położył kwiaty na trumnie. Też był wzruszony, ale na swój sposób. Podał Groszowi rękę i musieli się cofnąć o kilka kroków, bo grabarze energicznie zabrali się do swojej roboty. Tylko oni zostali na cmentarzu.

– Mogłeś dać znać, że przyjedziesz... – zaczął Smolar. Wykąpał się w płynie po goleniu, ale Grosz wyczuł parujący z niego alkohol.

– Wczoraj się dowiedziałem... trochę się bałem, że nikt nie przyjdzie.

– No taki był chyba pomysł. Czerwińska robi wszystko, żeby przekazać sprawę do okręgu, uważa, że u nas tylko podrzucono zwłoki, a zabili ją gdzie indziej.

– Mogło tak być.

– Zrobiła z tego dwie sprawy. Kalińska, sekta i profanacja zwłok zostają u nas, zabójstwo idzie do okręgowej.

– Przekazałem prokurator Czerwińskiej wszystko, łącznie z listem od Morsztynowej, czym ty się zajmujesz?

– Zawiesili mnie, skurwysyny! Wszyscy przed nią tańczyli, a jak zupa się wylała, to oczywiście Smolar winien!

– Czego od ciebie chcą?

– Do tej sekty przyjeżdżali bogaci ludzie, nawet z Czech i Austrii. Jak pojawiła się ta święta, to Kalińska musiała podnieść wpisowe, tyłu było chętnych. Nigdy nie rozumiem, jak ludzie mogą wierzyć w takie szopki, pretensja do mnie jest, że powinienem zauważyć taki cyrk na

swoim terenie...

– Nie napisałeś raportu?

– Co miałem pisać? Ona dostała z funduszy unijnych ponad milion na placówkę kulturalno-oświatową... z dziesięć podpisów tych pajaców jest pod tym, a ja miałem pisać, że to przewał i władza nie wie, co robi? Jak kasa płynęła, wszyscy byli za! Gdybyś się tu nie pojawił, nie straciłbym roboty, ona dalej byłaby świętą, interes by się kręcił i wszyscy byłiby zadowoleni!

– Przykro mi, stary. Po co tu przyszedłeś?

– Powiedzieli mi, że będziesz...

– Obawiam się, że nie potrafię ci pomóc, za mały jestem.

– Nie o to chodzi, chciałem ci tylko powiedzieć: szacun, jesteś gość i zrobiłeś kawał dobrej roboty, którą te mendy zamiotą pod dywan.

Doszli do bramy. Komisarz Smolar wyciągnął z kieszeni piersiówkę i zaproponował łyk Groszowi. Grosz odmówił, Smolar łyknął, objął Grosza i poklepał przyjacielsko po plecach. Odwrócił się i odszedł, smagany deszczem.

Grosz zadzwonił do prokurator Czerwińskiej i zaproponował spotkanie. Nie miała dla niego czasu, podziękowała mu za informacje, które dostarczył, i dała do zrozumienia, że dadzą sobie radę bez jego pomocy.

Proboszcz Bonikowski przywitał go serdecznie, ale było widać, że poruszał się powoli. Krótki oddech utrudniał mu mówienie. Przeprosił Grosza za to, że zabierał mu czas, ale bardzo chciał się dowiedzieć czegoś o wikarym Tomczyku. Brak jakiegokolwiek wiadomości od niego bardzo go niepokoił. Wypytywał o niego prokurator Czerwińską i policjantów, którzy go przesłuchiwali. Udawali, że nic nie wiedzą albo próbowali coś przed nim ukryć.

– Bo widzi pan, komisarzu, ja też nie powiedziałem im wszystkiego...

– Nie mogę tego pochwalić. Poza tym ja nie zajmuję się już tą sprawą.

– Ach tak... A mogę wiedzieć, w jakim charakterze uczestniczył pan w pogrzebie?

– Zastanawiałem się nad tym, ale nie potrafię tego jasno wytłumaczyć,

to wszystko wydarzyło się tak szybko, obawiałem się, że nikt nie przyjdzie... że będzie sama na tym cmentarzu...

– Zdarzają się takie pogrzeby.

– Nie płakałem na pogrzebie mojej matki, byłem na nią wściekły, że zostawiła mnie z ojczymem. Kilka dni po pogrzebie włożył wszystkie moje rzeczy do walizki i zawiózł mnie do domu dziecka. Nie potrafiłem sam się ubrać i było mi strasznie zimno, nie skarżyłem się, bo myślałem, że najlepiej będzie jak umrę. Zaprowadzili mnie na salę, gdzie spało pięćdziesiąt sierot, takich jak ja. To jest widok gorszy od cmentarza. Dziecku się wydaje, że spędzi tam całe życie... Siatka w oknach, koszmarna mleczna zupa na śniadanie i brak odwiedzin, nigdy nie będziesz miał brata ani siostry, nikogo...

– Skąd pan wie, że była sierotą i nie miała rodzeństwa?

– Nikt jej nie szukał...

– Popęliłem ten sam błąd, chwilami traktowałem Tomczyka jak syna. To nie było nic nadzwyczajnego, ale przymykałem oczy na zbyt wiele.

Grosz nie chciał ciągnąć proboszcza za język, czekał cierpliwie. Gospodyni przyniosła herbatę, ciasteczka i konfitury. Mieszała cukier w herbacie, zdziwieni, że znika.

– Biskup zdecydował, że Tomczyk nigdy tu już nie wróci. Wikary zostawił trochę rzeczy w swoim pokoju, przeglądałem to teraz... ale kiedyś chciałbym mu to zwrócić.

– Proszę potraktować to jak spowiedź i zachować tylko dla siebie. Wikary Tomczyk był podejrzewany o dokonanie zabójstwa córki senator Oracz, może ksiądz słyszał?

Proboszcz potwierdził skinieniem głowy.

– Został oczyszczony z zarzutów, ale zdiagnozowano u niego poważną chorobę, pojechał na obserwację do Choroszczy i uciekł stamtąd. Pomogła mu ta kobieta, w której się zakochał.

Bolesny uśmiech przemknął po twarzy Bonikowskiego.

– Nie uwierzy pan, ale tak to sobie wyobrażałem...

– Cała ta sprawa jest mocno niejasna, płacze się kilka wątków, które

mogą mieć ze sobą związek lub nie, i wtedy najlepiej jest milczeć...

– Mieli wielką ochotę, żeby zrobić z wikarego potwora, który morduje i gwałci, jakby poza Kościołem nie było już zboczeńców i psychopatów. Komu na tym zależy? Czy oni naprawdę myślą, że supermarket i telewizja są w stanie zastąpić Boga?

– Myślę, że spór idzie o to, kto ma być Bogiem. Demokracja zakłada, że każdy ma szansę wspiąć się na szczyt. Ludzie zawsze o to walczyli.

– Lubię pana za inteligencję i uczciwość, jak skończę przeglądać papiery wikarego, wyślę je panu, żeby pan zdecydował, co dalej z nimi zrobić, nie chcę mu zaszkodzić i nie chcę brać tego na swoje sumienie. Zrobi pan to dla mnie?

– Nie za darmo...

– Proszę mówić!

– Za trzy miesiące są urodziny Sylwii, chciałbym prosić księdza, żeby ktoś zapalił świeczkę na jej grobie.

– Sam to zrobię, komisarzu, jak Bóg pozwoli.

Na łąkach po obu stronach drogi pojawiły się krowy. Skubały pierwszą wiosenną trawę, zastanawiając się, czy obradujący dzisiaj Trybunał Konstytucyjny odrzuci ustawę o rytualnym uboju zwierząt. To ładnie, że ludzie w końcu się tym zajęli. Tortury, jakie wywołuje powolne wykrwawianie się na rzeźnickim haku, zupełnie nie idą w parze z troską, jaką otacza się bezkręgowce, szczególnie małże szare i szczeżuje: to z ich powodu przerwano przebudowę drogi, przy której się teraz pały. Grosz podzielał stanowisko krów i widział, że patrzyły w jego stronę z pewną nadzieją. Jechał wolno, mimo że droga przed nim była pusta. Wreszcie się nie spieszył, nikt na niego nie czekał, a na kolację zamierzał zjeść resztki, które zostawił w lodówce. Nie potrafił skojarzyć numeru, jaki wyświetlił się na ekranie telefonu i postanowił nie odbierać połączenia. Ktoś bardzo zdeterminowany zadzwonił jeszcze raz. Aspirant Mierzejewski z Lubania poinformował go, że zjawił się właściciel czerwonego mercedesa cabrio, który Grosz widział w stodole Saby

Stein.

– Jak ona się czuje? – spytał Grosz.

– Jest już w domu. Lekarze mówią, że nie brała lekarstw, które utrzymują ją przy życiu. Facet, którego pan szukał, nazywa się Artur Durski, ta Stein jest jego daleką ciotką, kiedy był mały, przyjeżdżał do niej na wakacje...

– Gdzie jest teraz?

– Jedzie autostradą A4 w stronę Opola...

– Obserwujecie go?

– Facet był poszukiwany. Po jakimś czasie sam się zgłosił, złożył wyjaśnienia i sprawę umorzono...

– O co chodziło?

– W Słubicach, na parkingu tirów, spalił się ciągnik z naczepą. W szoferce znaleziono jego rzeczy. Ciągnik był zarejestrowany w Belgii, a naczepa w Turcji, wyglądało to na podpalenie, robią takie rzeczy, żeby wyłudzić odszkodowanie.

– Co było w tej szoferce?

– W jakiej szoferce?

– Powiedziałeś, że w szoferce znaleziono jego rzeczy, interesuje mnie MacBook firmy Apple...

– Nic tu nie mam o fantach, trzeba zapytać Słubice. Facet jest trefny, jedzie merolem zarejestrowanym na staruszka, który twierdzi, że nic o tym nie wie.

– Mów dalej...

– Staruszek był kiedyś milicjantem, wystawił Durskiemu notarialne pełnomocnictwo i teraz rżnie głupa, pewnie kombinują coś z cłem albo akcyzą, fura była kupiona dwa miesiące temu w Reichu, miała przejechane prawie pół miliona kilometrów, teraz ma niecałą stówę. Trzeba by to wszystko sprawdzić.

– Kto to będzie sprawdzał?

– Nie wiem, komisarzy. Fura ma założoną smycz, chcieliśmy go sprawdzić, ale się urwał, GPS znalazł go na autostradzie, a to już nie jest nasze województwo. Mój szef odezwie się do pana, co dalej, trzeba mu

zdjąć tę smycz, bo to wisi u nas na stanie, a sprawa nie jest nasza.

– Rozumiem, powiedz swojemu szefowi, że biorę to na siebie. Jeżeli mogę cię prosić, wyślij mi SMS-em numery merola i sprawdź, gdzie jest teraz.

Przez chwilę w słuchawce słyszał tylko odgłosy klawiatury i stłumione przekleństwa.

– Nie rozumiem, co tu się dzieje... Wygląda na to, że jest już na drodze krajowej czterdzieści sześć, za Ozimkiem w stronę Częstochowy. SMS-a wysłałem...

– Dzięki, stary, chciałbym wiedzieć, gdyby zatrzymał się gdzieś na dłużej...

– Mam służbę do dwudziestej drugiej.

– Jestem twoim dłużnikiem.

Nad drogę zaczęła napływać mgła. Zniknęły w niej pastwiska i niepewne swego losu nieortodoksyjne krowy. Telefon znowu zadzwonił.

– Dzień dobry, mówi Artur Durski.

– My się znamy?

– Ciotka mi powiedziała, że wie pan coś o Sylwii...

– To są złe wiadomości... – Słyszał tylko oddech Durskiego po drugiej stronie. – Wracam z jej pogrzebu.

Tym razem cisza w słuchawce mogła trwać nawet pół minuty.

– Jak to się stało?

– Nie będę o tym rozmawiał z kimś, kogo nie znam.

– Była moją dziewczyną...

– Szukał cię dzikus z nożem.

– Wiem... Zapłacę za każdą informację.

– Jesteś pierwszy na liście podejrzanych.

– Podejrzanych o co?

– Została zamordowana.

– Kto to zrobił?

– Nie wiem, jesteś na tej liście...

– Przysłała mi mejla, że poznała kogoś i odchodzi.

– To się zdarza.

– Może dziwce, którą posuwasz, ale nie jej, była w ciąży. Będę dzisiaj w Warszawie, musimy pogadać.

– Nie prowadzę tej sprawy, zadzwoń na komendę w Kamocku.

– Po coś byłeś u ciotki?! Nie wciskaj mi kitu, złamasie, dużo wiesz, znajdę cię... i będzie bolało, wyciągnę z ciebie wszystko! Flaki też!

Krzyczał tak głośno, że w słuchawce zaczęło trzeszczeć. Grosz przerwał połączenie. Rozmowa ze zdesperowanym facetem nie ma sensu. „Możemy gadać, ale tylko na moich warunkach” – zdecydował Grosz.

Przed Ostrowią mgła się podniosła. Zadzwoił do oficera dyżurnego w Warszawie i poprosił o wsparcie. Potem połączył się z komisariatem w Lubaniu i poprosił Mierzejewskiego o potwierdzenie, czy Durski nadal jechał w stronę Częstochowy.

– Minął Dobrodzień, ostro grzeje, ma szczęście, że drogówka go jeszcze nie zgarnęła.

– Dzięki!

„Zobaczmy, co jeszcze potrafi ten gruchot” – pomyślał Grosz. Ustawił na dachu niebieskiego koguta i wcisnął do podłogi pedał gazu. Jechał na spotkanie z człowiekiem, którego kochała Sylwia Grandet i który twierdził, że był ojcem jej dziecka. Ta historia nie chciała się skończyć, nie uda mi się o niej zapomnieć, trzeba się z nią zmierzyć. Czterdzieści minut później dostał od Mierzejawskiego wiadomość, że w Częstochowie Durski skręcił w stronę Warszawy.

Od Nadarzyna za mercedesem Durskiego jechał nieoznakowany policyjny ford z wideoradarem. Potraktowali go standardowo. Kiedy merol zaczął wyprzedzać lewym pasem, kierowca forda go dogonił i zaczął migać długimi światłami, domagając się ustąpienia drogi. Merol przyspieszył ze stu dwudziestu na sto dziewięćdziesiąt, aby zgubić intruza. „Radarowcy” zrobili mu film i włączyli syrenę. Artur zjechał na pobocze drogi. Uśmiechnięta policjantka zaprosiła Durskiego do forda. Grosz zatrzymał się tuż przed merolem, aby uniemożliwić mu ucieczkę. Wsiadł do samochodu po stronie kierowcy i otworzył skrytkę. Zawinięty w szalik pistolet CZ był ukryty na samym dnie schowka.

Durski obejrzał nagranie i zgodził się przyjąć mandat.

– Pan zaczeka w aucie, musimy sprawdzić w bazie – poleciła policjantka.

– Powiem tylko, że ludzi w chuja robicie – odciął się Durski.

Wrócił do swojego merola. Widok Grosza nawet go nie zdziwił.

– Mogę zapalić? – spytał.

Grosz skinął głową. Durski sięgnął do schowka, wyszarpnął z niego pistolet i skierował lufę w głowę Grosza.

– Wypierdalaj!

– Obiecałeś wypruć mi flaki...

– Wypierdalaj!

Grosz wyjął rękę z kieszeni i wycelował w niego swój rewolwer.

– Strzelasz pierwszy, zasrańcu! Ja po tobie.

Durski, zdezorientowany, mierzył go wzrokiem. Drzwi po jego stronie otworzyły się, zobaczyli zdziwioną twarz policjantki. Durski odruchowo wycelował w nią swój pistolet. Za uchem poczuł chłód lufy rewolweru Grosza.

– Wystarczy na dzisiaj, dawaj to!

Artur Durski nie protestował, kiedy Grosz wyjął mu z ręki pistolet, miał absolutną pewność, że tym razem przegrał.

– Połóż ręce na kierownicy!

Policjantka zapięła mu kajdanki na przegubach. Dała ruchem głowy znak Groszowi, żeby wysiadł.

– Mógł mnie, kurwa, zabić! Co tu jest grane? Nie było mowy, że ma broń!

Grosz wyjął z kieszeni garść naboí.

– Nie mógł ci nic zrobić, wyluzuj!

Policjantka spojrzała na niego z uznaniem.

– Co z nim teraz? Nam nie wolno przewozić zatrzymanych.

– Zadzwońię po taksówkę...

To się jej jeszcze bardziej spodobało.

Dawno nikt tak z nią nie flirtował – z garścią naboíów w dłoni. Gdyby facet był mniej sprytny, mogłaby mieć jeden z nich w głowie albo

w brzuchu, gdzie teraz fruwało stado kolorowych motyli. Grosz podał jej swoją wizytówkę. Wróciła do forda i pożerającego ją zawistnym wzrokiem partnera. Wysoka, zgrabna brunetka.

„Nie wiodło mi się z blondynkami – pomyślał Grosz. – Ta raczej nie zadzwoni, najdalej za godzinę zrozumie, że jestem dla niej za stary, jutro się dowie, że nie awansowałem od pięciu lat i nie mam szans na służbowe mieszkanie...”

Zadzwonił do dyżurnego, poprosił o radiowóz i pomoc drogową do odholowania mercedesa. Artur Durski siedział za kierownicą, pogodzony ze swoim losem. To, co się zdarzyło, miało też swoje dobre strony. Kiedy ciotka powiedziała mu, że Sylwia nie żyje, ziemia osunęła mu się spod nóg. Myślał tylko o zemście, za wszelką cenę. Za zrujnowane życie, za Sylwię i dziecko. Chciał zabić, dla siebie zostawiłby ostatnią kulę. Ten policjant wylał na niego kubek zimnej wody. „Zostawiłem ją samą, więc ja też jestem winny. Gdybym strzelił do tej policjantki, byłbym taki sam jak ten, który zabrał życie Sylwii”. Spojrzał we wsteczne lusterko. Grosz rozmawiał przez telefon. „Gdybym strzelił, on też by się nie zawahał, rozwaliłby mnie. Na szczęście jest mądry, żyje dzięki niemu. Wkurzył mnie tym gadaniem, że nic nie wie. Wie wszystko, był nawet na jej pogrzebie”.

Grosz postanowił zadzwonić do Kamocka, do prokurator Czerwińskiej. Zatrzymanie Artura Durskiego mogło się okazać przełomem w sprawie. Pani prokurator nie podzielała jego optymizmu, zapytała wprost:

– Czy wam, w tej Warszawie, wydaje się, że tu pracują wyłącznie matoly?

– Sylwia i Artur Durski byli parą, zamierzali się pobrać w lipcu...

– Z tego, co pamiętam, to ona nie zdała jeszcze matury.

– Prawdopodobnie spodziewała się dziecka.

– Mogę wiedzieć, kto upoważnił pana do zajmowania się tą sprawą?

– Zatrzymałem człowieka, który groził bronią funkcjonariuszowi policji! Wcześniej był poszukiwany, był blisko związany z ofiarą zabójstwa, niech pani nie strzela fochów, tylko go przesłucha, zanim go

zwolnią!

– Nie będzie mnie pan pouczał, komisarzu! Napiszę skargę do pańskiego przełożonego! Słyszał pan o czymś takim jak plan śledztwa? Pomyślał pan, że to zatrzymanie może być przedwczesne, że pan szkodzi postępowaniu?

– Pani plan polega na tym, żeby pozbyć się tej sprawy, a ten człowiek ma broń i jest zdesperowany!

– Jeżeli ma broń, to proszę mu ją odebrać! Ta sprawa poszła już do okręgowej, zawiadomię ich o zatrzymaniu i o pana wybrykach, proszę się spodziewać kłopotów!

– Jestem pod wrażeniem pani skuteczności, to prawda, że należała pani do tej sekty?

Prokurator Czerwińska rzuciła słuchawkę. Grosz tylko przez chwilę żałował insynuacji o sekcie. Bardzo chciał, żeby się wściekła. Nie zrobiła nic, żeby zdobyć cień poszlaki, traktowała go jak intruza, który zakłócał jej spokój. Z góry założyła, że nic się nie da w tej sprawie zrobić i nikt nigdy nie upomni się o Sylwię Grandet, skoro wszyscy zdążyli o niej zapomnieć. „Ja pamiętam” – pomyślał Grosz. Artur Durski wychylił głowę przez opuszczoną szybę, jakby on też chciał dać znać, że był tam wyłącznie dlatego, że nie zapomniał o Sylwii.

– Czego chcesz? – spytał Grosz.

– Zapalić, w lewej kieszeni mam...

Grosz podał mu papierosa i ogień.

– Widziałem taką fotografię, jesteście tam we czwórkę, ty, Sylwia, Monika Rybałtowska i chłopak, ciemne włosy, w twoim wieku...

– Rysiek Janik.

– Kto to jest?

– Kumpel, też fajerą kręci, on pierwszy poznał Sylwię, na stopie.

– Kręcił z nią?

– Nie za bardzo... Przyjechały kiedyś z Moniką na Volenti, chciały jechać gdzieś nad morze, ja miałem kurs do Gdyni, zrobiliśmy grilla, wtedy ją poznałem. Rysiek uderzał do tej Moniki, ale jakoś nie wyszło.

– Gdzie można znaleźć tego Janika?

- W Sochaczewie mieszkał, z pół roku go nie widziałem.
- Zostawiłeś list u ochroniarza w internacie...
- Napisała, że poznała kogoś i odchodzi.
- Teraz nikt nie pisze listów, są komórki, mejle, Skype, cholera wie co, ale nie listy!
- Tak wyszło.

Nadjechał holownik, a chwilę potem radiowóz, który zabrał Artura Durskiego.

Rudowłosa redaktor bardzo dokładnie zaplanowała dzisiejszy dzień. W swoim wieczornym programie zamierzała podsumować dyskusję o stanie bezpieczeństwa i ocenie pracy sądów i policji. W prasie ogólnopolskiej ukazały się ogłoszenia, w których senator Małgorzata Oracz przeproszała policję i prokuraturę za rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji, które mogły zaszkodzić ich reputacji i nadwątlić zaufanie do organów państwa. Trochę już zapomniana sprawa tragicznej śmierci córki pani senator ożyła. Część opinii publicznej i lewicowa opozycja uznały publikację wymuszonych przeprosin za brutalne ograniczenie wolności wypowiedzi. Zapowiedzi programu skutecznie podgrzewały atmosferę ostrego starcia rządu z opozycją. Fryzjerka, u której „Rudowłosa” spędziła przed południem dwie godziny, próbowała ją namówić na zmianę koloru włosów. „Rudowłosej” pomysł się spodobał. Zaprotestował producent, który ją przekonał, że tak istotna zmiana rozproszy uwagę widzów. „Rudowłosa” czuła rosnące napięcie, bo dzisiejszy program mógł stanowić przełom w jej karierze. Trema w show-biznesie jest śmiertelną trucizną, ona potrafiła sobie z nią radzić. Za niecałą godzinę przyjdzie jej masażysta. Muskularny, silny, pachnący i opalony. Całkowite zaprzeczenie tych starych dziadów z zarządu, do których musiała się uśmiechać, a nawet przyjmować zaproszenia na kolację.

Nie ma sensu dłuższe utrzymywanie w tajemnicy nazwiska „Rudowłosej”, skoro wiemy już o niej tak dużo. „Rudowłosa” nazywa

się Patricia Johnson i zawdzięcza swoje nazwisko czarnoskóremu kierowcy londyńskiej taksówki, który zgodził się z nią ożenić za wcześniej uzgodnioną kwotę. W tamtych czasach utalentowane dziewczyny z Polski nie mogły legalnie pracować za granicą. Mieszkały w wynajmowanym przez nią mieszkaniu w południowym Kensington tak długo, jak długo nachodzili ich urzędnicy imigracyjni, sceptycznie nastawieni do trwałości ich uczucia. Po roku dali spokój i Ubu Johnson sam musiał płacić za pokój, który Patricia znalazła mu w Willesden, w pobliżu magazynu kostiumów filmowych, gdzie pracowała. Na festiwalu w Edynburgu poznała prezesa Radkiewicza, który obudził w niej tęsknotę za ojczyzną, zaproponował pracę w telewizji i obiecał rozwieść się z żoną, na czym Patricii wcale nie zależało. Patricia Johnson nauczyła się na emigracji, że nigdy nie należy czekać na mężczyzn. Przychodzą sami... tacy po prostu są.

Dzwonek domofonu odezwał się punktualnie, przyjęła to z ulgą. Pilnie potrzebowała transferu energii, stalowego uścisku ramion masażysty i zmieszanego z potem ostrego zapachu jego perfum. Usłyszała kroki na parterze i szelest suwaka otwieranej torby.

– Już schodzę! – krzyknęła w stronę balustrady schodów.

Nie odpowiedział. Pewnie dąsał się, że odwołała ostatnie spotkanie. Postanowiła zrobić mu niespodziankę. Zdjęła dres i naga zeszła schodami na parter. Pokój gimnastyczny był na końcu korytarza. Szła na palcach, aby jej nie usłyszał. Był od niej sprytniejszy. Ukrył się za drzwiami pralni i zaatakował ją od tyłu. Próbowwała odsunąć od ust tampon śmierdzący chloroformem, ale on był silniejszy niż masażysta. Taśmą klejącą złączył jej dłonie i stopy. Zarzucił sobie panią Johnson na plecy i zaniósł ją do garażu. Zmieściła się w bagażniku swojego coupé. Dwoma palcami zbadał jędrność jej skóry, próba nie wypadła zadowolająco. Zakleił Patricii usta taśmą i nakrył ją kocem. Wyprowadził coupé przed dom i przepuścił panią pchającą wózek z dzieckiem. Dopiero na drugich światłach zdjął czapkę, słoneczne okulary i perukę, która upodabniała go do masażysty ciągle jeszcze rudowłosej Patricii Johnson.

Rozdział XXVII

Grosz wygodnie usadowił się na swojej kanapie. Cytrynowe risotto popił szklanką muscadeta i z miną zadowolonego burzują czekał na program redaktor Johnson. Wcześniej zadzwonił Strumiłło i przypomniał mu o tym programie. Na pasku, na dole ekranu, ukazał się komunikat, że program Patricii nie ukaże się z przyczyn technicznych. Zadzwonił telefon, Marta zdobyła potwierdzoną wiadomość, że Patricia Johnson została uprowadzona z własnego domu w Iwicznej. Jej samochód znaleziono na parkingu w Zalesiu.

- Podobno ktoś już dzwonił z żądaniem okupu.
- Ile chce? – spytał Grosz.
- Nie wiem... Ciągłe jesteś na mnie zły?
- Jak ci się udał urlop?
- Wiesz gdzie byłam... Śpij dobrze i módl się, żeby nie kazali nam szukać tej Johnson.
- Nie jest w moim typie.
- Myślę, że kobiety generalnie nie są w twoim typie.
- Powinienem spróbować z facetami?
- Mają większe wymagania i są bezwzględni, nie dałbyś sobie rady.
- To niech zostanie tak jak jest.
- Idź spać, staruszk.

Grosz znalazł na Arte koncert Pink Floyd w Pompejach, dodał do tego szklankę dzinu z tonikiem. „One of These Days” zabrzmiało jak nadchodząca burza, która ma spełnić złowieszczą przepowiednię.

Prezes Radkiewicz wiedział o istnieniu masażysty i znał jego adres. Detektyw, którego wynajął do ustalenia, komu Patricia zawdzięcza tak

dobrą figurę, poinformował go, że masażysta dbał równolegle o kondycję kilku pań z towarzystwa. Radkiewicz uznał, że w tej sytuacji okazywanie zazdrości byłoby nie na miejscu. Nerwowe telefony i godziny oczekiwania w studiu zrobiły jednak swoje. Zgłaszając zaginięcie Patricii, wskazał policji masażystę jako domniemanego sprawcę porwania. Dzielnicowy zapukał do drzwi masażysty na piątym piętrze bloku na Woli. Nikt nie otworzył, ale dzielnicowemu wydawało się, że coś usłyszał za drzwiami. Wezwano straż pożarną i strażak wszedł do mieszkania przez balkon. Masażysta leżał na podłodze swojej kawalerki, skrępowany i zawinięty w dywan. Napastnik zaaplikował mu zastrzyk, po którym spał kilka godzin. Kiedy doszedł do siebie, opowiedział, że odwiedził go sąsiad mieszkający piętro niżej, którego nigdy wcześniej nie widział. Sąsiad skarżył się, że z sufitu kapie mu woda. Masażysta rzeczywiście chwilę wcześniej brał prysznic. Weszli razem do łazienki i masażysta zajrzał pod wannę. Następnym zapamiętanym obrazem był strażak, który odwinął go z dywanu. Masażystę okazano kobiecie z wózkiem, która widziała wyjeżdżające z domu Patricii Johnson coupé.

– Wszędzie bym poznała tę mordę i te kudły! – oznajmiła triumfalnie.

Nie miała wątpliwości, że to on prowadził samochód. Wcześniej kilka razy widziała go przed domem Patricii.

Siedzieli wokół biurka Strumiłły, popijając kawę, którą przyrządził Władek. Porwanie Patricii Johnson było w czołówkach wszystkich serwisów informacyjnych. Telewizor stojący w kącie gabinetu miał ściszoną fonię, ale co chwilę zerkali w stronę ekranu. Nie mówiono już o zniknięciu, porwanie było faktem, w domu znaleziono tampon ze śladami chloroformu i porzucony na podłodze jedwabny szlafrok.

– Jeżeli to porwanie, to niby kto ma płacić? – chciał wiedzieć Władek.

– Jest ktoś taki, ale musiałby dostać zgodę żony. – Strumiłło nie mógł sobie darować sugestii, że wie więcej niż oni.

– Zrobił to ktoś, kto zna się na tej robocie, ale nie wydaje mi się, żeby

motywem były pieniądze – wtrącił Grosz.

– A niby co? – zachnął się Strumiłło. – Wiedziała i gadała więcej niż powinna, już zapomniałaś, jak ciągnęła cię za język, machając cyckami?

– Pamiętam tylko, kto ją do mnie przysłał – odciął się Grosz.

– W zasadzie powinni porwać tę Oracz – ciągnął Strumiłło. – To ona nakręciła aferę z klechą-wampirem, poleciały chyba nawet jakieś głowy, muszę to sprawdzić. Możesz mieć rację, Grosz... ktoś może się mścić, jakbyś przez taką mietłę stracił emeryturę, to chyba można się wkurwić, nie?

Władek i Grosz słuchali go z rosnącym zniecierpliwieniem. Strumiłło starał się ukryć, jak bardzo był zawiedziony tym, że nikt nie konsultował z nim porwania Patricii, mimo że wiedziano o ich kontaktach. Przyjaciele królika woleli teraz trzymać go z daleka od telewizyjnych światel, w których grzali się dzisiaj od rana. Stary lis dał się uwieść czarowi rudowłosej dziennikarki i teraz gorzko tego żałował. Był tak wściekły, że na ich oczach podarł skargę prokurator Czerwińskiej na sprzeczną z procedurą aktywność komisarza Grosza w sprawie Sylwii Grandet.

Marta, Władek i Grosz w milczeniu jedli spaghetti z małżami, które przygotowała Kaśka. Było tak dobre, że odebrało im na kilka minut chęć mówienia o czymkolwiek. Dopiero zimne orwieto rozwiązało im języki. Początek wieczoru był sztywny, Kaśka swoim zwyczajem chciała się ulotnić po podaniu kolacji. Marta zatrzymała ją z bezwzględnością równą tej, z jaką zatrzymywała na ulicy naćpane małolaty. Kaśkę krępował jej niepewny status w tym towarzystwie i przesadzony podziw dla jej talentów kulinarnych.

– Pierwszy raz to robiłam, Marcin mi wszystko mówił, co mam do czego dodać...

– Ja nie robiłem tego nigdy – sprostował Marcin. – Pan komisarz dał mi przepis.

Grosz pokiwał głową, co mogło znaczyć, że nie miał zamiaru

przerywać jedzenia z tak błahego powodu. Gorzej poszło Kaśce z szarlotką – spaliła się w piekarniku. Zdecydowały z Martą, że pójdą po coś słodkiego do cukierni.

– Musisz się liczyć z tym, że wróci tylko jedna – stwierdził Władek.
– Widziałem, jak na siebie patrzą.

– Przyjmę, Władziu, wszystko, co przyniesie los. – Marcin otworzył drugą butelkę wina, nie potraktował ostrzeżenia Władka poważnie, chciał się bawić. – Dostałem się do tego kompa, szefie...

– Dostaniesz medal. Jest tam coś?

– Kilka kont pocztowych, twittery, fejsy, badziewie randkowe, jak to u małolat —używały go dwie zakumplowane dziewczyny, Sylwia i Monika. Sylwia miała lepsze branie, ale potrafiła się dzielić, dała tej drugiej chłopaka w prezencie, ale nic z tego nie wyszło. Razem balowały, razem uciekały ze szkoły. Potem są już same smutki. Chłopak Sylwii przestaje się odzywać, wracają wysyłane do niego mejle, jakby zamknął konto. Ta Sylwia wpadła chyba w panikę i melduje mu, że jest z nim w ciąży. Faceta to nie rusza. Mało da się z tego zrozumieć, bo wysyłali też do siebie SMS-y. Do czasu kiedy on kazał jej pozbyć się telefonu. No i na koniec jest taki numer, że ona pisze do niego, że już go olewa, bo znalazła sobie nowego faceta...

Grosz słuchał go, popijając wino. Władek nie tolerował przy stole rozmów o pracy.

– Po cholerę ty się tym jeszcze zajmujesz?! U nas wszystko w tej sprawie jest posprzątane. Ktoś się kiedyś wkurwi i będzie miał rację...

– Z którego jest ta ostatnia wiadomość? – spytał Grosz.

– Siedemnasty grudnia.

– Nie żyła już wtedy...

– Jak to? – zdziwił się Marcin.

– Książd, który cię rozwalił, znalazł jej zwłoki drugiego grudnia.

Patrzyli na siebie jak członkowie Prezydium Kongresu Idiotów – zdziwienie w oczach i głupawy wyraz jeszcze przed chwilą myślących twarzy.

Nagie ciało Patricii Johnson leżało na stole przykrytym białym koronkowym obrusem. Nad nią wisiała warsztatowa lampa z nieosłoniętą żarówką. Nie była w stanie wstać ani nawet się poruszyć. Czuła, że w jej żyłach nie płynęła już krew. W powietrzu wyczuwała wilgoć, zapach świeżego tynku i całą gamę zapachów budowy. „Dokładnie tak pachniało w garażu mojego domu, kiedy trwały tam prace wykończeniowe” – skojarzyła. Wiązki kabli, szyby wentylacyjne, zbiorniki na olej opałowy, farby i kleje. „Gdzie jestem, do jasnej cholery? Kto mnie tu przywiózł i dlaczego? Pamiętam, że usłyszałam domofon i zbiegłam po schodach. Mogłam stracić równowagę, upaść i złamać nogę albo kręgosłup. Wtedy coś jednak by mnie bolało, a ja poza zimnem nie czuję nic. Nic mi nie dolega i nie pachnie tu szpitalem”.

Poczuła powiew zimnego powietrza i usłyszała stłumione kroki, mocniej zacisnęła powieki. „Ktoś tu wszedł. Kurwa! Dotknął mojego sutka! Leżę tu goła i każdy może sobie mnie dotykać”. Palce przesunęły się w dół i zatrzymały się na podbrzuszu. „Ogolił mnie skurwysyn!”. Trzy, cztery kroki... oddalił się. Delikatnie uchyliła powiekę. Był w białym trykocie, stał do niej tyłem, włożył okulary z soczewkami, jakich używają chirurdzy. „Jeżeli chce mnie wypatroszyć, to wolę tego nie widzieć”. Zacisnęła powieki. Podszedł do niej i dwoma palcami dotknął jej sutka.

– Witaj, Patricio, tylko ci się wydaje, że jesteś sprytna. Wiem, że nie śpisz. Boisz się otworzyć oczy, bo myślisz, że kiedy policja zapyta cię, jak wyglądam, będziesz mogła odpowiedzieć: „Nie wiem, nie widziałam go”... Nasza uwielbiana sprytna Patricia Johnson... Zapomnij o swoich sztuczkiach, jesteś moją własnością i możesz robić tylko to, co ci każę.

– Gdzie ja jestem? – spytała cicho.

– W piekle, stąd jest najbliżej do raju...

Niski męski głos mocnego mężczyzny. Chyba pochylił się nad nią, poczuła ciepło oddechu i zapach jego perfum. Ukłucie w przedramię i łagodne pieczenie.

– To zastryk!

– Chcę wiedzieć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje! – powtórzyła.

Usłyszała kroki i chrobot zamka w drzwiach. Nabrała powietrza w płuca i krzyknęła najgłośniejszym głosem jak mogła. Nikt nie usłyszał tego pisku. Chciała jeszcze krzyknąć: „Dlaczego ja?“, ale uznała, że byłoby to żalosne. Powoli zaczynało do niej docierać, dlaczego tam była.

Ryszard Janik nigdy nie mieszkał w Sochaczewie i zlokalizowanie go zajęło Groszowi trochę czasu. Prawo jazdy Janika odnalazł w wydziale komunikacji w Skierniewicach. Naczelnik wydziału nie chciał mu wysłać mejlem jego fotografii bez niezbędnych w takich sytuacjach formalności. Urzędniczka w okienku okazała więcej rozumu i pokazała Marcie kartę Janika. To był ten sam chłopak, który na fotografii zrobionej na święcie wina we Francji stał obok Moniki Rybałtowskiej. Mieszkał w małej wiosce pod Skierniewicami. Marta za nic nie chciała po raz kolejny wystąpić w roli siostry Sylwii. Uległa, kiedy Grosz obiecał jej, że to ostatni raz.

Nieotynkowany budynek z pustaków stał na samym końcu szutrowej drogi, błotniste podwórko, gołębnik na dachu kurnika i ciągnik TIR w otwartych wrotach stodoły. Z uchylonej do przodu szoferki wystawały nogi zakończone parą zniszczonych adidasów. Zanim zdążyła dotknąć przycisku dzwonka przy furtce, zjawił się czarny jak smoła rottweiler. Zaszczekał i para adidasów opadła na ziemię. Ich właściciel okazał się tym, którego szukała. Uśmiechnął się melancholijnie, kiedy powiedziała, że jest przyrodną siostrą Sylwii Grandet. Przystojny brunet, umazane smarem ręce i twarz dodawały mu uroku i męskości.

– Jak mnie znalazłaś w tej dziurze?

– Próbuję odnaleźć Sylwię, przepadła jak kamień w wodę...

– Z Arturem Durskim mieli się hajtać.

– Artur też jej szuka.

– No to ja już nie wiem. Mieli mnie zaprosić na wesele, ale jakoś cicho. Artur to chyba telefon zmienił, bo ten, co miałem, to nie

odpowiada. Jak mnie tu znalazłaś?

- Monika Rybałtowska miała twój adres.
- Co u niej?
- Do matury się szykuje. Sylwia nie dzwoniła do ciebie?
- Kobieto, spójrz na to. - Szerokim gestem wskazał swoje podwórko.
- Możesz sobie wyobrazić tu Sylwię, jak karmi te kury i nosi węgiel do pieca? Ona chciała innego życia, wystarczyło na nią spojrzeć!
- Chcesz powiedzieć, że nie startowałaś do niej?
- Zatrzymała mnie na stopie, fajnie się gadało, mało jest takich dziewczyn, dwa dni potrafiła bez spania i pieniędzy jechać pół Polski na jakiś festiwal czy coś. Fajna była... wiersze pisała, piosenki...
- Faceci...
- Człowieku, każdy gapił się w nią jak w obraz, to była lacha jak z okładki!
- Podobno poznała kogoś... już po Arturze...
- A jakby nawet, to co w tym dziwnego?
- Mieszkała w internacie, nie miała zbyt wielu znajomych, odezwałaby się do kogoś, ludzie nie znikają tak bez śladu.
- Nigdy nie mówiła, że ma siostrę.
- Mamy wspólnego ojca, nie ożenił się z jej matką ani z moją. Częściej widywałyśmy się, jak była mała, jak wróciła do Polski, został nam tylko Skype.
- Przyszła kiedyś jakaś pocztówka, niepodpisana, z Norwegii czy Szwecji... poszukam, wejdź...

Kuchnia była urządzona dość nowocześnie. Lodówka miała w drzwiach automat produkujący kostki lodu i mały ekran telewizora. Janik zniknął na chwilę, po czym wrócił z tekturowym pudełkiem wypełnionym listami i pocztówkami. Przeglądał je i zaproponował Marcie kawę. Włączył ekspres i przypomniał sobie, że w komórce miał jeszcze jedno takie pudło z korespondencją. Wyszedł na zewnątrz. Marta szybko przejrzała zawartość pudełka i zajrzała do korytarza. W pokoju po lewej stronie Janik urządził sobie siłownię. Ściany pokrywały naturalnej wielkości portrety kulturystów i modelek. Jadalny

był zeszpecony regałem z kolekcją kryształów z minionej epoki. Dalej była sypialnia, ale nie chciała tam zaglądać, wróciła do kuchni. Kawa w ekspresie pachniała zachęcająco. Dodała do niej trochę cukru z kryształowej cukiernicy i wróciła do przeglądania pocztówek. Janik wrócił zdyszany z wiadomością, że nie może znaleźć drugiego pudła. Po malowaniu część rzeczy zmieniła swoje miejsce i teraz bez przerwy czegoś szukał.

– To dla mnie ważne, boję się, że coś jej się stało...

– Kiedy miałas z nią ostatni kontakt?

– Na święta życzenia sobie składałyśmy.

– No to trochę długo... Sylwia była inteligentna i ostrożna, ale droga to jest droga, giną nie tylko kierowcy. Setki dziewczyn szuka szczęścia na drogach. Wydaje im się, że polują na faceta z kasą, do głowy im nie przyjdzie, że ktoś może polować na nie, bez przerwy się o tym słyszy. Porywają je do niemieckich burdeli, sprzedają Turkom, gwałcą... Mówiłem jej o tym, mówiłem, żeby uważała, bo trasa, to nie są wakacje!

– Znasz kogoś, kto mógłby coś o niej słyszeć?

– No... Artur znał ją chyba najdłużej.

– Nie mam do niego telefonu.

– Numer, który mam, nie odpowiada – burknął, przyglądając jej się badawczo.

– Możesz mi go dać?

– Trochę dziwnie jej szukasz...

– Dlaczego?

– Trafiasz do mnie, a nie masz numeru jej chłopaka.

– Prosiłam Monikę, ale ona nie miała.

Janik uśmiechnął się wyrozumiale, jak człowiek, którego nic nie może zdziwić. Odnalazł w swojej komórce numer Durskiego i podyktował go Marcie.

– On się zupełnie zmienił, jak ją poznał. Skończyło się balowanie i dyskoteki. Ludzie zaczęli się nawet trochę z niego podśmiewywać. Zawsze miał kasę, z samej fajery tyle się nie wyciągnie, samochody ścigał, jakieś maszyny do włókiennictwa, rowery, bajery, wszystko,

spokojnie po angielsku i niemiecku szprechał, miał łeb do interesów, ale liczyła się tylko ona...

– Po co mi to mówisz?

– Jeżeli puściła go w trąbę, to mógł się wkurzyć, a jak się wkurzył, to i trzech było na niego mało.

– Myślisz, że mógł jej coś zrobić?

– Jej by nie ruszył, ale ten jej nowy facet, to by w jednym kawałku nie został. Artur krótką piłkę grał... zawsze... Jak chcesz, to mogę podzwonić po kumplach, popytać, może ktoś coś słyszał. Polska to nie jest duży kraj.

– Proszę cię, bardzo mi zależy, zadzwonię do ciebie za kilka dni.

Znowu się uśmiechnął, dając jej do zrozumienia, że wcale mu nie zależy na jej numerze telefonu i podyktował jej swój.

– Dzięki. Sam tu mieszkasz? – spytała.

– Dlaczego pytasz?

– Czysto tu tak...

– Wolisz brudasów?

Dopiero teraz zauważyła, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby została tam na jeszcze jedną kawę.

– Dzięki raz jeszcze. Zadzwonię do ciebie za jakiś czas.

– Kiedy wracasz do Francji?

Musiała się chwilę zastanowić.

– Muszę ją znaleźć, wcześniej nie wrócę...

– Powodzenia!

Wyszli przed dom. Rottweiler obwąchał ją przyjaźnie. Zaczął szczekać dopiero, kiedy podeszli do furki. On też chciał, żeby jeszcze z nimi została. Janik pomachał jej na pożegnanie i długo wpatrywał się w odjeżdżający samochód.

Rozdział XXVIII

To przesłuchanie nie było formalne. Naczelnik kryminalnego dobrze znał Grosza i tylko dlatego zgodził się na jego rozmowę z Durskim. Pokój przesłuchań w komendzie na Ochocie był wyposażony w weneckie okno, dzięki czemu Marta mogła ich słuchać i obserwować. Grosz uprzedził Durskiego, że ich rozmowa nie będzie protokołowana i to, co powie, nie będzie mogło być użyte w postępowaniu związanym z jego zatrzymaniem.

– Wisi mi, co z tym zrobisz, każdy pies kłamie!

– Wiesz, kto spalił twój ciągnik w Świecku? – ugodowo spytał Grosz.

– Wozilem z Turcji bawełnę do Holandii, wiedziałem, że mnie obserwują...

– Kto?

– Mogła być policja, mogli być celnicy, mogli być Afgańcy... Zgarnęli mnie w Holandii, bawełna była impregnowana metaamfetaminą czy czymś takim. To była duża wpadka, zatrzymali ze trzydzieści osób. Konfrontowali mnie z nimi. Gang musiał mieć wtykę w policji, bo jak mnie puścili, to już wieczorem dopadło mnie dwóch Turków.

– Czego chcieli?

– Obcinają głowę, a potem pokazują ją następnemu w kolejce. Chcieli wiedzieć, kto ich wystawił, działali w panice, rzucali się na tych, których zwalniała policja.

– Jak się to skończyło?

– Jestem tu...

– Sylwia wiedziała?

– Wiedziała, że nie byłem święty. Gdyby się dowiedziała, że znowu w coś wdepnąłem, odeszłaby. Nie chciałem jej narażać, miała wyrzucić telefon, nie szukać mnie, siedzieć w szkole i czekać. Nikt by jej tam nie

znalazł...

- Pojechała do Volenti i zadzwoniła stamtąd do twojej ciotki.
- Byłem wtedy w Turcji, gadałem z gościem, który kręci tym interesem, powiedział, że już wiedzą, kto sypnął, i oddadzą mi kasę za spalony ciągnik.
- Myślałeś, że ją porwali i czekali, aż się po nią zgłosisz?
- Miałem różne myśli... Ale oni tego nie zrobili.
- Ukrywałeś się, żeby ją chronić, ona coś podejrzewała i bardzo chciała cię zobaczyć – romantyczna historia, ale nie pasuje do niej to Kamocko, dlaczego właśnie tam?
- Nawet nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. – Durski panował nad sobą, ale w oczach szklify mu się łyzy.
- Jest wersja, że poznała kogoś...

Durski rzucił się na Grosza. Próbował opleść skute kajdankami ręce wokół jego tułowia. Do pokoju wpadli policjanci, a za nimi Marta. Nie byli w stanie nad nim zapanować. Durski rzucał się jak raniony nosorożec, zaślepiony furią uderzył kilka razy głową w krawędź stołu. Kiedy upadł na podłogę, usiedli na nim i czekali, aż się uspokoi. Wokół jego głowy rozlewała się plama krwi. Ryczał rozpaczliwie, jak konające zwierzę. Do pokoju wpadł naczelnik kryminalnego, wszyscy patrzyli na Grosza jak na oprawcę. Marta wyszła na korytarz i zbiegła po schodach. Przez chwilę siedziała w samochodzie zaparkowanym przed komendą. Grosz wybiegł na ulicę, rozejrzał się i wrócił do budynku. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć w tamtą stronę wysuniętego środkowego palca.

Niespodziewanie po zachodzie słońca zrobiło się ciepło. Przez uchylone w pokoju Grosza okno słychać było ptaki dziobiące ziarno na blaszanym parapecie. Siedzący przy biurku Grosz i Władek milczeli. Grosz przeglądał luźne kartki wypełnione notatkami, miał je w kulki i rzucał w stronę stojącego przy drzwiach kosza na śmieci. Celność jego rzutów nie mogła imponować. Rozwścieczony kolejnym pudłem, rzucił

papierową kulą w szybę okna. Spłoszone ptaki odleciały, łopocząc skrzydłami.

– Ja też tak uważam... – wydukał Władek.

Grosz spojrział na niego jak na wariata.

– Uważam, że Marta ma rację... nie wolno ci zajmować się tą sprawą i nie masz prawa nikogo w to wciągać. Jak cię wywałą, nikt tu nie będzie po tobie płakał, a dla niej ta robota jest wszystkim, to wyjątkowa, zdolna dziewczyna. A ty jak żaloszny alfons wykorzystujesz to, że się w tobie podkochuje. Jeżeli jeszcze raz to zrobisz... pierwszy kopnę cię w dupę!

Grosz przeglądał swoje papiery, ignorując jego groźby.

– Policja w Wiedniu zatrzymała Margaret Kalińską, czekają na wniosek o ekstradycję...

– Jak widzisz, świat daje sobie radę bez ciebie.

– Austriacy nie wydadzą jej tylko dlatego, że zamknęła w piwnicy jakiegoś policjanta.

– Zapomniałeś, że w tej piwnicy był trup!

– Trzeba udowodnić, że Kalińska ma cokolwiek z tym wspólnego, jej adwokat zwali wszystko na Morsztynową, która już nie żyje... Napisanie takiego wniosku zajmie rok.

– To w dalszym ciągu nie twoja sprawa. Musisz zrozumieć, że cały świat zwalnia, nikt się nigdzie już nie spieszy. Ci, którzy jeszcze mają pracę, robią wszystko powoli, każdy papier oglądają dziesięć razy. Wiesz, że za trzydzieści lat tylko połowa obywateli Europy będzie miała pracę? Wszystkiego jest za dużo: samochodów, żywności, telewizorów... taniej będzie ludzi utrzymywać, niż ich zatrudniać. Tak było w starożytnym Rzymie i w Atenach, tam nikt nie chodził do pracy, dostawali na życie, a wieczorem chodzili do teatru albo do Koloseum – wracamy do korzeni. Nie wyrzucaj tych papierów, puste biurko znaczy, że jesteś niepotrzebny... komisarzu Grosz. Jeżeli przez dziesięć lat nie znaleźliśmy zabójcy Komendanta Głównego Policji, to dlaczego mamy wpadać w histerię z powodu jakiejś maturzystki? Biurokracja nie znosi pośpiechu, ona zwycięża, bo ludzi przestało obchodzić cokolwiek poza

pełnym brzuchem, pora to zrozumieć, komisarzu Grosz. Nie zastanawia pana, dlaczego od lat nikt nie proponuje panu awansu? Pan nie pasuje do systemu. Urzędnicy stworzą klasę średnią, reszta otrzyma zieloną kartę parobka. Za dziesięć lat wybuchnie rewolucja parobków, obali klasę średnią, zburzy Belweder i Pałac Kultury. Ich przywódca dostanie pokojową Nagrodę Nobla i ogłosi się królem Polski. Każdy parobek dostanie sto milionów i kredyt hipoteczny na drugie tyle. Linia brzegowa Bałtyku cofnie się do Torunia, gdzie pewien redemptorysta zbuduje arkę... Lista pasażerów jest już zamknięta, komisarzu!

Grosz rzucił papierową kulką w stronę kosza i tym razem trafił. Sięgnął po list w brązowej kopercie i go otworzył.

– Napisał do mnie ksiądz Bonikowski...

– Chcesz się ochrzcić czy przystąpić do pierwszej komunii? Upprzedzam, że w nowym ustroju religią państwową będzie islam...

Grosz go nie słuchał, czytał list Bonikowskiego.

Kiedy wróciła do domu, chciała odwołać tę kolację. Wzięła prysznic, a potem spała prawie godzinę. Obudziła się głodna. Miała ochotę na wszystko, co podają w Pireusie. Ubrała się i poprawiła włosy, ciągle jeszcze miała trochę czasu. Postanowiła, że zrobi sobie wieczorowy makijaż. Kończyła go jeszcze za kierownicą samochodu. Na karminową szminkę nałożyła warstwę błyszczyku i nie była pewna efektu tego zabiegu. Co chwila spoglądała w lusterko. Wydawało się jej, że od pewnego czasu jedzie za nią samochód z przepaloną żarówką w lewym reflektorze. Skręciła w pierwszą przecznicę w prawo, a potem jeszcze dwa razy w prawo i wróciła na swoją drogę. Samochód zniknął, ale tylko na chwilę, teraz trzymał się w większej odległości i starał się jechać za innymi samochodami. Zjechała na prawą stronę i zatrzymała się przy krawężniku. Zaczął się tworzyć korek, samochód, który jechał za nią, zawrócił i przecinając podwójną linię, prawie doprowadził do zderzenia z nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówką. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, aby mogła zauważyć twarz kierowcy czy numery rejestracyjne

samochoodu.

W Pireusie zajętych było tylko kilka stolików. Kelner poznał ją i zaprowadził do gabinetu, gdzie czekał już Władek. Makijaz zadziałał, Jawor gapił się na nią jak napalony nastolatek.

– Co powiedział? – spytała bezceremonialnie.

– Nie wiem, co się z nim dzieje. Wygląda na to, że zupełnie odjechał, on ma obsesję na punkcie tej dziewczyny, to może być andropauza...

– Tobie też chyba odbiło! – warknęła.

Było za późno żeby cokolwiek prostować. Władek napełnił jej kieliszek retsiną i wniósł milczący toast, który odebrała jako wyraz uznania dla jej oceny poziomu testosteronu Grosza. Zacerwieniła się. „Cholerna solidarność samców” – pomyślała.

– Nie chcę żadnych kłopotów, Władziu. Pomóż mi, proszę...

– Obiecał mi, że nie będzie już cię w to wciągał.

– Ktoś jeździ za mną.

– Niby po co?

Wszedł kelner, przyjął od nich zamówienia i dyskretnie zniknął.

– Mam dziecko, Władziu... Urodziłam je, jak miałam siedemnaście lat i oddałam do adopcji.

– To nie jest przestępstwo.

– Założyłam fikcyjną sprawę, żeby je odnaleźć... i znalazłam...

Czoło Władka Jawora pokryło się bruzdami.

– Raz, czasem dwa razy w roku jadę tam, żeby go zobaczyć. Nigdy nie wychodzę z samochodu, nigdy z nim nie rozmawiałam ani z jego rodzicami... Byłam tam tydzień temu, wtedy też mi się wydawało, że ktoś mnie obserwuje.

– Jest jeszcze coś, o czym nie wiem?

– Chcesz wiedzieć ile razy i gdzie?

– Chcę ci pomóc...

Kelner przyniósł oliwki i tzatziki. Marta poprosiła o sałatkę z kalmarów i zaczęła jeść. Chciała krzyknąć, ale z ustami pełnymi oliwek można nad tym zapanować.

– Nie chcę żebyś pomyślała, że próbuję go usprawiedliwiać, ale

odezwał się do niego ten proboszcz z Kamocka.

– Pamiętam go...

– Porządkował papiery, które zostały po wikarym Tomczyku, w jego pokoju znalazł korespondencję Tomczyka ze strażą miejską z Łądka Zdroju.

– I co z tego?

– Samochód Tomczyka był tam w dniu zaginięcia tej dziewczyny.

– Kto to potwierdził?

– Zdjęcie z fototadaru, za przekroczenie szybkości, za kierownicą jego samochodu siedziała dziewczyna podobna do tej, którą później wyłowiono z wody.

– Jak to wyszło?

– Tomczyk mówił, że jeździ do jakiejś ciotki, proboszcz skojarzył daty i wyszło na to, że wikary słabo dbał o swoje alibi, był wtedy w tym cholernym Łądku...

– Władziu, ja chyba nie chcę już tego słuchać...

– Musisz wiedzieć więcej niż ja, kiedy chłopcy z wewnętrznego zaczną cię ciągnąć za język.

– Ta dziewczyna musiała mieć w sobie coś niezwykłego, rzucała na facetów jakiś urok... Tak się mówi: rzucić urok? Nawet po śmierci ma nad nimi władzę!

– Pewnie nie zauważyłaś, ale zaczynasz mówić jak Grosz...

To był celny strzał. Marta gardziła ezoteryką, wrózkami i horoskopami w gazetach. Jednocześnie ciągle nie potrafiła zapomnieć, w jaki sposób Grosz opowiedział jej swój sen, w którym szybował z Sylwią Grandet nad dachami Kamocka. Opowiadał to tak, jakby wydarzyło się to naprawdę, jakby było to najważniejsze wydarzenie w całym jego życiu. W łóżku nie opowiada się takich historii. Znienawidziła świętą Dorotę i wszystko, co miało z nią cokolwiek wspólnego.

W drzwiach pojawił się Germanos, przyniósł im ogromne porcje souvlaki, życzył apetytu i obiecał, że wróci wypić z nimi kieliszek metaxy na pożegnanie.

Ten sam zapach świeżego tynku i cisza. Patricię Johnson obudziło światło. W powietrzu wyczuła nowy, kwiatowy zapach, nie było go tu wcześniej. Sen pozwolił jej odzyskać pamięć – wiedziała już, że została napadnięta we własnym domu i uprowadzona. Potem ten upiorny facet, zastrzyk i znowu sen. Kiedy budziła się w ciemności, zdarzyło jej się myśleć, że już nie żyła i leżała we własnym grobie. Przypomniała sobie jednak, że darował życie kobiecie z Poznania, którą porwał. „Nie mogę okazywać strachu i nie mogę się poddawać. On wie, kim jestem, spróbuje mnie wykorzystać, a dopiero potem zabije, a może uwolni”. Trochę szumiało jej w głowie, ale przecież zawsze może być gorzej. „Nie wiem, czy teraz jest dzień, czy noc i nie muszę tego wiedzieć. Wystarczy, że się dowiem, dlaczego to zrobił. Zanim zasnęłam, wszedł tutaj, odpiął klamrę, która łączyła moją dłoń z ramą łóżka, i zdjął bandaż, który zasłaniał mi oczy. Zaciśnęłam powieki, nie chciałam go widzieć. Zaprowadził mnie pod prysznic. Rozebrał i podał mydło. Czułam, że jest w pobliżu, ale ciągle zaciskałam oczy. Dotknął nawilżoną gąbką moich pleców i zaczął je myć. Poczułam jego palce na piersiach, bawił się nimi. Ignorowałam go, zaczęłam myć włosy. Wydawało mi się, że wyszedł. Woda nagle przestała lecieć z prysznicem i zrobiło się zimno. Sięgnęłam wokół, po omacku, szukając ręcznika. Bałam się poślizgnąć na mokrej terakocie. Na chwilę, na mgnienie oka, podniosłam powieki. Stał tuż obok, w wyciągniętej ręce trzymał ręcznik, twarz zasłaniała mu karnawałowa maska, wycięta nad ustami. Widziałam, jak się śmieje ze swojego dowcipu. Był owinięty ręcznikiem, widziałam jego potężne opalone słońcem bicepsy i muskularne, owłosione nogi. Zanim zasnęłam, dał mi jakieś chińskie odgrzane w mikrofalach żarcie i zieloną herbatę. Musi mi coś dosypywać, nigdy wcześniej nie byłam chwilę po przebudzeniu tak głodna i podniecona”.

Ostrożnie podniosła głowę. Stół, na którym leżała, kiedy ją tu przywiózł, był nakryty obrusem. W wazonie stały świeże kwiaty, obok taca z owocami, talerz z serami i koszyk z pieczywem. Dwa nakrycia, kieliszki i pokryta rosą butelka rieslinga. Nie była w stanie się

powstrzymać, aby nie spróbować winogron, a później kawałka sera. ON wszedł cicho jak kot. W swojej karnawałowej masce, białej koszuli i spodniach z czarnej wełny. Postawił na stole dwa talerze z pstrągiem gotowanym w ziołach i wskazał jej miejsce.

- Mam nadzieję, że lubisz rybę?
- Wolałabym wiedzieć, co tu robisz.
- Jesteś moją własnością...

Napełnił jej kieliszek winem i czekał, aż zacznie jeść. Spróbowała wina, ale nie sięgnęła po sztucce, czuła, że za chwilę udławi się napływającą do ust śliną, wiedziała, że to próba. Musiała mu pokazać, że potrafi zapanować nawet nad głodem przy stole zastawionym przysmakami. Czytała, że zbrodniecy seksualni to z reguły tchórze, imponuje im odwaga i siła charakteru. Kiedy zostaną zaakceptowani, czują się wyróżnieni i lepiej traktują swoje ofiary. Nie wolno ich prowokować ani stawiać oporu, bo to z kolei ich nakręca. ON włożył do ust kawałek ryby i przeżuwał go, delektując się smakiem. Wypił łyk wina i otarł serwetą usta.

- Wiesz, że ludzkie mięso smakuje podobnie jak jagnięcina? – spytał.
- Dlaczego miałyby mnie to interesować?
- Będę miał w przyszłym tygodniu kilka osób na kolacji, pomyślałem, że mógłbym im podać twoje cynaderki z pieczarkami i zielonym pieprzem...

Poczuła ciepło napływające do twarzy i mrowienie w nogach. „Bydlak próbuje mnie złamać, to nie telewizja, gdzie łatwo gada się o honorze i odwadze. Już mnie ma. Policzki czerwone jak burak, łzy w oczach i drżąca dolna warga. Tak nie wygląda ktoś, kto nie pęka. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Czyta zbok w moich myślach”. Zaczął się śmiać, triumfalnie, coraz głośniejsze, aż wstał zza stołu. Chciał zasłonić usta, ale zrobił coś gorszego, zerwał maskę i odrzucił ją za siebie. Znam tę twarz!

- Skoro już tyle o sobie wiemy, to ta maska nie ma już chyba sensu, co o tym myślisz? Był bardzo podobny do aktora, który przed laty grał Hansa Klossa w popularnym serialu. Ten był wyższy, mógł mieć nie więcej niż czterdzieści pięć lat. Usiadł i wrócił do swojej ryby. Aktor,

który grał Klossa, z powodzeniem udawał twardziela, ten po prostu nim był.

– Powiedziałaś w telewizji, że jestem wymyślonym, żalonym zbrojencem, którym próbuje się straszyć ludzi, aby odwrócić ich uwagę od prawdziwych problemów, dobrze zapamiętałam?

– Nie powiedziałaś tego, mając na myśli kogoś konkretnego. Były wybory, wtedy pojawiają się różne wymyślone przez PR-owców historie, a ta brzmiała wyjątkowo nieprawdopodobnie...

– Rozmawiamy o etyce zawodowej, a nie o teorii prawdopodobieństwa. Kiedy matka zabija pięcioro swoich dzieci, nigdy nie mówisz o niej zbroczona zdzira, zapijaczona kurwa czy krwiożercza bestia... Nie oceniasz jej, przywołujesz wyrok sądu, paragraf i karę. Dlaczego uznałaś, że mnie można poniżać?

– Przepraszam, nie miałam na myśli konkretnej osoby...

– Twój widzowie o tym nie wiedzą, nie powiedziałaś im tego, są przekonani, że ktoś taki istnieje, ma imię i nazwisko... Chcesz wiedzieć jak się nazywam?

– Nie, nie chcę! To znaczy nie uważam tego za konieczne...

– Nie chcesz wiedzieć, do kogo należysz? Spróbuj tej ryby, jest naprawdę dobra.

„Pewnie, że spróbuję, bydlaku, jest mi już niedobrze z głodu”. Zaczęła jeść, trochę zdziwiona, że jest w stanie przełykać. Strach ścisnął jej gardło, ale strach też przecież musi się czymś karmić.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego czujesz się kimś lepszym ode mnie? Chyba nie dlatego, że twój program oglądają trzy miliony ludzi?

– Nie czuję się lepsza. Nie zabijam i nie porywam ludzi, tym chyba się różnimy.

– Uważasz, że jestem psychopatą, który nie odróżnia dobra od zła. Uważasz, że ja jestem zły, a ty jesteś dobra. Obrażasz mnie... Dla ciebie nie istnieje ani dobro, ani zło. Liczy się tylko siła lub słabość, ja też tak uważam. Nie miałabyś tego programu, gdybyś nie była kochanką żonatego pajaca, który decyduje, kto ma talent. Za rok lub dwa się dowiesz, że talent ci się zestarzał i przenoszą cię do archiwum. Zastąpi

cię młodsza zdzira, na tym polega siła talentu, nędza słabości i obłuda twojego kochasia!

– Teraz ty mnie obrażasz.

– Mówię ci to prosto w oczy, ty robisz to przed kamerą, słuchają tego miliony, a ja nie mogę tego sprostować.

– Powiedziałam „przepraszam”.

– To za mało! Nagramy twoje oświadczenie i pokażemy to w telewizji. Odwołasz wszystkie swoje kłamstwa i poprosisz swoich widzów, żeby modlili się za twoje zbawienie.

– Nikt tego nie puści...

– Ciągłe mnie nie doceniasz, a ludzie potrafią się zmieniać pod moim wpływem. Niektórzy nawet mówią, że jestem Słowem, na które czekali. Ty też czekałaś na kogoś takiego jak ja, Patrycio Johnson!

Nie była pewna, co powinna odpowiedzieć. Spojrzała mu prosto w oczy i udało jej się wytrzymać jego wzrok. Nie zawiódł jej, wybuchnął swoim żywiołowym śmiechem. Znowu wstał z krzesła, żeby nad sobą zapanować. Wyjął z kieszeni kartkę i podał jej.

– Spróbuj nauczyć się tego na pamięć.

– Mam lepszy pomysł, zrobię z tobą cały program.

– Patricio, rozpieszczasz mnie, nie obawiasz się, że zabiorę ci twoją widownię?

– Nie.

– Szkoda, że nie możesz być matką moich dzieci.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– Jesteś za stara. Naucz się tego, a ja pójde po kamerę.

Kiedy wyszedł, zerknęła na kartkę. „Boże! Co za brednie, to kompletnie pojebany zbok, co zrobiła ta kobieta z Poznania, że darował jej życie?”

Kolacja z Władkiem to był dobry pomysł. Wracała do domu już w całkiem dobrym humorze. W radiu leciały stare przeboje Leonarda Cohena, o którym prawie nikt już nie pamiętał. Poeci potrafią

przetrwać tylko na pomnikach. Cywilizacja supermarketu traktuje ich jak zarazę, nigdy nie pojawiają się w reklamach, ich dzieła psują interes, sprzedaż szajsu gwałtownie spada.

Kochajmy się dla dzieci, które pragną na ten świat.

Kochajmy, by na kratach pocałunku został ślad.

Kochaj mnie, mimo że wali się ten świat.

Kochaj, póki miłość trwa.

Kochaj, póki miłość trwa.

To było jej własne tłumaczenie i śpiewała je teraz w duecie z Leonardem. Trzeba trochę przeżyć i trochę zmądrzeć, żeby zrozumieć Cohena. Tę mądrość widziała na twarzach Władka i Germanosa. „Nie byłam pierwsza i nie jestem ostatnia. Z moich łez nie powstanie źródło mądrości. Trzeba umieć cieszyć się tym, że żyję, czuję, widzę i oddycham. Nie wszyscy to mają. Grosz zakochał się w dziewczynie, której nigdy nie widział żywej. Ja w facecie, który może wytrzymać ze mną tylko do świtu. Germanos musiał z miłości zastrzelić swoją żonę i jej kochanka. Żona Władka od dziesięciu lat nie wstaje z łóżka. Jesteś szczęściarą, Marto Czapska, histeryzujesz, bo nie potrafisz tego ani zrozumieć, ani docenić”. W windzie zaczęła pogwizdywać „Evrybody Knows” i postanowiła przesłuchać swoje stare płyty.

Samochód, który jechał za Martą od Pireusu aż na jej osiedlowy parking, miał tym razem sprawne żarówki w obu reflektorach. Jego kierowca zaparkował w pobliżu samochodu Marty i obserwował budynek. Doszedł do wniosku, że dziewczyna tam mieszkała, a przynajmniej nocowała. Jutro dowie się kim jest, gdzie pracuje i do kogo należy samochód, którego używa. Na czwartym piętrze zapaliło się światło. Dziewczyna uchyliła okno i zasłoniła firankę. „Jeżeli tu mieszka, to jutro mógłbym złożyć jej wizytę” – pomyślał.

Tekst nie był długi, ale nie była w stanie go zapamiętać. zaproponował, że nagrają go w dwóch ujęciach, które połączy bliski plan smoka. Zaczęła mówić, kiedy dał jej znak ręką.

– Kłamałam i chcę wszystkich za to przeprosić. Szczególnie tego, który otworzył mi oczy. Byłam ladacnicą, cudzołożyłam z żonatym mężczyzną, czerpałam z tego grzeszną przyjemność i plugawą korzyść. Stoję nad brzegiem jeziora wiary i mądrości, chcę zanurzyć się w jego wodach, zmienić moje życie i w całości oddać się mojemu panu...

– Stop! – krzyknął. – Mamy to! Chwila przerwy i ten drugi kawałek...

Podszedł do niej i stanął za jej plecami. Poprawił kosmyk włosów i ułożył swoją dłoń na czubku jej głowy. Drugą dłonią dotknął jej brody.

– Może chcesz łyk wody?

– Nie, dziękuję, chcę to mieć za sobą.

– Jak sobie życzysz.

Szarpnął jej brodę w lewo, chrzęst przemieszczających się kręgów był głośniejszy od jej jęku. Nogi Patricii przez chwilę konwulsyjnie kopały powietrze. Musiał ją przytrzymać, żeby nie zsunęła się z krzesła. Podniósł jej szczękę, która odsłoniła zęby, i pocałował ją w usta. Długo i namiętnie, jakby pocałunkiem chciał przywrócić jej życie. Zsunął z niej szlafrok, całował szyję i ramiona. Z kieszeni wyjął małe, wyściełane różowym jedwabiem etui. W środku spoczywała miniatura przebitego włócznią smoka. Oplótł sutek smokiem i przebił go włócznią. Smok zawisł na piersi Patricii Johnson jak trofeum z nieudanych wakacji. Wziął ją na ręce i przeniósł na łóżko. Oparł ciało plecami o ścianę. Nogi i ręce ułożył w pozycji lotosu. Głowa Patricii opadła na piersi; podniósł ją na wyciągniętej dłoni. Oczy błyszczały mu z zachwytu nad swoim dziełem. Był wzruszony, miał łzy w oczach i ściśnięte gardło.

– Teraz będziesz szczęśliwa, Patricio, już na zawsze.

Prawa powieka Patricii uniosła się. Zamknął ją wskazującym palcem, ale znowu się uniosła. Podniósł jej lewą powiekę i doszedł do wniosku, że z otwartymi oczami wyglądała równie dobrze.

Rozdział XXIX

Tuż po ósmej zadzwoniła do Grosza i powiedziała mu, że ma gorączkę i chce zostać w domu. Zgodził się i nawet zapytał, czy czegoś nie potrzebuje. Odpowiedź miała na końcu języka, ale zapanowała nad chęcią przypomnienia mu, że jest złamasem. Zapytał jeszcze, czy słyszała, że po mieście zaczęły krążyć plotki, że zniknięcie Patricii Johnson to akcja promocyjna mająca zwiększyć oglądalność jej programu. Marta uznała to za prawdopodobne, nigdy nie lubiła „Rudowłosej”. Pożegnała się z Groszem i wybiegła z mieszkania. O dziesiątej była już za Ostrowią Mazowiecką. Kilkanaście razy sprawdzała w lusterku, czy nikt za nią nie jechał. Ruch na szosie był tak duży, że nawet gdyby ktoś ją śledził, trudno byłoby go zauważyć. Było to wręcz niemożliwe. Facet, który śledził ją wczoraj, zorientował się, że wyjechała z Warszawy dopiero o dziewiątej. Z tego, co widział na swoim ekranie, wynikało, że obiekt przemieszczał się na północny wschód i dzieliło go od niego ponad sto siedemdziesiąt kilometrów.

Marcin zadzwonił do Grosza dwadzieścia minut po dziewiątej i poprosił, żeby natychmiast do niego przyjechał. Grosz siedział w gabinecie Strumiłły i słuchał jego spekulacji na temat zniknięcia Patricii Johnson.

– Jak pewnie wiesz, taki numer zrobiła kiedyś Agatha Christie: zniknęła na dziesięć dni, do dziś nie wiadomo, co się z nią wtedy działo. Ale jej książki zaczęły się sprzedawać jak chrupiące bułeczki. Patricia Johnson jest wygodna i leniwa, żeby utrzymać oglądalność takiego programu, trzeba mocno się promować. Spotkania w terenie, wiejskie świetlice, strażackie remizy – to nie dla niej. Ona w drodze wyjątku

może pojechać do pięciogwiazdkowego hotelu w Sopocie. Z drugiej strony, o uprowadzeniu samej siebie można zrobić odcinek, góra dwa, ale to niczego nie rozwiązuje, sam nie wiem... Słyszałem, że dałeś komuś w mordę w trakcie przesłuchania?

- Plotki, chłopak tej Sylwii Grandet.
- Ostatni raz słyszałem od ciebie to nazwisko, przestań się w to wpieprzać, bo wylądujesz na ulicy! Jeżeli sprawa tej Johnson zacznie się komplikować, to dobiorą się nam do dupy! Wszystkim!
- To nie jest nasza sprawa...
- To ją nam dadzą, a po miesiącu odbiorą za brak wyników, ja i ty polecimy pierwsi, chcesz wrócić na ulicę?
- Wracam do domu tylko po to, żeby spać i zmienić gacie.
- No to skończą się luksusy...

Marcin był w domu sam. Grosz musiał czekać, aż dokuśtyka do drzwi i je otworzy.

- Komp tej dziewczyny chodzi na Leopardzie i ma aplikację Back to My Mac, próbowałem o różnych porach, ale udało mi się dopiero wczoraj w nocy.
- Zabawiasz się w nocy komputerem?
- Kaśka ma dyżur...
- Mów do mnie tak, żebym zrozumiał. Leopard, czyli pantera, zwana także lampartem, drapieżny kot polujący w nocy, zgadza się?
- Nie wiem, czym leopard różni się od lamparta, szefie. System operacyjny, na którym chodzi ten komputer, nazywa się Leopard i to musi nam wystarczyć.
- Dalej! - rozkazał Grosz.
- Back to My Mac to aplikacja, która umożliwia zdalne zarządzanie komputerem przez Internet.
- Obawiam się, że nie rozumiem... - ostrzegł Grosz.
- Mogę wejść do tamtego komputera i wydawać mu polecenia.
- Nie mogłeś powiedzieć mi tego przez telefon? Strumiłło był

zrozpaczony, że nie chce słuchać jego bredni.

– W nocy włączyłem kamerę w tamtym kompie...

– Dalej...

Na ekranie komputera Marcina ukazała się twarz mężczyzny palącego papierosa. Za nim migał ekran telewizora. Facet siedział w podkoszulce i wełnianej czapce na głowie. Miał całodniowy zarost i tępo wpatrywał się w ekran. Zauważył zapaloną diodę kamery, próbował ją wyłączyć i wreszcie mu się to udało.

– Kto to jest? – spytał niepewnie Grosz.

– Pojęcia nie mam...

Grosz wiedział. Znał go z fotografii zrobionej na święcie wina; stał razem z Arturem Durskim, Sylwią Grandet i Moniką Rybałtowską. Nazywał się Ryszard Janik i będzie musiał teraz opowiedzieć, jak trafił do niego komputer, który Sylwia Grandet zabrała w swoją ostatnią podróż. Zadzwoił do Marty, odebrała natychmiast.

– Marcin zlokalizował komputer, który miała ze sobą Sylwia. Komp jest teraz u tego Janika, z którym rozmawiałaś.

– Coś mi obiecałeś...

– Wiesz, co to może znaczyć...

– Masz obsesję! Oni się wszyscy znali, mogli pożyczać sobie różne rzeczy. Ktoś go przesłucha i zrobi z tego użytek, nie mam już siły cię prosić, żebyś mnie do tego nie mieszał, obiecałeś mi.

– Widziałas go, chodzi mi tylko o potwierdzenie, czy to on.

Usłyszał w słuchawce dźwięk syreny.

– Co to jest?

– Syrena karetki.

– Gdzie ty jesteś?

– Dostałam torsji, jadę na ostry dyżur.

– Do którego szpitala?

– Dam sobie radę, Grosz, jestem już duża.

– Dlaczego nie chcesz powiedzieć?

– Olewasz mnie, nie potrzebuję twojej litości!

– On może być niebezpieczny, może wiedzieć, kto ją zabił!

Przerwała połączenie. Grosz poprosił Marcina, żeby wysłał Marcie nocne nagranie i zbiegł na dół, do samochodu.

„On naprawdę jest chory, nakręca się jak schizofrenik. Mówił, że w jego rodzinie było kilku wariatów, sam obawiał się szaleństwa”. Telefon od Grosza zadzwonił, kiedy dojeżdżała do skrzyżowania na Kiermuse. „Żałosne przypomnienie wspólnej nocy w karczmie. Czy już wtedy był chory?”. Karetka, której syrenę usłyszał Grosz, wyjechała z bocznej drogi i pomknęła w stronę Białegostoku. „Może uratuje komuś życie. Mnie zdradziła. Grosz nie kupił mojej bajeczki o szpitalu. Złapał mnie na kłamstwie, jak głupią blondynkę na wagarach. Upokorzył. A może robię z igły widły, przesadzam i histeryzuję? Jedno jest pewne, nie chcę tam dłużej być, napiszę raport o przeniesieniu. Nie mogę przez całe życie tkwić w jednym miejscu, spotykać się i gadać z tymi samymi ludźmi. Coś się musi zmienić. Świat ciągle się zmienia, zmiana jest normą. Warunkiem przetrwania. Biedny Grosz zwariował, bo zamknął się w swojej norze i nie wpuszcza tam nikogo. Zna tylko złodziei, morderców i cynicznych biurokratów w mundurach. Świat, o którym marzy, istnieje tylko w operach, których słucha nocami. Kocha się w wyjących sopranem pudernicach noszących peruki i krynoliny, związek z normalną kobietą jest dla niego zbyt prozaiczny. Nie ma tam dla mnie miejsca. Nie ma!”.

Marta uderzyła dłonią w kierownicę, aby podkreślić wagę swojego oświadczenia. Nie potrafiłaby jednoznacznie wyjaśnić, dlaczego postanowiła tu przyjechać. W wieczornych wiadomościach jako zapowiedź wiosny pokazali wracające ptaki. Kolacja z Władkiem poprawiła jej humor i pozwoliła spojrzeć na siebie z dystansem, ale chciała też zrobić coś, co byłoby konkretne, namacalne. Zbuntować się i nie pójść tam, gdzie powinna, ale gdzie czuje się źle. Udowodnić samej sobie, że potrafi zadbać o siebie i swoją niezależność. Dlatego tu przyjechała. Parking przed pensjonatem Żuraw był pusty. Przez oszklone drzwi widać było leżącego na kontuarze rudego kota, ale drzwi

były zamknięte. Kilka razy nacisnęła dzwonek, kot poruszył ogonem, ale nawet nie spojrzął w jej stronę. Wróciła do samochodu, odebrała wiadomość z fotografią Ryszarda Janika. Dopiero teraz dotarło do niej, że skoro nie odnaleziono żadnej rzeczy, która mogła należeć do Sylwii Grandet, to komputer, którym się posługiwała, mógł oznaczać przełom. A wiadomość wysłana kilka dni po jej śmierci nabierała nowego znaczenia. Grosz nie był chory, był psem, który podjął trop, olewał przepisy i procedury. Biegł z nosem przy ziemi i nikt go już nie powstrzyma. Taki był i głupi ten, kto chciałby go zmienić.

Wróciła do samochodu, włożyła do odtwarzacza „Death of a Ladies’ Man” i postanowiła zaczekać. Opłaciło się. Dwadzieścia minut później na parking wtoczyły się dwa campery na holenderskich rejestracjach. Z pierwszego wysiadła Natalia Sobolewska, za nią wysypała się gromada młodych ludzi ubrana w zielonkawe stroje maskujące. Kolejno żegnali się z Natalią, całując ją i ściskając. W końcu odjechali. Natalia pomachała im na pożegnanie. Z niedowierzaniem spojrzała na Martę, która wysiadła z samochodu i szła w jej stronę.

– A co ty tu robisz?

Marta obawiała się pierwszej reakcji. Natalia objęła ją i pocałowała, jakby nic nigdy ich nie poróżniło.

– Podobno wracają już ptaki?

– Już są, ale trudno je podejść. Ci Holendrzy mieli szczęście, widzieliśmy dwie pary. Chodź, pokażę ci film.

Kot zerwał się z kontuaru i pomachał swojej pani ogonem. W pokoju służącym za biuro nic się nie zmieniło. Ryby w akwarium, wypchane ptaki i rogate łby jeleni patrzyły na nią zdziwione ludzkim rozumieniem piękna przyrody. Natalia przyniosła herbatę i kilka kawałków pieczonego na rożnie sękacza. Włożyła pendrive’a w gniazdo telewizora i spróbowała uruchomić nagranie. Kilka kolejnych prób spęzło na niczym.

– Musisz to zobaczyć, spróbujemy później odtworzyć to na komputerze. Przygotuję ci pokój...

– Muszę dzisiaj wracać, wpadłam tylko na herbatę.

- Zwariowałaś? Nie puszczę cię!
- Urwałam się z pracy, cały czas wydaje mi się, że się na mnie gniewasz i bierzesz mnie za kogoś, kim nie jestem. Nie mam zbyt wielu przyjaciół... i nie chcę żeby tak było...
- Nie bądź głupia, to, że mamy czasem różne zdanie, świadczy tylko o tym, że nie uznajemy obłudy. Gdybyśmy we wszystkim się zgadzały, to byłoby to strasznie nudne. Cieszę się, że jesteś! - Natalia objęła Martę i pocałowała ją w policzek. - Zostawię cię tu na chwilę, obiecałam sąsiadce, że zrobię jej zastrzyk, to dosłownie chwila. Jak wrócę, coś sobie zjemy... Jak się skończyła sprawa z tą dziewczyną?
- Tą w śniegu? Nie robimy tego...
- To po co było to całe zamieszanie?
- Mieliliśmy wyjaśnić sprawę fałszywego zgłoszenia o odnalezieniu zwłok. Tomczyk twierdził, że widział zwłoki, których nie było. Zwłoki się znalazły i jest po sprawie.
- Wiecie, kto ją zabił?
- Tym zajmuje się prokuratura tam, na miejscu...
- Trochę to dziwne, jak dla mnie...
- Jest coś takiego, jak właściwość miejscowa, my robimy tylko to, co trafia do nas z góry, umorzone, niewykryte, wznowione...
- A Tomczyk? Ktoś się nim jeszcze interesuje?
- Ciało tej dziewczyny było przetrzymywane przez sektę, która tam działała. To jest jeszcze jedna, zupełnie odrębna sprawa. Jeżeli trafi do sądu, to mogą go potrzebować jako świadka, bo znał osoby, które kręciły te lody.
- Lody...?
- Tak się mówi. Dwie baby sprzedawały ludziom zbawienie za pośrednictwem świętej Doroty, która zstąpiła z nieba, aby uratować tych, których na to stać. Interes szedł całkiem nieźle do czasu, jak wciął się w to mój szef, który lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. Baby uciekły i zostawiły w piwnicy zwłoki dziewczyny. Na tym się kończy ta historia. Lekko stuknięty niedoszły samobójca był idealnym kandydatem na wampira. Gdzie się pojawił, tam pojawiał się trup...

Mamy teraz duży popyt na wampiry, smoki, przepowiednie i takie tam... dyrdymały.

- Kiedyś mówili, że system jest OK, tylko ludzie zawodzą...
- Kłamią!
- Zawsze tak myślałaś?
- Nie zostałambym policjantką...
- Czuję, że sobie pogadamy.

Marta odprowadziła ją do recepcji. Natalia wbiegła jeszcze na górę po kask i kurtkę.

- Dużo masz gości?
- W tej chwili nikogo, pojutrze będzie grupa z Danii.
- A gdzie jest Łatek?
- To stary łajdak, znowu uciekł.

Odjechała dwucylindrową yamachą, wzniesając tuman kurzu. Marta wróciła do recepcji i wspięła się po schodach na poddasze. W pokojach i sypialni mieszkania Natalii panował idealny porządek. Zajrzała do łazienki, sprawdziła kabinę prysznicową i umywalkę. Nie znalazła nic, co mogło by wzbudzić podejrzenia. Wróciła do biura. Na ekranie telewizora migotała stopklatka pary żurawi na torfowisku. Marta nacisnęła „start” i obraz ożył. Dwa większe od bocianów ptaki w czerwonych czapkach na szczycie głowy krążyły wokół siebie. Aż do ziemi skłaniały łebki na długich szyjach. Po pokłonach zaczęły tańczyć, poruszając patykowatymi nogami z gracją baletnic. Po chwili znowu kłaniały się sobie z uznaniem dla swoich talentów. Ptak, który chwilę później okazał się samicą, rozłożył skrzydła tak, jak robią to anioły występujące w bożonarodzeniowych szopkach. Samce żurawia odczytują to jako zaproszenie do prokreacji. Kopulacja trwa krótko, bez gry wstępnej i wzdychania. Chwilę później znowu jest taniec i ukłony. Ptasi hołd miłości.

Marta próbowała wyobrazić sobie ten film z muzyką do „Dance Me to the End of Love” Cohena, która od wczoraj błędziła w jej głowie. W samochodzie miała płytę, to nie powinno być trudne. Do pokoju, w którym była drzwi od strony recepcji i drugie, wychodzące na

wewnętrzne podwórze. Klamka poruszyła się w tych drugich. To nie mogło być złudzenie. Odruchowo sięgnęła do kabury, ale broń przecież została w Warszawie. Nie było powodu do paniki, w drzwiach tkwił klucz. Przed kominkiem leżał żelazny pogrzebacz – zważyła go w ręce, nadawał się do obrony. Podeszła na palcach do drzwi i je otworzyła. Na podwórzu nie było nikogo. Intruz mógł się schować za uchylonymi wrotami stodoły, ale doszła do wniosku, że lepiej będzie poczekać w biurze. Zamknęła drzwi na klucz i usiadła przed telewizorem. Dźwięk dzwonka przeszył ją jak sopel lodu. Ktoś był w recepcji. Odłożyła pogrzebacz, żeby nie wyjść na idiotkę. Po drugiej stronie kontuaru stał uśmiechnięty Ryszard Janik. Kot zniknął.

– No, kto by się spodziewał?! – zaczął.

Ucieczka schodami na górę nie wchodziła w grę. „Nie mogę go mieć za plecami. Jest silniejszy ode mnie i nie jest tu przypadkiem. Jechał za mną, żeby mnie zabić, chyba jeszcze nie wie, że jestem policjantką”. Cztery szybkie kroki wstecz i już była w biurze. Zdążyła pogrzebaczem zablokować klamkę i sięgnąć po telefon. Szarpnął drzwiami i udało mu się wcisnąć but za framugę. Szpara się powiększała. Oskoczyła od drzwi wymachując pogrzebaczem. Dopiero teraz zauważyła pistolet w jego ręku.

– Rzuć telefon!

Zdążyła wybrać dziewięć dziewięć siedem i czekała na zgłoszenie. Wystrzelił, kula ugrzęzła w podłodze tuż obok jej buta. Telefon sam wypadł jej z ręki. Podniósł go i schował do kieszeni.

– Nie musisz się mnie bać, chcę tylko wiedzieć, jak mnie znalazłaś.

– Jestem policjantką...

– I co, mam się przestraszyć?

– Wystarczy, że powiesz, skąd masz komputer Sylwii.

– To twoja sztuczka! W nocy zapaliła mi się dioda kamerki, jak to zrobiłaś?

– Nie znam się na tym...

Pokiwał głową ze zrozumieniem i podszedł do niej. Lufą pistoletu pchnął ją na kanapę.

– Nie pogrywaj ze mną! Tylko ja wiem, że Sylwia nie miała siostry, sama mi to powiedziała, była sama jak palec i wstydziła się tego, więc wymyśliła siostrę we Francji, żeby nie być taką sierotą, z której śmieją się dzieci.

– Znam inną wersję...

– Nie ma innej wersji. Nie jesteś jej siostrą, ale masz z nią coś wspólnego... Kręciła mną jak strachem na wróble, robiłem wszystko, co chciała.

– Wiesz, kto ją zabił?

– Nikt jej nie zabił.

– Przyjechała do Volenti, żeby znaleźć Artura...

– Szukała kogoś, kto miał trasę na Zachód, wybrała mnie. Uważała, że to jest całkiem w porządku, żebym zawiózł ją do faceta, który ją aktualnie posuwał!

– Czego chcesz ode mnie?

Usłyszeli stłumiony ryk motocykla Natalii. Janik przycisnął do czoła Marty lufę pistoletu. Wyjął z kieszeni taśmę i okręcił ją wokół jej nadgarstków, a drugim kawałkiem zakleił jej usta. Podbiegł do drzwi. Usłyszeli kroki Natalii w korytarzu. Widok obcego faceta z pistoletem przyjęła grymasem niesmaku. Janik kazał jej usiąść na kanapie, obok Marty.

– Rozmawiamy sobie o Sylwii, znałaś ją? – spytał.

Natalia pytająco spojrzała na Martę. Janik zerwał z twarzy Marty taśmę, jęknęła z bólu. Otwartą dłonią uderzył ją w twarz.

– Nie mamy tu czasu na fochy. Czy dziwka, która zdradza jak suka, ma prawo prosić o pomoc faceta, którego wykorzystywała?

Milczały przerażone, Janik wrzeszczał coraz głośniejszym głosem, lufa jego pistoletu wędrowała między ich głowami, jakby nie był pewien, którą powinien zastrzelić pierwszą.

– Czy to nie jest kurestwo?

Dwa strzały, jeden po drugim, oba kilkanaście centymetrów nad głowami kobiet, kule ugrzęzły w tynku.

– Nie wolno ze mną pogrywać... zadałem pytanie!

- Jeżeli o coś cię prosiła, nie musiałeś się godzić – zaczęła Marta.
- Wiedziała suka, że ją kocham i nie odmówię!
- Nie musiałeś jej zabijać!
- Nie zabiłem jej. Zaczęła ze mną pogrywać, prowokowała mnie. Straszyla, że powie o wszystkim Arturowi, kazałem jej się wynosić.
- Biłeś ją, dusiłeś, a kiedy wydawało ci się, że już nie żyje, wyrzuciłeś nagą na śnieg.

Oczy Natalii zrobiły się okrągłe: dopiero teraz zrozumiała, o czym mówili.

- Nigdy bym tego nie zrobił, gdybym jej nie kochał. Ty mi, kurwo, powiesz, jak udało jej się przeżyć i dlaczego przysłała właśnie ciebie!

Ciemność. Zaskoczyła wszystkich, słyszeli tylko własne oddechy. Światło zgasło w całym budynku, do korytarza prowadzącego do recepcji docierała słaba poświata latarni oświetlającej parking.

- Hydrofor czasem wywala korki – szepnęła Natalia.
 - Gdzie jest licznik? – spytał Janik.
 - W korytarzu po lewej stronie, latarka jest w recepcji, w szufladzie.
- Natalia powiedziała to tak spokojnie, jakby przyjaźnili się od lat.
- Rozwalę, jak która ruszy dupą!

Poświecił sobie zapalniczką i utrzymując kontakt ze ścianą, zaczął przesuwać się w głąb korytarza. Licznik i bezpieczniki wisały nad jego głową, w zasięgu ręki. Końcem lufy pistoletu przesunął w górę skrzydełko bezpiecznika. Rozbłysło światło, a wtedy zauważył ruch po prawej stronie i zdążył nawet podnieść rękę. Kolba dubeltówki uderzyła go w tył głowy, nie stracił świadomości, ale osunął się na podłogę. Facet, który go uderzył, wyglądał na frajera, otworzył usta, zdziwiony swoją siłą. Janik podniósł pistolet i skierował go w brzuch faceta. Tamten wystrzelił pierwszy, z obu luf obrzyna. Dwa masywne kawałki ołowiu przygwoździły Janika do podłogi. Dziewczyna, która podbiegła, butem zmiażdżyła mu dłoń, w której trzymał pistolet. Ta druga objęła faceta, który go postrzelił.

- Nic ci nie jest? – spytała Natalia.

Wikary Eryk Tomczyk wzruszył ramionami.

– Skąd on się tu wziął? – spytała Marta.

– To jest hotel, każdy może tu być! – krzyknęła Natalia.

Marta pochyliła się nad Janikiem. Miał rozerwane podbrzusze i krwotok, którego nie sposób zatrzymać, krew wypływała nawet z kieszeni spodni. Jeszcze żył.

– Śnieg padał... ona nie mogła przeżyć – wyrzeźił.

– Zamarzła tam – próbowała go uspokoić Marta.

Ryszard Janik akceptował prawo odwetu. Nie mógł jednak pogodzić się z tym, że zginął z ręki tak żalosego frajera, który niezdarnie próbował teraz powstrzymać wypływające z niego życie. Ta suka, która go tu zwabiła, może rzeczywiście być siostrą Sylwii Grandet – one wszystkie kłamią. Wszystkie...

Pierwsi na parkingu pojawili się strażacy. Mieli defibrylator i próbowali reanimować Janika, który już od nich tego nie oczekiwał. Kilka minut później przyjechał lekarz i sierżant Kowalczyk. Lekarz podziękował strażakom, a Kowalczyk kazał się im wynosić. Jego zdaniem zacierali ślady. Ogrodził parking taśmą i polecił Natalii otworzyć bramę, przez którą wjeżdżało się na łąkę.

– Helikopter będzie lądował – oznajmił tajemniczo.

Jeszcze później przyjechał prokurator. Pół godziny po nim dwie ekipy telewizyjne. Nikt nie chciał rozmawiać z dziennikarzami. Nikt, poza Kowalczykiem, który skojarzył Tomczyka z fotografią, którą przysłali mu w styczniu. Helikopter wylądował tuż po zmroku i trzeba było oświetlić lądowisko reflektorami samochodów. Obraz telewizyjny, pokazujący Grosza i Strumiłkę ostrożnie stąpających po torfowisku, trafił w przekazie live na ekrany stacji informacyjnych wraz z wiadomością, że policji udało się zatrzymać seryjnego mordercę kobiet, działającego na terenie całego kraju. Natalia zaprowadziła Grosza do pokoju, w którym Marta schowała się przed dziennikarzami.

– Zamknijcie drzwi, nie panuję nad tą zgrają – ostrzegła, wychodząc.

Patrzyli na siebie nieufnie, oczekując ataku.

– Przepraszam... – zaczął niepewnie Grosz.
– Wystawiłeś mnie, gnoju!
– Nie kazałem ci tu przyjechać...
– To nie ma znaczenia, jeździł za mną, od kiedy mnie w to wkręciłeś.
– Ile razy mam powtarzać: „przepraszam”?
– Nie chodzi o twoje przepraszam, wkurwia mnie to... – Podeszła do niego i kilka razy wskazującym palcem uderzyła go w pierś. – ...że... zawsze... masz... rację!

– Jestem nieodpowiedzialnym kretyńcem, mógł cię zabić...
– To prawda, ale nie chcesz chyba powiedzieć, że byś się tym zmartwił?

Objął ją za szyję, przyciągnął do siebie i pocałował. Nie pozwoliła mu przerwać, a on nie protestował, kiedy zaczęła manipulować przy pasku jego spodni. Zastygli w bezruchu. W ten sposób pukać do drzwi może tylko ten, kto podgląda przez dziurkę od klucza. Marta poprawiła przed lustrem włosy i dała Groszowi znak, że może otworzyć. Kowalczyk stał obok drzwi, manifestując, że nie interesuje go, co działo się za progiem, ale ogólnie był za.

– Panie komisarzu, technik obejrzał samochód aspirant Czapskiej, nadajnik miała taki od tira założony, jeździł za nią, jebany...

- Dzięki!
- Pan inspektor Stremiło na pana czeka.
- Zaraz będę. Strumiło, tak na przyszłość...

Wrócił do pokoju i zamknął drzwi na klucz. Podeszedł do Marty, odsunęła jego rękę.

– Wiesz, że ten złamas myślał, że ona przeżyła? Jak można być takim bydlakiem?

– Skąd się tutaj wziął wikary?
– Zawdzięczam mu życie. Myślę, że cały czas tu był, oni się kochają... jak żurawie.

- Żurawie?
- Zakochują się raz w życiu i są ze sobą do końca.
- Władek znalazł firmę, w której pracował ten Janik. Był pierwszego

grudnia w Volenti, miał tam nocować. Zgłosił awarię turbiny, odpiął naczepę i pojechał samym ciągnikiem gdzieś ją naprawić. Nie chciał, żeby ktoś na parkingu widział, że Sylwia wsiadła do jego samochodu. Myślę, że to on ją tam wypatrzył.

– Chciał tylko, żeby mu dała, rozumiesz? Tylko to było dla niego ważne... Wściekł się, że już nie była mu posłuszna.

– Tylko tyle?

– Później bał się, że Artur Durski zrobi z niego karmę dla kotów!

– Pójdę postawić kielicha temu Tomczykowi.

– Nie chcę tu sama siedzieć!

Pocałował ją w policzek.

– Trochę posprzątam i zaraz wracam...

Na parkingu stało już kilka kamer. Wywiady przerwano tylko na chwilę, kiedy grabarze wynieśli do karawanu ciało Janika. Jolanta Sroka, dziennikarka, która w telewizji Mazovia24 zastąpiła Patricię Johnson, podsunęła mikrofon Strumille.

– Czy to, co tu się wydarzyło, można wiązać ze wprowadzeniem Patricii? Czy sprawcą jest ten sam człowiek?

– Jest stanowczo za wcześnie na takie hipotezy.

– W zabójstwo, które miało tu miejsce, zamieszany jest ksiądz, czy może pan to potwierdzić?

– Nie!

– Dlaczego?

– Badamy dopiero okoliczności zdarzenia.

– Ten ksiądz był już wcześniej oskarżany o zabójstwo córki pani senator...

– Nie przedstawiono mu zarzutów.

– To czysty przypadek, że znalazł się właśnie tu?

Na ekranie telewizora w pokoju Marty zakłopotaną twarz Modesta Strumilli widać było znacznie lepiej. Oglądały program razem z Natalią. Wywiad był transmitowany do studia. Za prowadzącą widać

było ogromną fotografię Patricii Johnson, która była leitmotiwem specjalnego wydania programu.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. – Strumiłło zaczynał się niecierpliwić.

– Zabójca przyjechał tu za policjantką pracującą przy tej sprawie, dla niektórych mogło to wyglądać na umówione spotkanie...

– Bzdura!

Ekran podzielono na dwa kwadraty, aby w kadrze pomieścić wszystkich. Sroka i Strumiłło zostali wymiksowani. Prowadząca program zwróciła się do gościa w studiu, detektywa podejrzanej reputacji, gwarantującego wysoką oglądalność.

– Jak pan ocenia to, co przed chwilą usłyszeliśmy?

– Policja nie mówi wszystkiego, jest skrępowana setkami bzdurnych przepisów. W Ameryce jest inaczej... Jest oczywiste, że była to policyjna pułapka. Prawdopodobnie chodziło o przekazanie okupu za panią redaktor Johnson, to wymaga ogromnego doświadczenia i umiejętności. Proponowałem, zupełnie bezpłatnie, swoją pomoc, nie chcieli skorzystać.

– Pan sugeruje, że Patricia żyje i ciągle czeka na uwolnienie?

– To bardzo prawdopodobne, tu chodzi o kasę, pani redaktor.

Dziennikarka dotknęła palcem słuchawki, która tkwiła w jej uchu, tak jakby informacja, która do niej dotarła, była zupełnie niewiarygodna.

– Zostańcie państwo z nami, wracamy za chwilę...

Na ekranie pokazała się reklama inteligentnych czopków rozgazowujących jelita i żołądek.

– Jak można tak pieprzyć? – jęknęła Marta.

– Ile chcą za nią tego okupu? – intrygowało Natalię.

– Bredzą, zero kontaktu, nie wiadomo, co się z nią dzieje.

– No to co oni wygadują?

– Muszą trzymać ludzi przy telewizorze, żeby kupowali to badziewie.

– Ale są chyba jakieś granice?

– Nie ma żadnych!

– Przepraszam, że tak wprost cię zapytam, nie mam żalu za ten cały

burdel, który mi tu przywiozłaś, ale po co tu przyjechałaś?

– Chciałam cię ostrzec przed Erykiem!

– Kurwa, nie zaczynaj!

– Był w Łądku w dniu zabójstwa pierwszej ofiary tego zboka.

– Byliśmy tam razem, prowadziłam jego samochód, złapali mnie na fotoradar, on to wziął na siebie i za mnie zapłacił, później ci debile chcieli mu wytoczyć sprawę, bo ktoś zauważył, że na fotografii widać, że za kierownicą siedzi kobieta. Powiedz mi teraz prawdę, czy to już wreszcie koniec?

– Skąd mam wiedzieć?

– Ten zabity to nie jest ten zbok?

– Nie...

– Dlaczego nie?

– Jeżeli Grosz mówi, że nie, to znaczy nie!

– Kochasz się w nim?

Marta przez chwilę szukała odpowiedniego przekleństwa. Wcześniej na ekranie ukazała się pani redaktor z detektywem po lobotomii.

Przed telewizorem wiszącym na ścianie recepcji pensjonatu zgromadziła się znacznie liczniejsza widownia. Wszyscy chcieli zobaczyć, jak wypadli w telewizji, i skomentować hipotezy snute przez dziennikarzy. Strumiłło siedział przy jednym stoliku z prokuratorem i komendantem z powiatu. Gwar ucichł, kiedy na ekranie ponownie zobaczyli ekscentrycznego detektywa i panią redaktor.

– Oby ten wieczór nigdy się nie powtórzył... – zaczęła i głos jej się załamał.

Na ekranie ukazał się, stojący nad brzegiem parkowego stawu, buchający parą z ust reporter.

– Tuż po zmroku patrolujący teren parku Skaryszewskiego ochroniarz zauważył pływający po wodzie obiekt...

Realizator pokazał stojącą nad wodą znaną rzeźbę nagiej kobiety z uniesionymi rękami. Kamera powolną panoramą dotarła do tratwy na

środku stawu. Na tratwie też była kobieta, również naga. Jej ciało oświetlała z dołu latarka. Aby utrzymać ciało w pozycji lotosu, oprawca przybił wielkim gwoździem kawałek deski do jej pleców. Strażacy wolno holowali w stronę brzegu tratwę z siedzącą na niej martwą kobietą.

– Nie mamy jeszcze informacji oficjalnie potwierdzającej tożsamość ofiary, ale wszystko wskazuje, że jest to nasza koleżanka, Patricia Johnson...

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, twarz Patricii widać było całkiem wyraźnie. Kiedy tratwa przepływała obok pomnika, powiew wiatru obrócił ją trochę wokół osi. Światło reflektorów odbiło się od metalicznej łuski smoka, zwisającego z jej piersi jak szydery rekwizyt tandetnej rewii. W recepcji panowała taka cisza, że słysząc było odległy o setki kilometrów plusk wiosł strażackiej łodzi. Pierwszy dzwonek telefonu odezwał się w kieszeni Strumiłły. Sprawdził, kto dzwonił, ale nie odebrał. Odnalazł wzrokiem Grosza i przywołał go ręką. Stał się w pobliżu drzwi, żeby nikt ich nie słyszał.

– Muszę wracać, lecisze ze mną...

– Nie zostawię jej tu samej...

– Komendant mnie wzywa. Powiedz krótko: co spieprzyliśmy w tej sprawie?

– Wszystko.

– To się jakoś łączy z tym „Smokiem”?

– Obaj nie lubią ładnych kobiet.

Strumiłło zacisnął szczęki, ale zrozumiał, że sam się o to prosił. Jego telefon zadzwonił ponownie. Wypreżył się jak struna i odebrał.

– Jestem na miejscu, panie ministrze... – Zasłonił dłonią mikrofon.

– Jak się nazywa ta dziura?

– Pensjonat Żuraw – szepnął Grosz.

– Żuraw... Mam tu helikopter, panie ministrze, będę za dwie godziny – dukał Strumiłło. Jego rozmówca się rozłączył.

– Jedziesz ze mną

– Przekaż ministrowi, że pan „Smok” ma nas w dupie, skoro wykręca takie numery. Jeżeli chcesz go złapać, musisz na początku zdobyć

pieniądze, on rzucił nam wyzwanie, nie boi się nas, to jest robota na rok albo dłużej dla kilkunastu ludzi...

- Co ty, kurwa, pieprzysz?! To musi być już albo polecą głowy!

- Jak na razie to nie potrafiliśmy złapać debila, który zabił tę dziewczynę.

- Nie widziałeś, kurwa, że wynieśli go stąd nogami do przodu?

- Klecha go dorwał, nie ty ani nie ja!

- Przesłuchałeś go chociaż?

- Co dzień powtarzasz mi, żebym nie zbliżał się do tej sprawy.

- Nie pogrywaj ze mną, coś znaleźli na niego, jest dowód, że był w tym Łądku przy pierwszym zabójstwie... - Wyszukał wzrokiem w tłumie prokuratora i przywołał go gestem ręki.

- Trzeba pilnie przesłuchać tego klechę, panie prokuratorze.

- Który to? - czujnie spytał prokurator.

- Tomczyk - odpowiedział Grosz.

- Jasne, Kowalewski zamknął go w biurze. - Prokurator odzyskał inicjatywę.

- Nie możemy wykluczyć, że to nie on... te baby... do wody

- Tak? Ja zrozumiałem, że to ten zabity. - Prokurator szybko nadrabiał dystans.

Grosz z niedowierzaniem pokręcił głową. Strumiłło już wiedział, jak upiec dwie pieczenie, na które czekano w stolicy. Prokurator również był bystrzakiem. Skinął na Kowalewskiego i zniknęli w korytarzu prowadzącym do biura. Kowalewski wyjął z kieszeni klucz i przekręcił go w zamku. Biuro było puste. Drzwi na podwórze otwarte.

Strumiłło dostrzegł na twarzy zbliżającego się prokuratora zapowiedź katastrofy.

- Zwiął, jebany - ogłosił prokurator.

- Jest pan pewien, że nie poszedł na siusiu? - szydził Strumiłło.

Prokurator dramatycznie potrząsał głową, jakby przełykał palącą gorycz upokorzenia.

Kowalewski wbiegł na schody. Uderzył pięścią w drzwi i wpadł do pokoju. Marta i Natalia siedziały przed telewizorem, coś popijały

z wysokich szklanek.

– Gdzie on jest?! – ryknął Kowalewski.

– Nie jesteś u siebie... zachowuj się jakoś – upomniała go Natalia.

– Wiesz, ile grozi za pomocnictwo przy zabójstwie? – groził Kowalewski.

– Uspokój się, człowieku, co ty bredzisz? – próbowała uspokoić go Marta.

– Nie był wpisany do książki, ukrywałaś go tu... Pozwolenie na tę broń chcę zobaczyć.

– Nie rób z siebie zazdrosnego jelenia... – Zawartość szklanki dodawała Marcie odwagi. – Broń należy do faceta, który kiedyś hodował tu ślimaki i pędził bimber, podobno bardzo ci smakował...

– Ostatni raz pytam, gdzie on jest!

– Mam mu coś przekazać od ciebie, jak zadzwoni? – spytała Natalia.

Kowalewski w końcu zorientował się, że kpiły z niego. Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Strumiłło, Grosz i prokurator brnęli środkiem podmokłej łąki w stronę grzejącego silnik helikoptera. Spod ich butów tryskała zebrana między kępami trawy brązowa woda. Musieli przekrzykiwać się, żeby pokonać podmuch powietrza i huk turbiny.

– To cienias jest – zawodził prokurator. – Nie da sobie rady na tych bagnach, chłopcy zgarną go najdalej za kilka dni. Przypierdolę mu z artykułu dwadzieścia pięć, przekroczenie granic obrony koniecznej, wystarczy jeden telefon od was i sąd to klepnie.

– Te dwie dziewczyny leżałyby już w kostnicy, gdyby nie on! – krzyknął Grosz.

– O tym zdecyduje sąd, panie komisarzu, zabił człowieka.

– Prokurator znacząco spojrział w stronę Strumiłły, już wiedział, co było grane.

– Wsiadaj! – warknął Strumiłło.

Grosz przecząco pokręcił głową. Odwrócił się i ruszył w stronę

pensjonatu. Helikopter uniósł się nad łąką i ściągnął na siebie obiektywy kamer.

Natalii udało się wyprosić z recepcji dziennikarzy i zamknąć drzwi. Głównego wejścia do pensjonatu pilnował Kowalewski. Odsunął się na bok, żeby przepuścić Grosza. Między nich wpadła redaktor Sroka z wyciągniętą ręką zakończoną mikrofonem.

– Panie komisarzu, ktoś tu chyba świadomie wprowadza nas w błąd, proszę powiedzieć, jak to jest z tym „Smokiem”?

– Jestem pewien, że ogląda pani program – odpowiedział i wszedł do pensjonatu.

Za kontuarem Natalia porządkowała papiery, kot też wrócił na swoje miejsce i bez sympatii przyglądał się komisarzowi.

– Gdzie ona jest? – spytał.

Natalia ruchem głowy wskazała schody. Wszedł na górę. Marta oglądała w telewizji redaktor Srokę, która próbowała wyciągnąć coś od naburmuszonego Kowalewskiego.

– Co się z nim stało? – spytał Grosz.

– A skąd mam wiedzieć, nie jestem w pracy.

– Gadaj! Kiedyś trzeba to skończyć!

Marta wstała i zaprowadziła go na koniec wykończonego boazerią korytarza. Do ściany przybita była drabina prowadząca na strych. Zastukała trzy razy w ścianę obok drabiny. Po chwili trójkątny fragment ściany odchylił się, odsłaniając Tomczyka. Uśmiechnął się, widząc Grosza.

– Wreszcie mnie pan znalazł...

Grosz popchnął go delikatnie, zamknął drzwi i wszedł do mikroskopijnego pomieszczenia, które mieściło tylko stolik i posłanie.

– Chciałbym zapytać pana o plany na najbliższą przyszłość...

– Jutro zgłoszę się na policję... Spodziewam się wielu pytań i dlatego próbuję to sobie jakoś ułożyć w głowie, tak od samego początku, inaczej nikt tego nie zrozumie...

Pomyślałem, że najlepiej byłoby to napisać, pismo jest źródłem wiedzy. Mógłby pan komisarz rzucić na to okiem?

Podał Groszowi leżące na stoliku zapisane drobnym pismem kartki papieru. Grosz przebiegł wzrokiem pierwszą stronę i uśmiechnął się wyrozumiale.

– To zbyt szczegółowe, kiedy pisze pan: „śnieg, który opadał z chmur na ziemię, był niczym innym jak bajecznym tworem kryształów lodu”. Wystarczy: „padał śnieg”.

– Nigdy wcześniej nie widziałem takiego śniegu.

– To nie ma znaczenia...

– Ach tak. – Tomczyk przyjął tę uwagę z wyraźną ulgą. – A proszę mi powiedzieć, jak zakończyła się ta historia z tym „Smokiem”?

– Wszyscy o to pytają, rozczarował pan wielu ludzi... mieli nadzieję, że to pan.

– Potrafię to zrozumieć, mnie też się tak przez chwilę wydawało, nie powinienem odstawiać moich leków. Chociaż teraz wcale tego nie żałuję, odnalazłem swoją drogę. Jak pan myśli, długo będę siedział?

– Źle panu tutaj?

Tomczyk uśmiechnął się i zaprzeczył ruchem głowy. Drzwi za nimi otworzyły się Natalia chciała im powiedzieć, że relacja z pensjonatu zostanie za chwilę powtórzona w całości. Tomczyk był wyraźnie zażenowany rolą bohatera wieczoru. Natalię rozpierała duma. Mężczyzna, którego kochała, potrafił ją obronić. Ci wszyscy policjanci i prokuratorzy potrafili tylko gadać, najchętniej w telewizorze. „Nie, to niesprawiedliwe – pomyślała. – Marta i ten Grosz są inni. Z takiej samej gliny jak ja”.

KONIEC

Warszawa luty 2015

